



GRÓB
MOJEJ
SIOSTRY

ROBERT
DUGONI

ROBERT DUGONI

GRÓB
MOJEJ
SIOSTRY

Z angielskiego przełożył
Lech Z. Żołądzowski



Wydanie elektroniczne

CZEŚĆ I

Lepiej, aby dziesięciu winnych uniknęło kary, niżby jeden niewinny miał cierpieć.

Sir William Blackstone, *Uwagi do praw angielskich*

Rozdział 1

Instruktor od wyszkolenia taktycznego w akademii policyjnej lubił ich dręczyć podczas porannej musztry powtarzaniem, że waga snu jest mocno przeceniana.

– Nauczycie się żyć bez niego – mawiał.

Oczywiście kłamał.

Sen był jak seks – im było go mniej, tym bardziej go brakowało, a ostatnio Tracy Crosswhite nie uskarżała się na nadmiar jednego ani drugiego.

Rozprostowała ramiona i kark. Nie miała czasu na poranne bieganie, więc była usztywniona i jeszcze się całkiem nie obudziła, choć nie pamiętała, by za dużo spała, jeśli spała w ogóle. Mniej fast foodu i kofeiny, powiedział jej lekarz. Dobra rada, tyle że prawidłowe odżywianie i ćwiczenia wymagają czasu, a tego w trakcie śledztwa zawsze jej brakowało, ograniczenie ilości kofeiny zaś byłoby jak odcięcie dopływu benzyny do silnika. Bez kawy chyba by umarła.

– O, Profesorka coś dziś wcześniej. Ktoś umarł?

Vic Fazzio napał swą imponującą masą na ściankę jej boksu. Żarcik od lat funkcjonował w ich gronie, ale wypowiedany chrapliwym głosem i akcentem z New Jersey, nie przestawał śmieszyć. Dzięki szpakowatym i gładko przylizanym włosom oraz mięsistej twarzy Fazzio – nazywany przez wszystkich, łącznie z nim samym, Makaroniarzem – mógłby bez trudu wystąpić w gangsterskim filmie w roli mrukliwego mafijnego osiłka. W jednej ręce trzymał stronicę „New York Timesa” z krzyżówką, w drugiej książkę z biblioteki – wyraźne znaki, że kawa zrobiła swoje. Wiadomo było, że gdy Faz zasiądzie na tronie, nikt przez dłuższy czas nie będzie mógł skorzystać z toalety. Potrafił siedzieć w kabinie pół godziny, szukając w myślach haseł do krzyżówki lub wczytując się w jakiś szczególnie pasjonujący fragment książki.

Tracy podała mu fotografię z miejsca przestępstwa, którą tego ranka wydrukowała.

– Tancerka z Aurory – rzuciła.

– Słyszałem. Komuś coś odbiło, nie?

– Widywałam już gorsze jatki na tle seksualnym.

– Zapomniałem, że zrezygnowałaś z seksu na rzecz śmierci – powiedział.

– Śmierć jest łatwiejsza – odrzekła, wykorzystując inną z jego ulubionych odzywek.

Tancerkę, niejaką Nicole Hansen, znaleziono związaną w pokoju w tanim motelu przy Aurora Avenue, w północnym Seattle. Ktoś jednym końcem sznura obwiązał jej szyję, przeciągnął go wzdłuż kręgosłupa i drugim końcem spętał ręce i nogi, wykazując nie lada pomysłowość. Tracy wzięła do ręki raport patologa.

– „Ofiarę zaczęły nękać bolesne skurcze w kończynach i by sobie ulżyć, starała się je prostować. To powodowało zaciskanie pętli i dziewczyna praktycznie sama się dusiła” – przeczytała. – Dobrze, co?

Faz przyjrzał się fotografii.

– Nie sądzisz chyba, że zawiązałyby sznur na kokardkę lub coś w tym rodzaju, żeby mogła się uwolnić?

– Byłoby to logiczne.

– To jaką masz teorię? Facet ją związuje, a potem siada i z lubością się przygląda, jak umiera?

– Albo zawałił sprawę, spanikował i zwał. Jedno jest pewne: sama się nie zawiązała.

– A może właśnie tak? Może była nowym wcieleniem Houdiniego?

– Houdini uwalniał się z więzów, Faz. Na tym to polegało. – Tracy wzięła od niego fotografię i rzuciła na biurko. – No i teraz siedzę tu o tej nieludzkiej porze. Tylko ty, ja i poranne świerszcze.

– Ja i świerszcze jesteśmy tu już od piątej, Profesorko. Znasz to powiedzenie: poranne ptaszki wydziobują więcej robaków.

– Tak, no cóż, ten konkretny poranny ptaszek jest tak skonany, że nie dojrzałyby robaka, nawet gdyby ten wylazł z ziemi i ugryzł go w tyłek.

– A co z Kinsem? Dlaczego ty sama się z tym borykasz?

Spojrzała na zegarek.

– Miejmy nadzieję, że właśnie kupuje mi kawę. Chociaż tak się z tym guzdrze, że równie dobrze mogłam to sama zrobić. – Spojrzała na tytuł książki. – *Zabić drozda?* Imponujesz mi, kolego.

– Chcę się dowartościować.

– Żona ci kazała, przyznaj się.

– Jasne. – Faz oderwał się od ścianki boksu. – Dobra, czas na mnie. Drozd już śpiewa, a ja aż pękam w szwach.

– Oszczędź mi szczegółów, Faz.

Zrobił parę kroków, po czym stanął i z ołówkiem w dłoni się obejrzał.

– Hej, Profesorko, pomocy. Coś, co czyni gaz ziemny bezpieczniejszym, na cztery litery.

Przed zmianą zawodu i wstąpieniem do akademii policyjnej Tracy była nauczycielką chemii w liceum, co zresztą było źródłem jej ksywki.

– Tiol – powiedziała.

– Co?

– Tiol. Substancja używana do nawaniania gazu ziemnego, dzięki czemu nieuszczelnienie instalacji gazowej można wyczuć nosem.

– Żartujesz. I czym to śmierdzi?

– Siarką. Jak zgniłe jaja. – Tracy przeliterowała słowo.

Faz zwilżył koniuszek ołówka i wpisał je do krzyżówki.

– Dzięki – rzucił.

Chwilę po jego odejściu do pomieszczenia zespołu A wszedł Kinsington Rowe i wręczył Tracy jeden z dwóch dużych kubków.

– Przepraszam – bąknął.

– Już chciałam wysłać ekipę poszukiwawczą.

Zespół A stanowił jedną z czterech czteroosobowych ekip śledczych w Sekcji Ciężkich Przepęstw Kryminalnych i składał się z Tracy, Kinsa, Faza i Delma Castigliano, drugiego obok Faza krzykliwego Włocha w zespole. Wszyscy czworo siedzieli zwrócenii do siebie plecami przy biurkach ustawionych w narożnych boksach, bo Tracy tak wołała. Dział zabójstw jest jak akwarium i każda odrobina prywatności jest na wagę złota. Środek pomieszczenia zajmował duży drewniany stół, pod którego blatem było miejsce na akta. Teczki z dokumentacją aktualnie prowadzonych spraw piętrzyły się na poszczególnych biurkach.

Tracy pieszczotliwie objęła kubek.

– Chodź do mamusi, ty słodko-gorzki nektarze bogów – wyszeptała czule, pociągnęła pierwszy łyk i zlizwała piankę z górnej wargi. – To co tak długo?

Kins skrzywił się i usiadł. Miał za sobą cztery lata gry w uniwersyteckiej drużynie futbolowej i roczną karierę w NFL na pozycji biegacza, którą przerwała błędnie zdiagnozowana kontuzja, co w rezultacie doprowadziło do zwyrodnienia stawu biodrowego. Wiadomo było, że bez operacyjnej wymiany stawu się nie obędzie, jednak zwlekał z podjęciem decyzji, by – jak twierdził – zrobić to raz a dobrze. Na razie zmagał się z bólem, wspomagając się żuciem advilu.

– Tak cię boli? – zatroszczyła się Tracy.

– Najbardziej, kiedy robi się zimno.

– No to daj to sobie zoperować. Na co czekasz? Podobno to już teraz rutynowy zabieg.

– Jak lekarz zakłada maskę na twarz i mówi ci „dobranoc”, nic nie jest rutynowe.

Odwrócił głowę i ponownie się skrzywił, jakby nie chodziło tylko o ból w biodrze. Po sześciu latach pracy biurko w biurko Tracy znała jego reakcje, miny i grymasy. Rano wystarczył jej jeden rzut oka i wiedziała, czy kolega ma za sobą ciężką noc i czy uprawiał seks. Był jej trzecim partnerem w dochodzeniówce. Detektyw Floyd Hattie, pierwszy, do którego ją przydzielono, oznajmił, że prędzej zwolni się z pracy, niż będzie pracować z babą, co zresztą zrobił. Drugi partner przetrwał sześć miesięcy do chwili, gdy jego żona poznała Tracy na koleżeńskim grillu i uznała, że mąż nie może mieć tak bliskich kontaktów z wówczas trzydziestosześcioletnią singielką, blondynką, metr siedemdziesiąt osiem.

Gdy Kins zgłosił się na ochotnika do partnerowania Tracy, była trochę

zaniepokojona.

– Fajnie, ale co z twoją żoną? Nie będzie z nią pieprzonego problemu? – spytała.

– Mam nadzieję, że nie. Jak się ma trójkę dzieci w wieku do ośmiu lat, to człowiekowi rzadko takie rzeczy w głowie.

Uznała wtedy, że się dogadają. Ustalili żelazną zasadę, że obowiązuje ich absolutna szczerłość. I żadnego dąsania. Od sześciu lat się tego trzymali.

– Coś cię jeszcze gryzie, Kins?

Westchnął i spojrzał jej prosto w oczy.

– W korytarzu zatrzymał mnie Billy – powiedział. Sierżant Billy był ich bezpośrednim zwierzchnikiem, szefem zespołu A.

– Mam nadzieję, że trzymanie mnie bez kawy miało istotny powód. Bo nawet za mniejsze przewinienia mogę zabić.

Kins nie uśmiechnął się jednak. Z pokoju zespołu B dochodziły odgłosy porannych wiadomości telewizyjnych, na jednym z biurków dzwonił telefon, którego nikt nie odbierał.

– Coś w związku z Hansen? Szefostwo daje Billy’emu popalić? – spytała.

Pokręcił głową.

– Dzwonili do Billy’ego z biura patologa. – Poszukał wzrokiem jej oczu. – Dwóch myśliwych natknęło się w pobliżu Cedar Grove na ludzkie szczątki.

Rozdział 2

Palce Tracy z niecierpliwości aż dygotały. Zrywające się raz po raz podmuchy lekkiego wiatru rozwiewały na plecach poły jej wysłużonej wiatrówki. Czekala, aż wiatr się uspokoi. Po dwóch dniach Mistrzostw Stanu Waszyngton w Kowbojskim Strzelaniu w roku 1993, do końca została tylko jedna konkurencja. Dwudziestodwuletnia Tracy miała już na koncie trzy tytuły mistrzowskie, jednak w ubiegłym roku przegrała z Sarą, swoją o cztery lata młodszą siostrą. W tym roku obie dotarły do finału, praktycznie łeb w łeb.

Prowadzący zawody przysunął stoper do ucha Tracy.

– Czekamy, Crossdraw – powiedział. Jej kowbojski pseudonim nawiązywał do ich nazwiska oraz typu kabury, jakiej z siostrą używały.

Tracy lekko opuściła rondo stetsona, zaczerpnęła głęboko powietrza i nabożnie wymruczała kwestię z najlepszego westernu, jaki kiedykolwiek nakręcono: „Bierz się do roboty, ty sukinsynu!”.

Stoper piknął ostrzegawczo.

Prawą ręką wyszarpnęła colta z lewej kabury, odciągnęła kurek i wystrzeliła. Niemal równocześnie lewą ręką wyciągnęła drugi rewolwer i strzeliła do drugiej zastawki. Wpadła w rytm i nabrała takiej płynności ruchów, że w huku wystrzałów niemal nie słychać było brzęku opadających zastawek.

Prawa ręka. Kurek. Strzał.

Lewa ręka. Kurek. Strzał.

Prawa ręka. Kurek. Strzał.

Przeniosła wzrok na dolny rząd zastawek.

Prawa, strzał.

Lewa, strzał.

Trzy ostatnie strzały nastąpiły tuż po sobie. Bam. Bam. Bam. Tracy zrobiła

młynka oboma coltami i odrzuciła je na drewniany stół.

– Czas stop!

Kilku widzów zaczęło bić brawo, jednak oklaski szybko ucichły, bo stopniowo zaczęło do ludzi docierać to, o czym ona już wiedziała.

Dziesięć strzałów, ale tylko dziewięć brzęknięć.

Piąta zastawka w dolnym rzędzie nie opadła.

Tracy spudłowała.

Trzech stojących obok sędziów uniosło na potwierdzenie po jednym palcu. Pudło będzie ją drogo kosztować – pięć sekund karnych dodanych do łącznego wyniku. Tracy wlepiła wzrok w sterczącą zastawkę. Aż nie wierzyła własnym oczom, ale wiedziała, że od samego patrzenia zastawka nie opadnie. Niechętnie zebrała ze stołu rewolwery, wsadziła do kabur i opuściła stanowisko.

Wszystkie oczy zwróciły się ku Sarze.

– Teraz ty, Mała.

** * **

Ich rozchwieirutane, sklecone własnoręcznie przez ojca wózki na broń i amunicję turkotały i podskakiwały na nierównościach, ciągnięte przez Tracy i Sarę po wysypanym żwirze parkingu. Niebo nad ich głowami gwałtownie się zaciągnęło i wyglądało, że burza zacznie się wcześniej, niż to zapowiadano w prognozie pogody.

Tracy otworzyła kluczykiem swego niebieskiego kampera, opuściła tylną klapę i spojrzała na siostrę.

– Co to, do diabła, miało być? – burknęła, nie próbując nawet ukryć złości.

Sara wrzuciła kapelusz do środka i potrząsnęła głową, rozpuszczając długie blond włosy na ramiona.

– Znaczy, co?

Tracy uniosła srebrną klamrę mistrzyni.

– Od lat nie zdarzyło ci się dwa razy spudłować. Masz mnie za głupią?

– Wiatr podbił mi rękę.

– Jesteś wstrętną kłamczuchą, wiesz o tym?

– A ty wstrętną zwyciężczynią.

– Bo wcale nie zwyciężyłam. To ty mi dałaś wygrać. – Tracy odczekała, aż dwóch widzów chcących dotrzeć do samochodu przed pierwszymi kroplami deszczu przejdzie szybkim krokiem obok nich. – Masz szczęście, że nie było przy tym taty. – Dwudziestego pierwszego sierpnia wypadła dwudziesta piąta rocznica ślubu rodziców i James „Pan Doktor” Crosswhite nie był gotów oznajmić żonie, że spędzą ją na strzelnicy w stolicy stanu, a nie na Hawajach. Tracy trochę już przeszła złość, ale widać było, że nie całkiem. – Rozmawiałyśmy o tym. Powiedziałam ci, że obie staramy się na maksa, bo inaczej ludzie pomyślą, że wynik jest ustawiony.

Nim Sara zdążyła odpowiedzieć, na zwirze zachrząściły opony. Tracy odwróciła głowę i spojrzała na Bena, który objechał swoim białym pick-upem jej forda kampera i uśmiechnął się do nich z kabiny. Choć spotykał się z Tracy już od roku, nadal za każdym razem witał ją uśmiechem.

– Jeszcze pogadamy o tym, jak wrócę do domu – powiedziała Tracy, ruszając w stronę pick-upa, by przywitać się z Benem, który zdążył już wysiąść i włożyć skórzaną kurtkę, gwiazdkowy prezent od Tracy. Pocałowali się.

– Przepraszam za spóźnienie. Ten, co zakazał picia podczas jazdy, widać nigdy nie jechał przez Tacomę w godzinach szczytu. Marzę o piwie. – Tracy poprawiła mu kołnierz kurtki, a on spojrzał na klamrę w jej ręce. – Hej, wygrałaś!

– No, wygrałam. – Jej wzrok powędrował ku siostrze.

– Cześć, Sara.

– Cześć, Ben.

– *Gotowa? – spytał, spoglądając na Tracy.*

– *Daj mi jeszcze minutkę.*

Tracy zdjęła kurtkę i czerwoną bandanę, wrzuciła je do kampera, po czym przysiadła na krawędzi klapy i uniosła nogę, by siostra ściągnęła z niej but. Niebo zupełnie już poczerniało.

– *Nie podoba mi się, że masz jechać sama w taką pogodę – mruknęła.*

Sara wrzuciła but do środka, a gdy Tracy wystawiła drugą nogę, chwyciła za obcas i pociągnęła.

– *Mam osiemnaście lat. Myślę, że mogę się sama odwieźć do domu. I już zdarzyło mi się jeździć w deszczu.*

Tracy spojrzała pytająco na Bena.

– *Może powinna pojechać z nami.*

– *Kiedy ona wcale nie chce. Nie chcesz tego, prawda?*

– *Nie, z całą pewnością nie chcę – parsknęła Sara.*

Tracy włożyła buty na płaskich obcasach.

– *Zapowiadają burzę z piorunami – mruknęła.*

– *Przestań. Traktujesz mnie jak dziecko.*

– *Bo tak się zachowujesz.*

– *Bo ty mnie tak traktujesz.*

Ben spojrzał na zegarek.

– *Z żalem muszę przerwać tę fascynującą wymianę myśli, drogie panie, ale jeśli mamy skorzystać z tej rezerwacji, to naprawdę musimy już jechać, Tracy.*

Podala mu podręczną torbę, a on schował ją do kabiny.

– Tylko jedź autostradą – rzuciła w stronę siostry. – Nie wybieraj żadnych skrótów. Będzie już zupełnie ciemno, a na bocznej drodze w deszczu będzie jeszcze mniej widać.

– Na skróty będzie szybciej.

– Nie dyskutuj ze mną. Trzymaj się autostrady i żadnych skrótów.

Sara wyciągnęła rękę po kluczyki.

– Obiecuj. – Tracy nie zamierzała dać się zbyć.

– Dobra, obiecuję. – Jej siostra przekreśliła serce na krzyż.

Tracy położyła kluczyki na dłoni Sary i zwinęła jej palce.

– I następnym razem nie pudłuj celowo – mruknęła, odwracając się plecami.

– A kapelusz?

Tracy zdjęła swego czarnego stetsona i wcisnęła siostrze na głowę, a ta w odpowiedzi pokazała jej język. Tracy próbowała być na nią zła, ale na Sarę nie sposób było się złościć.

– Okropna z ciebie łobuzica – rzuciła, czując, jak rysy jej twarzy wbrew niej łagodnieją.

Sara rozdziawiła usta w uśmiechu.

– Ale właśnie dlatego mnie kochasz.

– To prawda, dlatego cię tak kocham.

– Ja też cię kocham – dodał Ben, przechylając się przez siedzenie i otwierając drzwi po stronie pasażera. – Ale będę cię kochał jeszcze bardziej, jeśli nie stracimy tej rezerwacji.

– Już idę – rzuciła Tracy.

Wskoczyła do kabiny i zatrzasnęła za sobą drzwi. Ben pomachał Sarze na pożegnanie, zawrócił i ustawił się w kolejce samochodów wyjeżdżających z parkingu. Krople deszczu lśniły w światłach reflektorów jak drobiny płynnego złota. Tracy wystawiła głowę przez okno i spojrzała do tyłu. Sara stała nieruchomo w padającym deszczu i patrzyła za nimi, a ona poczuła nagłą chęć zawrócenia.

– Wszystko w porządku? – spytał Ben.

– W porządku – odparła, choć chęć zawrócenia jej nie opuszczała. Tracy przyglądała się, jak siostra otwiera dłoń z kluczami, widzi, co Tracy jej dała, i znów spogląda na oddalającego się pick-upa.

Wraz z kluczami Tracy wcisnęła jej do ręki swoją srebrną klamrę zwyciężczyni.

Nawet nie przyszło jej do głowy, że minie dwadzieścia lat, nim znów ją zobaczy.

Rozdział 3

Szeryf Cedar Grove, Roy Calloway, wciąż miał na sobie kamizelkę do muchowego wędkowania, na głowie przynoszącą mu szczęście czapkę, ale myślami był już daleko od łagodnego kołysania się w płaskodennej łodzi. Prosto z lotniska pojechał na posterunek, jego nadąsana żona wtuliła się w kąt po stronie pasażera. Żadnego z nich nie ucieszyło, że muszą skrócić jego wędkarską wyprawę, ich pierwszy prawdziwy urlop od czterech lat. Gdy wysiadł przed posterunkiem, nawet nie zrobiła ruchu, by go pocałować, a on uznał, że lepiej będzie tego nie zauważyć. Wiedział, że i tak nie obejdzie się bez rozmowy przy kolacji. „Nie mogłem postąpić inaczej”, oświadczy jej, ona zaś odpowie: „Słyszę to już od trzydziestu czterech lat”.

Wszedł do sali konferencyjnej i zamknął za sobą drzwi. Jego zastępca, Finlay Armstrong, stał w mundurze khaki u szczytu stołu z surowego drewna i w świetle jarzeniówek prezentował się dość blado, ale w porównaniu z ziemistą cerą Vance'a Clarka i tak był okazem zdrowia. Siedzący przy drugim końcu stołu prokurator okręgu Cascade wyglądał na wręcz chorego. Jego kraciasta marynarka wisiała na oparciu krzesła, węzeł krawata był rozluźniony, kołnierzyk koszuli rozpięty. Na widok wchodzącego Callowaya skinął lekko głową, ale nawet nie próbował się podnieść.

– Przykro mi, że szef musiał przerwać urlop. – Armstrong stał pod ścianą pokrytą boazerią i oklejoną fotografiami dotychczasowych szeryfów Cedar Grove. Zdjęcie Callowaya było ostatnie z prawej i tkwiło w tym miejscu od trzydziestu czterech lat. Przy swym wzroście metr dziewięćdziesiąt pięć mógł się nadal poszczycić potężną muskulaturą klatki piersiowej mężczyzny na zdjęciu, choć oglądając się co rano w lustrze, nie mógł nie zauważyć, że bruzdy na twarzy – niegdyś nadające męskiej twardości rysom – zamieniły się w rozmyte zmarszczki, a bujna czupryna mocno się przerzedziła i posiwiała.

– Nie wysilaj się, Finlay. – Calloway rzucił czapkę na stół, przyciągnął sobie krzesło i usiadł. – Mów, co jest.

Armstrong, wysoki i szczupły trzydziestoparolatek, pracował w biurze szeryfa od ponad dziesięciu lat i był pierwszy w kolejce do fotografii na ścianie w sali konferencyjnej.

– Rano zadzwonił do nas Todd Yarrow. Wybrali się z Billym Richmondem na kaczki i gdy przedzierali się przez dawny teren Cascadii do czatowni, Hercules coś wyczuł i poszedł w krzaki. Yarrow mówi, że nijak nie mogli się go dowołać. Kiedy w końcu wrócił, trzymał coś w pysku. Yarrow chciał mu to odebrać, myśląc, że to jakiś patyk, i pobrudził sobie rękę czymś białym i kleistym. Billy rozpoznał w tym kość, ale specjalnie się tym nie przejęli. Pomyśleli, że Hercules wygrzebał

gdzieś padlinę jelenia. Pies podniósł jednak straszny raban i z głośnym szczekaniem znowu ruszył w krzaki. Tym razem poszli za nim i znaleźli go kopiącego w ziemi. Hercules znów nie dawał się przywołać, aż w końcu Yarrow chwycił go za obrozę, na siłę odciągnął i wtedy to zobaczył.

– Co zobaczył? – burknął szeryf.

Armstrong postukał w swój iPhone i obszedł stół. Calloway wyjął z kieszonki kamizelki okulary z połówkami szkieł do czytania – bez nich nie dawał już rady nawlekać much na haczyk – wziął do ręki telefon i wyciągnął daleko przed siebie. Armstrong przechylił się przez jego ramię i powiększył obraz na wyświetlaczu.

– Te białe kreski to kości. Ludzka stopa.

Były oblepione błotem jak wygrzebana z ziemi stara skamielina. Armstrong przesunął palcem po ekranie i zaprezentował serię fotografii, które pod różnymi kątami ukazywały stopę i miejsce jej znalezienia.

– Kazałem im to miejsce oznakować i poczekać przy samochodzie. Wygrzebaną przez psa kość włożyli do bagażnika jeepa Todda. – Armstrong przesunął palcem kilka zdjęć i zatrzymał się na fotografii pojedynczej kości z leżącą obok latarką. – Antropolog z Seattle kazała tak zrobić – wyjaśnił. – Chodziło jej o porównanie rozmiarów. Powiedziała, że wygląda jej to na kość udową.

Calloway spojrział na koniec stołu, ale Vance Clark siedział ze wzrokiem wbitym w blat.

– Zawiadomiłeś patologa? – spytał Armstronga.

Ten zabrał swój telefon i wyprostował się.

– Kazali mi zadzwonić do antropologa w zakładzie kryminalistyki. – Sprawdził swoje zapiski. – To kobieta, niejaka Kelly Rosa. Obiecała, że przyślą na miejsce ekipę, ale nie wcześniej niż jutro rano. Wysłałem tam Tony'ego do pilnowania, żeby inne zwierzęta nie dobrały się do kości. Trzeba będzie wysłać mu kogoś na podmianę.

– Antropolog twierdzi, że to ludzka kość?

– Nie jest pewna, ale sądząc po długości, może to być kobieca kość udowa. I widzisz to coś białego? Tę lepkaż, którą Yarrow upačkał sobie ręce? – Armstrong ponownie zajrzał do notatek – Nazwała to trupim woskiem. Tkanka tłuszczowa w stanie rozkładu. Cuchnie jak gnijące mięso. Ciało musiało długo leżeć.

Calloway złożył okulary i schował do kieszonki kamizelki.

– Zaprowadzisz ich tam, kiedy się tu zjawią? – spytał.

– Jasne, nie ma sprawy – odrzekł Armstrong. – Szef też tam będzie?

Szeryf wstał.

– Zostanę tu, żeby być pod ręką. – Ruszył do drzwi po kawę, ale zatrzymało

go następne pytanie Armstronga.

– Myśli szef, że to może być ona? Ta zaginiona w latach
dziewięćdziesiątych?

Calloway przeniósł wzrok z Armstronga na Clarka.

– Pewnie niedługo się okaże – mruknął.

Rozdział 4

Promienie porannego słońca przebijały się przez gęste listowie drzew, rzucając cienie na wznoszące się tuż za skrajem drogi skalne urwisko. Przed stoma laty skruszono dynamitem tony skał, po czym kilofami i łopatami wytyczono drogę dla kopalnianych ciężarówek, przy okazji odkrywając liczne podziemne strumyki, które ciekły teraz po skalnej ścianie niczym łyzy, zabarwiając ją rdzawymi i srebrzystymi osadami. Tracy jechała według wskazań nawigacji, radio miała wyłączone, w głowie czuła pustkę. Biuro patologa nie dysponowało żadnymi bliższymi informacjami, Kelly Rosy nie było w pracy, a jakaś pomoc biurowa powtórzyła tylko to, co Tracy już wiedziała od Kinsa: zadzwonił do nich zastępca szeryfa Cedar Grove i przysłał zdjęcie kości wyglądającej na ludzką kość udową. Kość wykopał pies towarzyszący dwóm myśliwym w drodze do chatowni na kaczki, gdzieś wśród wzgórz w pobliżu miasteczka Cedar Grove.

Tracy zjechała znanym sobie zjazdem, przy znaku STOP skręciła w lewo i chwilę potem wjechała na Market Street. Zatrzymała się na jedynych światłach w Cedar Grove i rozejrzała po czymś, co niegdyś było jej rodzinnym miastem, a co teraz wyglądało ponuro, smętnie i całkiem obco.

* * *

Tracy upchnęła resztę do kieszeni džinsów, zabrała pudło z popcornem i colę z lady i rozejrzała się po holu, ale Sary nigdzie nie było.

W sobotnie poranki, gdy w kinie Hutchinsa pokazywano nowy film, Tracy dostawała od mamy sześć dolarów, po trzy dla siebie i siostry. Bilet kosztował dolara pięćdziesiąt, więc starczało im jeszcze na popcorn i coś do picia lub na lody po kinie.

– Gdzie Sara? – spytała. Miała jedenaście lat i czuła się odpowiedzialna za młodszą siostrę, choć ostatnio uległa prośbom i pozwoliła jej zabierać jej część pieniędzy na kino. Tracy zauważyła, że Sara nie wydaje swojego dolara pięćdziesiąt na popcorn i picie, tylko chowa pieniądze do kieszeni. A teraz gdzieś się zapodziała, co jednak nie było niczym niezwykłym.

Dan O'Leary poprawił na nosie grube okulary w czarnej oprawce, co robił bezustannie.

– Nie wiem – odparł, rozglądając się po holu. – Przed chwilą tu była.

– *A kogo to obchodzi? – Sunnie Witherspoon trzymała pudło z popcornem i już czekała przy wahadłowych drzwiach, by wejść do ciemnej sali. – Ciągle to robi. Chodźmy już, bo uciekną nam zwiastuny.*

Tracy mawiała, że jej siostrę i Sunnie łączy miłość i nienawiść. Sara kochała drażnić się z Sunnie, a ta tego nienawidziła.

– *Nie mogę jej tak zostawić – powiedziała Tracy i zwracając się do Dana, dodała: – Może poszła do toalety?*

– *Mogę pójść sprawdzić. – Zdążył zrobić dwa kroki, zanim go olśniło. – Nie, zaraz, nie mogę.*

Pan Hutchins położył ręce na ladzie.

– *Powiem jej, że już weszliście, i wyślę ją za wami. Biegnijcie do środka, dzieciaki, bo spóźnicie się na zwiastuny. Dziś mamy zwiastun Pogromców duchów.*

– *Chodźmy już, Tracy – prychnęła Sunnie.*

Tracy jeszcze raz rozejrzała się po holu. Cała Sara, żeby tak przegapić zwiastuny! Może da jej to nauczkę.

– *Dobrze, proszę pana, tak zrobimy. Dziękuję, panie Hutchins.*

– *Mogę ci ponieść colę – zaproponował Dan. Miał obie ręce wolne, bo rodzice dawali mu tylko na bilet.*

Podala mu puszkę i uwolnioną ręką nakryła popcorn, żeby się po drodze nie rozsypał. Pan Hutchins zawsze tak kopiasto napełniał pudła jej i Sary, że ziarna aż się wysypywały. Czula, że ma to jakiś związek z ich tatą, który opiekował się panią Hutchins cierpiącą na rozliczne dolegliwości z powodu cukrzycy.

– *No wreszcie – mruknęła Sunnie. – Założę się, że wszystkie najlepsze miejsca są już zajęte.*

Pchnęła tyłem wahadłowe drzwi na salę, a Tracy i Dan podążyli za nią. Światła były już zgaszone i Tracy musiała chwilę odczekać, by wzrok przystosował się do ciemności. Na sali rozlegały się chichoty i pokrzykiwania dzieci, które nie mogły się już doczekać, by pan Hutchins wszedł po schodkach do kabiny i uruchomił projektor. Kilkoro siedzących na sali rodziców próbowało bezskutecznie je uciszać. Tracy kochała sobotnie poranki w kinie pana Hutchinsa

i wszystko, co się z tym wiązało – od maślanego zapachu popcornu po wiśniową wykładzinę na podłodze i pluszowe siedzenia z wytartymi podłokietnikami.

Sunnie była już w połowie przejścia, gdy Tracy dostrzegła kryjący się za rzędem krzesel cień – za późno, by ją ostrzec.

Rozległo się głośnie „Buu!” i Sunnie wydała z siebie przeraźliwy pisk, który przebił inne odgłosy na sali. Wybuch głośniego śmiechu, który nastąpił zaraz potem, był równie donośny.

– Sara! – wrzasnęła Tracy.

– Odbiło ci?! – krzyknęła Sunnie.

Światła na sali rozbłyły, co wywołało głośnie buczenie widzów. Pan Hutchins wbiegł do środka i wyraźnie zaniepokojony, ruszył przejściem między siedzeniami. Na starej przetartej wykładzinie podłogowej widać było kupkę rozsypanego popcornu i leżące obok pudło w biało-czerwone paski.

– To przez Sarę – jęknęła Sunnie. – Specjalnie mnie tak wystraszyła.

– Nieprawda – zaprotestowała Sara. – Po prostu mnie nie widziałas.

– Bo ona się schowała, proszę pana. Specjalnie tak zrobiła. Ciągle to robi.

– A nieprawda – powtórzyła Sara.

Pan Hutchins obrzucił ją ponurym spojrzeniem, ale patrząc na niego, Tracy pomyślała, że nie tyle jest zły, ile stara się nie parsknąć śmiechem.

– Sunnie, proponuję, żebyś wróciła do holu i poprosiła moją żonę o nową porcję popcornu. – Uniósł ręce ku widowni. – Przepraszam, kochani, za minutkę opóźnienia, ale muszę pójść po szczotkę i to zamieść.

– Nie, proszę pana. – Tracy spojrzała na siostrę. – Ty pójdziesz po szczotkę i to sprzątniesz.

– Dlaczego ja?

– Bo ty tu nabałaganiasz.

– *Nieprawda! Sunnie to zrobiła.*

– *A ty masz to sprzątnąć.*

– *Nie muszę się ciebie słuchać.*

– *Mama oddała cię pod moją opiekę. Więc albo to sprzątniesz, albo powiem rodzicom, że chowasz te pieniądze, które mama daje ci na popcorn i lody.*

Sara zmarszczyła nos i zrobiła obrażoną minę.

– *No już dobrze. – Zawróciła do wyjścia, zaraz jednak stanęła i rzuciła: – Przepraszam, panie Hutchins, zaraz to zmiotę. – Po czym ruszyła biegiem do wyjścia i przez uchylone drzwi zawołała: – Halo, pani Hutchins, potrzebna mi szczotka!*

– *Przepraszam pana – powiedziała Tracy. – Powiem rodzicom, co tu zrobiła.*

– *Nie ma potrzeby, Tracy. Myślę, że zachowałeś się bardzo właściwie i twoja siostra dostała nauczkę. Ale taka przecież jest nasza Sara, prawda? Dzięki niej nikt się tu nie nudzi.*

– *Czasem aż za bardzo – mruknęła Tracy. – Ale staramy się ją trochę przyhamować.*

– *Och, nie robiłbym tego. Dzięki temu Sara jest naszą Sarą.*

* * *

Tracy usłyszała trąbienie, spojrzała w lusterko wsteczne i dostrzegła mężczyznę w kabinie zdezelowanego pick-upa, który wyciągniętą ręką wskazywał na zawieszony nad jezdnią sygnalizator. Światło paliło się już na zielono.

Minęła budynek kina, nad którego wejściem wisiała podziurawiona kamieniami markiza, a okna, gdzie niegdyś wywieszano plakaty reklamujące bieżące i przyszłe atrakcje ekranowe, były zabite dyktą. We wnęce za kasą biletową wiatr podrywał stare gazety i śmieci. Reszta parterowych i jednopiętrowych domów z cegły i kamienia, tworzących centrum Cedar Grove, była w podobnym stanie. W połowie zaślepionych okien widniały tablice „Na wynajem”; w oknie chińskiego baru, który zastąpił niegdysiejszy sklep sieci Five

'n' Dime, wisiało menu specjalnego zestawu obiadowego za sześć dolarów od osoby; w lokalu dawnego zakładu fryzjerskiego Freda Digasparro działał charytatywny sklep ze starzyzną, choć przy wejściu wciąż jeszcze obracał się stary walec z biało-czerwoną spiralą. Napis w oknie kawiarni reklamował kawy na bazie espresso, ale na murze nad nim nadal widniał wyblakły napis „Dom Handlowy Kaufmana”.

Tracy skręciła w prawo w Drugą Aleję i kawałek dalej wjechała na parking przed cofniętym w głąb budynkiem. Wymalowany na czarno napis na szklanych drzwiach Biura Szeryfa Cedar Grove nie spłowieał i wyglądał tak jak kiedyś, jego wygląd nie budził w niej jednak żadnych ciepłych wspomnień.

Rozdział 5

Tracy pokazała odznakę dyżurnemu i oznajmiła, że przyjechała z Seattle, a ten bez wahania skierował ją do sali konferencyjnej w głębi korytarza.

– Znam drogę – rzuciła.

Otworzyła drzwi do salki bez okien i rozmowa obecnych w niej ludzi raptownie ucichła. Przy końcu stołu stał umundurowany funkcjonariusz z markerem w dłoni, którym rysował coś na mapie topograficznej na korkowej tablicy. Bliżej drzwi siedział z ponurą miną Roy Calloway, naprzeciwko niego usiadła Kelly Rosa, antropolog z zakładu kryminalistyki w Seattle, której towarzyszyli Bert Stanley i Anna Coles, ludzie z Policyjnego Zespołu Oględzin Miejsc Przystępstwa Stanu Waszyngton. Tracy spotykała ich oboje przy wielu zabójstwach.

Wiedząc, że nie doczeka się na zaproszenie, weszła bez pukania z głośnym „Witam szefa”. W Cedar Grove wszyscy się tak do niego zwracali, choć był tu szeryfem.

Calloway podniósł się z krzesła, ale ominęła go, podeszła do wolnego miejsca i zdjęła sztruksową kurtkę, ukazując naramienną kaburę z rewolwerem i przypiętą do paska policyjną odznakę.

– Co ty tu robisz? – burknął.

Rozwiesiła kurtkę na oparciu krzesła i zmierzyła go wzrokiem.

– Roy, nie zaczynajmy od nowa – rzuciła.

Ruszył ku niej, prostując się na całą swą imponującą wysokość. Wykorzystywanie postury do budzenia przestachu było u niego typowe i na młodej dziewczynie mogło to robić wrażenie, Tracy nie była już jednak młodą dziewczyną i nie dało się tak łatwo jej wystraszyć.

– Zgoda, nie zaczynajmy. A więc jeśli jesteś tu służbowo, to wykraczasz poza swoją jurysdykcję. Jeśli...

– Nie jestem służbowo – przerwała mu. – Ale byłabym wdzięczna za okazanie mi koleżeńskiej grzeczności.

– Nie licz na to.

– Roy, przecież wiesz, że nie zrobię nic, co mogłoby ingerować w twoje śledztwo.

– I nie będziesz miała ku temu okazji. – Calloway pokręcił głową.

Reszta uczestników spotkania przyglądała się tej scenie z dość niepewnymi minami.

– Więc proszę cię o przysługę... jako przyjaciela mojego ojca.

Zmrużył niebieskie oczy i jeszcze bardziej nastroszył brwi. Tracy wiedziała, że dotyka bolesnej rany, która nigdy się nie zabiłniła. Calloway i jej ojciec często

razem polowali, ojciec do końca opiekował się rodzicami szeryfa. I obaj czuli na sobie ciężar odpowiedzialności, że nie umieją odnaleźć Sary.

Calloway wyciągnął palec tym samym gestem, jakim ją strofował, gdy jako dziecko jeździła rowerem po chodniku.

– Tylko masz do niczego się nie wtrącać. Jak powiem, że masz coś zostawić, to bez słowa zostawiasz. Rozumiemy się?

Nie wypadało jej przypominać mu, że w ciągu roku ma do czynienia z większą liczbą zabójstw niż on podczas całej swojej kariery.

– Jasne. – Kiwnęła głową.

Raz jeszcze obrzucił ją surowym spojrzeniem, po czym przeniósł wzrok na zastępcę.

– Kontynuuj, Finlay – burknął, siadając.

Zastępca, na którego plakietce widniało nazwisko Armstrong, jeszcze chwilę zbierał myśli, po czym odwrócił się do topograficznej mapy terenu.

– Tu znaleziono ciało – powiedział, rysując X w miejscu, gdzie dwaj myśliwi natknęli się na rzekomo ludzkie szczątki.

– To niemożliwe – prychnęła Tracy.

Armstrong odwrócił głowę i spojrzał niepewnie na szeryfa.

– Powiedziałem, kontynuuj, Finlay.

– Biegnie tędy droga dojazdowa – powiedział Armstrong. – Wytyczono ją kiedyś w celach budowlanych.

– To dawny teren Cascadii – dodała Tracy.

Calloway ostentacyjnie zagryzł szczęki.

– Mów dalej, Finlay.

– Miejsce jest oddalone od drogi niecały kilometr – powiedział Armstrong, ale jego głos brzmiał już mniej pewnie. – W tym miejscu zagrodziliśmy dostęp. – Narysował kolejne X. – Grób jest płytki, mniej więcej pół metra. Tutaj...

– Zaraz – przerwała mu Rosa, unosząc głowę znad notatek. – Mówi pan, że grób jest płytki?

– Tak, stopa była zagrzebana niezbyt głęboko.

– I grób wygląda na nietknięty? To znaczy, poza tym, co rozgrzebał pies?

– Chyba tak. Znalazł tylko ten kawałek nogi ze stopą.

– A czemu pani pyta? – wtrącił Calloway.

– Grunt polodowcowy w północnozachodnim rejonie pacyficznym jest twarde jak skała – wyjaśniła Rosa. – Wykopywanie w nim grobu jest bardzo trudne, zwłaszcza gdy, jak w tym przypadku, mamy do czynienia z silnie rozgałęzionym ukorzeniem. Więc to zrozumiałe, że grób jest płytki. Dziwi mnie bardziej to, że wcześniej nie dobrały się do niego inne zwierzęta.

– Kiedyś miał tam powstać ośrodek rekreacyjny o nazwie Cascadia, z polem golfowym i kortami tenisowymi – powiedziała Tracy, zwracając się do Rosy. –

Wykarczowano trochę lasu i postawiono kilka barakowozów, w których rozpoczęto sprzedaż działek. Pamiętasz te zwłoki znalezione kilka lat temu w Maple Valley?

Rosa skinęła głową i spojrzała na Armstronga.

– Czy ciało mogło być zagrzebane w jamie powstałej po wykarczowaniu drzewa? – spytała.

– Nie wiem. – Armstrong pokręcił głową. Wyglądał na nieco zdezorientowanego.

– A co za różnica? – spytał Calloway.

– Po pierwsze, mogłoby to wskazywać na zabójstwo z premedytacją – odparła Tracy. – Jeśli morderca wiedział o planach zabudowy terenu, mógł celowo wykorzystać taką jamę.

– Dlaczego zabójca miałby chować ofiarę na terenie, który miał być rozkopywany w związku z planem zabudowy? – zastanowiła się Rosa.

– Bo wiedział, że plan nie zostanie nigdy zrealizowany – odrzekła Tracy. – O tym planie było bardzo głośno. Ośrodek miał ożywić lokalną gospodarkę i zrobić z Cedar Grove kurort. Deweloper przedstawił projekt wykorzystania terenu na pole golfowe i ośrodek tenisowy, tyle że krótko po tym Federalna Komisja Energetyki zatwierdziła budowę trzech hydroelektrowni na rzece Cascade. – Tracy wstała z miejsca, podeszła do mapy i wyciągnęła do Armstronga rękę po marker.

Zastępca szeryfa z lekkim wahaniem go jej oddał, a ona narysowała na mapie linię.

– Zapora Cascade Falls miała powstać jako ostatnia. Było to w październiku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego. Gdy ją postawiono, rzeka się cofnęła i granice jeziora przesunęły się. – Obrysowała markerem nową linię brzegową zalewu. – Ten obszar został wtedy zalany.

– W wyniku czego zakopane ciało znalazło się pod wodą, poza zasięgiem dzikich zwierząt – domyśliła się Rosa.

– A także naszym – dodała Tracy i zwróciwszy się do Callowaya, powiedziała z naciskiem: – Bo przecież wcześniej przeszukaliśmy ten teren, prawda?

Nie musiała pytać. Nie tylko uczestniczyła w poszukiwaniach, ale po śmierci ojca odziedziczyła po nim oryginalną mapę topograficzną terenu i przez następne lata tak często ją studiowała, że poznała ją lepiej niż własną dłoń. Chcąc mieć pewność, że niczego nie pominą, ojciec podzielił teren na sektory, po czym każdy został przeszukany dwa razy.

Widząc, że Calloway ostentacyjnie ignoruje jej słowa, Tracy zwróciła się do Rosy:

– W tym roku rozebrano zaporę Cascade Falls – wyjaśniła.

– I jezioro powróciło do pierwotnych granic – domyśliła się Rosa.

– Niedawno udostępniono teren pozalewowy myśliwym i turystom – dodał Armstrong, do którego też to dotarło. – A wczoraj otwarto sezon polowań na kaczki.

Tracy spojrzała na Callowaya.

– Przeszukaliśmy ten teren przed zalaniem, Roy. Wtedy nie było tam żadnego ciała.

– To wielki obszar. Nie można wykluczyć, że coś przegapiliśmy. Albo że to nie ona.

– Roy, ile młodych kobiet zaginęło tu w tym czasie?

Nie odpowiedział.

– Dwukrotnie przeszukaliśmy ten teren i nic nie znaleźliśmy – powiedziała Tracy. – Ten, kto pogrzebał tam ciało, musiał to zrobić po naszym przeszukaniu i tuż przed zalaniem.

Rozdział 6

Tracy poderwała się na materacu tak gwałtownie, że koc zsunął jej się do pasa, a ona w panice pomyślała, że ostry dźwięk, który wytrącił ją ze snu, to dzwonek na korytarzu liceum Cedar Grove i że spóźniła się na lekcję chemii w swojej pracowni.

– Telefon – jęknął Ben. Leżał obok niej z głową przykrytą poduszką, chroniąc oczy przed ostrymi promieniami porannego słońca, które sączyły się przez szpary w zasłonach. W końcu w połowie dzwonka telefon zamilkł.

Tracy opadła z powrotem na poduszkę, ale jej umysł zaczynał już trzeźwo pracować. Po zawodach Ben przyjechał na strzelnicę, by ją zabrać na kolację. W pamięci został jej obraz, jak w restauracji nagle wstaje i klęka przed nią na jedno kolano. Pierścionek! Usta ułożyły jej się w senny uśmiech i machinalnie poruszyła lewą ręką tak, by brylant na jej palcu zaśnił w porannym słońcu. Ben był w restauracji tak stremowany, że z trudem coś z siebie wydusił.

Jej myśli zmieniły kierunek i pobiegły ku siostrze. Zamierzała zadzwonić do niej zaraz po powrocie na kwatery, by podzielić się z nią wiadomością, ale z powodu obecności Bena jakoś nie wyszło. Zresztą wyglądało na to, że Sara i tak wie, bo Ben przyznał się, że pomogła mu zaplanować cały wieczór. To dlatego dwa razy spudłowała. Zależało jej, żeby gorycz przegranej nie zepsuła Tracy nastroju wieczoru zaręczynowego.

Czując wyrzuty sumienia, że na nią nakrzyczała, Tracy przekręciła się na bok i zerknęła na cyfrowy budzik na podłodze przy materacu. Świecące na czerwono cyfry pokazywały 6:13. Sara na pewno nie zerwałaby się tak wcześnie, by odebrać telefon dzwoniący w holu domu rodziców. Tracy postanowiła poczekać i zadzwonić trochę później.

Całkiem już wybita ze snu, przekręciła się na drugi bok i przytuliła do Bena, rozkoszując się bijącym od niego ciepłem. Nie zareagował, więc wtuliła się w niego jeszcze mocniej, musnęła palcami mięśnie brzucha, wzięła go do ręki i poczuła, jak twardnieje.

Telefon znów zadzwonił.

Ben stęknął i nie zabrzmiało to zbyt przyjaźnie.

Tracy odrzuciła kołdrę, stoczyła się z materaca i zaczęła o stertę ubrań, które wczoraj w pośpiechu z siebie zrzucali. Szarpnęła słuchawkę ze ściennego aparatu w kuchni i rzuciła niecierpliwe „Halo!”.

– Tracy?

– Tatuś?

– Próbowałem się już wcześniej dodzwonić.

– Przepraszam, widać nie słyszałam.

– Jest z tobą Sara?

– Sara? Nie, jest w domu.

– W domu jej nie ma.

– Co? Zaraz, to nie jesteście na Hawajach? Która tam teraz jest?

– Wcześniej. Roy Calloway mówi, że nie może się do niej dodzwonić.

– A po co Roy do niej dzwoni?

– Bo znaleźli twojego kampera. Miałś wczoraj jakieś problemy z samochodem?

Tracy z trudem kojarzyła. W głowie jej lupąło od zbyt dużej ilości wina i zbyt małej ilości snu.

– Jak to go znaleźli? Znaleźli gdzie?

– Na drodze okręgowej.

Poczuła, jak drętwieje. Przecież mówiła siostrze, żeby trzymała się autostrady.

– A co z nim nie tak? Jesteś pewny, że to mój?

– *Tak, jestem pewny! Roy rozpoznał naklejkę na tylnej szybie. Sary nie ma z tobą?*

Poczula ogarniające ją mdłości, w głowie jej wirowało.

– *Nie, pojechała do domu.*

– *Jak to „pojechała do domu”? Nie byliście razem?*

– *Nie, byłam z Benem.*

– *Pozwoliłaś jej jechać samej z Olympii do domu?*

– *Na nic jej nie pozwalałam, tato... Ja tylko... – Zaczynała już krzyczeć.*

– *O mój Boże!*

– *Pewnie jest w domu.*

– *Dzwoniłem już dwa razy. Nikt nie odbiera.*

– *Ona nigdy nie odbiera. Pewnie śpi.*

– *Roy już tam był. Walił do drzwi i nic.*

– *Zaraz tam pojadę, tato. Tato? Powiedziałam, że zaraz tam pojadę. Tak, zadzwonię, jak tylko dojadę.*

Odwiesiła słuchawkę, starając się pozbiierać myśli.

Roy Calloway powiedział, że nikt w domu nie otworzył.

Znaleźli kampera.

Dwa razy głęboko zaczerpnęła powietrza, starając się opanować dławiący ją niepokój. Nie może panikować, na pewno wszystko się wyjaśni.

„Dzwoniłem już dwa razy”

Sara pewnie śpi i nie słyszy dzwonka albo postanowiła go zignorować.

Ignorowanie dzwoniącego telefonu bardzo do niej pasowało.

Roy pojechał do nich do domu. Dobijał się do frontowych drzwi.

Nikt mu nie otworzył.

– Ben!

Rozdział 7

Tracy zaparkowała na końcu rzędu samochodów stojących wzdłuż zwirowej drogi aż po wejście do nigdy niezbudowanego ośrodka Cascadia. Związała włosy w koński ogon i przysiadła na tylnym zderzaku, by zmienić buty na płaskich obcasach na traperki. Chociaż niebo było czyste, a temperatura jak na październik całkiem znośna, obwiązała się w pasie kurtką z Goreteksu, przewidując, że gdy tylko słońce schowa się za wierzchołkami drzew, szybko się ochłodzi i może zacząć padać.

Wszyscy zbili się w gromadkę i Finlay Armstrong poprowadził ich polną dróżką, mając za sobą Callowaya oraz Rosę i jej zespół. Rosa niosła torbę podróżną z niezliczoną liczbą kieszeni, pełnych skrobaczek, pędzli, szczotek i podręcznych narzędzi. Stanley i Coles taszczyli kozły, sita i plastikowe wiadra. Długie igły na gałęziach sosen żółtych zaczynały już nabierać łagodnie złocistej barwy, a te opadłe tworzyły pod nogami pachnący żółtawy dywan. Żółknące liście klonów i olch też zapowiadały nadejście jesieni. Kawalek dalej minęli tablice z napisem „Wstęp wzbroniony”, w które Tracy, Sara i reszta dzieciaków podczas rowerowych wycieczek nad jezioro zawzięcie rzucali kamieniami.

Po półgodzinnym marszu zeszli z dróżki i wkroczyli na częściowo wykarczowany teren. W czasie ostatniej wizyty Tracy stały tu jeszcze barakowozy z prowizorycznymi biurami przedsprzedaży działek na Cascadii.

– Zostań tu – zarządził Calloway.

Stała, reszta grupy skupiła się wokół Armstronga, który zatrzymał się przy kilku wbitych w ziemię palikach wokół miejsca przestępstwa, obwiązanych żółto-czarną taśmą. Obwiedziony nią skrawek ziemi miał kształt nieregularnego prostokąta szerokiego na mniej więcej dwa i pół i długiego na trzy metry. W prawym dolnym narożniku Tracy dostrzegła wystający z rozgrzebanej ziemi kołek i poczuła gwałtowny ucisk w piersi.

– Tu wytyczymy drugi obwód – powiedział szeryf cichym, pełnym szacunku głosem. – Wykorzystaj do tego pnie drzew – dodał, zwracając się do swojego zastępcy.

Armstrong wziął rolkę taśmy i przeciągając ją pomiędzy drzewami, zaczął wyznaczać drugą granicę miejsca przestępstwa, co Tracy wydało się lekką przesadą. Przecież nikt się tu nie będzie kręcił. Ta sprawa nie interesuje już mieszkańców Cedar Grove, a reporterom nie będzie chciało się fatygować na zadupie gdzieś w północnych Kaskadach.

Zastępca szeryfa dotarł z taśmą do miejsca, gdzie stała Tracy.

– Muszę prosić o przesunięcie się – powiedział niemal przeprasającym tonem.

Odsunęła się, a on skończył oklejać drzewa żółto-czarną taśmą.

Rosa z zapalem zabrała się do pracy. Przetawiała kołki wyznaczające obrys miejsca odnalezienia zwłok, powiększyła jego wielkość i podzieliła sznurkiem na cztery fragmenty. Opadła na kolana przy tym z wystającą stopą i zaczęła rozgrzebywać ziemię małą ogrodniczą łopatką; wykopaną ziemię wrzucała do dwudziestolitrowych wiader. Tak jak wyznaczone fragmenty, wiadra były oznakowane literami od A do D. Stanley kolejno wysypywał je na sito umieszczone między dwoma kozłami i przesiewał zawartość, Anna Coles robiła zdjęcia. Kości lub ich fragmenty były znakowane kolejnymi literkami alfabetu, wszystko inne – strzępy ubioru, kawałki metalu, guziki – było numerowane. Rosa pracowała bez wytchnienia, ani na chwilę nie przestając. Zależało jej, by skończyć pracę przed zapadnięciem jesienno-zimowego zmroku.

Krótko po wpół do drugiej Tracy zauważyła, że zachowanie Rosy nagle uległo zmianie. Przestała kopać, wyprostowała się i powiedziała coś do Stanleya, a ten zaczął jej podawać z torby coraz mniejsze pędzle, którymi coraz ostrożniej zaczęła omiatać ziemię w jednym miejscu. Po półgodzinie wstała, trzymając coś w dłoni w rękawiczce. Pokazała to coś szeryfowi, zamieniła z nim parę słów i przekazała znaleziony przedmiot Stanleyowi, który włożył go do plastikowej torebki na dowody i oznakował czarnym markerem. A potem wręczył ją Callowayowi, który z napięciem obserwował całą procedurę.

Uniósł głowę i spojrzał na Tracy.

Poczuła gwałtowne uderzenie adrenaliny, ze skroni spłynęły jej krople potu i zniknęły pod kołnierzem koszuli.

Z sercem w gardle spojrzała na szeryfa, a ten wyciągnął ku niej plastikową torebkę. Nie mogąc się zmusić, by na nią spojrzeć, wpatrywała się w milczeniu w jego twarz tak długo, że nie wytrzymał i odwrócił wzrok.

W końcu spojrzała na torebkę z wygrzebanym przez Kelly Rosę przedmiotem i serce podeszło jej do gardła.

Rozdział 8

Tracy zbierało się na wymioty.

– Dobrze się czujesz?

Ben sięgnął przez szerokość kabiny i dotknął jej ramienia, ale nawet nie zareagowała. Siedziała wpatrzona w przesuwane się za oknem skały i piargi na poboczu drogi. Na ganku ani w przedpokoju nie było butów Sary; siostra nie zareagowała na wołanie Tracy, gdy ta z krzykiem na ustach wbiegała po schodach na górę. Sary nie było w jej łóżku ani pod prysznicem. Nie jadła śniadania przy kuchennym stole ani nie siedziała przed telewizorem w dużym pokoju. Po prostu nie było jej w domu. I nic nie świadczyło o tym, że niedawno z niego wyszła.

– O, jest – powiedział Ben, wyjeżdżając zza kolejnego zakrętu.

Jej niebieski kamper stał żałośnie samotny na poboczu, które kawałek dalej opadało ku pustkowiu północnych Kaskad.

Zawrócił, stanął za suburbanem Roya Callowaya i zgasił silnik.

– Tracy?

Była jak sparaliżowana.

– Zabroniłam jej jechać boczną drogą. Kazałam trzymać się autostrady i nie jechać na żadne skróty. Zresztą sam słyszałeś.

Ben przechylił się przez siedzenie i uścisnął jej rękę.

– Znajdziemy ją.

– Dlaczego ona zawsze musi postawić na swoim?

– Wszystko będzie dobrze, Tracy.

Ale strach, jaki ją ogarniał w miarę biegania po domu i sprawdzania wszystkich pomieszczeń w domu rodziców, jeszcze się nasilił. Otworzyła drzwi i wysiadła na pobocze.

Temperatura nie przestawała rosnać, asfaltowa nawierzchnia zdążyła już wyschnąć i po wczorajszej ulewie nie było śladu. Tracy ruszyła do swojego kampera w chmurze owadów tańczących wokół jej głowy. Była tak zdenerwowana i osłabiona, że po drodze się potknęła i gdyby Ben jej nie podtrzymał, upadłaby. Pobocze wydawało jej się węższe, spadek bardziej stromy, niż pamiętała.

– Mogła się potknąć i spaść? – spytała Callowaya, który czekał na nich przy zderzaku kampera.

Szeryf wyciągnął rękę po zapasowe kluczyki.

– Wszystko po kolei, Tracy – odparł.

– Co mu się stało?

Spodziewała się ujrzeć oponę bez powietrza, wgniecioną karoserię lub otwartą maskę, co wskazywałoby na kłopoty z silnikiem, choć akurat to było mało prawdopodobne. Ojciec z żelazną konsekwencją przestrzegał harmonogramu przeglądów w serwisie Harleya Holta.

– Dojdziemy do tego – mruknął Calloway.

Włożył niebieskie lateksowe rękawiczki i otworzył drzwi po stronie kierowcy. Na podłodze przed fotelem pasażera leżało puste opakowanie po cheetos i pusta butelka po dietetycznej coli – pozostałości po śniadaniu Sary, które zjadła w drodze na zawody. Tracy nie dawała jej spokoju, że odżywia się takimi świństwami. Jasnoniebieski polar Tracy leżał zwinięty na wąskiej tylnej ławce, gdzie go sama rzuciła. Popatrzyła na Callowaya i pokręciła głową. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak zapamiętała. Szeryf przechylił się nad kierownicą, włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił. Silnik od razu zapalił, zakrztusił się i zgasł. Calloway spojrział na deskę rozdzielczą.

– Pusty bak – powiedział.

– Co?

Odsunął się, by mogła sama się przekonać.

– Zabrakło jej benzyny – powtórzył.

– *To niemożliwe – zachnęła się Tracy. – Zatankowałam do pełna w piątek wieczorem, żebyśmy w sobotę rano nie musiały o tym myśleć.*

– *Może nie działa wskaźnik, bo coś się stało z silnikiem? – zastanowił się głośno Ben.*

– *Tego nie wiem. – W głosie Callowaya brzmiało powątpiewanie.*

Wyjął kluczyk i obszedł samochód od tyłu; Tracy i Ben poszli za nim. Przyciemniane szyby uniemożliwiały zajrzenie do wnętrza kampera.

– *Może lepiej się odsunąć – rzucił szeryf, sięgając do klamki tylnych drzwi.*

– *Nie. – Tracy pokręciła głową.*

Ben objął ją ramieniem, Calloway otworzył kluczem klapę i zanim całkiem ją uniósł, wetknął głowę do środka i rozejrzał się. Wszystko wyglądało zupełnie normalnie. Oba wózki na torby strzeleckie stały przytroczone pasami do boków łóżka, na łóżku leżały kurtka i czerwona bandana Tracy, obok stały jej buty.

– *To jej kapelusz? – spytał Calloway, pokazując ręką brązowego stetsona.*

Już miała potwierdzić, że tak, ale przypomniała sobie, że przed odjazdem włożyła siostrze na głowę swojego czarnego stetsona.

– *Na głowie miała mój – powiedziała.*

Calloway uniósł przegrodę.

– *Mogę wejść? – spytała Tracy i szeryf usunął się na bok. Weszła do środka, nie bardzo wiedząc, czego szuka, ale czuła taki sam niepokój wczoraj wieczorem, kiedy odjeżdżała z Benem. Jakby o czymś zapomniała. Zajrzała do wózków. Strzelby i karabinki tkwiły w uchwytach lufami do góry, niczym kije bilardowe w stojaku. Rewolwery siostry leżały schowane w szufladzie, amunicja w zamkniętej na klucz kasetce. W drugiej szufladzie, w której Sara trzymała swoje odznaki i medale z zawodów, Tracy zobaczyła zdjęcie, na którym Dziki Bill wręcza jej srebrną klamrę za zdobycie mistrzostwa, podczas gdy Sara i zdobywczynie trzeciego miejsca stoją po jej bokach. Schowała zdjęcie do tylnej kieszeni dżinsów, podniosła kurtkę i obmacała jej kieszenie.*

– *Nie ma – powiedziała, wychodząc z kampera.*

– *Czego nie ma? – spytał Calloway.*

– *Mojej klamry za wygraną – odparła. – Dałam ją Sarze przed rozstaniem.*

– *Nic nie rozumiem.*

– *Dlaczego miałyby wziąć klamrę, a nie swoje rewolwery? – zdziwił się Ben.*

– *Nie wiem. Tylko że...*

– *Tylko że co? – podchwycił Calloway.*

– *Chodzi o to, że w ogóle nie miała powodu zabierać tej klamry, chyba że po to, żeby mi ją oddać z samego rana, prawda?*

– *Czyli odeszła stąd z własnej woli – rzekł szeryf. – To chcesz powiedzieć? Że nikt jej nie popędzał i miała czas zdecydować, co chce zabrać, tak?*

Tracy rozejrzała się po pustej drodze. Środkowa biała linia wiała się wśród wzgórz i ginęła za zakrętem.

– *No to gdzie teraz jest?*

Rozdział 9

Srebrzysta powłoka utraciła blask, ale wypukła sylwetka kowbojki strzelającej z dwóch rewolwerów i napis wytłoczony na obrzeżu były nadal dobrze widoczne: „Mistrzynie Stanu Waszyngton, 1993”.

Znaleźli srebrną klamrę.

Znaleźli Sarę.

Tracy zaskoczyło to, co teraz czuła. To nie było rozgoryczenie ani poczucie winy. Nie był to nawet żal. Czuła złość, która zaczynała w niej buzować niczym trucizna. Wiedziała. Zawsze wiedziała, że zniknięcie Sary nie było tym, co wszyscy starali się jej wmówić. Czuła, że jest w tym coś więcej. I teraz wyglądało na to, że wreszcie będzie mogła to udowodnić.

– Finlay. – Głos Callowaya zadudnił jak z głębi tunelu. – Zabierz ją stąd.

Ktoś dotknął jej ramienia, ale Tracy się wywinęła.

– Nie.

– Nie musisz przy tym być – powiedział szeryf.

– Kiedyś ją zostawiłam. Nie zostawię jej po raz drugi. Zostanę. Do samego końca.

Skinął na Armstronga głową na znak, że ma podejść do miejsca, gdzie Rosa wznowiła rozgarnianie ziemi.

– Będzie mi to potrzebne – powiedział, wyciągając rękę po klamrę, jednak Tracy jeszcze chwilę wodziła po niej kciukiem, jakby chciała dotknąć każdej litery.

– Tracy? – ponaglił ją.

Podawała mu klamrę, ale gdy wziął ją do ręki, nie rozwarła palców i na moment ją przytrzymała.

– Już ci mówiłam, Roy. Przeszukaliśmy ten teren. Przeszukaliśmy go dwukrotnie.

* * *

Przez resztę popołudnia trzymała się na uboczu, ale na tyle blisko, by się dowiedzieć, że jej siostrę pogrzebano w pozycji embrionalnej, z nogami nad głową. Ten ktoś, kto postanowił wykorzystać jamę pozostałą po wykarczowaniu drzewa, źle ocenił jej wielkość, co nie było niczym niezwykłym. Wyobraźnia przestrzenna człowieka w stanie stresu często ulega zaburzeniu.

Dopiero gdy Kelly Rosa zasunęła suwak na czarnej torbie ze szczątkami i założyła na niego kłódkę, Tracy wolno ruszyła przez las i wsiadła do samochodu.

Machinalnie pokonywała zakręty na wijącej się w dół zbrocza drodze, czując w głowie pustkę. Słońce zaszło za czubki drzew i szosę zasnuły cienie. Oczywiście, że wiedziała. To dlatego w szkoleniu śledczych tak bardzo się podkreśla znaczenie

odnalezienia ofiary uprowadzenia w ciągu pierwszych czterdziestu ośmiu godzin. Statystyka dowodzi, że po tym czasie szanse na odnalezienie ofiary żywej gwałtownie maleją. Po dwudziestu latach od zniknięcia Sary szansa odnalezienia jej żywej była absolutnie znikoma, mimo to w Tracy cały czas tliła się iskierka nadziei – podobnie jak u wszystkich osób, których bliscy zniknęli i nie zostali odnalezieni. Trzymanie się nadziei, choćby nie wiadomo jak wątej i przeczącej logice, jest czysto ludzką cechą. I niekiedy się udaje. Tak było w przypadku młodej kobiety w Kalifornii, która po osiemnastu latach od zniknięcia wkroczyła na posterunek policji i przedstawiła się. Wtedy na nowo ożyły nadzieje wszystkich rodzin, które w niewyjaśnionych okolicznościach straciły bliskich. Także w głowie Tracy. Któregoś dnia tak samo będzie z jej siostrą. Pewnego dnia Sara wróci. Nadzieja potrafi być okrutna, ale od dwudziestu lat nie było nic innego, czego Tracy mogłaby się trzymać. Niczego, co by ją ratowało przed pogrążeniem się w czającym się wokół niej mroku, który tylko czekał, by całkiem ją pochłonąć.

Nadzieja.

Tliła się w niej cały czas i ostatecznie zgasła, gdy Roy Calloway wręczył jej srebrną klamrę.

Minęła miejsce, gdzie dwadzieścia lat temu znaleźli niebieskiego kampera, i wszystko znów stanęło jej przed oczami, jakby minęło tylko parę dni. Kawałek dalej skręciła w dobrze znanym sobie miejscu i przejechała przez miasto, którego już nie poznawała i z którym nie czuła żadnej więzi. Ale zamiast skręcić w lewo na autostradę, odbiła w prawo i przejechała pośród parterowych domów, które niegdyś rozbrzmiewały radosnymi głosami jej koleżanek i ich rodzin, a teraz stały smętne i jakby opustoszałe. Wyjechała z miasta i wielkość domów i posesji stała się bardziej okazała. Kierowała się wskazaniem nawigacji i zwolniła na widok kamiennych słupów po bokach wjazdu. Wjechała do środka i zatrzymała się na końcu podjazdu.

Na grządkach, na których niegdyś rosły wieloletnie rośliny dogłądane przez jej matkę, teraz sterczały bezlistne krzaki uspionych róż. Na końcu zadbanego, otoczonego angielskim żywopłotem trawnika widać było wystający z ziemi pień po wyciętej wierzbie płaczącej, która sterczała nad tym fragmentem ogrodu jak rozpięty parasol. Christian Mattioli, który zbudował kopalnię Cedar Grove i ożywił tym senne miasteczko, najął angielskiego architekta do zaprojektowania piętrowej rezydencji w stylu królowej Anny. Według miejscowej legendy Mattioli kazał potem dobudować jeszcze jedno piętro, czyniąc ze swego domu najwyższą i najbardziej okazałą budowlę w całej okolicy. Sto lat później, długo po zamknięciu kopalni i wyjeździe większości mieszkańców Cedar Grove, dom i cała posiadłość mocno podupadły, jednak matka Tracy od pierwszego wejrzenia zakochała się w pokrytych gontem powierzchniach i wieżyczkach wieńczących łagodnie spadzisty dach. Ojciec Tracy, którego ambicją było rozpoczęcie praktyki lekarskiej

dla mieszkańców, kupił posiadłość, po czym razem z żoną przywrócili jej dawną świetność – od podłóg z brazylijskiego drewna po belkowane sufity. Usunęli dodaną przez poprzednich właścicieli boazerię i wbudowane szafy, przywrócili wnętrzu pierwotny mahoniowy wystrój, wyremontowali marmurowe wejście i odrestaurowali kryształowe żyrandole. Ich posiadłość znów stała się najbardziej okazała w całym Cedar Grove, ale poza remontem zrobili coś jeszcze. Stworzyli miejsce, które obie ich córki mogły nazywać domem.

* * *

Tracy zgasiła światło w łazience i przeszła do swojego pokoju w czerwonej polarowej piżamie i turbanie z ręcznika na głowie, podśpiewując z Kennym Rogersem i Sheeną Easton ich przebój We've Got Tonight. Słuchając muzyki płynącej z wielkiego magnetofonu kasetowego, przechyliła się nad ławeczką pod mansardowym oknem i zapatrzyła w nocne niebo. Wspaniałe księżyc w pełni nurzał ich płaczącą wierzbę w bladoniebieskiej poświacie, a jej długie witki zwisały nieruchomo, jakby drzewo udało się już do snu. Jesień z wolna przechodziła w zimę i w prognozie pogody zapowiedziano spadek temperatury poniżej zera, jednak ku rozczarowaniu Tracy niebo skrzyło się gwiazdami. Przy pierwszych opadach śniegu szkołę podstawową w Cedar Grove zamykano. Na jutro zapowiedziano klasówkę z ułamków, a Tracy trudno było nazwać dobrze przygotowaną.

Nacisnęła klawisz STOP i uciszyła Sheenę, lecz sama nie przestała śpiewać. Zgasiła lampę na biurku i pościel na łóżku i dywanik przed nim utonęły w głębokim mroku, zaraz jednak rozproszonym przez światło lampki przymocowanej do ramy łóżka. Wzięła do ręki Opowieść o dwóch miastach, którą od początku roku szkolnego omawiali na lekcjach angielskiego. Niezbyt garnęła się do czytania, ale wiedziała, że jeśli opuści się w ocenach, ojciec nie zabierze jej na regionalny turniej strzelniczy zaplanowany na koniec listopada.

Wciąż nucąc pod nosem We've Got Tonight, wślizgnęła się pod kołdrę.

– Buu!

Tracy wrzasnęła, szarpnęła się do tyłu i omal nie spadła z łóżka.

– O mój Boże! O mój Boże! – Sara wyskoczyła spod kołdry, jakby była na sprężynie, i zaniósła się takim śmiechem, że z trudem łapała powietrze.

– Ty wstrętna małpo! – krzyknęła Tracy. – Co ci znów odbiło?!

Sara usiadła, próbując coś wydusić między kolejnymi napadami chichotu.

– Żebyś widziała swoją minę! – Wykrzywiła buzię, przedrzeźniając

przerażoną siostrę, po czym znów opadła na plecy i trzymając się za brzuch, zaniósła się śmiechem.

– Od jak dawna tam siedziałaś?

Sara uklękła, uniosła rękę ze zwiniętą w pięść dłońią udającą mikrofon i zaczęła naśladować śpiew siostry.

– Cicho bądź. – Tracy rozsupłała turban, rozpuściła włosy i zaczęła je pośpiesznie suszyć.

– Kochasz się w Jacku Fratesie?

– Nie twoja sprawa. Boże, ale z ciebie dzieciuch.

– Nieprawda. Mam już osiem lat. Naprawdę się z nim całowałaś?

Tracy przestała wycierać włosy i uniosła głowę.

– Kto ci tak powiedział? Sunnie ci tak nagadała? Zaraz. – Zerknęła na swój regał z książkami. – Czytałaś mój pamiętnik!

Sara chwyciła poduszkę i zaczęła okrywać ją pocałunkami.

– Och, Jack. Och, niech to tak trwa. Wymyślmy coś.

– To są moje osobiste sprawy! Gdzie on jest? – Tracy wskoczyła na łóżko i przygwoździła ręce i nogi siostry do materaca. – To wcale nie jest fajne. Bardzo niefajne. Gdzie go masz? – Sara znów parsknęła śmiechem. – Mówię poważnie. Oddawaj!

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich mama w różowym szlafroku i rannych pantoflach. W ręce trzymała szczotkę do włosów. Jej niezwiązane w zwyczajowy kok blond włosy sięgały do połowy pleców.

– Co się tu dzieje? Tracy, puść siostrę.

Tracy zsunęła się z Sary.

– Schowała się pod kołdrą i mnie nastraszyła. I wzięła mój... Schowała się

pod kołdrą!

Abby Crosswhite podeszła do łóżka.

– Saro, co ja ci mówiłam o straszaniu ludzi?

Jej młodsza córka usiadła na łóżku.

– Mamo, ale to było takie śmieszne. Żebyś widziała jej minę. – Zrobiła minę wystraszonej szympansicy, a mama zakryła sobie usta ręką, żeby nie parsknąć śmiechem.

– To wcale nie jest śmieszne – obruszyła się Tracy.

– No, już dobrze. Saro, zabraniam ci straszyć siostrę i jej koleżanki. Opowiadałam ci o tym chłopcu, który krzyczał „Wilki!”.

– Któregoś dnia tak się schowasz, że nikt cię nie znajdzie – mruknęła Tracy.

– Mamusiu!

– A ja nawet nie spróbuję cię szukać.

– Mamusiu!

– Dość tego – ucięła mama. – Saro, wracaj do siebie. – Sara ześlizgnęła się z łóżka i ruszyła do łazienki. – I oddaj siostrze pamiętnik.

Sara i Tracy aż zesztyniały. Ich mama taka już była. Jakaś jasnowidzka czy co?

– Niegrzecznie jest czytać o jej całowaniu z Jackiem Fratesem.

– Mamo! – zachnęła się Tracy.

– Jeśli się wstydzisz, że ktoś się dowiaduje, co robisz, to chyba przede wszystkim nie powinnaś tego robić. Jesteś za młoda na całowanie się z chłopcami. – Mama zwróciła się w stronę Sary, która zatrzymała się w drzwiach łazienki dzielącej pokoje sióstr, i zaczęła zawzięcie cmokać. – Dość tego, Saro. Oddaj siostrze pamiętnik.

Dziewczynka ruszyła w stronę łóżka, wyraźnie się ciesząc każdym krokiem pod rozszluszczonym spojrzeniem starszej siostry. Wyjęła spod kołdry zeszyt w kwiecistej okładce, Tracy go wyszarpnęła i zamachnęła się na nią. Sara uchyliła się i wybiegła z pokoju.

– Nie powinnaś czytać tego pamiętnika, mamo. To naruszenie mojej prywatności.

– Stań do mnie plecami, bo kołtun ci się zrobi. – Mama przeciągnęła szczotką po włosach córki i z Tracy od razu zeszło napięcie. – Nie czytałam twojego pamiętnika. To tylko matczyzna intuicja. Ale od razu się przyznałaś. Kiedy następnym razem Jack Frates cię odwiedzi, powiedz mu, że tatuś chciałby zamienić z nim słowo.

– Więcej tu nie przyjdzie. Dopóki ta małpa jest w pobliżu.

– Nie nazywaj siostry małpą. – Przejechała po włosach córki ostatni raz. – Dobra, marsz do łóżka.

Tracy wsunęła się pod kołdrę, czując jeszcze ślad ciepła Sary. Gdy poprawiła sobie poduszkę pod głową, mama pochyliła się i pocałowała ją w czoło.

– Dobranoc – powiedziała, schylając się po wilgotny ręcznik na podłodze. Wyszła z pokoju i już zamykała za sobą drzwi, ale nagle się obróciła i wetknęła głowę. – Tracy?

– Tak?

Matka zanuciła kilka słów tamtej piosenki.

Tracy jęknęła. Po wyjściu mamy wstała z łóżka, zamknęła drzwi do łazienki i zaczęła się rozglądać za lepszym schowkiem na pamiętnik. W końcu wsunęła go pod stertę sweterków na najwyższej półce, dokąd Sara tak łatwo nie sięgnie, wróciła do łóżka i zabrała się do czytania Dickensa.

Minęło dobre pół godziny i Tracy właśnie zaczęła sprawdzać, ile jej jeszcze zostało do końca rozdziału, gdy usłyszała otwierające się drzwi łazienki.

– Wracaj do łóżka – prychnęła.

Sara wyszła z łazienki i ustawiła się w polu widzenia Tracy.

– Powiedziałałam, wracaj do łóżka.

– Boję się.

– Trudno.

Młodsza siostra podeszła do krawędzi łóżka. Miała na sobie jedną ze starych flanelowych koszul nocnych Tracy i brzegiem zamiatała podłogę.

– Mogę spać z tobą?

– Nie.

– Ale w moim pokoju straszy.

Tracy udawała, że czyta.

– Jak możesz się bać w swoim pokoju, a nie bać się pod kołdrą w cudzym łóżku?

– Nie wiem. Ale się boję.

Tracy pojręciła głową.

– Proszę – zakwilila płaczliwie Sara.

– Dobrze. – Tracy westchnęła.

Siostra wskoczyła na łóżko, przelazła przez nią i wślizgnęła się pod kołdrę. Ułożyła się wygodnie i spytała:

– No to jak to było?

Tracy spojrzała na siostrę, która leżała na wznak, ze wzrokiem wbitym w sufit.

– Co jak było?

– *To całowanie z Jackiem Fratesem?*

– *Śpij.*

– *Chyba nigdy nie będę się całowała z chłopakami.*

– *To jak chcesz mieć męża, jeśli nie będziesz się całować?*

– *Nie będę miała męża. Będę mieszkała z tobą.*

– *A jak ja wyjdę za mąż?*

Buzia Sary aż się zmarszczyła od myślenia.

– *Nie mogłabym mieszkać z tobą?*

– *Ja będę miała męża.*

Sara zaczęła gryźć paznokiec.

– *Ale mogłybyśmy się codziennie widywać?*

Tracy uniosła rękę i Sara wtuliła się w siostrę.

– *Oczywiście, że będziemy się widywać. Jesteś moją ulubioną siostrą, nawet jeśli jesteś małpą.*

– *Jestem twoją jedyną siostrą.*

– *Śpij już.*

– *Kiedy mi się nie chce.*

Tracy odłożyła Dickensa na nocny stolik, wsunęła się głębiej pod kołdrę i sięgnęła nad głowę do wyłącznika lampy.

– *Dobra, zamknij teraz oczy – powiedziała.*

Sara zamknęła oczy.

– Nabierz głęboko powietrza i wypuść.

Sara zrobiła to.

– Gotowa?

– Gotowa.

– Już nie...

– Już nie... – powtórzyła Sara.

– Już się nie boję...

– Już się nie boję...

– Już się nie boję ciemności – powiedziały razem i Tracy zgasiła światło.

Rozdział 10

W młodości Roy Calloway mawiał, że jest „twardszy niż stek za dwa dolce”. Całymi tygodniami mógł spać parę godzin na dobę i od ponad trzydziestu lat na nic nie chorował. Ale w wieku sześćdziesięciu dwóch lat było mu już trudno trzymać taki reżim i wmawiać sobie, że tak właśnie chce. Dwukrotnie w ostatnim roku zmogła go grypa – za pierwszym razem na cały tydzień, za drugim na trzy dni. W tym czasie Finlay pełnił obowiązki szeryfa i żona Callowaya nie omieszkała wtedy wypomnieć mężowi, że bez niego miasto jakoś się nie zawaliło i nie przetoczyła się przez nie gwałtowna fala zbrodni.

Powiesił kurtkę na haku na drzwiach i przez chwilę podziwiał tęczowego pstrąga, którego w październiku ubiegłego roku złowił w rzece Yakima. Pstrąg był jak malowany, mierzył pięćdziesiąt osiem centymetrów, ważył niecałe dwa kilogramy i miał kolorowe podbrzusze. Nora kazała go wypchać i pod nieobecność Roya powiesić w jego gabinecie. Ostatnio zaczęła suszyć mu głowę, żeby wreszcie przeszedł na emeryturę, i pstrąg miał mu przypominać, że na świecie jest więcej takich cudów do złowienia. Żony szeryfa nie można było oskarżyć o nadmierną subtelność. Za każdym razem odpowiadał jej, że miasto wciąż go potrzebuje, a Finlay nie jest jeszcze gotów. Nie dodawał, że także on wciąż potrzebuje miasta i swojej pracy. Mężczyzna nie może żyć tylko łowieniem ryb i grą w golfa, a on nigdy nie przepadał za podróżowaniem. Nie wyobrażał sobie siebie w roli „jednego z tych palantów” w białych ortopedycznych butach na miękkiej podeszwie, którzy płaczą się po pokładzie statku wycieczkowego, udając, że z towarzyszymi podróży łączy ich coś więcej poza staniem nad grobem.

– Szefie? – Usłyszał z głośnomówiącego telefonu.

– Jestem tu – odparł szeryf.

– Tak mi się zdawało, że widziałam, jak szef wchodzi. Przyszedł Vance Clark i chce się z szefem zobaczyć.

Calloway spojrział na zegarek: 18:37. Więc nie tylko on pracuje do późna. Spodziewał się wizyty prokuratora, ale przypuszczał, że dojdzie do niej dopiero jutro rano.

– Szefie?

– Niech wejdzie.

Calloway siedział przy biurku pod planszą z hasłem, którą dostał w prezencie krótko po powołaniu go na szeryfa.

Reguła nr 1: Szef ma zawsze rację.

Reguła nr 2: Patrz Reguła nr 1.

No, ciekawe.

Za szybą z przydymionego szkła przesunął się cień. Clark podszedł do drzwi, zapukał i utykając, wszedł do środka. Po latach biegania odezwało się jego kolano.

Calloway odchylił się z krzesłem i położył nogi na narożniku biurka.

– Dokucza ci kolano? – spytał.

– Zaczyna pobolewać, jak robi się zimno. – Clark zamknął za sobą drzwi. Miał jak zwykle zaszepiony wyraz twarzy i łysą czaszkę otoczoną wianuszkami włosów jak u mnicha, przez co jego brwi wyglądały na wiecznie nastroszone.

– Może powinieneś już przestać biegać – zasugerował Calloway, wiedząc dobrze, że prokurator nie robi tego z tych samych powodów, z jakich on nie chciał się rozstać z pracą. Bo cóż by wtedy robił?

– Może. – Clark usiadł przed biurkiem. Na suficie cicho buczały jarzeniówki, z których jedna miała irytujący zwyczaj mrugania, jakby zaraz miała zgasnąć. – Słyszałem.

– Tak, to Sara.

– I co teraz zrobimy?

– Nic nie zrobimy.

Clark zmarszczył czoło.

– A jeśli w grobie znajdą coś, co zaprzeczy dowodom procesowym?

Szeryf opuścił nogi na podłogę.

– Minęło dwadzieścia lat, Vance. Przekonam ją, że skoro znaleźliśmy jej siostrę, to czas pozwolić martwym pogrzebać martwych.

– A jak ci się nie uda?

– Uda się.

– Poprzednio się nie udało.

Calloway pstryknął palcem w główkę kiwającej się lalki Félix Hernández, którą dostał od wnuka na Gwiazdkę, i przez chwilę przyglądał się, jak się kiwa i tańczy.

– Cóż, będę musiał bardziej się postarać.

– Weźmiesz udział w sekcji? – spytał Clark po chwili milczenia.

– Wysłałem Finlaya. To on znalazł ciało.

Prokurator westchnął i cicho zaklął.

– Wszyscy się na to zgodziliśmy, Vance. Co się stało, to się nie odstanie. Siedzenie i zamartwianie się czymś, do czego być może nigdy nie dojdzie, niczego nie zmieni.

– Zmieniło się już wszystko, Roy.

Rozdział 11

Tracy z opuszczoną głową wyszła z windy i poszła do swojego boksu. Zamierzała przyjść wcześniej, ale korki zamieniły dwugodzinną jazdę z Cedar Grove do Seattle w trzyipółgodzinną wyprawę. W dodatku do kolacji wypła trochę whisky i zapomniała nastawić budzik. Albo przespała jego dzwonięcie. Sama już nie była pewna.

Powiesiła kurtkę z goreteksu na oparciu krzesła, schowała torebkę do szafki przy biurku i włączyła komputer. Rozsadzało jej czaszkę, łyknięte tabletki Tums nie ugasiły pożaru w żołądku. Krzesło Kinsa skrzypnęło przy obrocie, ale nie odwróciła się, by powitać partnera, więc skrzypnęło ponownie i obróciło się do komputera. Faza i Delma jeszcze nie było.

Tracy zaczęła przeglądać maile. Dwa były od Ricka Cerrabone'a. Prokurator okręgu King zażyczył sobie kopii zeznań świadków i zaprzysiężonego oświadczenia Tracy. Potrzebne mu były do wydania nakazu przeszukania mieszkania Nicole Hansen, o który Tracy wystąpiła. Drugi mail przyszedł zaledwie godzinę po pierwszym.

„Co z zeznaniami świadków i twoim oświadczeniem?”

Sięgnęła po słuchawkę, chcąc zadzwonić do Cerrabone'a, ale w tym momencie zauważyła nowy mail. Odpowiedź Kinsa, który przysłał jej kopię do wiadomości. Tracy ją otworzyła i stwierdziła, że partner w odpowiedzi na pierwszy mail Cerrabone'a wysłał zeznania świadków i zaprzysiężone oświadczenie. Obróciła się ku niemu z krzesłem, zła, że odpowiada w jej imieniu, a jeszcze bardziej, że się wtrąca do sprawy, w której ona jest śledczym prowadzącym. Zerknął przez ramię, dostrzegł jej wzrok i odwrócił się ku niej.

– Zadzwonil do mnie, Tracy. Uznałem, że masz wystarczająco dużo na głowie, więc mu odpowiedziałem.

Bez słowa odwróciła się do ekranu monitora, wybrała „Odpowiedz wszystkim” i zaczęła pisać pełną jadu odpowiedź. Po chwili przerwała, przeczytała swoje złośliwości i wcisnęła „Skasuj”. Westchnęła i odepchnęła się od biurka.

– Kins? – rzuciła. – Dzięki. Co Cerrabone powiedział o nakazie?

Jej partner wstał i podszedł z rękami w kieszeniach.

– Powinien być gotowy do południa. Dobrze się czujesz?

– Nie wiem. Sama nie wiem, jak się czuję. Boli mnie głowa.

– Pytał o ciebie Andy. – Ich przełożony, Andrew Laub. – Chce cię widzieć u siebie.

Potarła sobie oczy i uszczypnęła się w nasadę nosa.

– Tylko tego mi brakowało – burknęła.

– Może najpierw zjedzmy gdzieś śniadanie. Moglibyśmy pojechać

porozmawiać z tym świadkiem w Kencie w sprawie napaści.

– Dzięki, Kins – powiedziała, odsuwając się z krzesłem od biurka. – Lepiej od razu się tym zajmę... – Wzruszyła bezradnie ramionami – Sama już nie wiem. – Wyszła i ruszyła korytarzem.

Po dwóch latach w stopniu sierżanta w zespole A Andrew Laub awansował na porucznika, dzięki czemu dorobił się oddzielnego gabinetu w postaci niedużego pomieszczenia bez okien, ale z ramką przy drzwiach na wizytówkę z nazwiskiem. Siedział bokiem do biurka, ze wzrokiem wbitym w ekran monitora i palcami na klawiaturze. Tracy zapukała w futrynę drzwi.

– Tak? – rzucił przez ramię.

– Źle trafiłam?

Stukanie klawiatury ustało, Laub odwrócił głowę.

– Tracy. – Przywołał ją kiwnięciem ręki. – Zamknij za sobą.

Weszła do gabinetu i zamknęła drzwi. Fotografie na półkach za biurkiem ukazywały najważniejsze wydarzenia w jego życiorysie. Miał atrakcyjną rudą żonę, dwujajowe bliźniaczki i syna bardzo podobnego do ojca – jak on rudego i piegowatego. Po chłopaku było widać zamiłowanie do futbolu.

– Siadaj. – Szkła okularów Lauba błyskały refleksami światła lampy.

– Tak mi dobrze.

– Ale i tak usiądź.

Usiadła.

Zdjął okulary i położył na biurku. Na nosie zostały czerwone odgniecenia.

– Jak sobie radzisz? – spytał.

– W porządku.

Przyjrzał się jej uważnie.

– Ludzie się o ciebie martwią, Tracy. Wszystkim nam zależy, żebyś się trzymała w tej trudnej chwili.

– Dziękuję wszystkim za ich troskę.

– Szczątki trafiły już do patologa?

Skinęła głową.

– Tak, zabrali ją wczoraj wieczorem.

– Kiedy dostaniesz protokół?

– Może jutro.

– Bardzo mi przykro.

– Przynajmniej coś wiem. – Wzruszyła ramionami. – To zawsze coś.

– Tak, to zawsze coś. – Wziął do ręki ołówek i postukał gumką w blat biurka. – Kiedy ostatnio spałaś?

– Dziś w nocy. Spałam jak niemowlę.

Laub pochylił się nad biurkiem.

– Jeśli chcesz wmawiać ludziom, że u ciebie wszystko w porządku, to twoja

sprawa, ale ja za ciebie odpowiadam. Muszę wiedzieć, jak naprawdę się czujesz. Przede mną nie musisz zgrywać bohaterki.

– Nie zgrywam żadnej bohaterki, poruczniku. Po prostu staram się wykonywać swoje obowiązki.

– Może wzięłabyś trochę wolnego. Sparrow może przejąć sprawę Hansen. – Użył ksywy Kinsa z czasów, gdy ten pracował jako tajny agent w wydziale walki z narkotykami. Zapuścił wtedy długie włosy i kozią bródkę, co go bardzo upodobiło do kapitana Jacka Sparrowa, granego przez Johnny’ego Deppa w *Piratach z Karaibów*.

– Poradzę sobie.

– Wiem, że sobie poradzisz. Ale ja ci mówię: odpuść. Ja ci mówię: wracaj do domu, prześpij się, zajmij się, czym musisz. Praca poczeka.

– To polecenie służbowe?

– Nie, ale bardzo usilna sugestia.

Bez słowa wstała i ruszyła do drzwi.

– Tracy...

– Wrócę do domu i będę miała cztery ściany, żeby się w nie wpatrywać, poruczniku. I mnóstwo czasu na myślenie o sprawach, o których nie chcę myśleć. – Przerwała, starając się zapanować nad emocjami. – U mnie w boksie nie ma żadnych rodzinnych fotografii.

Laub odłożył ołówek.

– Może powinnaś z kimś porozmawiać?

– Minęło dwadzieścia lat, poruczniku. Żyję z tym od dwudziestu lat. Te dni też przeżyję, jeden zły dzień po drugim.

Rozdział 12

Drugiego dnia po zniknięciu Sary ojciec Tracy wszedł do gabinetu, sprawiając wrażenie kompletnie wyczerpanego, chociaż po przyjeździe wziął prysznic. Rodzice wrócili nocnym samolotem z Hawajów, ale matka nie dotarła do domu, bo prosto z lotniska pojechała do siedziby Legionu Amerykańskiego przy Market Street, by zmobilizować do akcji poszukiwawczej zgłaszających się już ochotników. Ojciec przyjechał do domu, żeby od razu spotkać się z Royem Callowayem. Poleciał Tracy, by została przy rozmowie, bo szeryf może mieć do niej dodatkowe pytania, choć w jej odczuciu odpowiedziała już na tyle jego pytań, że nie bardzo sobie wyobrażała, o co jeszcze mógłby ją pytać.

Czy w trakcie zawodów nie zauważyłaś kogoś dziwnie się zachowującego, kto kręciłby się w pobliżu i okazywał nadmierne zainteresowanie Sarą?

Czy ktoś z czymkolwiek się do ciebie zwracał?

Czy Sara nie wspominała, że czegoś lub kogoś się obawia?

Calloway zażądał listy chłopców, z którymi Sara się spotykała. Tracy nie umiała znaleźć na niej kogokolwiek, kto mógłby chcieć skrzywdzić jej siostrę. Większość z nich знаła jeszcze ze szkoły podstawowej.

Przedwcześnie posiwiałe włosy ojca zwisały strąkami nad kołnierzykiem koszuli. Zwykle jego siwizna kontrastowała z młodzieńczym wyglądem i bystrym spojrzeniem niebieskich oczu, dziś jednak wyglądał na swoje pięćdziesiąt osiem lat. Oczy za okularami w drucianych oprawkach były podpuchnięte i zaczerwienione. Zwykle bardzo dbał o wygląd, ale teraz kilkudniowy zarost dołożył się do sumiastych wąsów z końcami hodowanymi na taką długość, by na czas zawodów strzeleckich, w których występował jako Pan Doktor Crosswhite, można je było nawoskować w sterczące szpikulce.

– Opowiedz mi o kamperze – zwrócił się do Callowaya, a Tracy odnotowała w myślach, że to ojciec przepytuje szeryfa, a nie na odwrót. Na domowych przyjęciach ojciec nigdy się nie wyróżniał i nie starał się brylować, jednak goście zwykle do niego lgnęli, a on – według określenia matki Tracy – zawsze „nadawał ton konwersacji”. Gdy James Crosswhite zaczynał mówić, ludzie go słuchali, a gdy zadawał im pytania, odpowiadali na nie. A jednocześnie miał cichy i ujmujący sposób bycia, dzięki czemu rozmówcy mogło się zdawać, że jest najważniejszym

gościem w pokoju.

– Odholowaliśmy go na parking policyjny – oznajmił Calloway. – Z Seattle mają przysłać ekipę śledczą, która zdejmie z niego odciski. – Przeniósł wzrok na Tracy. – Wygląda na to, że zabrakło jej benzyny.

– To niemożliwe. – Stała obok czerwonej kanapy stanowiącej komplet z dwoma skórzanymi fotelami. – Już mówiłam. Zatankowałam do pełna przed wyjazdem z Cedar Grove. Bak powinien być w trzech czwartych pełny.

– Jeszcze się temu przyjrzymy – powiedział szeryf. – Rozesłałem komunikat do wszystkich posterunków policji w całym stanie, a także w Oregonie i Kalifornii. Zawiadomiliśmy też kanadyjską straż graniczną. Do komunikatu dołączyliśmy maturalne zdjęcie Sary.

James Crosswhite przejechał dłonią po zarośniętej brodzie.

– Jakiś obcy? – zapytał. – Tak myślisz?

– Ale czemu ktoś obcy miałby jechać boczną drogą? – wtrąciła Tracy. – Trzymałby się autostrady.

Ojciec spojrział na nią i przymrużył oczy, lecz zbyt późno zauważyła jego spojrzenie. Podszedł do niej i ujął jej dłoń.

– A to co? Brylant?

– Tak.

Odwrócił głowę i zacisnął szczęki.

– Rozmawiałaś z jej kolegami? – wtrącił szybko Calloway.

Tracy schowała dłoń za siebie. Całymi godzinami obdzwaniała wszystkich, kto jej tylko przyszedł do głowy.

– Nikt jej nie widział.

– Dlaczego nie wzięła z sobą broni? – odezwał się ojciec, bardziej do siebie niż do nich. – Przynajmniej jednego rewolweru?

– Widać nie czuła się zagrożona, James – powiedział szeryf. – Wygląda na to, że skończyła się jej benzyna, więc po prostu wysiadła i ruszyła w stronę miasta.

– Przeszukaliście las?

– Nic nie wskazuje na to, żeby spadła ze zbocza.

Tracy nie przyszłaby taka myśl do głowy. Sara była zbyt sprawna fizycznie, by mogła się potknąć i stoczyć do lasu, nawet po ciemku i w deszczu.

– Usiądź spokojnie i czekaj – poradził Calloway.

– Nie będę siedział bezczynnie, Roy. Znasz mnie i wiesz, że to do mnie niepodobne. Zamów tę ulotkę, o której rozmawialiśmy, i wyślij ją mamie – dodał, zwracając się do córki. – Znajdź jakieś dobre zdjęcie siostry, nie to maturalne. Bradley zrobi ci w aptece kopie. Powiedz mu, żeby na początek zrobił tysiąc, i niech przyśle mi rachunek. Chcę zasypać nimi cały kraj, stąd po kanadyjską granicę. – Spojrzał na Callowaya. – Potrzebna nam będzie mapa topograficzna.

– Skontaktowałem się z Vernem. Zna te góry lepiej niż ktokolwiek.

– A co z psami?

– Zajmę się tym – odrzekł Calloway.

– Ktoś przejezdny? Ktoś miejscowy?

– Nikt miejscowy nie zrobiłby czegoś takiego Sarze, James. Nie jej.

Ojciec Tracy chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zamilkł, jakby urwał mu się wątek. Po raz pierwszy w życiu zobaczyła wyraz strachu na jego twarzy. Coś szarego, mrocznego i nieuchwytnego.

– A co z tym chłopakiem? – powiedział. – Ten, którego dopiero co wypuścili?

– Edmund House – szepnął szeryf i zamarł, jakby brzmienie tego nazwiska go poraziło. – Zaraz się tym zajmę. – Rozsunął drzwi i szybkim krokiem ruszył do wyjścia.

– Jezu – jęknął ojciec.

Rozdział 13

Surowy wystrój kawiarni na parterze budynku mieszczącego nowe biura patologa okręgu King przy Jefferson Street przypominał Tracy obskurne kafeterie w szpitalach w czasach, nim ktoś doszedł do wniosku, że bycie pacjentem szpitala nie musi znaczyć, że odwiedzający go krewni też muszą cierpieć. Zapewne w duchu opacznie pojętej nowoczesności na podłodze kawiarni położono linoleum, rozstawiono stoliki z nierdzewnej stali i niewygodne plastikowe krzeselka. Ale nie wygląd skłonił Kelly Rosę do zaproponowania tego miejsca. Chciała spotkać się z Tracy gdzieś blisko biura, ale nie w nim samym.

Tracy rozejrzała się po sali, lecz nie dojrzała Rosy. Zamówiła herbatę bez mleka, usiadła przy stoliku z widokiem na biegnący po zboczu chodnik i zajęła się odpowiadaniem na maile i esemesy na iPhone. Po chwili zauważyła zbiegającą chodnikiem sylwetkę i mimo głowy osłoniętej kapturem zielonego płaszcza przeciwdeszczowego rozpoznała w niej Rosę. Po wejściu do środka Rosa opuściła kaptur i wypatrzyła Tracy. Wyglądem nie przypominała kogoś, kto chadza po bezdrożach i mokradłach w poszukiwaniu szczątków od dawna nieżyjących osób. Wyglądała na typową gospodynię domową w średnim wieku, która zawozi dzieci na zajęcia pozaszkolne, co zresztą rzeczywiście robiła w czasie wolnym od grzebania w szczątkach.

Rosa uściśliła ją i zdjęła płaszcz.

– Mogę ci coś zamówić? – spytała Tracy.

– Nie, dzięki – odrzekła Rosa, sadowiac się po drugiej stronie stolika.

– Jak dzieci?

– Moja czternastolatka jest już wyższa ode mnie. Wiem, że to żadne osiągnięcie, ale spoglądanie na mnie z góry sprawia jej ogromną frajdę. – Jeśli wzrost Rosy przekraczał metr pięćdziesiąt, to tylko bardzo nieznacznie. – Jedenastolatka występuje w szkolnym przedstawieniu *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*.

– Gra Dorotkę?

– Toto. Ale jest przekonana, że to ona jest gwiazdą przedstawienia. – Tracy uśmiechnęła się, Rosa przechyliła się przez stolik i ujęła jej dłoń. – Tak mi przykro, Tracy.

– Dziękuję. I doceniam to, że znalazłaś dla mnie czas.

– Naturalnie.

– Potwierdzasz, że to ona? – Pytanie było formalnością, ale Tracy wiedziała z doświadczenia, że Rosa zawsze sprawdza obraz rentgenowski szczęki i zębów w kartotece Osób Zaginionych i Niezidentyfikowanych oraz zasobach Krajowego Centrum Informacji o Przestępstwach.

- Dwukrotnie potwierdzone.
- Co możesz mi jeszcze powiedzieć?

Rosa westchnęła.

- Tylko tyle, że wielki szeryf nie chce, żebym ci cokolwiek mówiła.
- Tak powiedział?
- Jednoznacznie dał mi to do zrozumienia.
- Roy Calloway nigdy nie należał do ludzi subtelnych.

– Na szczęście nie jest moim zwierzchnikiem i nie muszę go słuchać. – Rosa uśmiechnęła się, ale uśmiech szybko znikł jej z twarzy. – Tylko czy jesteś pewna, że chcesz tego słuchać? To wystarczająco trudne, gdy dotyczy kogoś zupełnie obcego.

– Nie, nie jestem pewna. Ale muszę wiedzieć, do czego dotarłaś.

– Jak dużo mam ci powiedzieć?

– Tyle, ile dam radę wytrzymać. Powiem ci, jak już nie będę mogła.

Rosa złożyła dłonie i przytknęła je do brody jak dziecko, które szykuje się do modlitwy.

– Tak jak przypuszczałaś, zabójca wykorzystał jamę po wykarczowanym drzewie. Ślady łopaty świadczą o tym, że próbował ją powiększyć, ale albo źle ocenił wielkość, albo się zniechęcił, albo zabrakło mu czasu. Ciało umieszczono w pozycji skulonej, z nogami zgiętymi w kolanach nad głową. Dlatego pies dobrał się najpierw do stopy i reszty nogi.

– Tak się domyślałam.

– Ułożenie ciała ze zgiętymi nogami i wygiętymi plecami wskazuje na stężenie pośmiertne przed zakopaniem.

Tracy poczuła gwałtowne bicie serca.

– Przed? Jesteś tego pewna?

– Jestem pewna.

– Jak długo przed?

– Tego nie potrafię określić. Mogę tylko spekulować.

– Ale zdecydowanie przed pochowaniem?

– Jestem o tym przekonana.

– Udało ci się ustalić przyczynę śmierci?

– Czaszka jest pęknięta z tyłu, tuż nad kręgosłupem. Ale nie mam pewności, czy to było przyczyną śmierci. Niestety, minęło zbyt dużo czasu. Pozostałe kości nie wykazują żadnych pęknięć. Nic nie wskazuje na to, by została pobita.

Słowa Rosy były przejawem jej delikatności. Brak pęknięć kości nie stanowił dowodu, że ofiara nie była bita czy nawet torturowana, zwłaszcza przy tym stanie rozkładu szczątków.

– Co jeszcze znalazłaś poza klamrą? – Tracy wiedziała, że wszelkie substancje organiczne jak wełna lub bawełna dawno uległy całkowitemu

rozkładowi, ale przedmioty z metalu lub włókien syntetycznych mogły przetrwać.

Rosa wyjęła z kieszeni zakietu notes i zaczęła go przeglądać.

– Metalowe nity z literami LS and CO SF – odczytała.

– Levi Strauss and Company – powiedziała z uśmiechem Tracy. – Sara była buntowniczką.

– Słucham?

– Firma Levi Strauss popiera starania o zakaz broni palnej. Ja i moje koleżanki nosiłyśmy wranglery albo lee, ale Sara uważała, że ją pogrubiają, i upierała się przy lewisach. Trzeba ją było znać, żeby to docenić.

– Zobaczmy, co jeszcze. Siedem metalowych zatrzasek. – Rosa uniosła głowę znad notesu. – Pewnie od dżinsowej koszuli z długimi rękawami, bo dwie mniejsze są chyba od mankietów.

Tracy sięgnęła do stojącej przy krześle aktówki i wyjęła fotografię w ramce. Pamiątkowe zdjęcie Tracy, jej siostry i zdobywczyń trzeciego miejsca na mistrzostwach.

– Takiej? – spytała.

Rosa przyjrzała się fotografii.

– Tak, tyle że główki zatrzasek nie są już czarne.

Sara nosiła koszule z długimi rękawami od Scully. W dniu zawodów miała na sobie koszulę z biało-czarnym haftem. Tracy zabrała zdjęcie.

– Kawalki folii plastikowej – powiedziała Rosa, zaglądając do notatek.

Tracy poczuła, jak żołądek jej się kurczy, ale zachowała spokój. Zabójca jej siostry musiał zgiąć ciało, by je zmieścić w jamie. Widać zapakował je też do zwykłego worka na śmieci.

Rosa przerwała i uniosła głowę.

– Dobrze się czujesz?

Tracy zaczerpnęła powietrza i zmusiła się do wypowiedzenia tego na głos.

– Z worka na śmieci?

Użycie worka mogło stanowić istotny szczegół. Calloway stwierdził, że Edmund House przyznał się do zabicia Sary i zakopania jej ciała. Według tej wersji House natknął się na nią idącą drogą i ją napadł. Posiadanie przez niego worka na śmieci byłoby niezwykłym zbiegiem okoliczności.

– Chyba tak.

– Coś jeszcze?

– Trzy strzępki włókien syntetycznych.

– Jak grube?

– Włókna? Pięćdziesiąt mikronów.

– Z wykładziny dywanowej?

– Prawdopodobnie.

– Myślisz, że zabójca mógł zawinąć ją w dywan?

– Nie. Gdyby tak było, spodziewałabym się znaleźć resztki dywanu lub przynajmniej dużo więcej włókien. To raczej z wykładziny, na której leżała. Może w samochodzie?

Edmund House mieszkał u swojego stryja, Parkera House'a, i jeździł wiśniowym vanem Chevy – jednym z pojazdów, które Parker skupował, remontował w swoim warsztacie i odsprzedawał. Kabina vana została wyczyszczona do gołej blachy, ślady włókien wykładziny nie pasowały też do wersji Callowaya, według której House przyznał się do zgwałcenia, uduszenia i natychmiastowego zakopania ofiary.

– Coś jeszcze?

– Trochę biżuterii.

Tracy przechyliła się nad stolikiem.

– Co konkretnie?

– Kolczyki. Naszyjnik.

Serce waliło jej jak młotem.

– Możesz opisać te kolczyki?

– Oczka z jadeitu. Owalne.

– Łezki?

– Tak.

– A naszyjnik ze srebra?

– Tak.

Tracy ponownie podsunęła jej fotografię.

– Jak na tym zdjęciu?

– Dokładnie takie.

– Gdzie są teraz?

– Wszystko przejął zastępca szeryfa.

– Ale wszystko wcześniej sfotografowałaś i skatalogowałaś, tak?

– Zawsze tak robię. To rutyna. – Rosa spojrzała na nią niepewnie. – Tracy?

Tracy odsunęła krzesło i schowała fotografię do aktówki.

– Dzięki, Kelly. Jestem ci bardzo wdzięczna – powiedziała, wstając od stolika.

– Tracy? – Tracy spojrzała pytająco. – Co z jej szczątkami?

Zesztywniała i przyłożyła dłoń do czoła. Czowała zbliżający się atak migreny i bez słowa usiadła.

– Co się dzieje? – spytała Rosa po chwili milczenia.

Tracy zastanawiała się, co powiedzieć, jak dużo wyjawić.

– Kelly, lepiej, żebyś za dużo nie wiedziała. Możesz być powołana na świadka, więc niech twoje opinie pozostaną nieskażone tym, co mogłabyś usłyszeć ode mnie.

– Powołana na świadka?

Pokiwała głową.

Rosa wytrzeszczyła oczy, ale postanowiła nie drażnić dalej.

– Dobra. Ale jeśli mogę coś zasugerować...

– Słucham.

– Wyślę jej szczątki bezpośrednio do domu pogrzebowego. Tak będzie łatwiej. Nie będziesz musiała się zajmować ich przewozem.

Dwadzieścia lat wcześniej niektórzy mieszkańcy Cedar Grove namawiali do odprawienia mszy żałobnej. Zależało im na zamknięciu sprawy, ale James Crosswhite nie chciał nawet słyszeć o pogrzebie ani jakichkolwiek uroczystościach pogrzebowych. Nie przyjmował do wiadomości, że jego ukochana córeczka nie żyje. Teraz Tracy nie miała już nadziei, ale za to miała coś, na co czekała od dwudziestu lat. Twardy dowód.

– Chyba tak będzie najlepiej – powiedziała.

Rozdział 14

Kiedy wczesnym rankiem trzeciego dnia po zniknięciu siostry Tracy otworzyła drzwi, ujrzała przed nimi Roya Callowaya. Stał na ganku, gniotąc rondo kapelusza, a po jego minie widać było, że nie przynosi dobrych wieści.

– Dzień dobry, Tracy. Muszę porozmawiać z twoim ojcem.

Poprzedniego wieczoru, gdy ciemności uczyniły przeszukiwanie wzgórz nad Cedar Grove praktycznie bezcelowym, z trudem zapędziła rodziców do domu. Cały czas towarzyszyła ojcu, który ze swego gabinetu zrobił centrum dowodzenia akcją poszukiwawczą. Obdzwaniał posterunki policji, kongresmenów i wszystkich, którzy mieli coś do powiedzenia, Tracy dzwoniła do gazet i stacji radiowych. Zdarzało się, że gdy późnym wieczorem ojciec śleczął nad mapą, Tracy zwijała się w kłębek w jednym z czerwonych foteli, by uciąć sobie piętnastominutową drzemkę. Budziła się rano przykryta kocem, z promieniami słońca sączącymi się przez szybki w ołowianych ramkach. Ojciec wciąż siedział przy biurku, a na talerzyku leżała nietknięta kanapka, którą przygotowała mu wieczorem. Za pomocą linijki i cyrkla dzielił teren na mapie na kwadranty. Zrywała się, by zrobić mu kawę, i stwierdzała, że w kuchni kawa już się parzy, bo matka wstawiała wcześniej i wychodziła z domu, nie budząc jej. Tracy właśnie zabierała się, by nalać ojcu kawy, gdy usłyszała pukanie.

– Jest u siebie – powiedziała.

Drzwi za jej plecami już się rozsunęły i stanął w nich ojciec wkładający okulary.

– Tu jestem – odezwał się. – Tracy, zrób nam kawy.

– Mama już zaparzyła. – Przeszła za nimi do gabinetu.

– Rozmawiałeś z nim? – spytał ojciec.

– Twierdzi, że był w domu.

Tracy wiedziała, że mówią o Edmundzie Housie.

– Ktoś to może potwierdzić?

Calloway pokręcił głową.

– Parker pracował w tartaku na nocną zmianę i wrócił do domu późno. Mówi, że zastał Edmunda śpiącego w łóżku.

Szeryf przerwał i przez chwilę milczał.

– Ale...? – rzucił niecierpliwie ojciec.

Calloway podał mu kilka zdjęć z polaroida.

– Ma zadrapania na twarzy i na wierzchu dłoni.

Ojciec uniósł zdjęcia do światła.

– I jak to wyjaśnił? – spytał.

– Twierdzi, że podczas pracy w szopie, gdzie Parker robi meble, kawałek drewna roztrzaskał mu się w rękach i pokaleczyły go drzazgi.

– W życiu o czymś takim nie słyszałem – mruknął ojciec, opuściwszy zdjęcia.

– Ani ja.

– Wygląda mi to na zadrapania paznokciami.

– Też tak pomyślałem.

– Możesz uzyskać nakaz przeszukania?

– Vance już próbował – rzucił ponuro Calloway. – Zadzwoił do sędziego Sullivana do domu, ale sędzia odmówił. Uważa, że nie ma wystarczających dowodów, by naruszać mir domowy Parkera.

Ojciec rozmasował sobie mięsień na karku.

– A gdybym ja do niego zadzwonił?

– Nie radzę. Sullivan twardo przestrzega reguł.

– Gościłem go u siebie w domu, Roy. Bywał na świątecznych przyjęciach.

– Wiem.

– A jeśli House trzyma tam Sarę? Jeśli ona jest uwięziona w tym domu?

– Tam jej nie ma.

– Skąd wiesz?

– To dom Parkera. Spytałem go, czy mogę się rozejrzeć, a on wyraził zgodę. Sprawdziłem każdy kąt w domu i szopie. Tam jej nie ma i nie znalazłem żadnych dowodów na to, by choć przez chwilę tam była.

– Mogą być inne dowody. Ślady krwi w samochodzie albo w domu...

– To możliwe, ale sprowadzenie ekipy śledczej...

– Przecież to skończony drań, Roy. Skazany za gwałt, ma ślady zadrapań na twarzy i rękach i nie ma alibi. Czego, do diabła, możesz chcieć więcej?

– To samo powiedziałem Vance'owi, a on to powtórzył sędziemu Sullivanowi. House już raz siedział za coś takiego

– Zadzwoń do władz okręgu King – oznajmił ojciec. – House'a wypuścili, bo policja zawałiła sprawę. Twierdzą, że tamtą dziewczynę gwałcił i bił przez ponad dobę.

– I poszedł za to siedzieć.

– No to mi powiedz, Roy, gdzie jest moja córka. Gdzie jest moja Sara?

Calloway wyglądał na przybitego.

– Nie wiem, James. Naprawdę nie mam pojęcia.

– Więc co to niby jest? Czysty zbieg okoliczności? Wpuszczają go, on wraca i zaraz potem znika Sara?

– *To nie wystarczy.*

– *Nie ma alibi.*

– *To nie wystarczy, James.*

– *Więc kto? Jakiś włóczęga? Przypadkowy przejezdny? Na ile to prawdopodobne?*

– *Komunikat trafił do wszystkich organów porządku publicznego w całym stanie.*

James Crosswhite zwinął mapę i podał ją Tracy.

– *Doręcz to mamie w Legionie Amerykańskim. Powiedz jej, żeby ją przekazała Vernowi, niech połączą siły. Zaczynamy od nowa. Trzeba zorganizować systematyczne przeszukanie całego terenu, wyeliminować wszelkie możliwe przeoczenia. – Przeniósł wzrok na Callowaya. – Co z psami?*

– *Najbliższa ekipa, która ma psy, jest w Kalifornii. Sprowadzenie ich samolotem to problem.*

– *Niech sobie będą nawet na Syberii. Zapłacę ile trzeba za ich sprowadzenie.*

– *Nie chodzi o pieniądze, James.*

Ojciec odwrócił głowę do Tracy i zrobił taką minę, jakby jej widok go zdziwił.

– *Nie słyszałaś, co powiedziałem? Ruszaj w drogę.*

– *A ty nie pojedziesz?*

– *Rób, co ci każę, do cholery! – warknął.*

Wzdrygnęła się i zrobiła krok do tyłu. Ojciec nigdy nie podnosił głosu ani na nią, ani na Sarę.

– *Dobrze, tatusiu.*

– Tracy. – Delikatnie ją przytrzymał i przez chwilę zbierał się w sobie. – Jedź i powiedz mamie, że niedługo tam będę. Mamy z szeryfem do omówienia jeszcze parę spraw.

Rozdział 15

Tydzień po odnalezieniu szczątków siostry Tracy wróciła do Cedar Grove. Niemal cała podróż z Seattle przebiegła w słońcu, jednak pod sam koniec niebo zasnuło się czarnymi chmurami, które zawisły nad miasteczkiem, jakby dopasowując się do ponurego celu jej wizyty. Wracała pochować siostrę.

Ruch na drodze okazał się mniejszy, niż założyła, i w rezultacie dotarła na miejsce pół godziny przed umówioną wizytą w domu pogrzebowym. Rozejrzała się po zapuszczonych frontonach okolicznych budynków i dostrzegła neon w kształcie filiżanki, który świecił nad wejściem do dawnego Domu Handlowego Kaufmana. Powietrze było aż ciężkie od ziemistej woni nadchodzącej ulewy. Tracy wrzuciła ćwierćdolarówkę do parkometru, choć nie sądziła, by w promieniu stu kilkudziesięciu kilometrów kręciła się choć jedna strażniczka miejska, i weszła do kafejki o nazwie Dzienny Napar. W długim i wąskim pomieszczeniu mieścił się niegdyś sklepowy kontuar z lodami i napojami gazowanymi, potem wstawiono przepierzenie i podzielono salę na dwa oddzielne lokale. W jednym funkcjonowała teraz kawiarnia, w drugim chińska knajpka. Kawiarnię urządzono zbieraniną różnych mebli, co upodabniało ją do studenckiej kwatery. Na małej kanapie z przetartym obiciem leżała sterta gazet, na ściankach z płyt gipsowych widać było pęknięcia, które próbowano zamaskować malowidłem przedstawiającym okno wychodzące na ulicę i idących za nim ludzi, co jak na kafejkę w małym miasteczku było dość oryginalnym pomysłem. Młoda sprzedawczyni za kontuarem miała kolczyk w nosie, sztyfcik w dolnej wardze i maniery urzędnika państwowego na tydzień przed emeryturą.

Nawet nie uniosła głowy, by powitać Tracy, więc ta rzuciła sucho:

– Kawa. Czarna.

Wzięła filiżankę do stolika pod prawdziwym oknem, usiadła, gapiąc się na opustoszałą Market Street i wspominając, jak wraz z siostrą wiecznie wpadały w tarapaty za jazdę rowerami po zatłoczonym chodniku. Opierały rowery o ścianę i nawet nie myśląc o ich zabezpieczeniu, wchodziły do sklepu po rzeczy potrzebne do zaplanowanej na sobotę kolejnej przygody.

* * *

Dan O’Leary stał zasepiony nad swoim rowerem, burcząc pod nosem „A niech to”.

– Co się stało? – Tracy wyszła od Kaufmana ze zwojem grubego sznura, bochenkiem chleba i słoikami masła orzechowego i dżemu w plecaku. Za ostatnią ćwierćdolarówkę dokupiła jeszcze dziesięć kawałków czarnej lukrecji i pięć

czerwonej. Pieniądże dostała rano od ojca, gdy poprosiła, by pozwolił jej i siostrze pojechać rowerami nad jezioro Cascade, gdzie Sara wypatrzyła drzewo idealnie nadające się do powieszenia huśtawki. Nawet się zdziwiła, że ojciec tak bez oporu dał jej pieniądze. Za tego typu ekstrawagancje dziewczynki musiały zwykle płacić same z kieszonkowego. Tracy była już teraz uczennicą dziesiątej klasy i zarabiała własne pieniądze, pracując dorywczo w kasie biletowej w kinie Hutchinsa. Ale ojciec nie tylko dał jej pieniądze, ale jeszcze zachęcił, by w całości je wydała, dodając, że pan Kaufman „ostatnio cienko przędzie”. Podejrzewała, że źródłem kłopotów pana Kaufmana jest jego syn Peter, kolega Sary z szóstej klasy szkoły podstawowej w Cedar Grove. Peter poważnie chorował i przez ostatni rok spędził więcej czasu w szpitalu niż w domu.

– Złapałem gumę – jęknął Dan. Wyglądał tak, jakby powietrze zeszło nie tylko z opony na przednim kole jego roweru.

– Może wystarczy tylko dopompować – podsunęła Tracy.

– Nie, miałem flaka dziś rano, więc napompowałem przed wyjazdem. Musi być przebite. Pięknie! Nici z wycieczki. – Dan zsunął z ramion plecak i usiadł zrezygnowany na chodniku.

– Co się stało? – spytała Sara, wychodząc ze sklepu w towarzystwie Sunnie.

– Dan złapał gumę.

– Nie mogę jechać – dodał Dan.

– Poprośmy pana Kaufmana, żeby pozwolił zadzwonić do twojej mamy – zasugerowała Tracy. – Może przyjedzie i kupi ci nową dętkę.

– Nie mogę – rzucił chłopak. – Tata już się na mnie wścieka, że jestem nieodpowiedzialny. Powtarza, że pieniądze nie rosną na drzewach.

– Czyli nie jedziesz? – spytała Sunnie. – Bo wszystko już zaplanowałyśmy.

Oparł łokcie na kolanach i złapał się za głowę. Gdy okulary jak zwykle zjechały mu na czubek nosa, nawet nie próbował ich poprawić.

– Jedźcie beze mnie.

– *Dobra, no to jedziemy – powiedziała Sunnie, biorąc rower.*

Tracy obrzuciła ją pełnym złości spojrzeniem.

– *Bez niego nie pojedziemy, Sunnie – burknęła.*

– *Nie? To nie nasza wina, że ma rower do kitu.*

– *Sunnie, przestań – mruknęła Sara.*

– *To ty przestań. A w ogóle, to kto cię zaprosił?*

– *A ciebie kto zaprosił? – odgryzła się Sara. – To ja znalazłam to drzewo, nie ty.*

– *Przestańcie, jedna i druga – upomniała je Tracy. – Jeśli Dan nie może jechać, to nikt nie pojedzie. – Chwyciła chłopca za rękę. – Chodź, wstawaj. Zaprowadzimy twój rower do mnie do domu. Zawiążemy sznur na naszej wierzbie i zrobimy huśtawkę.*

– *Chyba żartujesz. Nie mam sześciu lat – zachnęła się Sunnie. – Mieliśmy skakać z huśtawki do jeziora. Mamy skakać na trawnik?*

– *Idziemy – zdecydowała Tracy. Rozejrzała się i westchnęła. – A gdzie Sara?*

– *No, świetnie – burknęła Sunnie. – Znów gdzieś się zapodziała. Z każdą chwilą jest z nią gorzej.*

Rower Sary stał oparty o ścianę, ale jej nigdzie nie było.

– *Poczekajcie – rzuciła Tracy i zawróciła do sklepu. Jej siostra stała przy ladzie i rozmawiała z panem Kaufmanem. – Sara, co ty kombinujesz?*

Sara sięgnęła do kieszeni, wyciągnęła garść banknotów i ćwierćdolarówek i położyła na ladzie.

– *Kupuję Danowi nową dętkę – odparła i potrząsnęła głową, by odrzucić z twarzy kosmyki włosów. Mama się na nią złościła, ale się zaparła i odmówiła noszenia spinek lub ściągania włosów gumką.*

– *To te pieniądze na kino, które odkładałaś?*

– *Danowi są teraz bardziej potrzebne niż mnie.* – *Wzruszyła ramionami.*

– *Proszę, Saro – powiedział pan Kaufman, wręczając jej pudełko z nową dętką.* – *Powinna pasować.*

– *Wystarczy mi pieniędzy, proszę pana?*

Pan Kaufman bez liczenia zgarnął pieniądze z lady.

– *Myślę, że w sam raz. Dasz sobie radę z wymianą? Bo to nie takie proste.* – *Spojrzał na Tracy i mrugnął porozumiewawczo.*

– *Widziałam, jak tatuś to robił. To przednie koło, więc nie trzeba zdejmować łańcucha.*

– *Może siostra ci pomoże.*

– *Nie, poradzę sobie sama.*

Sięgnął pod ladę i podał Sarze klucz i śrubokręt.

– *To ci się przyda. Daj znać, jeśli potrzebna ci będzie pomoc.*

– *Dobrze, dziękuję panu.* – *Zabrała pudełko i narzędzia i wybiegła ze sklepu z okrzykiem:* – *Dan, mam dla ciebie nową dętkę! Będziesz mógł pojechać!*

Tracy została i obserwowała całą scenę przez okno wystawowe. Dan najpierw wyglądał na zmieszanego, potem zaskoczonego, wreszcie z uśmiechem zerwał się z chodnika.

– *Tracy, daj znać jeśli będzie wam potrzebna jakaś pomoc – powiedział pan Kaufman.*

– *Oczywiście.* – *Tracy skinęła głową.*

Wręczył jej pompkę do roweru.

– *Oddacie ją po skończeniu, razem z narzędziami.* – *Spoglądał przez szybę*

na chodnik. Sara i Dan ukłękli obok siebie i Sara zabrała się do odkręcania nakrętki na przednim kole. – Prawdziwy pistolet z tej twojej siostry.

– No, niezły z niej numer. Dziękuję panu. – Tracy ruszyła do wyjścia, ale zatrzymała się na dźwięk swojego imienia. Pan Kaufman w wyciągniętej ręce trzymał wielki baton Hersheya, taki jak te, z których mama robiła na piknikach s'mores¹.

– Och nie, proszę pana. Nie mam już pieniędzy.

– To w prezencie.

– Nie mogę przyjąć – powiedziała, pamiętając słowa taty, że „pan Kaufman cienko przędzie”. I tak podejrzewała, że cena dętki przekraczała oszczędności jej siostry.

Pan Kaufman spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby za chwilę miał się rozplakać.

– Wiesz, że ona jeździ rowerem do szpitala, żeby odwiedzać Petera?

– Naprawdę?

Szpital mieścił się w sąsiednim miasteczku Silver Spurs. Gdyby rodzice się o tym dowiedzieli, Sara dostałaby potężną burę.

– Zawozi mu książki do kolorowania. – Oczy pana Kaufmana wypełniły się łzami. – Mówi, że kupuje je za pieniądze na popcorn.

Rozdział 16

Tracy strząsnęła krople deszczu z kurtki i weszła do Domu Pogrzebowego Thorensona. Staruch Thorenson – tak jako dzieci przezywały Arthura Thorensona – kiedyś balsamował ciała wszystkich zmarłych w Cedar Grove, w tym obojga jej rodziców. Jednak gdy kilka dni wcześniej zadzwoniła, telefon odebrał jego syn. Darren Thorenson skończył liceum Cedar Grove kilka lat przed Tracy i widać przejął firmę po ojcu.

Przedstawiła się kobiecie siedzącej w recepcji i nie skorzystała z zaproszenia, by usiąść i wypić filiżankę kawy. Oświetlenie wnętrza zakładu wydało jej się jaśniejsze niż zapamiętane z dawnych lat, ściany i wykładzina podłogowa miały żywsze kolory. Nie zmienił się tylko wiszący w powietrzu zapach. Pachniało kadzidłem, co zawsze kojarzyło jej się ze śmiercią.

– Tracy? – Z zaplecza wyłonił się Darren Thorenson w ciemnym garniturze z krawatem i z rękami rozłożonymi w powitalnym geście. – Cieszę się, że cię widzę, choć przykro, że w takich okolicznościach – przywitał ją, ściskając jej dłoń.

– Dzięki, Darren, że wszystkim się tak zająłeś – powiedziała z bladym uśmiechem. Thorenson nie tylko załatwił kremację szczątków, ale porozumiał się z cmentarzem i zamówił pastora. Tracy nie życzyła sobie nabożeństwa, ale nie chciała też potajemnie kopać dziury w ziemi, by ukradkiem wrzucić do niej prochy siostry.

– Nie ma sprawy. – Wziął ją za rękę i poprowadził do kantoru, w którym mieściło się biuro jego ojca w czasach, gdy Tracy wraz z matką omawiała szczegóły pogrzebu ojca i gdzie trafiła ponownie po tym, jak matka zmarła na raka.

Darren usiadł za biurkiem. Na ścianie wisiał portret jego ojca, na którym wyglądał młodziej, niż Tracy go pamiętała, obok wisiało zdjęcie Darrena z rodziną. Ożenił się z Abby Becker, swoją szkolną miłością, i z fotografii wynikało, że mają trójkę dzieci. Był z twarzy bardzo podobny do ojca i jak on masywnie zbudowany; włosy szesane z czoła uwydatniały jego bulwiasty nos i tkwiące na nim okulary w grubej czarnej oprawce, bardzo podobne do tych, jakie w dzieciństwie nosił Dan O’Leary.

– Widzę, że zmieniłeś wystrój zakładu – zauważyła Tracy.

– Powoli zmieniam – odparł. – Niełatwo było przekonać ojca, że „pełen szacunku” nie musi znaczyć „posepny”.

– A co u niego?

– Czasami jeszcze się odgraża, że przerwie emeryturę i tu wróci. Ale kiedy się zjawia, wciskamy mu do ręki kij golfowy. Abby prosiła, żeby ci złożyła kondolencje.

– Były jakieś trudności z kwaterą?

Cmentarz w Cedar Grove był starszy od miasteczka, choć nikt nie umiał powiedzieć, kiedy pochowano na nim pierwszego zmarłego, bo najstarsze groby były nieopisane. Utrzymaniem porządku zajmowali się wolontariusze, którzy usuwali chwasty i kosili trawę, a gdy ktoś umierał, zajmowali się też wykopaniem grobu. Robili to wszystko za darmo w ramach niepisanej umowy, że kiedyś ktoś odpłaci im się tym samym. Z powodu ograniczenia terenu każdy nowy pochówek musiał uzyskać zgodę rady miejskiej, która wydawała ją tylko dla stałych mieszkańców miasteczka. Sara umarła jako mieszkanka Cedar Grove, więc z tym nie było problemu. Tracy wystąpiła z prośbą o pochowanie jej we wspólnym grobie z rodzicami, chociaż właściwie był on dwuosobowy.

– Żadnych – odparł Darren. – Wszystko załatwione.
– No to przejdźmy do formalności. Mam ci coś podpisać?
– To też już załatwione.
– Czyli zostaje tylko wypisać czek.
– Nie ma potrzeby, Tracy.
– Darren, proszę. Nie mogę cię o to prosić.
– O nic mnie nie prosiłaś. – Uśmiechnął się, choć w jego uśmiechu przebijał cień smutku. – Nie wezmę od ciebie pieniędzy, Tracy. Ty i twoja rodzina dość się już wycierpiałyscie.

– Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Jestem wzruszona. Bardzo to doceniam.
– Wiem. Wtedy wszyscy straciliśmy Sarę. Już nigdy potem nie było tak samo. To tak, jakby należała do rodziny wszystkich mieszkańców miasta. Chyba każdy z nas tak wtedy myślał.

Podobne słowa Tracy usłyszała z wielu ust. Że Cedar Grove nie umarło, gdy Christian Mattioli zlikwidował kopalnię i wielu mieszkańców się wyniosło. Cedar Grove umarło, kiedy zniknęła Sara. Od tamtej pory ludzie zaczęli zamykać na klucz drzwi i zabraniać dzieciom swobodnych wycieczek pieszych i rowerowych. Skończyło się też chodzenie do szkoły lub czekanie na szkolny autobus bez opieki dorosłych, a mieszkańcy nie byli już tak przyjaźni i gościnni dla obcych.

– On wciąż jeszcze siedzi? – spytał Thorenson.

– Siedzi.

– Mam nadzieję, że tam zgnije.

Tracy spojrzała na zegarek.

– Gotowa? – spytał Darren, wstając.

Nie była gotowa, ale i tak skinęła głową. Zaprowadził ją do przylegającej sali z rzędami pustych krzeseł. Na pogrzeb jej ojca przyszło tyle osób, że nie wszyscy się zmieścili. Na frontowej ścianie wisiał krzyż, pod nim na marmurowym postumencie stała poślaczona urna wielkości kasetki na biżuterię. Tracy podeszła bliżej i odczytała wygrawerowany napis.

Sara Lynne Crosswhite

Mała

– Mam nadzieję, że to akceptujesz – powiedział Darren. – Wszyscy ją zapamiętali jako małą dziewczynkę włóczącą się za tobą po całym mieście. – Tracy przetarła oczy chusteczką. – Cieszę się, że będziesz mogła złożyć siostrę na wieczny odpoczynek i mieć to wreszcie za sobą. Cieszę się w imieniu nas wszystkich.

* * *

Prowadząca do cmentarza ulica była pełna samochodów zaparkowanych zderzak przy zderzaku. Było ich więcej, niż Tracy się spodziewała, i przyglądając się im, domyślała się, kto rozesłał wici i dlaczego. Finlay Armstrong stał na jezdni, kierując ruchem, krople deszczu spływały po narzuconej na mundur przezroczystej pelerynie i skapywały z runda kapelusza. Tracy zatrzymała się i opuściła szybę.

– Proszę się nie martwić parkowaniem. Niech go pani tak zostawi – powiedział.

Darren Thorenson, który jechał za nią, otworzył nad Tracy wielki golfowy parasol, by osłonić ją przed deszczem. Ruszyli razem w stronę białego namiotu nad znajdującą się na szczycie wzniesienia kwaterą jej rodziców, skąd roztaczał się widok na całe miasto. Pod namiotem siedziało kilkadziesiąt osób na białych składanych krzeselkach, kolejne kilkadziesiąt stało wokół pod parasolami. Na widok zbliżającej się Tracy wszyscy wstali, a ona potoczyła wzrokiem po znajomych twarzach. Postarzeni się, ale bez trudu rozpoznawała przyjaciół rodziców i dorosłych, którzy niegdyś jako dzieci chodzili z nią i Sarą do szkoły, a także nauczycieli, którzy stali się jej kolegami z pracy, gdy przez krótki czas uczyła chemii w liceum Cedar Grove. Wyłowiła wzrokiem Sunnie Witherspoon, a także Marybeth Ferguson, jedną z najbliższych przyjaciółek siostry. Vance Clark i Roy Calloway stali na zewnątrz namiotu, podobnie jak Kins, Andrew Laub i Vic Fazio, którzy dojechali z Seattle, przywożąc z sobą powiew realnego świata. Powrót do Cedar Grove miał nieco surrealistyczny posmak. Chwilami odnosiła wrażenie, jakby znalazła się w dwudziestoletniej pętli czasu, gdzie wszystko było zarazem znajome i obce. Tego, co widziała wokół, nie dawało się porównać z tym, co zapamiętała. To już nie był rok 1993. Zupełnie nie.

Żałobnicy zostawili pierwszy rząd wolny, ale puste krzesła po jej bokach tylko wzmogły w niej poczucie osamotnienia. Po chwili wyczuła, że ktoś wchodzi pod namiot i przesuwa się ku pierwszemu rzędowi.

– Można tu usiąść?

Musiła mu odjąć w myślach lat, nim go sobie skojarzyła. Okulary w czarnej oprawie ustąpiły miejsca szkłom kontaktowym, odsłaniając błękitne oczy,

w których jak zawsze błyskały filuterne iskierki. Jeża na głowie zastąpiła lekko falująca czupryna z kosmykami opadającymi na kołnierz marynarki od garnitur. Dan O’Leary pochylił się i delikatnie pocałował ją w policzek.

– Tak mi przykro, Tracy.

– Dan. Prawie cię nie poznałam.

Uśmiechnął się.

– Trochę posiwiałem, ale niezbyt zmądrzałem – powiedział cichym głosem.

– I trochę urosłeś – dodała i odchyliła głowę, by mu się przyjrzeć.

– Powoli startowałem. Dopiero w ciągu pierwszego roku w college’u urosłem trzydzieści centymetrów. – Rodzina O’Learych wyprowadziła się z Cedar Grove, gdy Dan był w drugiej klasie liceum. Jego ojciec dostał pracę w fabryce konserw w Kalifornii i ich wyjazd był smutnym dniem dla Tracy i członków ich paczki. Dan i Tracy jeszcze przez jakiś czas utrzymywali kontakt, były to jednak czasy przed nastaniem maili i esemesów i wkrótce ta korespondencja zamarła. Z tego, co wiedziała, Dan ukończył liceum, rozpoczął naukę w college’u na Wschodnim Wybrzeżu i po skończeniu już tam został, chociaż – jak słyszała – po przejściu na emeryturę ojciec Dana wraz z żoną wrócił do Cedar Grove.

Podszedł Thorenson i przedstawił jej pastora Petera Lyona. Lyon, dryblas o bujnej rudej czuprynie i bladej cerze, był w białej albie do kostek, przewiązanej w pasie zielonym sznurem. Dopasowana kolorystycznie zielona stuła okrywała mu ramiona. Tracy i Sara wyniosły z domu prezbiterianizm, ale po śmierci siostry Tracy oddaliła się od wiary i stała się kimś pomiędzy agnostyczką a ateistką. Od pogrzebu matki jej noga ani razu nie postąpiła w kościele.

Lyon złożył jej kondolencje, po czym podszedł do grobu i zaczął od uczynienia znaku krzyża. Podziękował obecnym za przybycie, podnosząc głos, by przekrzyczeć szum deszczu dudniącego w brezentowy namiot.

– Zebraliśmy się dziś, by złożyć w ziemi prochy naszej siostry, Sary Lynne Crosswhite. To ogromna strata i na naszych sercach spoczywa ciężar. W chwilach zmartwienia i bólu zwracamy się ku Biblii, do Słowa Bożego, szukając w nim pociechy i zbawienia. – Pastor otworzył Pismo Święte, odczytał fragment i zakończył słowami: – Jestem zmartwychwstaniem i życiem, rzekł Pan. Ten, kto we mnie wierzy, żyć będzie, choćby nawet umarł, ten zaś, kto żyje i we mnie wierzy, nigdy nie umrze. – Zamknął Biblię i oznajmił: – Teraz przemówi Tracy, siostra Sary.

Tracy podeszła do grobu i zaczerpnęła powietrza. Darren Thorenson wręczył jej poślacaną urnę i podał rękę, by pomóc uklęknąć na kawałku tkaniny rozciągniętej przy grobie, choć i tak od razu na kolanach poczuła wilgoć. Włożyła do grobu urnę, wzięła do ręki garść wilgotnej ziemi i przymknęła oczy. Wyobraziła sobie siostrę leżącą obok w łóżku, jak to często bywało, gdy były dziećmi, a także

kiedy dzieliły się łóżkiem hotelowym podczas wyjazdów z ojcem na zawody strzeleckie.

Tracy, boję się.

Nie bój się. Zamknij oczy. Głęboko nabierz powietrza i wypuść.

Tracy zaczęła spazmatycznie dyszeć, jej oczy wypełniły się łzami.

– Już nie... – szepnęła, rozstawiając palce tak, by grudki ziemi posypały się na urnę, i ze wszystkich sił starając się nie wybuchnąć płaczem.

Już nie...

– Już się nie boję...

Już się nie boję...

– Już się nie boję ciemności.

Nagły podmuch wiatru zatrzepotał powłoką namiotu i rzucił kosmyk włosów na twarz Tracy. Uśmiechnęła się do wspomnienia i odgarnęła kosmyk za ucho.

– Już teraz śpij – szepnęła, obcierając łzę z policzka.

* * *

Żałobnicy zaczęli podchodzić do grobu, sypać garście ziemi, kłaść kwiaty i składać kondolencje.

Fred Digasparro, poruszający się z chodzikiem były właściciel zakładu fryzjerskiego, miał do pomocy młodą kobietę. Ręce, które pewnymi ruchami goliły brzytwą męskie twarze, teraz dygotały w dłoniach Tracy.

– Musiałem tu być – powiedział z tym swoim śpiewnym włoskim akcentem.

– Dla twojego ojca. Dla twojej rodziny.

Sunnie pośpiesznie ucisnęła Tracy, głośno szlochając. W szkole podstawowej i liceum były nierozłączne, potem jednak ich drogi się rozeszły i jej szloch brzmiał nieco sztucznie, łzy zaś sprawiały wrażenie wymuszonych. Sunnie i Sara nigdy się specjalnie nie lubiły. Sunnie była zazdrosna o bliskość Tracy i siostry.

– Tak mi przykro – powiedziała, ocierając łzy i przedstawiając swojego męża, Gary’ego. – Zostaniesz parę dni?

– Nie mogę – odparła Tracy.

– Może spotkamy się choć na kawie, nim wyjedziesz. Trochę powspominamy.

– Może.

Sunnie wręczyła jej wizytówkę.

– To mój numer komórkowy. Gdybyś czegoś potrzebowała, czegokolwiek...

– Dotknęła dłoni Tracy. – Tęskniłam za tobą.

Tracy kojarzyła większość twarzy, ale nie wszystkie. Jak w przypadku Dana, musiała im w myślach odejmować lat, by rozpoznać w nich znajomych z przeszłości. Na końcu kolejki składających kondolencje podszedł mężczyzna w trzyczęściowym garniturze, którego twarz wydała jej się znajoma, ale której nie potrafiła umiejscowić. Towarzyszyła mu młoda kobieta w ciąży.

– Hej, Tracy. To ja, Peter Kaufman.

– Peter... – Poznała w nim chłopca, który na cały rok zniknął ze szkoły podstawowej w Cedar Grove, bo stwierdzono u niego białaczkę. – Co u ciebie?

– Świetnie – rzekł i przedstawił żonę. – Mieszkamy teraz w Yakimie, ale zadzwonił Tony Swanson i zawiadomił mnie o uroczystości. Przyjechaliśmy dziś rano.

– Dzięki, że chciało ci się jechać taki kawał. – Od Yakimy dzieliły ich cztery godziny drogi.

– Chyba żartujesz. Jak mógłbym nie przyjechać? Wiesz, że Sara co tydzień przyjeżdżała do szpitala i przywoziła mi łakocie i książki do kolorowania lub czytania?

– Tak, pamiętam. A jak ty się czujesz?

– Od trzydziestu lat nie mam raka. Nigdy nie zapomniałem, co dla mnie robiła. Co tydzień cieszyłem się na jej przyjazd. Podnosiła mnie na duchu. Już taka była. Była kimś wyjątkowym. – Oczy wypełniły mu się łzami. – Tracy, cieszę się, że ją znaleźli. I cieszę się, że dzięki tobie mogliśmy ją wszyscy pożegnać.

Jeszcze chwilę rozmawiali i gdy Kaufmanowie odeszli, potrzebowała kolejnego kleenexu. Dan, który na czas składania kondolencji dyskretnie się oddalił, podszedł i podał Tracy chusteczkę z materiału.

Zebrała się w sobie, wytarła oczy i gdy jej emocje znalazły się pod jaką taką kontrolą, mogła się odezwać.

– Właściwie to nie rozumiem. Sądziłam, że mieszkasz na Wschodnim Wybrzeżu. Więc jak się dowiedziałeś?

– Mieszkalem na przedmieściach Bostonu, ale się przenieśliśmy. Teraz mieszkam tu.

– W Cedar Grove?

– To długa historia, a tobie przydałby się chyba urlop od przeszłości. – Dan zamknął jej w dłoni wizytówkę i lekko uściśnął. – Chętnie z tobą powspominam, kiedy poczujesz się na siłach. Teraz powiem tylko, że jest mi strasznie przykro. Naprawdę kochałem Sarę.

– Twoja chusteczka – powiedziała, wyciągając rękę.

– Możesz ją zatrzymać.

Zauważyła wyhaftowany na chusteczce monogram DMO, co spowodowało, że baczniej przyjrzała się krojowi uszytego na miarę garnituru i gatunkowi krawata. Miała wystarczająco częste kontakty z prawnikami, by wiedzieć, że jedno i drugie

jest z górnej półki, co niezbyt pasowało do tego Dana, którego znała i który z reguły donaszał ubrania po innych. Rzuciła okiem na wizytówkę.

– Adwokat.

– Jakoś tak wyszło – powiedział i puścił do niej oko.

Na wizytówce był adres jego kancelarii w budynku First National Bank przy Market Street, Cedar Grove.

– Chętnie wysłucham tej długiej historii, Dan.

– Wystarczy zadzwonić. – Uśmiechnął się łagodnie, otworzył wielki golfowy parasol i wyszedł na deszcz.

Podszedł Kins w towarzystwie Lauba i Faza.

– Możemy wrócić razem? – zapytał.

– Znam po drodze świetną knajpę – dodał Faz.

– Dzięki, ale zostanę tu jeszcze na jedną noc – odparła.

– Zdawało mi się, że chcesz jak najszybciej wrócić do Seattle – zdziwił się

Kins.

Patrzyła, jak Dan podchodzi do okazałego SUV-a, otwiera drzwi, składa parasol i wrzuca do środka.

– Moje plany właśnie się zmieniły – powiedziała.

Rozdział 17

Losy banku First National były ściśle powiązane z losami Christiana Mattiolego. Stworzony do ochrony znacznego majątku właścicieli kopalni Cedar Grove – z Mattiolim na czele – bank niemal padł po zamknięciu kopalni i wyjeździe z miasta Mattiolego i jego ludzi. Mieszkańcy Cedar Grove skrzyknęli się, powierzyli bankowi swoje oszczędności, pozakładali w nim konta i zobowiązali się brać w nim kredyty hipoteczne i drobne pożyczki na bieżącą działalność biznesową, jednak nie na wiele się to zdało. Tracy nie była pewna, kiedy bank ostatecznie się zwinął i opuścił swoją siedzibę, ale sądząc po tablicy informacyjnej w holu, obszerny piętrowy budynek z cegły przerobiono i wykorzystywano na biura różnych firm, choć i tak część pomieszczeń stała pusta.

Idąc po schodach, przyglądała się bogatej mozaice na podłodze, przedstawiającej amerykańskiego orła z gałązką oliwną w prawych szponach i trzynastoma strzałami w lewych. Podłoga była pokryta kurzem, walały się po niej kartony i inne szpargały. Miała jeszcze w pamięci stanowiska kasowe, boksy urzędników bankowych i ogromne donice z paprociami. Ojciec przyprowadził tu ją i Sarę, by otworzyć im pierwsze w życiu konta oszczędnościowe; dostały pierwsze w życiu książeczki czekowe, które podpisał i ostemplował sam pierwszy prezes banku, John Waters.

Tracy odnalazła kancelarię Dana na pierwszym piętrze i weszła do niewielkiego pomieszczenia z pustym biurkiem recepcjonistki. Stojąca na nim tabliczka informowała, że należy zadzwonić. Uderzyła dłonią w sterczący obok dzwonek, a ten przeraźliwie głośno zabrzczał. Dan wyłonił się zza rogu w spodniach khaki, skórzanych butach z cholewkami i koszuli w biało-niebieskie paski. Wciąż jeszcze nie mogła się oswoić z tym, że ten elegancki mężczyzna jest znanym jej okularnikiem z czasów dzieciństwa.

– Jakież kłopoty z parkowaniem? – Uśmiechnął się.

– Całkiem niezła wystawa modeli, prawda?

– Rada miejska chciała tu nawet zainstalować parkometry, ale ktoś poszedł po rozum do głowy i policzył, że inwestycja zwróci się za dziesięć lat. Proszę, wchodź.

Wprowadził ją do przestronnego, ośmiokątного gabinetu obłożonego elegancką ciemną boazerią.

– Tu był gabinet prezesa banku – wyjaśnił. – Za możliwość pochwalenia się tym mój miesięczny czynsz jest o piętnaście dolarów wyższy.

Regały były pełne ksiąg prawniczych, ale Tracy wiedziała, że są one głównie na pokaz, bo teraz wszystko można znaleźć w internecie. Wielkie ozdobne biurko stało zwrócone przodem do mansardowego okna, na którego szybach wciąż jeszcze

widniały kasztanowozłociste litery napisu informującego, że właścicielem budynku jest First National Bank. Podeszła do okna i wyjrzała na ulicę.

– Jak myślisz, ile razy jeździliśmy tędy rowerami? – spytała.

– Zbyt wiele, żeby zliczyć. W każdym razie codziennie latem.

– Pamiętam ten dzień, kiedy złapałeś gumę.

– Mieliśmy pojechać w góry i zawiesić huśtawkę. Sara kupiła mi nową dętkę i pomogła zmienić.

– Pamiętam, że użyła do tego własnych oszczędności. – Tracy odwróciła się od okna. – Dziwi mnie, że zdecydowałeś się tu wrócić.

– Mnie też to zdziwiło.

– Powiedziałaś, że to długa historia.

– Długa. I nieciekawa. Kawy?

– Nie, dziękuję. Staram się ograniczać.

– Zdawało mi się, że bez picia kawy nie można być gliniarzem.

– To bez pączków. A co jadają prawnicy?

– Siebie nawzajem.

Usiedli przy okrągłym stole pod oknem. Uniesiona i podparta księgą prawniczą dolna połówka okna zapewniała dopływ świeżego powietrza.

– Dobrze cię widzieć, Tracy. I dodam, że wyglądasz świetnie.

– Myślę, że powinienesz sobie sprawić nowe szkła kontaktowe. Wyglądam jak czupiradło, ale dzięki za dobre słowo. – Jego uwaga jeszcze mocniej uświadomiła Tracy jej wygląd. Nie planowała zostać dłużej i przywiozła z sobą tylko parę rzeczy. Przed wyjazdem z Seattle wrzuciła do bagażnika dzinsy, kozaki, bluzkę i sztruksowy żakiet, w które zamierzała się przebrać po pogrzebie. To samo włożyła na siebie dziś rano i przed wyjściem z motelowego pokoju stanęła przed lustrem, zastanawiając się, czy ściągnąć włosy w koński ogon. Uznała, że to jej tylko uwydatni zmarszczki pod oczami, i zostawiła rozpuszczone. – No więc, czemu wróciłeś?

– Och, złożyło się na to kilka rzeczy naraz. Praktykując w wielkiej firmie prawniczej w Bostonie, trochę się wypaliłem. Wiesz, każdy dzień taki sam po pewnym czasie staje się udręką. A ponieważ zarobiłem wystarczająco dużo, postanowiłem spróbować czegoś innego. Zdaje się, że moja żona wpadła na ten sam pomysł, bo zaczęła próbować innego mężczyzny.

– Współczuję ci. – Tracy się skrzywiła.

– No, też sobie współczuję. – Wzruszył ramionami. – Kiedy jej zaproponowałem, że rzucę praktykę prawniczą, ona zaproponowała, żebyśmy rzucili siebie wzajemnie. Od ponad roku sypiała z jednym z moich kolegów. Przywykła do życia w country clubie i bała się to stracić.

Dan albo już się pogodził z bólem, albo dobrze go ukrywał, Tracy wiedziała jednak, że z pewną odmianą bólu nie da się pogodzić. Co najwyżej można go

ukrywać pod pozorami normalności.

– Jak długo byliście małżeństwem?

– Dwanaście lat.

– Masz dzieci?

– Nie.

Odchyliła się na krzesło.

– Ale dlaczego Cedar Grove? Dlaczego nie gdzieś... sama nie wiem.

Uśmiechnął się z rezygnacją.

– Myślałem o przeniesieniu się do San Francisco i rozejrzałem się po Seattle, ale potem zmarł tata, mama zachorowała i ktoś musiał się nią zaopiekować. Wróciłem z myślą, że tylko na jakiś czas. Po miesiącu uznałem, że umrę tu z nudów, jeśli nie zacznę czegoś robić, więc otworzyłem kancelarię. Zajmuję się głównie testamentami, warunkami zabudowy, czasami jazdą pod wpływem. Wszystkim, co zapuka do moich drzwi, jest nudne i gotowe zapłacić tysiąc pięćset dolarów honorarium.

– A co z mamą?

– Umarła nieco ponad pół roku temu.

– Przykro mi.

– Brak mi jej, ale przynajmniej mieliśmy czas lepiej się poznać... lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Jestem za to wdzięczny losowi.

– Zazdroszczę ci.

Dan zmarszczył brwi.

– Czemu tak mówisz?

– Od zniknięcia Sary mama i ja właściwie przestałyśmy się rozumieć, a potem jeszcze śmierć taty... – Zawiesiła głos, ale Dan nie podjął tematu. Ciekawe, ile wie, pomyślała.

– To musiało być dla ciebie okropne – powiedział.

– Było. Było strasznie.

– Mam nadzieję, że wczoraj ostatecznie zamknęłaś ten rozdział życia.

– Poniekąd.

– Na pewno nie masz ochoty na kawę? – spytał Dan, wstając.

Stłumiła uśmiech na myśl o tym, że wciąż jest tym samym małym chłopcem, który nie lubi poważnych rozmów i woli szybko zmienić temat.

– Nie, naprawdę dziękuję. Powiedz mi, w jakiej dziedzinie prawa się specjalizujesz?

Usiadł i złożył ręce na udach.

– Zacząłem od prawa antytrustowego, ale szybko doszedłem do wniosku, że można tam umrzeć z nudów. A potem jeden z kolegów włączył mnie do obrony w sprawie kryminalnej przeciwko białym kołnierzykom i stwierdziłem, że to mi naprawdę odpowiada. I jestem gotów stwierdzić, że byłem w tym dobry. – Wciąż

miął chłopięcy uśmiech.

– Założę się, że ława przysięgłych cię pokochała.

– „Pokochała” to za duże słowo. Prędeziej uwielbiała. – Parsknął śmiechem i w jego śmiechu też dosłyszała tamtego małego chłopca. – Bronilem dyrektora naczelnego wielkiej korporacji i gdy wygrałem sprawę, wszyscy koledzy w mojej firmie mający klientów przyłapanych na sięganiu do firmowego słoika z konfiturami lub krewnych, którzy za dużo wypili na firmowej imprezie choinkowej, zwalili się hurmem do mnie. Z tego urodziły się następne i jeszcze większe sprawy kryminalne i nim się obejrzałem, wyrobiłem sobie solidną markę specjalisty od obrony białych kołnierzyków. – Przekrzywił głowę, jakby próbował przejrzeć Tracy. – Dobra, teraz twoja kolej. Śledcza w wydziale zabójstw? No, no! A co z karierą nauczycielską?

Machnęła lekceważąco ręką.

– Wolisz tego nie słuchać.

– No, daj spokój. A gdzie twoje ambicje? Czy nie marzyłaś, żeby uczyć w liceum w Cedar Grove i chować tu swoje dzieci?

– Nie żartuj.

– Zaraz, przecież ja tu teraz mieszkam – obruszył się. – Czy nie powtarzałaś wciąż, że kiedyś będziesz tu uczyła, a ty i Sara zamieszkacie obok siebie, drzwi w drzwi?

– Przez rok tu uczyłam.

– W tutejszym liceum?

– U Walczących Rosomaków. – Zakrzywiła palce na kształt szponów.

– Niech zgadnę: uczyłaś chemii?

– Brawo! – Skinęła głową.

– Boże, byłaś takim kujonem!

– Ja, kujonem? – Skrzywiła się z udawanym oburzeniem. – To co mam powiedzieć o tobie?

– Ja byłem oferłą. Kujony są inteligentne. Istnieje subtelna różnica. Jesteś zamężna, masz dzieci?

– Rozwiedziona, bezdzietna – odparła.

– Mam nadzieję, że twoje małżeństwo zakończyło się lepiej od mojego.

– Wątpię. Ale przynajmniej krótko trwało. Uważał, że go zdradzałam.

– Uważał?

– Z Sarą.

Przyjrzał się jej z niedowierzaniem.

Uznała, że nadeszła odpowiednia chwila, i podniosła na niego wzrok.

– Rzuciłam uczenie w szkole i wstąpiłam do akademii policyjnej, Dan. Od ponad dziesięciu lat prowadzę własne dochodzenie w sprawie śmierci siostry.

– Ach! – sapnął.

Sięgnęła do aktówki, wyjęła teczkę z dokumentami i położyła na stole.

– Mam całe pudła zeznań świadków, zapisów rozpraw sądowych, wykazów materiałów dowodowych, wszystkiego. Brakowało mi danych kryminalistycznych z miejsca znalezienia zwłok, ale już je mam.

– Nie rozumiem. Przecież kogoś za to skazano, nie?

Kiwnęła głową.

– Edmunda House’a. Wypuszczonego z więzienia gwałciciela, który zamieszkał u swojego stryja w górach pod miastem. House był jak owoc na wyciągnięcie ręki, Dan. Odsiedział sześć lat w Walla Walla za seks z szesnastolatką. Sam miał wtedy osiemnaście. Początkowo oskarżono go o gwałt, uprowadzenie i napaść, potem jednak pojawiły się wątpliwości prawne co do dopuszczalności materiału dowodowego z szopy, w której ją przetrzymywał.

– Zabrakło nakazu?

– Sąd uznał, że szopa to przedłużenie budynku mieszkalnego i jej przeszukanie wymaga nakazu sądowego. Dowody zostały więc zdobyte w sposób nielegalny i sędzia ich nie dopuścił. Prokurator nie miał wyjścia i musiał pójść na polubowne załatwienie sprawy. Po zniknięciu Sary Calloway od razu wziął House’a na celownik, nie miał jednak żadnych dowodów na podważenie jego alibi, że tę noc spędził, śpiąc w domu. Jego stryj miał wtedy nocną zmianę w tartaku.

– No to co się zmieniło? – spytał Dan.

* * *

Gdy Tracy otworzyła drzwi wejściowe i ujrzała przed nimi podekscytowanego Callowaya, od zniknięcia Sary minęło już siedem tygodni.

– Muszę porozmawiać z twoim ojcem – rzucił i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Zapukał do drzwi gabinetu Jamesa Crosswhite’a i nie słysząc odpowiedzi, rozsunał je.

Ojciec Tracy uniósł głowę nad biurka i potoczył nieprzytomnym, przekrwionym wzrokiem. Ona wyminęła szeryfa i zabrała z biurka otwartą butelkę whisky i szklanekę.

– Przyszedeł Roy, tato – powiedziała.

Ojciec przez chwilę zmagał się z okularami i ostrymi promieniami światła wpadającymi przez okienne szybki w ołowianych ramkach. Od paru dni się nie golił, potargane włosy opadały na kołnierz pogniecionej i wyplamionej koszuli.

– Która godzina? – burknął.

– *Być może mamy przełom – oznajmił z naciskiem Calloway. – Jest świadek.*

James Crosswhite wstał, zachwiał się i oparł ręką o biurko, by odzyskać równowagę.

– *Kto? – zapytał.*

– *Akwizytor, który po drodze do Seattle przejeżdżał tamtędy w noc zniknięcia Sary.*

– *Widział ją?*

– *Pamięta wiśniowego vana Chevy. Pamięta też zaparkowanego przy drodze niebieskiego kampera.*

– *Dlaczego wcześniej się nie zgłosił? – wtrąciła Tracy. Specjalną linię dla dzwoniących w sprawie Sary dawno już zlikwidowano.*

– *Nic nie wiedział. Dwadzieścia pięć dni w miesiącu jest w drodze i podróże zlewają mu się w jeden ciąg. Mówi, że ostatnio widział komunikat o śledztwie i to zapaliło mu lampkę w głowie. Zadzwoił na policję i złożył oświadczenie.*

Tracy pokręciła głową. Od siedmiu tygodni śledziła wszystko, co pokazywano w tej sprawie, i ostatnio nie widziała żadnego nowego komunikatu.

– *Jaki komunikat?*

Szeryf obrzucił ją niechętnym spojrzeniem.

– *Po prostu wzmiankę w wiadomościach telewizyjnych.*

– *Na którym kanale?*

– *Tracy, proszę. – Ojciec uciszył ją gestem ręki. – To chyba powinno wystarczyć, nie? Bo to całkiem podważa alibi House'a.*

– *Vance ponownie występuje o wydanie nakazu przeszukania całej posiadłości i vana. Ekipa z Laboratorium Kryminalistycznego Stanu Waszyngton w Seattle tylko czeka na sygnał.*

– *Kiedy będzie wiadomo? – spytał ojciec.*

– *Powinniśmy coś wiedzieć w ciągu godziny.*

– *Jakim cudem mógł wcześniej nie wiedzieć? – wtrąciła znów Tracy. – Przecież mówili o tym we wszystkich lokalnych wiadomościach. Rozdawaliśmy ulotki. Nie widział ogłoszeń o nagrodzie dziesięciu tysięcy dolarów?*

– *Wciąż jest w podróży – powiedział Calloway. – Nie było go w domu.*

– *Przez siedem tygodni? – Popatrzyła na ojca. – To bez sensu. Pewnie chodzi tylko o pieniądze. – Ojciec i grupa przyjaciół z miasteczka wyznaczyli nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów za informację, która doprowadzi do aresztowania i skazania winnego uprowadzenia Sary.*

– *Tracy, jedź do domu i tam czekaj. – Ojciec nigdy nie nazywał domem kwatery, którą wynajęła, zaczynając pracę w liceum Cedar Grove. – Zadzwoń, jak będziemy coś więcej wiedzieć.*

– *Nie, tato. Nie chcę jechać, chcę tu zostać.*

Wziął ją za rękę i doprowadził do rozsuwanych drzwi. Z twardości uścisku dłoni wynikało, że jego decyzja nie podlega dyskusji.

– *Zadzwoń, jak tylko będziemy coś wiedzieć – powtórzył sucho, zasuwając za nią drzwi, po czym usłyszała szcęk przekręcanego zamka.*

Rozdział 18

Tracy podała Danowi kopię oświadczenia Ryana Hagen.

– To całkowicie podważa alibi House’a – powiedziała.

Włożył okulary i przeczytał oświadczenie.

– Nie wyglądasz na zbyt przekonaną – zauważył, podnosząc na nią wzrok.

– Przesłuchanie Hagen przez obrońcę House’a było dalekie od rzetelnego.

Nigdy go nie spytał o szczegóły tego komunikatu, nie zażądał przedstawienia rachunków. Akwizytorzy nigdy nie płacą z własnej kieszeni. Gdyby Hagen, tak jak twierdził, zatrzymał się po drodze, by coś zjeść i zatankować, miałby na dowód jakieś rachunki. Nie znalazłam żadnego.

Dan uniósł głowę i spojrzał na Tracy znad szkieł okularów.

– Ale oświadczenie tego koleśia wystarczyło, by puścić maszynę w ruch.

– Wystarczyło prokuratorowi okręgowemu do wystąpienia do sędziego Sullivana o wydanie nakazu przeszukania domu i samochodu stryja Edmunda House’a.

– Coś znaleźli?

– Włosy i ślady krwi. Calloway zeznał, że gdy poinformował House’a o znalezionych dowodach, ten zmienił swoją wersję. Oświadczył, że spotkał Sarę idącą poboczem drogi, wywiózł ją w góry, zgwałcił i udusił, po czym od razu zakopał jej ciało.

– To dlaczego go nie znaleziono?

– Calloway powiedział, że House odmówił wskazania miejsca zakopania ciała bez zawarcia układu, a bez dowodu w postaci ciała nie będą mogli go skazać.

Dan opuścił kartkę z oświadczeniem Hagen i wlepił spojrzenie w Tracy.

– Zaraz, moment, czegoś tu nie rozumiem. Jeśli się przyznał, to na jaki układ liczył?

– Dobre pytanie. W trakcie procesu House wszystkiemu zaprzeczył i nie przyznał się do winy.

Pokręcił głową, jakby wciąż nie mógł za nią nadążyć.

– Calloway go nie nagrał? Nie przedstawił sądowi podpisanego przyznania się do winy?

– Nie. Utrzymywał, że House tylko raz z tym wyskoczył, żeby go podrażnić, i już więcej tego nie powtórzył.

– A w trakcie procesu temu zaprzeczył?

– Właśnie.

– Chcesz powiedzieć, że jego obrońca zgodził się posadzić go na ławie oskarżonych w sytuacji, gdy oskarżenie miało sprawę czysto poszlakową, bez jakiegokolwiek materiału dowodowego z miejsca przestępstwa?

– To właśnie chcę powiedzieć.
– Jak House wyjaśnił te włosy i ślady krwi?
– Zeznał, że podrzucił je ktoś, kto próbował go zrobić.
– No, oczywiście. Wszyscy tak mówią – parsknął Dan. Tracy wzruszyła ramionami. – Wierzysz mu?
– Dostał dożywocie i to miało zagoić rany Cedar Grove. Ale nie zagoiło. Ani Cedar Grove, ani moich, ani mojej rodziny. Niczyich.
– Masz w tej sprawie wątpliwości.
– Od dwudziestu lat. – Podsunęła mu następną teczkę. – Spójrz na to.
Dan przesunął palec po górnej wardze.
– Czego po mnie oczekujesz? – spytał.
– Tylko obiektywnej opinii.
Nie odpowiedział od razu, nie zajął też do teczek.
– No dobra, spojrzę – rzucił w końcu.
Tracy wyjęła z torebki książeczkę czekową i długopis.
– Wspomniałeś, że twoje honorarium wynosi tysiąc pięćset dolarów?
Wyciągnął rękę przez stół i delikatnie dotknął jej dłoni. To ją zaskoczyło, a także to, że choć jego palce były długie i wątle, dłoń była twarda i szorstka.
– Nie biorę pieniędzy od przyjaciół, Tracy.
– Nie mogę oczekiwać, że będziesz pracował za darmo.
– A ja nie mogę przyjąć od ciebie pieniędzy. Więc jeśli chcesz poznać moją opinię, musisz schować tę książeczkę czekową. Kurczę, chyba jeszcze nigdy żaden adwokat nie powiedział czegoś takiego.
Roześmiała się.
– Mogę się jakoś inaczej odwdzięczyć?
– Zjedz ze mną kolację. Znam fajne miejsce.
– W Cedar Grove?
– Cedar Grove wciąż kryje w sobie parę tajemnic, zaufaj mi.
– Każdy adwokat tak mówi, nie?
* * *

Tracy wyszła z budynku banku i spojrzała na wystające nad chodnikiem mansardowe okno. Jak dotąd nie dzieliła się z nikim wynikami swojego dochodzenia. Bez materiału dowodowego z miejsca zakopania ciała nie miało to sensu. Jednak rewelacje Kelly Rosy wszystko zmieniły.

– Tracy? – Obok zaparkowanego na ulicy vana stała Sunnie Witherspoon z kluczykami w jednej ręce i plastikową torbą ze sklepu żelaznego w drugiej.

– Sunnie!

Sunnie cofnęła się na chodnik. Miała na sobie płócienne spodnie, bluzę i sweter, na głowie staranną fryzurę, na twarzy mocny makijaż.

- Myślałam, że już wyjechałaś.
- Miałam jeszcze parę spraw do załatwienia. Ale właśnie ruszam w drogę.
- Masz czas na kawę? – spytała Sunnie.

Tracy nie paliła się do rozgrzebywania wspomnień.

- Sądząc po wyglądzie, chyba dokądś się wybierasz – zauważyła.
- Nie, musiałam tylko wyskoczyć do żelazniaka po coś dla Gary’ego.

Zapadła niezręczna cisza i nie znajdując innego wyjścia, Tracy się poddała.

- A jest coś w pobliżu? – spytała.

Przeszły na drugą stronę ulicy do Dziennego Naparu, zamówiły po kawie i usiadły przy stoliku na zewnątrz, który aż się zachwiał pod ciężarem filiżanki Tracy. No i tyle co do zaleceń lekarza w sprawie ograniczenia ilości spożywanej kofeiny.

Sunnie usiadła naprzeciwko.

– To takie dziwne widzieć cię tu znowu – powiedziała z uśmiechem. – To znaczy jest mi bardzo przykro, że z takiego powodu, ale się cieszę. To była ładna uroczystość.

- Dzięki, że byłaś.
- Wszystko się zmieniło, prawda?

Słowa Sunnie zbiegły się z łyknięciem kawy i Tracy omal się nie zakrztusiła. Przelknęła i odstawiła filiżankę.

- Słucham?
- Po śmierci Sary wszystko jakoś się zmieniło.
- Chyba tak.

– Chociaż nie u mnie. – Sunnie smutno się uśmiechnęła. – Wciąż tu jestem i nigdy stąd nie wyjadę. A ty ani razu nie przyjechałaś na żaden szkolny zjazd – dodała.

- Nie przepadam za takimi spotkaniami.
- A ludzie o ciebie pytają. Wciąż mówią o tym, co się wydarzyło.
- Nie chcę o tym rozmawiać, Sunnie.
- Przepraszam, nie chciałam cię urazić. Nie musimy o tym mówić.

Porozmawiajmy o czymś innym.

Ale Tracy wiedziała, że Sunnie zaproponowała kawę głównie po to, by pogadać o zniknięciu Sary i tym, co wydarzyło się później. Nie chodziło jej o rozmowę o losach dwóch dawnych przyjaciółek, lecz o to, co spowodowało wielu mieszkańców miasteczka na uroczystości pogrzebowe kogoś, kogo rodzina praktycznie opuściła Cedar Grove dwadzieścia lat wcześniej. I nie dlatego, że Roy Calloway rozesłał w tej sprawie wici. Poszukiwania Sary i późniejszy proces sądowy dawały wszystkim temat do przemyśleń, ponieważ jednak Sara się nie odnalazła, sprawa pozostała żywa. Dla Sunnie i mieszkańców Cedar Grove była otwarta w takim samym stopniu, w jakim pozostała otwarta dla Tracy i jej

rodziców. Siedząc teraz twarzą w twarz z kimś, z kim niegdyś dzieliła się najtajniejszymi dziewczęcymi sekretami, Tracy nie potrafiła zdobyć się na to, by uprzedzić Sunnie, że być może przyjdzie im wszystkim przeżywać ten koszmar od nowa.

Rozdział 19

Tracy zgasila silnik i samochód potoczył się jeszcze kilka metrów na luzie. Rozejrzała się po ulicy rozświetlonej pełnią księżyca i wysiadła. Od procesu minął rok, a ona wciąż bała się cieni ukrytych za drzewami i mogących wyskoczyć z krzaków. W dzieciństwie ona i Sara nazywały takie cienie straszylami. Wtedy były to tylko wyimaginowane potwory, zrodzone w wyobraźni obu sióstr; teraz stawały się przerażająco realne.

Weszła po schodkach na ganek i włożyła klucz do otworu zamka. Zasuwa odskoczyła z głośnym trzaskiem i Tracy na moment zamarła, nasłuchując odgłosów ze środka. Nie słysząc nic, przyłożyła ramię do drzwi i zaczęła cisnąć. Drewno spaczyło się przez zimę i drzwi łatwo się nie poddawały, w końcu jednak udało się je poruszyć. Pchnęła i po cichu weszła do środka.

Niespodziewanie hol zalało światło i Tracy aż upuściła klucze.

– Jezu, ale mnie przestraszyłeś – pisnęła.

Ben siedział w fotelu ubrany w dżinsy i flanelową koszulę.

– Ja cię przestraszyłem? Wracasz do domu o tej porze, nie dzwonicz, nie zostawiasz żadnej wiadomości... I to ja ciebie przestraszyłem?

– Po prostu nie zauważyłam, że tu jesteś. Dlaczego siedzisz po ciemku? Dlaczego jesteś ubrany?

– Nie zauważyłaś, bo cię nie było w domu. Gdzie byłaś, Tracy?

– W pracy.

– O pierwszej w nocy?

– Wiesz, o czym mówię. Pracowałam nad sprawą Sary.

– Coś takiego!

– Ben, jestem zmęczona. – Nie chciała od nowa zaczynać dyskusji.

- *Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.*
- *Odpowiedziałam – rzuciła przez ramię i ruszyła w głąb domu.*
- *Nie. Powiedziałaś mi, co robiłaś, a ja cię pytałem, gdzie byłaś.*
- *Jest późno, Ben. Porozmawiajmy rano.*
- *Rano już mnie tu nie będzie.*

Tracy zawróciła, Ben wstał, a ona zauważyła, że ma na nogach buty.

- *Odchodzę. Nie potrafię tak żyć.*

Podeszła bliżej.

- *Ben, nie będzie tak zawsze. Po prostu potrzebuję jeszcze trochę czasu.*

- *Ile to jeszcze potrwa, Tracy?*

- *Nie wiem.*

- *I w tym problem.*

- *Ben...*

- *Wiem, gdzie byłaś.*

- *A co ty byś zrobił?*

- *Poszedłbym dalej. Ludzie tak robią.*

- *Moją siostrę zamordowano.*

– *Byłem tu, pamiętasz? Tkwiłem przy tobie dzień po dniu. Siedziałem obok ciebie przez calutki proces i byłem przy tobie podczas ogłaszania wyroku. Tylko ty tego nie zauważyłaś.*

Zrobiła jeszcze kilka kroków w jego stronę.

– *To o to chodzi? Chcesz, żebym ci poświęcała więcej uwagi?*

– *Jestem twoim mężem, Tracy.*

– *I powinieneś mnie wspierać.*

Ruszył do wyjścia.

– *Zamierzałem wyjechać rano. Mój samochód jest spakowany i gotowy do drogi, więc chyba najlepiej zrobię to od razu. Bo oboje możemy powiedzieć coś, czego później będziemy żałować.*

– *Ben, jest noc. Wstrzymaj się z tym do rana. Możemy to jeszcze omówić.*

Położył rękę na klamce.

– *Co on ci powiedział?*

– *Co?*

– *Co powiedział ci Edmund House?*

Widać pojechał za nią do więzienia.

– *Próbowałam go wypytać. Spytałam, jak Calloway zareagował na jego przyznanie się do zabicia Sary. I spytałam go o biżuterię.*

– *A spytałaś, czy ją zabił?*

– *On jej nie zabił, Ben. Te dowody...*

– *Ława przysięgłych go skazała. Dlaczego ci to nie wystarczy?*

– *Bo dowody jego winy są lipne. Wiem to.*

– *I do rana to się zmieni? Czy mogę jeszcze coś powiedzieć, co cię powstrzyma?*

Dotknęła rękawa jego koszuli.

– Ben, nie kaź mi wybierać. Proszę, nie kaź mi wybierać między tobą a siostrą.

– Ja bym nigdy tego nie zrobił. Sama do tego doprowadziłaś. – Otworzył drzwi i wyszedł.

Tracy wyszła za nim na ganek, czując nagły przyptyw strachu.

– Ben, kocham cię. Poza tobą nie ma nikogo innego.

Zatrzymał się i chwilę milczał, po czym odwrócił się twarzą do niej.

– Właśnie, że jest. I dopóki się od obojga nie uwolnisz, dla mnie nie ma miejsca. Dla nikogo innego

Podbiegła i go objęła.

– Ben, proszę. Znajdziemy jakieś wyjście.

Położył jej ręce na ramionach.

– To jedź ze mną.

– Co?

– Przez godzinę cię spakujemy. Pojedź ze mną.

– Dokąd?

– Byle dalej stąd.

– Ale moi rodzice...

– Nie chcę mieć ze mną nic wspólnego, Tracy. To przeze mnie zostawiłaś wtedy Sarę samą. To przeze mnie ona nie żyje. Nawet nie chcę ze mną rozmawiać. Z tobą też już prawie nie rozmawiają. Nic mnie tu nie trzyma.

– Nie mogę, Ben – powiedziała, odsuwając się.

– Nie możesz czy nie chcesz? – Jego oczy wypełniły się łzami. – Cząstka mnie

zawsze będzie cię kochała, Tracy. To jest ten ból, który muszę w sobie zwalczyć. I nie uda mi się tego zrobić tutaj. Ty masz swój ból, z którym musisz się uporać, i myślę, że tobie też się to nie uda tutaj, ale do tego musisz już dojść sama.

Wsiadł do pick-upa i zatrzasnął drzwi. Jeszcze przez chwilę miała nadzieję, że może się zreflektuje, otworzy je i wysiądzie. On jednak uruchomił silnik, obrzucił ją ostatnim spojrzeniem i wyjechał tyłem na drogę, zostawiając ją samą przed domem.

Rozdział 20

Tracy wyczuła, że zbliżający się samochód zwalnia, i odruchowo sięgnęła do torebki po glocka. Samochód zrównał się z nią i zatrzymał. W środku siedział Roy Calloway z łokciem wystawionym przez okno.

– Tracy.

Zdjęła dłoń z pistoletu.

– Śledzisz mnie, szeryfie?

– Sądziłem, że wyjechałaś z Cedar Grove.

Powiodła wzrokiem po otaczającym ją parkingu.

– Wyjechałam. Jestem w Silver Spurs. A ty co tu robisz?

Calloway przestawił dźwignię na PARK i wysiadł, zostawiając silnik na chodzie i otwarte drzwi. Z krótkofalówki na desce rozdzielczej płynął szmer rozmów.

– Ptaszki ćwierkają, że gadasz z ludźmi.

– To chyba normalne po długiej nieobecności. A tobie co do tego?

– Chciałbym wiedzieć, o czym z nimi rozmawiałaś.

Miała ochotę się postawić, pokazać, że już nie jest małą dziewczynką, którą da się łatwo zastraszyć, ale to by zapewne doprowadziło do konfrontacji, a ona była fizycznie i umysłowo skonana. Marzyła tylko o powrocie do pokoju i położeniu się spać.

– Nie uważam, aby to była twoja sprawa, chyba że chcesz mi powiedzieć, że rozmowa z mieszkańcami Cedar Grove to przestępstwo. – Ruszyła schodkami do wejścia. – Jestem zmęczona i chciałabym wziąć gorący prysznic.

– O czym rozmawiałaś z Danem O’Learym?

– O dawnych czasach. Odbyliśmy spacer po ścieżce wspomnień.

– Czyżby?

– Niczego więcej się ode mnie nie dowiesz.

– Tracy, do diabła, nie bądź tak cholernie uparta! – prychnął.

Usłyszała w jego tonie taką zawziętość, że stanęła i odwróciła się do niego. Twarz Callowaya nabrała cholerycznej, sinoczerwonej barwy, co znanemu jej szeryfowi sprzed lat nigdy się nie zdarzało. Może dlatego, że tamten Calloway zawsze stawiał na swoim. Chyba odzyskując panowanie, spokojniejszym tonem dodał: – Zdaje ci się, że tylko ty jedna cierpiałaś? Pomyśl o tych wszystkich, którzy przyszli wczoraj, żeby ją pożegnać.

Zeszła ze schodków i stanęła tuż przed nim.

– Roy, czy miałeś z tym coś wspólnego?

– Ludzie chcą już zamknąć ten rozdział, Tracy. Chcą, żeby to się skończyło.

– Ludzie chcą czy ty chcesz?

Wycelował w nią palec.

– Zrobiłem, co do mnie należało. Ty bardziej niż inni powinnaś to wiedzieć. Kierowałem się dowodami, Tracy.

– Nie doprowadziły cię do znalezienia ciała.

– Przyznaję, że nie.

– Ale już je mamy.

– Właśnie. Odnaleźliśmy Sarę. Więc pozwólmy martwym pogrzebać martwych.

– Już mi to kiedyś powiedziałeś, pamiętasz? Ale czegoś się od tamtej pory nauczyłam. Martwi nie grzebią martwych. Mogą to zrobić tylko żywi.

– A ty pogrzebałaś siostrę, złożyłaś ją na spoczynek. Jest teraz z twoimi rodzicami. Więc daj sobie spokój, Tracy. Po prostu odpuść.

– Dajesz mi polecenie, szefie?

– Pozwól, że coś ci wyjaśnię. Może jesteś ważnym detektywem od zabójstw w Seattle, ale twoja władza tu nie sięga. Tu jesteś zwykłą obywatelką. A ja reprezentuję prawo. Chciałbym, żebyś o tym pamiętała i nie uganiała się za duchami.

Wiedziała, że Calloway nie może jej nic zrobić, i to jej pomagało trzymać nerwy na wodzy. Blefował, uciekał się do czczych pogrózek. Próbował coś z niej wydobyć, na tyle ją zdenerwować, by się wygadała, co robiła i po co.

– Nie zamierzam się uganiać za duchami – powiedziała.

Przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu.

– Czyli mogę przyjąć, że wkrótce wrócisz do Seattle, tak?

– Tak, wkrótce wrócę do Seattle.

– To dobrze. – Skinął jej głową na pożegnanie, wsiadł do samochodu i zatrzaskał drzwi. – No to szczęśliwej drogi do domu.

Jeszcze przez chwilę patrzyła za odjeżdżającym SUV-em, któremu przed skrętem na moment rozblęły światła stop, po czym auto zniknęło za rogiem.

– Za żadnymi duchami, Roy – mruknęła pod nosem. – Nie szukam duchów, szukam mordercy.

* * *

Ruszyła po schodkach, gdy nagle coś jej zaświtało. Sięgnęła do torebki, wyjęła komórkę i wizytówkę Dana, pobiegła do swojego pokoju i wybrała numer. Dan odebrał po trzecim sygnale.

– Dan? Tu Tracy.

– Chyba nie należysz do tych klientek, które bez przerwy dzwonią, co? Bo jeśli tak, to nie mam nic przeciwko temu. Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

– Masz moją teczkę z papierami?

– Leży przede mną na kuchennym stole. Spędziliśmy z sobą całe popołudnie.

A co, co się stało?

Odetchnęła z ulgą.

– Bo jeździ za mną Roy Calloway. Wiedział, że z tobą rozmawiałam, i był bardzo ciekaw o czym.

– Co to znaczy, że za tobą jeździ?

– Zaczepił mnie pod moim motelem w Silver Spurs i chciał koniecznie wiedzieć, po co u ciebie byłam. Próbował z tobą rozmawiać?

– Nie, ale wcześniej wyszedłem z kancelarii. Do tego momentu go nie było.

Dlaczego nocujesz w Silver Spurs?

– Bo nie chciałam zostać w Cedar Grove. Po pogrzebie nie byłam w stanie.

– Nie to miałem na myśli. Dlaczego nie wróciłaś do Seattle? – Zamilkł, ale nie odpowiedziała od razu, więc dodał: – Bo czułaś, że zadzwonię, prawda?

W sprawie twojej teczki.

– Sądziłam, że możesz zadzwonić.

– Gdzie w Silver Spurs się zatrzymałaś?

Spojrzała na wywieszkę przy kluczu, prawdziwym staromodnym kluczu, nie karcie magnetycznej.

– Evergreen Inn.

– Wymelduj się. Możesz spać u mnie. Mam dodatkowy pokój.

– Tu jest w porządku, Dan.

– Zapewne, ale posiedziałem trochę nad tymi materiałami z twojej teczki.

Nie wgrzyłem się w nie zbyt głęboko, lecz na tyle, by mieć wiele pytań.

Poczuła tak dobrze jej znany zastrzyk adrenaliny.

– Jakich pytań?

– Chciałbym przejrzeć całą resztę tego, co masz w tej sprawie.

– Mogę ci to wysłać.

– Kiedy indziej. Dziś wymelduj się ze swojej nory i przyjeżdżaj. Nie ma żadnego powodu, żebyś musiała mieszkać w motelu.

Nie była do końca pewna, jak ma rozumieć jego zaproszenie. Czy to znaczyło, że się o nią zaniepokoił w związku z Callowayem, czy odkrył coś w jej papierach? Czy jest tylko kolegą z dzieciństwa, który chce jej okazać gościnność, czy kieruje nim coś innego? Na przykład przyciąganie, jakie sama poczuła, gdy Dan podszedł do niej na cmentarzu i cmoknął ją w policzek. Rozsunęła zasłony i spojrzała przez okno na wysypany żwirem parking i ciągnący się w głębi szpaler drzew, których pnie zaczynały się już rozmazywać w wieczornym mroku.

– A poza wszystkim jesteś mi winna kolację – dodał Dan.

– Gdzie się spotkamy?

– Pamiętasz drogę do domu moich rodziców?

– Jakbym tam była wczoraj.

– To na ciebie czekam. Mam tu najlepszy w mieście system alarmowy.

Rozdział 21

Tracy usłyszała alarm już na podjeździe do rodzinnego domu Dana O’Leary’ego, choć samego domu nie rozpoznała. W miejsce dawnego parterowego, przypominającego domek kempingowy z płyt paździerzowych, stał teraz okazały piętrowy dom ze spadzistym dachem, wysokim kominem, mansardowymi oknami i werandą zastawioną kompletem mebli tarasowych; przed frontem rozpościerał się duży zadbanej trawnik. Płyty paździerzowe ustąpiły miejsca bladoniebieskim gontom z szarymi wykończeniami, nadając całości styl jakby przeniesiony ze Wschodniego Wybrzeża.

Dan otworzył drzwi i wyszedł na tonącą w księżycowym blasku werandę w towarzystwie dwóch dużych psów. Wyglądały na karmione steroidami buldogi, miały płaskie czarne pyski i krótką sierść uwydatniającą ich muskularne, szerokie klatki piersiowe. Usiadły po bokach Dana, a on stanął między nimi niczym posąg egipskiego faraona.

Tracy wysiadła z samochodu i powiesiła sobie na ramieniu torbę podróżną.

– Nic mi nie zrobią?

– Jeśli zostaniesz im odpowiednio przedstawiona, to nie.

Dan wyglądał dość luzacko. Miał na sobie sprane dżinsy z dziurą na kolanie, biały T-shirt pod wyciętym w serek czarnym sweterkiem i był boso.

– Nie bardzo mi się to podoba – mruknęła, ruszając kamienną ścieżką pośród gęstego, soczyście zielonego trawnika, który wyglądał i pachniał tak, jakby dopiero co został skoszony.

– Wyciągnij rękę i pozwól im powąchać wierzch dłoni.

– Naprawdę mi się to nie podoba.

– Nie wygłupiaj się.

Gdy Tracy wysunęła rękę, mniejszy z psów wyciągnął szyję i dotknął jej zimnym nosem.

– To jest Sherlock – przedstawił go Dan.

– Chyba żartujesz? – „Nie pieprz, Sherlocku” było kiedyś jednym z ulubionych powiedzonek Dana.

Przeniósł wzrok na drugiego psa.

– A to jest...

– Niech zgadnę, Ex-Lax2 – przerwała mu. Powiedzonkiem Dana numer dwa było: „Poszło ci gładko jak po Ex-Laxie”.

– No, to już byłaby przesada. Nie, ten duży kolega nazywa się Rex, jak T-rex. – Rex nie powąchał jej dłoni. – Jest bardziej nieufny niż Sherlock.

– Jaka to rasa?

– Mieszance rodezyjczyków i mastifów. Razem ważą sto trzydzieści kilo

i jedzą dwa razy więcej ode mnie. Proszę, wchodź i zabierz je z sobą. Wstawię twój samochód do garażu, na wypadek gdyby ktoś się interesował. – Zauważyła wolno stojący garaż w głębi posiadłości.

Weszła do salonu z kanapą w kształcie litery L ustawioną przodem do kominka, nad którym wisiał wielki płaskoekranowy telewizor. Salon łączył się z kuchnią ze stołem i krzesłami, granitowymi blatami, stołkami barowymi i tradycyjnym żarowym oświetleniem. O zlewozmywak stało opartych kilka różnych kafelków. Dan zamknął drzwi wejściowe i wręczył jej kluczyki.

– Widzę, że odnawiasz – zauważyła.

– To za mało powiedziane. Po czterdziestu latach potrzebny był generalny remont.

Przeszedł do kuchni, ale psy zostały obok Tracy, nie spuszczać z niej wzroku. Położyła torebkę na stołku barowym.

– Zamierzasz tu zostać na stałe? – spytała.

– Po tym wysiłku, jaki w to włożyłem, należy mi się chwila relaksu.

– Wszystko sam zrobiłeś?

– Nie wiem, czemu aż tak się dziwisz – odparł, otwierając lodówkę.

– Po prostu nie zapamiętałam cię jako majsterkowicza.

– Nie uwierzysz, na co człowieka stać, kiedy się nudzi, jest zmotywowany i ma dostęp do internetu – powiedział zza otwartych drzwi lodówki. – Jesteś głodna?

– Tylko nie rób sobie kłopotu.

– Żaden kłopot. Mówiłem ci, że znam świetną restaurację. – Wyłonił się zza drzwi z tacą z czterema surowymi hamburgerami. – Właśnie planowałem zrobić moje słynne na cały świat cheeseburgery z bekonem.

– Już czuję, jak na samą zapowiedź zatykają mi się arterie.

– Tylko mi nie mów, że stałaś się jedną z tych dziobiących ziarno weganek.

– Przy moim kalendarzu zajęć? Dobrze, jeśli zdarzy mi się trafić na jakiegokolwiek warzywo poza plasterkiem pomidora na hamburgerze.

– Ściśle mówiąc, pomidor to owoc.

– Wszystko jedno. A co, ogrodnikiem też jesteś?

– Jak będziesz grzeczna, to po kolacji pokażę ci mój ogród warzywny.

– Chyba naprawdę musiałeś się cholernie nudzić. – Obeszła kuchenną wyspę i stanęła po jego stronie blatu. – W czym mogę ci pomóc? – Dan był o dobre dziesięć centymetrów wyższy od niej, a sweterek uwydatniał jego szerokie bary i umięśnioną klatkę piersiową. Dała mu żartobliwego kuksańca i trafiła w twarde jak skała tors. – Chyba pamiętam chłopca z grubszą warstwą tłuszczu. I wiem, że to nie tylko kwestia diety.

– Tak, no cóż... Niektórzy nie mieli szczęścia urodzić się z długimi nogami i umięśnieniem Crosswhite'ów.

- Więc ci powiem, że regularnie ćwiczę cztery razy w tygodniu – oznajmiła.
- Więc ci powiem, że to widać.
- O Boże, plotę jak baba w średnim wieku, która doprasza się komplementów.
- Jeśli tak, to ze mną ci się udało. Chodź, pokażę ci twój pokój. Możesz wziąć gorący prysznic i zrelaksować się, a ja w tym czasie przygotuję kolację.
- Brzmi wspaniale. – Chwyciła torbę i poszła za nim na górę.
- Mam na ciebie zaczekać z kieliszkiem czerwonego wina czy mi powiesz, że alkoholu też nie pijesz?
- Piję tylko taki, który człowiekowi wychodzi na zdrowie.

Weszła za nim do pokoju na górze i raz jeszcze z podziwem przyjrzała się wystrojowi. W pokoju stało staromodne łóżko z ramą z giętego żelaza, wnętrze zdobiły amerykańskie antyki z czasów pionierskich – w jednym kącie wielka krzaczasta miotła, w drugim rondel z pokrywą i długą rączką do rozgrzewania pościeli. Nad łóżkiem wisiał obraz przedstawiający kobietę rozpalającą ogień w mrocznej chacie.

– Dobra, we własnoręczny remont uwierzę – powiedziała Tracy, rzucając torbę na łóżko – ale w życiu nie ty wymyśliłeś ten wystrój. – Była pewna, że usłyszy, że to jego dziewczyna.

– Zasługa „Sunset Magazine”. – Wzruszył ramionami. – Mówiłem ci, że się nudziłem. – Wszedł, zamykając za sobą drzwi.

Tracy usiadła na łóżku i zamyśliła się nad ich droczeniem się. Trochę nawiązywało do dawnych rozmów, choć Dan niewątpliwie był pewniejszy siebie i miał szybszy refleks niż kiedyś. Myślała o tym, uśmiechając się w duchu. Czy z nią flirtuje, czy jego docinki są tylko dorosłą wersją ich utarczek słownych z czasów dzieciństwa? Już dawno nikt z nią nie flirtował i nie była pewna.

– Więc ci powiem, że to widać – mruknęła pod nosem, krzywiąc się na sam dźwięk tych słów. – Tak się wygląda w potrzebie.

* * *

Tracy wyszła spod prysznicza i jeszcze dotkliwiej odczuła swój ograniczony wybór garderoby. W końcu postanowiła nie wpuszczać bluzki do dzinsów i zostawić ją na wierzchu, by choć trochę zmienić wygląd, a także ściągnąć włosy w koński ogon i nie przejmować się zmarszczkami pod oczami. Nałożyła tusz na rzęsy i cienie na powieki, kapnęła kilka kropli perfum na kark i nadgarstki i zeszła na parter, wiedziona zapachem hamburgerów i skwierczącego pod grillem bekonu. Z telewizora dobiegał głos komentatora, który omawiał poszczególne zagrania uczelnianych drużyn futbolowych.

Dan stał przy blacie i ubijał coś w szklanej misce drucianą trzepaczką. Przed nim leżał kruchy spód z masą cytrynową.

– Robisz placek bezowy z cytrynowym nadzieniem?

Przyciszył głos w telewizorze.

– Nie naigrawaj się. To przepis mojej matki i tak się składa, że mój ulubiony. I jeśli uda mi się ubić kiedyś te cholerne białka, to dowiesz się dlaczego.

– Używasz niewłaściwej miski.

Dan spojrzał na nią podejrzliwie.

– Jakim cudem to może być niewłaściwa miska?

Tracy przeszła na jego stronę wyspy.

– Gdzie trzymasz resztę naczyń? – spytała.

Pokazał ręką szafkę pod blatem. Tracy znalazła miedzianą miskę, przelała do niej białka i wzięła do ręki trzepaczkę. W ciągu paru minut białka zamieniły się w sztywną białą pianę.

– Pani Allen byłaby niepokieszona. Nic nie zapamiętałeś z jej lekcji chemii?

– Czy to nie na tych zajęciach ściągałem od ciebie?

– Ściągałem ode mnie na wszystkich zajęciach.

– No i patrz, na co mi przyszło. Nie umiem nawet ubić białek.

– Sekret tkwi w reakcji jednej z protein w kurzym białku z powierzchnią miedzianej miski. Taki sam efekt uzyskasz w posrebrzanej. – Dosypała odmierzony przez Dana cukier, wymieszała, nałożyła pianę na cytrynowe nadzienie, wsunęła całość do piekarnika i nastawiła zegar. – Czy nie obiecywałeś mi przypadkiem wina?

Napełnił dwa kieliszki, jeden wręczył jej, drugi uniósł w geście toastu.

– Za starych przyjaciół.

– Mów za siebie.

– Jesteśmy w tym samym wieku.

– Nie słyszałeś? Czterdziestka to teraz nowa dwudziestka.

– Niestety, to nie dotarło jeszcze do moich pleców i kolan. – Ponownie uniósł kieliszek. – Za dobrych przyjaciół.

– Tak już lepiej.

Przeszła na drugą stronę wyspy i usiadła pod lampą, przyglądając się, jak Dan przewraca krążki opiekanej pod grillem cebuli. Czowała rozchodzący się słodkawy aromat.

– Mogę cię o coś spytać?

– Jestem otwartą księgą.

– Mieszkasz sam w tym domu?

– Tylko ja i moi dwaj kumple. – Oba psy przysiadły na brzegu kamiennej podłogi i obserwowały swojego pana i jego ruchy przy lodówce.

– To po co to wszystko?

Otworzył lodówkę.

– Masz na myśli odnawianie?

– Wszystko. Remont, wystrój wnętrza, dwa psy. Musiało cię to kosztować mnóstwo wysiłku.

Wyjął słoik korniszonów i pomidora i położył na plastikowej desce do krojenia.

– Kosztowało. I dlatego to zrobiłem. Przeszedłem przez etap uzalania się nad sobą, Tracy. Kiedy człowiek się dowiaduje, że żona go zdradza, nie poprawia to własnej samooceny, więc przez pewien czas uzalałem się nad sobą. A potem wściekłem się na cały świat. Na nią i na mojego kolegę, że z nią sypiał. – Wyciągnął ze słoika korniszona i nie przestając mówić, zaczął go kroić. – Kiedy umarła mama, znalazłem się w jeszcze głębszym dołku. Któregoś ranka obudziłem się i uznałem, że mam dość gapienia się na wciąż te same cholerne ściany. Poszedłem do szopy, wyjąłem stary młot kowalski taty i zacząłem je rozwalać. Im bardziej je rozwalałem, tym lepiej się czułem. A jak już wszystkie rozwałem, to nie miałem wyjścia i musiałem zacząć budować od nowa.

– I na tym polegała twoja odmiana.

Oplukał pomidora pod kranem i zaczął go kroić na równe plasterki.

– Wiem tylko tyle, że im dłużej budowałem, tym bardziej sobie coś uświadamiałem: to, że życie nie ułożyło się po mojej myśli, jeszcze nie znaczy, że już nic nigdy mi się nie uda. Chciałem mieć dom. Chciałem mieć rodzinę. Nie było widoków na znalezienie nowej żony i szczerze powiem, że nawet specjalnie jej nie szukałem. Wtedy kupiłem Rexa i Sherlocka i razem stworzyliśmy dom. – Na dźwięk swoich imion oba psy cicho zaskomlały.

– Od czego zacząłeś?

– Od jednego młota i jednej stalowej kuli do rozwalania.

– Rozmawiasz nieraz ze swoją byłą?

– Od czasu do czasu dzwoni. Z moim kolegą jej się nie ułożyło.

– Chce, żebyś do niej wrócił?

Łopatką przeniósł burgery na talerze.

– Myślę, że początkowo próbowała mnie wysondować. Chyba brakowało jej życia w country clubie. Szybko się jednak zorientowała, że ten, za którego wyszła, już nie istnieje.

Tracy się uśmiechnęła.

– Myślę, Dan, że twój gotowy produkt wygląda bardzo apetycznie.

Przerwał przenoszenie plasterków pomidora i korniszona z deski na talerze.

– No nie – jęknął.

– Co się stało?

– Czy nie zabrzmiało to jak gadka do faceta w średnim wieku, który doprasza się komplementów?

Rzuciła w niego kulka z papierowej serwetki.

Nakrył do stołu, kiedy była pod prysznicem, teraz dostawił półmisek

z hamburgerami i miskę z sałatą.

- No jak, może być? – spytał.
- Znów dopraszasz się komplementów?
- Zgadłaś.
- Wygląda rewelacyjnie.

Tracy zaczęła nakładać sobie na talerz dodatki na hamburgera.

– Dobra, teraz moja kolej – rzucił Dan. – Wciąż jeszcze startujesz w tych turniejach strzeleckich?

- Tak naprawdę to nie mam za dużo wolnego czasu.
- Ale byłaś w tym dobra.
- Wiąże się z tym zbyt wiele bolesnych wspomnień. Ostatni raz widziałam Sarę na mistrzostwach w Olympii w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim.

- Czy z tego samego powodu nie wróciłaś do Cedar Grove?
- Po części.
- I teraz chcesz te wspomnienia od nowa rozgrzebać.
- Nie rozgrzebać, Dan. Mam nadzieję ostatecznie je pogrzebać.

Rozdział 22

Po kolacji Tracy przeszła do salonu i wzięła do ręki oparty o ścianę kij golfowy. Dołek na drugim końcu wąskiego pasa trawiastej wykładziny przypominał blaszaną popielniczkę.

– Grywasz? – Dan stał w kuchni, wycierając resztę naczyń i rozkładając je po szafkach.

Ustawiła piłeczkę, uderzyła i patrzyła, jak się toczy po wykładzinie, ześlizguje na posadzkę i uderza z głośnym stukotem w drewnianą listwę, a Rex i Sherlock zrywają się ze swych legowisk.

– Jak już wspominałam, nie mam za dużo czasu na rozrywki.

– Szybko byś opanowała. Zawsze miałaś sportową żyłkę.

– To było dawno temu.

– Bzdura! Potrzebny ci tylko dobry instruktor.

– Tak sądzisz? Chcesz mi kogoś polecić?

Odłożył na blat miskę, przeszedł do salonu i ustawił następną piłeczkę przy jej stopach.

– Stań nad nią.

– Będziesz mnie teraz uczył?

– Płaciłem kupę forsy za członkostwo w country clubie, więc się zawniżyłem, żeby coś z tego mieć. No dalej, stawaj nad piłeczką.

– Raczej nie.

– Stopy rozstawione na szerokość ramion.

– Mówisz poważnie?

– Jestem poważnym człowiekiem.

– Nie takiego cię pamiętam.

– Tak, ale już ci mówiłem. Zmieniłem się. Teraz jestem zaprawionym w bojach prawnikiem.

– A ja przeszłam kurs walki wręcz.

– Będę o tym pamiętał, gdybym potrzebował kogoś do ochrony. Teraz się obróć. Stopy rozstawione na szerokość ramion.

Uśmiechnęła się i wykonała polecenie. Dan stanął tuż za nią, oplótł rękami jej ramiona i dotknął jej dłoni, korygując chwyt.

– Rozluźnij się. Zrelaksuj. Udusisz ten kij.

– Zdawało mi się, że należy usztywnić ramiona – rzuciła, czując ogarniające ją ciepło.

– Ramiona tak, ale nie dłonie. Dłonie luźno. Miękki chwyt.

Poczuła jego ręce na swoich dłoniach, ciepły oddech na karku, cichy głos tuż przy uchu.

– Ugnij kolana. – Stuknął kolanami w jej kolana, by zmusić je do ugięcia.

Roześmiała się.

– No, już dobrze, dobrze.

– Teraz łagodny, spokojny wymach tam i z powrotem, jak wahadło.

– To do mnie przemawia.

– Też tak pomyślałem.

Poprowadził jej ręce do tyłu i lekko do przodu. Główka kija uderzyła w piłeczkę, a ta potoczyła się po zielonej wykładzinie. Tym razem uderzyła w blaszaną miseczkę, jej boki się złożyły, piłeczka wtoczyła się do środka i znieruchomiła.

– Hej! – wykrzyknęła Tracy. – Udało mi się!

– No widzisz? – Dan nie wypuszczał jej z objęć. – Może w chemii nie jestem najlepszy, ale czegoś mogę cię nauczyć.

Przymknęła oczy i puściła wodze fantazji. Jakby się zachowała, gdyby Dan nagle ją pocałował w szyję. Na samą myśl zrobiło jej się miękko w kolanach.

– Tracy?

– Mhm.

– Może powinniśmy pogadać o twoich papierach? – powiedział, puszczając ją.

– Tak, myślę, że powinniśmy. Ale najpierw do łazienki.

– Pod schodami.

Odszukała łazienkę, zamknęła się i oparła rękami o brzeg umywalki. Z lustra patrzyła na nią twarz z płonącymi policzkami. Chwilę postąpiła, by się uspokoić, potem odkręciła kran i spryskała twarz zimną wodą. Wytarła ręce w ręcznik z logo Red Soxów i wróciła do kuchni.

Stojąc przy stole, Dan przerzucał kartki notatnika ze swoimi zapiskami. Na środku stołu leżała otwarta teczka z papierami Tracy, obok stały kieliszki na nowo napełnione winem.

– Nie przeszkadza ci, że będę stał? – zapytał. – Lepiej mi się myśli na stojąco.

– Czuj się jak u siebie w domu. – Usiadła przy stole i z uczuciem wdzięczności łyknęła wina.

– Muszę ci się przyznać – zaczął Dan – że gdy przyszedłeś do mnie dziś rano, byłem dość sceptyczny. Tak naprawdę myślałem, że mnie podpuszczasz.

– Wiem.

– Tak łatwo można mnie przejrzeć?

– Jestem detektywem, Dan. – Odstawiła kieliszek. – Na twoim miejscu też bym miała wątpliwości. Pytaj, o co chcesz.

– Zacznijmy od tego akwizytora, Ryana Hagena.

* * *

Vance Clark wstał od stołu.

– Oskarżenie wzywa na świadka Ryana P. Hagen.

Edmund House, siedzący przy stole obok w towarzystwie obrońcy z urzędu – wieloletniego mieszkańca Cedar Grove, mecenas DeAngelo Finna – po raz pierwszy od wprowadzenia w kajdankach na salę rozpraw podniósł głowę. Gładko ogolony i z przyciętymi krótko włosami, w szarych spodniach i białej koszuli z kołnierzykiem wystającym z wycięcia czarnego swetra, wyglądał bardziej na uczniaka ze Wschodniego Wybrzeża niż na zabójcę. Przez chwilę wpatrywał się w Hagen ubranego w spodnie khaki, niebieską sportową marynarkę i wzorzysty krawat, po czym powiódł wzrokiem po zatłoczonej galerii i zatrzymał go na Tracy. Przebiegł ją dreszcz i nerwowo ścisnęła dłoń Bena.

– Dobrze się czujesz? – szepnął Ben.

Hagen pchnął bramkę w barierce i zajął miejsce dla świadków. Miał rzednącą czuprynę z przedziałkiem pośrodku i Tracy pomyślała, że trochę przypomina jej elfa. Vance Clark wypytał świadka o szczegóły jego pracy akwizytora części samochodowych i ustalił, że obowiązki służbowe każą mu spędzać dwadzieścia pięć dni w miesiącu w podróży po stanach Waszyngton, Oregon, Idaho i Montana.

– I nie ma w tym nic niezwykłego, że nie jest pan na bieżąco z lokalnymi wiadomościami?

– Chyba że dotyczą drużyn baseballowych Sonics lub Mariners. – Hagen miał przytulny uśmiech komiwojażera i wyglądało na to, że bycie w centrum zainteresowania tak dużej grupy osób bardzo mu odpowiada. – Nieczęsto zaglądam do prowincjonalnych gazet lub oglądam w hotelu lokalne wiadomości. Zwykle szukam jakiegoś meczu.

– Nie wiedział pan nic o uprowadzeniu Sary Crosswhite?

– Nic o tym nie słyszałem.

– Czy może pan opowiedzieć ławie przysięgłych, jak pan się o tym dowiedział?

– *Jasne. – Hagen zwrócił się do przysięgłych, pięciu kobiet i siedmiu mężczyzn, samych białych. Dwóch rezerwowych siedziało na krzesłach tuż pod barierką. – Któregoś wieczoru o wyjątkowo przyzwoitej porze wróciłem do domu od klienta. Usiadłem z piwem na kanapie, zacząłem oglądać mecz Mariners i wtedy w przerwie podali wiadomość o zaginięciu kobiety w Cedar Grove. Mam w tych stronach wielu klientów, więc zacząłem uważnie słuchać. Pokazali jej zdjęcie.*

– *Rozpoznał pan tę kobietę?*

– *Nigdy wcześniej jej nie widziałem.*

– *Co było potem?*

– *Powiedzieli, że od dłuższego czasu jej nie ma, a potem pokazali na zdjęciu jej pojazd, porzuconego na bocznej drodze niebieskiego forda. To odświeżyło mi pamięć.*

– *W jakim sensie odświeżyło, panie Hagen?*

– *Przypomniałem sobie, że już ten pojazd widziałem. Byłem pewny, że to był ten kamper, którego pewnego wieczoru widziałem, wracając do domu od klientów w rejonie północnym. Zapamiętałem go, bo teraz ludzie jeżdżą autostradą i mało kto używa bocznych dróg, zwłaszcza że lało wtedy jak z cebra. Nawet pomyślałem, że ktoś miał wyjątkowego pecha, żeby się rozkraczyć w takim miejscu i w taką pogodę.*

– *A pan skąd się wziął na bocznej drodze?*

– *Postanowiłem pojechać na skróty. Jak człowiek jeździ tyle co ja, to poznaje różne skróty.*

– *Pamiętał pan ten wieczór?*

– *Początkowo nie. Ale kojarzyłem, że było lato, bo zaskoczyła mnie burza. Zastanawiałem się nawet, czy w tej sytuacji nie zrezygnować ze skrótów. Jest tam całkiem ciemno, brak jakiegokolwiek oświetlenia.*

– *Ale potem ustalił pan datę?*

– *Mam w kalendarzu wszystkie wizyty, więc do niego zajrzałem. To było*

dwudziestego pierwszego sierpnia.

– Którego roku?

– Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego.

Hagen miał na kolanach swój kalendarz. Clark włączył go do materiałów dowodowych, po czym poprosił o okazanie go przysięgłym. Na koniec spytał świadka, czy z tego wieczoru zapamiętał coś jeszcze.

– Pamiętam, że widziałem czerwonego vana. Jechał z naprzeciwka.

– Dlaczego zwrócił pan na niego uwagę?

– Jak już mówiłem, boczna droga była całkiem pusta, nie było ruchu.

– Widział pan, kto nim jechał?

– Nie bardzo. Ale przyjrzałem się dobrze vanowi. Wiśniowy chevrolet z bocznymi drzwiami. Prawdziwy zabytek, rzadko się już takie widuje.

– I co pan wtedy zrobił?

– W wiadomości podali numer telefonu biura szeryfa, więc zadzwoniłem i opowiedziałem, co widziałem. Później oddzwonił szeryf i poinformował mnie, że osobiście zajmuje się tą sprawą, więc mu wszystko powtórzyłem.

– Czy w trakcie rozmowy z szeryfem Callowayem przypomniał pan sobie coś jeszcze?

– Pamiętam, jak pomyślałem, że gdybym się wcześniej nie zatrzymał, żeby zatankować i coś przegryźć, może natknąłbym się na tę dziewczynę jako pierwszy.

DeAngelo Finn zaprotestował i zażądał wykreślenia tych słów z protokołu. Sędzia Sean Lawrence, postawny mężczyzna z rudą czupryną, podtrzymał jego sprzeciw.

Na tej decyzji sędziego Clark zakończył przesłuchanie świadka i usiadł.

Na środek wyszedł Finn z notesem w ręku. Tracy znalazła pana DeAngelo i jego

żonę Millie, która cierpiała na artretyzm i była pacjentką ojca Tracy. Łysiejący Finn zaczesywał włosy na czubek głowy, miał nie więcej niż metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, a przemierzając salę ku stanowisku dla świadków, zamiatał mankietami spodni marmurową posadzkę. Rękawy marynarki sięgały mu do połowy dłoni, jakby dopiero co kupił gotowy garnitur i nie miał czasu, żeby go dopasować.

– Świadek zeznał, że widział pojazd stojący na poboczu. Czy świadek widział też kogoś stojącego obok lub idącego poboczem? – Finn mówił piskliwym głosem, który docierał do najdalszych kątów sali.

Hagen odparł, że nie widział nikogo.

– A co do tego wiśniowego vana, którego świadek rzekomo widział. Nie udało się dojrzeć nikogo w kabinie, czy tak?

– Tak jest.

– Więc nie widział pan w niej także młodej blondynki?

– Nie widziałem.

Finn wyciągnął rękę w stronę House'a.

– Ani nie widział pan oskarżonego, czy tak?

– Nie widziałem.

– Zauważył pan numer rejestracyjny?

– Nie.

– A mimo to twierdzi pan, że zapamiętał vana widzianego zaledwie przez ułamek sekundy na ciemnej drodze w padającym deszczu?

– Bo to mój ulubiony model. – Twarz Hageny znów rozjaśnił profesjonalny uśmiech komiwojażera. – Znaczący, wie pan, zajmuję się zawodowo częściami samochodów osobowych i dostawczych. Muszę się na nich znać.

Finn otworzył i zamknął usta niczym ryba wyjęta z wody, przenosząc jednocześnie wzrok z notesu na świadka i z powrotem.

– A więc uwagę miał pan skupioną na pojeździe i nie zauważył pan nikogo w kabinie – odezwał się po krótkiej chwili niezręcznego milczenia. – Nie mam więcej pytań.

Rozdział 23

Dan zajął do swoich notatek.

– Jakoś trudno mi uwierzyć, że po siedmiu tygodniach Hagen tak dobrze zapamiętał wiśniowego vana, którego minął na ciemnej drodze i w lejącym deszczu. Finn nie podpytał go o to w trakcie przesłuchania?

Tracy pokręciła głową.

– Nie spytał go również o stację nadającą komunikat, który Hagen rzekomo widział, ani nie wystąpił o dostarczenie sądowi transkrypcji wiadomości telewizyjnych z tego okresu.

– A co by znalazł, gdyby wystąpił?

– Dysponuję transkrypcją wiadomości ze wszystkich kanałów. Nie znalazłam żadnego komunikatu, który choć w przybliżeniu odpowiadałby wersji Hagen. W tamtym czasie zaginięcie Sary nie było już gorącym newsem. Wiesz, jak to jest. Początkowo interesowali się wszyscy: prasa, policja, mieszkańcy, ale tygodnie mijały, a wraz z nimi zainteresowanie. I nie winię nikogo za to. Po siedmiu tygodniach zniknięcie Sary miało już tylko marginalne znaczenie i musiałyby się zdarzyć coś nowego, by zainteresowanie odżyło. A nic nowego się nie działo.

– A co z nagrodą?

– Ta sprawa też nie wyszła na procesie.

Dan skrzywił się, jakby go nagle rozboleła głowa.

– Przyjmując, że zeznania Hagen umożliwiły Callowayowi i Clarkowi przekonanie sędziego Sullivana w sprawie nakazu przeszukania, Finn powinien był przemaglować Hagen na wszelkie możliwe sposoby. Zwłaszcza że zeznania Hagen stały się podstawą dla przesłuchania Callowaya w następnym dniu procesu.

* * *

Roy Calloway rozparł się na miejscu dla świadków w takiej pozie, jakby siedział we własnym fotelu w salonie i miał przed sobą zaproszonych przez siebie gości. Krople deszczu bębniły w drewniane okiennice na pierwszym piętrze tak uporczywie, jakby do okien dobijały się ptaki. Tracy spojrzała na drzewa rosnące na placu przed budynkiem sądu i ich smętnie zwieszzone, ciężkie od wody gałęzie. Z kominów pobliskich domów snuł się dym, jednak ten sielankowy obrazek jeszcze wzmacniał poczucie zagrożenia bijące od Edmunda House'a. Sielankowe miasteczka nie są uodpornione na brutalne zbrodnie.

Zupełnie nie.

Clark podszedł do barierek przed ławą przysięgłych.

– Kiedy odwiedził pan ponownie posiadłość Parkera House'a, szeryfie Calloway? – zapytał.

– Po jakichś dwóch miesiącach.

– Może pan opisać okoliczności tej wizyty?

– Zgłosił się do nas świadek.

– Proszę wyjaśnić przysięgłym, kto był tym świadkiem.

– Ryan Hagen.

– Przesłuchał go pan?

– Przesłuchałem. – Szeryf skinął głową, po czym następne pięć minut poświęcił na dokładne powtórzenie treści zeznań Hagen z poprzedniego dnia.

– Co wynikało z jego zeznań w sprawie wiśniowego vana Chevy?

– Wiedziałem, że Parker ma taki samochód, i pamiętałem, że dzień po zaginięciu Sary widziałem tego vana u niego na podwórzu

– Czy skonfrontował pan z oskarżonym treść zeznań pana Hagen?

– Poinformowałem go, że mamy nowego świadka, i spytałem, czy ma coś do dodania.

– I co oskarżony na to?

– Początkowo próbował się wykręcać i zarzucać mi nękanie go, w końcu jednak się poddał i przyznał, że tej nocy nim jeździł.

– Powiedział coś jeszcze?

– Że wypił trochę w barze w Silver Spurs i wracał do domu boczną drogą, bo się bał, że na autostradzie może się natknąć na patrol. Zeznał, że minął stojącego na poboczu niebieskiego forda kampera, a kawałek dalej zobaczył idącą poboczem

młodą kobietę. Powiedział, że się zatrzymał i zaproponował jej podwiezienie. Zawiózł ją do domu w Cedar Grove, wysiadła i tyle ją widział.

– Zidentyfikował tę kobietę?

– Pokazałem mu zdjęcie, a on bez wahania rozpoznał na nim Sarę Crosswhite.

– Podał adres miejsca, do którego rzekomo ją zawiózł?

– Adresu nie podał, ale opisał dom Sary.

– Czy oskarżony wyjaśnił, dlaczego nie powiedział tego wszystkiego przy pierwszym przesłuchaniu?

– Twierdził, że słyszał o zaginięciu jakiejś kobiety. Widział jedną z ulotek i na zdjęciu rozpoznał tę, którą podwoził. Powiedział, że się bał, że nikt mu nie uwierzy.

– Wyjaśnił dlaczego?

Finn zgłosił sprzeciw i sędzia go podtrzymał.

– I co pan wtedy zrobił, szeryfie Calloway?

– Przekazałem tę informację panu i wystąpiłem o nakaz przeszukania posiadłości i samochodu Parkera House'a.

– Brał pan udział w tym przeszukaniu?

– Sam je przeprowadziłem, ale ściągnęliśmy też ekipę dochodzeniową z Laboratorium Kryminalistycznego Stanu Waszyngton w Seattle. Na podstawie zebranego wtedy materiału dowodowego aresztowaliśmy Edmunda House'a.

– Rozmawiał pan z nim po aresztowaniu?

– W areszcie.

– I co wtedy powiedział?

Calloway przeniósł wzrok z Clarka na Edmunda House'a, który siedział z rękami złożonymi na udach, i pozbawioną wyrazu, kamienną twarzą.

– Roześmiał się i dodał, że go nie skażemy bez ciała. Oświadczył, że jeśli prokurator pójdzie z nim na układ, to powie nam, gdzie szukać ciała Sary, a jak nie, to mogę iść do diabła.

Rozdział 24

Dan krążył po pokoju przed wielkim płaskim telewizorem. Przenieśli się po kolacji do salonu i Tracy, rozsiadłszy się na kanapie, odpowiadała na pytania Dana i słuchała jego rzucanych na gorąco uwag.

– Kluczowe pytanie brzmi, dlaczego, jeśli Calloway mówił prawdę, Edmund House zmienił zeznanie. Miał za sobą sześćioletnią odsiadkę, a to znaczyło, że musiał poznać różne więzienne sztuczki. Należy przyjąć, że wiedział, że podważenie jego alibi wystarczy szeryfowi do uzyskania nakazu przeszukania. A skoro już chciał zmienić swoje alibi na inne, to dlaczego na popijanie w barze w Silver Spurs, co Calloway mógł z łatwością zweryfikować? Choć najwyraźniej tego nie zrobił.

– Rozmawiałam z wszystkimi barmanami w Silver Spurs – wtrąciła Tracy. – Żaden z nich nie pamiętał ani Edmunda House’a, ani tego, by Calloway o niego pytał.

– Kolejny dowód na to, że szeryf mógł kłamać co do przyznania się House’a do winy.

– To nie wszystko. Finn nie spytał o to Callowaya na procesie.

– To oczywisty błąd. – Dan kiwnął głową. – Ale nie dlatego uznano House’a za winnego. Pogrążyło go to, co znaleziono na terenie posiadłości jego stryja.

* * *

Pod koniec dnia burza przybrała na sile, tak że lampy zwisające z bogato zdobionego sufitu sali sądowej zaczęły przygasać. Zerwał się też wiatr i zaczął szarpać drzewami, a ich gałęzie z szumem kładły się i podnosiły.

– *Detektyw Giesa – powiedział Vance Clark. – Wracając do vana, zechce pani powiedzieć przysięgłym, co pani w nim znalazła?*

Detektyw Margaret Giesa ze swymi długimi jasnokasztanowymi włosami z blond pasmami wyglądała bardziej na modelkę niż detektywa. Miała nieco ponad metr sześćdziesiąt wzrostu, ale dzięki dziesięciocentymetrowym obcasom sprawiała wrażenie dużo wyższej. Była w eleganckim żakiecie i spodniach w prążki.

– *Znaleźliśmy kosmyki włosów w kolorze blond, o długości wahającej się od czterdziestu do osiemdziesięciu centymetrów.*

– *Może pani pokazać przysięgłym, gdzie dokładnie znaleźliście te kosmyki?*

Giesa wstała z krzesła dla świadków i wskazała miejsce na powiększonej fotografii wnętrza wiśniowego chevy, którą Clark umieścił na stojaku.

– Po stronie pasażera, między fotelem a drzwiami.

– Czy w Laboratorium Kryminalistycznym Stanu Waszyngton sprawdzono te włosy?

Giesa zajrzała do notatek.

– Zbadaliśmy je pod mikroskopem i stwierdziliśmy, że niektóre zostały wyrwane z cebulkami, inne uległy przerwaniu.

Finn wstał z miejsca.

– Sprzeciw. Świadek sugeruje, że włosy wyrwano z użyciem siły.

Lawrence podtrzymał sprzeciw.

Clark wyglądał na zadowolonego, że fraza z wrywaniem włosów została powtórzona.

– Czy ludziom wypadają włosy, pani detektyw? – zapytał.

– Wypadanie włosów jest zjawiskiem naturalnym. Każdy z nas codziennie gubi włosy.

Clark poklepał się po tysej czaszce.

– Niektórzy nawet bardziej od innych – mruknął i przysięgli skwitowali jego słowa uśmiechami. – Powiedziała pani jednak, że wśród znalezionych włosów były też przerwane. Co pani miała na myśli?

– To, że na ich końcach nie było cebulek. Na włosach oglądanych pod mikroskopem zwykle widać na końcu białą banieczkę zwaną cebulką. Przerwanie włosa następuje najczęściej w wyniku działania czynników zewnętrznych.

– Na przykład?

– *Reakcji chemicznych, przegrzania przy układaniu fryzury na gorąco, zbyt gwałtownego rozczesywania, by wymienić kilka.*

– *Czy możliwe jest wyrwanie włosów z cebulkami w wyniku na przykład szarpaniny?*

– *Możliwe.*

Clark udał, że zagląda do notatek.

– *Czy pani ekipa dochodzeniowa znalazła w kabinie vana jeszcze coś?*

– *Śladowe ilości krwi – odparła.*

Tracy zwróciła uwagę, że kilkoro przysięgłych przeniosło wzrok z Giesy na Edmunda House'a.

Ponownie posługując się fotografią, detektyw wyjaśniła, gdzie w kabinie jej dochodzeniowcy znaleźli ślady krwi. Potem Clark umieścił na stojaku powiększoną fotografię posesji Parkera House'a, na której widać było rozrzucone wśród drzew blaszane dachy oraz zarysy pojazdów i urządzeń rolniczych. Giesa wskazała wąski dach przy końcu ścieżki prowadzącej z parterowego domu mieszkalnego Parkera House'a.

– *W tej szopie znaleźliśmy narzędzia do obróbki drewna, a także kilka sztuk mebli w różnych stadiach produkcji.*

– *W tym także pilarkę stołową?*

– *Tak, była tam pilarka stołowa.*

– *Czy w szopie też znaleźliście ślady krwi?*

– *Nie, tam nie.*

– *A włosy?*

– *Też nie.*

– *A cokolwiek interesującego?*

– Znaleźliśmy biżuterię w skarpetce wetkniętej do puszki po kawie.

Clark wręczył Giesie plastikową torebkę i poprosił, by ją otworzyła.

Wszyscy obecni wstrzymali oddechy i na sali zapadła głucha cisza. Detektyw sięgnęła do torebki i wyjęła dwa kolczyki w kształcie pistoletów.

* * *

Dan przestał krążyć po salonie.

– I wtedy uznałaś, że coś tu naprawdę nie gra, tak? – zapytał.

– Sara tamtego dnia nie miała w uszach tych kolczyków, Dan. Byłam tego pewna i próbowałam to jeszcze tego samego dnia wytłumaczyć ojcu – powiedziała Tracy. – Jednak on oświadczył, że jest już tym wszystkim zmęczony i chce, by mama wróciła do domu. Mama bardzo źle to znosiła. Była roztrzęsiona, podupała na zdrowiu i coraz bardziej zamykała się w sobie. Później, ile razy próbowałam do tego wracać, ojciec zawsze mówił, żebym zostawiła to w spokoju. To samo powtarzali Calloway i Clark.

– Nigdy cię nie wysłuchali?

– Nie. – Pokręciła głową. – Wtedy postanowiłam wszystkie posiadane informacje zatrzymać dla siebie, do chwili, gdy będę mogła im udowodnić, że się mylą.

– Ale nie potrafiłaś milczeć.

– A ty byś potrafił, gdyby chodziło o twoją siostrę i to ty zostawiłbyś ją samą?

Dan usiadł na stoliku przy kanapie tak blisko, że ich kolana niemal się zetknęły.

– To, co się stało, Tracy, nie było twoją winą.

– Ale ja chciałam znać prawdę. Skoro nikt inny nie chciał, musiałam sama do niej dojść.

– I dlatego rzuciłaś uczenie w szkole i zostałam gliną.

Kiwnęła głową.

– Po dziesięciu latach spędzania każdej wolnej chwili na czytaniu protokołów i szukaniu nowych świadków i śladów któregoś wieczoru usiadłam, otworzyłam pudła z dokumentacją i uświadomiłam sobie, że przejrzałam wszystkie papiery, przesłuchałam wszystkich świadków i zabrnęłam w ślepy zaułek. Że dopóki nie odnajdą ciała Sary, nie mam następnego ruchu. To było straszne uczucie. Czułam się tak, jakbym ją znów zawiodła. Ale tak jak powiedziałaś, świat się nie zatrzymuje, żebyś mógł się pogрузić w żalu. Któregoś dnia się budzisz

i uświadamiasz sobie, że trzeba zacząć żyć, bo... Bo cóż innego ci pozostaje? Więc schowałam pudła do szafy i spróbowałam żyć.

Dotknął jej nogi.

– Sara chciałaby, żebyś była szczęśliwa, Tracy.

– Ale się oszukiwałam – mówiła dalej. – Nie było jednego dnia, żebym o niej nie myślała. Nie było jednego dnia, żeby mnie nie korciło, by wyciągnąć pudła i sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyłam, czy nie przegapiłam jakiegoś istotnego szczegółu. A potem nadszedł ten dzień, gdy siedziałam przy biurku, a mój kolega powiedział, że znaleźli jej szczątki. – Westchnęła. – Czy wiesz, jak długo czekałam na to, żeby mi ktoś powiedział, że nie jestem tylko nawiedzoną wariatką?

– Nie jesteś wariatką, Tracy. Nawiedzoną... być może.

Uśmiechnęła się.

– Zawsze umiałeś mnie rozśmieszyć.

– To prawda, tyle że zwykle nieświadomie. – Dan wyprostował się i westchnął. – Nie wiem, co się wtedy wydarzyło, Tracy, w każdym razie jeszcze nie, ale wiem jedno: jeśli się nie mylisz, że House'a w to wrobiono, to nie zrobiła tego jedna osoba. Zawiązano znowę, w której musieli uczestniczyć Hagen, Calloway i Clark, może nawet Finn.

– A także ktoś mający dostęp do biżuterii Sary i naszego domu, tak, wiem.

* * *

Suburban Roy a Callowaya stał zaparkowany na podjeździe pod domem jej rodziców, przed nim stał radiowóz z biura szeryfa, obok wóz strażacki z miejscowej straży pożarnej i karetka pogotowia. Wszystkie syreny były wyłączone, żadna migająca lampa nie rozświetlała mroku wczesnego poranka. Brak wyjących syren i błyskających lamp wpłynął na Tracy dziwnie kojąco. Skoro nic nie wyje i nie błyska, to sprawa nie może być zbyt poważna, czyż nie?

Telefon od szeryfa obudził ją tuż po czwartej nad ranem. Chociaż Bena nie było już od trzech miesięcy, wciąż mieszkała w ich wynajętym domu – domu jedynie w sensie budynku, bo ogołoconym ze wspomnień, jakie kiedyś się z nim wiązały. Oboje rodzice byli nadal milczący i zamknięci w sobie. Ojciec zrezygnował z pracy w szpitalu i rzadko pokazywał się w miasteczku. Od zaginięcia córki nie organizował już tradycyjnego wigilijnego przyjęcia, a po nocach zaczął pić. Dzwoniąc do domu, by się upewnić, że wszystko w porządku, słyszała jego bełkotliwą mowę; przyjeżdżając w odwiedziny, czuła w oddechu ojca alkohol. Co więcej, miała wrażenie, że nie jest już tak mile widziana. W domu zamieszkał słoń, którego obecności nikt nie chciał dostrzec. Gnębiło ich wszystkich wspomnienie, o którym żadne nie chciało rozmawiać. Każdego z nich dręczyło poczucie winy.

Tracy, bo zostawiła siostrę i pozwoliła jej samej wracać do domu; rodziców, bo polecieli na Hawaje, zamiast spędzić ten fatalny weekend w domu. Tracy starała się sobie tłumaczyć, że i tak jest już za stara, by się chronić w domu pod skrzydłami rodziców, a dom już nie jest domem.

Calloway powiedział jej przez telefon tylko tyle, że ma się ubrać i przyjechać do domu rodziców. „Zbieraj się i przyjeżdżaj”, mruknął, gdy próbowała dowiedzieć się czegoś więcej.

Weszła po schodkach, wsluchując się w szmery rozmów płynących z krótkofalówek w zaparkowanych pojazdach. Policjanci i medycy kręcili się po ganku i wielkim holu, ale w ich ruchach nie czuło się nerwowości i Tracy uznała to za kolejny dobry znak. Jeden z ludzi z biura szeryfa ją zauważył i zapukał do drzwi gabinetu ojca. Chwilę później rozsunęły się, ale zamiast ojca stanął w nich Calloway. Dostrzegła za jego plecami sylwetki paru osób, lecz nie zobaczyła wśród nich ojca ani matki. Funkcjonariusz powiedział coś do szeryfa, a ten zamknął za sobą drzwi. Był bardzo blady i wyglądał na mocno przejętego.

– Roy? – powiedziała, robiąc krok w jego stronę. – O co chodzi? Co się stało?

Wytarł nos chustką.

– Już po wszystkim, Tracy.

– Co?

– Twój ojciec odszedł.

– Mój ojciec?

Nawet przez chwilę nie pomyślała, że może chodzić o ojca. Była przekonana, że stało się coś matce.

– O czym ty mówisz? – Spróbowała wyminąć Callowaya, ale on zagroził jej drogę i położył ręce na jej ramionach. – Gdzie jest mój ojciec. Tato? Tato!

– Tracy, przestań.

Wyzwolila się z jego uścisku.

– Chcę się zobaczyć z ojcem.

Wyprowadził ją na ganek i docisnąwszy jej ramiona do ściany domu, całkiem ją unieruchomił.

– Posłuchaj mnie, Tracy. Opanuj się i posłuchaj. – Nie przestawała się wyrywać. – Użył swojej strzelby.

Tracy zamarła.

Calloway opuścił ręce i cofnął się o krok. Odwrócił głowę i przez chwilę wpatrywał się w dal, potem głęboko westchnął i dopiero wtedy przeniósł na nią wzrok, jakby dopiero teraz ją zauważył.

– Użył strzelby – powtórzył.

Rozdział 25

Tydzień po pogrzebie siostry Tracy wsunęła się na ławeczkę przy stole w sali widzeń, w stanowym zakładzie karnym Walla Walla.

- Ja będę mówić – powiedziała.
- Nie, ja – rzucił Dan, siadając obok niej.
- Tylko niczego mu nie obiecuj.
- Nie obiecuję.
- Będzie się starał coś wytargować.

Wyciągnął rękę i ścisnął jej dłoń.

– To też mi już mówiłaś. Uspokój się. Zdarzało mi się bywać w więzieniach, choć muszę przyznać, że bardziej przypominały country cluby. A tu wygląda jak w skromnej szkolnej stołówce.

Tracy spojrzała na drzwi, ale Edmunda House'a wciąż nie było. Siedział na oddziale D w zachodnim skrzydle, drugim co do ostrości rygorów bezpieczeństwa segmencie zakładu karnego. Umieszczenie go w nim wynikało z powagi jego przestępstwa – morderstwa z premedytacją – a nie sprawowania w więzieniu. Z odbytych przez Tracy licznych rozmów telefonicznych z władzami zakładu wynikało, że House jest przykładnym więźniem i zajmuje się głównie swoimi sprawami: czytaniem w celi lub ślęczeniem w bibliotece nad jednym z kolejnych odwołań, jakie systematycznie składał.

Materiał dowodowy uzyskany z miejsca zakopania szczątków Sary, potwierdzający dziesięcioletnie przeświadczenie Tracy, że House został celowo wrobiony, a prawdziwy morderca jej siostry pozostaje na wolności, nie miał większego znaczenia, dopóki nie uda jej się przedstawić dowodów sędziemu i przekonać go, by wyraził zgodę na wezwanie świadków, zaprzysiężenie ich i przesłuchanie od nowa. Jedynym sposobem na osiągnięcie tego celu było złożenie wniosku o ponowne rozpoznanie winy skazanego, co jest pierwszym krokiem na drodze do nowego procesu. A tego nie dało się zrobić bez ścisłej współpracy ze strony House'a. Nienawidziła myśli, że Edmund House może być jej do czegoś potrzebny lub że jej losy mogą w jakimś stopniu od niego zależeć. Podczas dwóch poprzednich widzeń naigrawał się z niej i jej wrażliwości. Wtedy nie zdawała sobie z tego sprawy, ale z perspektywy czasu wyraźnie to dostrzegała. Wyglądało na to, że House trzyma w ręku wszystkie karty. Jego proces się odbył, sprawy już nie było i gdyby miało dojść do nowego procesu i wypuszczenia go z więzienia, musiałby współpracować.

Od sąsiednich stołów dochodziły głosy więźniów i ich gości. Tracy spojrzała na zegarek, znów popatrzyła na drzwi i dostrzegła kręcącego się koło nich więźnia, który rozglądał się po sali. Warkocz siwych włosów sięgał mu poniżej atletycznych

ramion i Tracy w pierwszym odruchu prześlizgnęła się po nim wzrokiem. Był całkiem niepodobny do House'a. Jego spojrzenie spoczęło jednak na niej, a na twarzy pojawił się ironiczny uśmiezek z gatunku: „Patrzcie tylko, co ten kot znów tu przywłókł”.

– To chyba nie on, co? – powiedział Dan, spoglądając ku drzwiom.

W relacjach z procesu gazety opisywały gęstą czuprynę i męskie rysy Edmunda House'a, porównując go do Jamesa Deana. Twarz idącego ku nim człowieka nabrzmiała i rysy z wiekiem się rozmyły, jednak nie to czy długość i kolor włosów stanowiły najbardziej uderzającą zmianę w wyglądzie. Wcale nie. Mięśnie na jego karku i klatce piersiowej tak się rozrosły, że zdawało się, że tkanina opinającego go więziennego T-shirtu nie wytrzyma i za chwilę puści w szwach. Najwyraźniej pisanie kolejnych odwołań nie było jedynym zajęciem House'a za murami więzienia.

Podszedł bliżej i przez chwilę przypatrywał się im w milczeniu.

– Tracy Crosswhite – powiedział wolno, jakby smakując w ustach to nazwisko. – Myślałem, że odpuściłaś. To już z piętnaście lat, nie?

– Nie liczyłam.

– A ja tak. Nie mam tu dużo więcej do roboty.

– Mógłbyś złożyć następną apelację. – Więzienny system przekazywania wiadomości, podobnie jak system dystrybucji narkotyków i steroidów, był rozbudowany i działał sprawnie. Chciała sprawdzić, czy do House'a dotarła już wiadomość o odnalezieniu Sary.

– Taki mam zamiar.

– Tak? Tym razem na jakiej podstawie?

– Nieskuteczność obrony.

– Rozwijasz się.

– Tak sądzisz?

Na oko musiał mieć ze sto dziesięć kilo żywej wagi złożonej głównie z mięśni. Jego niegdyś iskrzące błękitne oczy utraciły blask, ale ich spojrzenie pozostało świdrujące.

Podszedł jeden ze strażników.

– Siadać – rzucił.

House usiadł. Dzielili ich tylko szerokość stołu i ta bliskość spowodowała, że Tracy poczuła dreszcze. Czują je zawsze na sali rozpraw, kiedy House obrzucał ją bezczelnym spojrzeniem.

– Zmieniłeś się – powiedziała.

– No, zaliczyłem więzienną maturę, teraz się szykuję do dyplomu z przedmiotów humanistycznych. I co ty na to? Może po wyjściu zostanę nauczycielem. – Spojrzał na Dana.

– To jest Dan.

– Cześć, Dan. – House wyciągnął rękę. Po wewnętrznych stronach grubych jak cuma rąk biegły rządki niebieskich liter. Wykonane długopisem więzienne tatuaże.

– Izajasz – rzekł House, widząc spojrzenie Dana. Nie wypuszczając jego dłoni, przekręcił ręce tak, by można było odczytać napis.

Abyś otworzył oczy niewidomym,

ażebyś z zamknięcia wypuścił jeńców

z więzienia ich, co mieszkają w ciemności³.

– Prawidłowo powinno być „tych, co mieszkają w ciemności”, ale z artystą nie będę się spierał – dodał House. – Dan ma jakieś nazwisko?

Do stołu ponownie podszedł strażnik.

– Bez dotykania – burknął.

House puścił dłoń Dana.

– O’Leary – rzuciła Tracy.

– A Dan ma swój język?

– O’Leary – powtórzył Dan.

– A więc, Tracy i przyjacielu Danie, co was tu sprowadza po tylu latach?

– Znaleźli Sarę – powiedziała.

– Żywą?

– Nie.

– To mnie nic po tym. Chociaż z ciekawości spytam: gdzie ją znaleźli?

– W tej chwili to nieistotne – odparła Tracy.

House przekrzywił głowę i zmrużył oczy.

– Kiedy zostałaś gliną? – spytał.

– Skąd ci przyszło do głowy, że jestem gliną?

– Bo ja wiem? Twoje zachowanie, cała postawa, ton głosu. Niechęć do przedstawienia kolegi Dana i dzielenia się informacjami. Miałem parę lat na obserwacje. Ty też się zmieniłaś, nie?

– Jestem śledczą w wydziale zabójstw.

Uśmiechnął się.

– I próbujesz wysledzić zabójcę swojej siostry, tak? Masz jakieś nowe tropy, którymi chcesz się podzielić? – Przeniósł wzrok na Dana. – A ty, mecenasie, co sądzisz o szansach powodzenia mojego ostatniego odwołania?

Zgodnie z życzeniem Tracy, Dan był w dżinsach i bluzie z logo Boston College.

– Musiałbym poczytać twoje akta – odrzekł.

– No, proszę, dwa strzały, oba celne – mruknął House. – Teraz obserwujcie

mój trzeci. Już je czytałeś, nie? I właśnie dlatego tu teraz siedzisz w towarzystwie śledczej Tracy. – Spojrzał na nią. – Znaleźli szczątki twojej siostry, a wraz z nimi coś, co potwierdza to, o czym rozmawialiśmy wiele lat temu. Że ktoś celowo podrzucił dowody, żeby mnie zrobić.

Żałowała tych poprzednich widzeń. Jej wiedza wyniesiona z akademii policyjnej oraz doświadczenie z pracy sprzed awansu na śledczą wskazywały, że musiała się wtedy z czymś wygadać, powiedzieć mu za dużo.

House przeniósł wzrok na Dana i z powrotem na nią.

– Robi się ciepło? – zapytał.

– Dan chciałby ci zadać parę pytań.

– Coś ci powiem. Jak będziesz gotowa przestać pogrywać i zacząć mówić jak człowiek, a nie jak pieprzona gliniara, to wróc i wtedy pogadamy. – House odsunął się od stołu.

– Jeśli teraz wyjdziemy, to już tu nie wrócimy – ostrzegła Tracy.

– To ja stąd wyjdę i już nie wrócę. Traciecie mój czas. Muszę się uczyć. Zbliżają się końcowe egzaminy.

– Chodźmy, Dan – rzuciła Tracy, wstając. – Słyszałeś, co powiedział. Musi się uczyć. – Zrobiła krok od stołu. – Może będziesz mógł tu uczyć. Zanim odsiedzisz wyrok, dadzą ci tu stały etat.

– No dobra – burknął House, gdy odeszła na kilka kroków.

– Co dobra? – Odwróciła się.

Przygryzł dolną wargę.

– Dobra, odpowiem na pytania mecenasa Dana. – Wzruszył ramionami i uśmiechnął się, ale widać było, że uśmiech nie jest szczery. – Właściwie to dlaczego nie? Jak mówiłem, nie mam tu za dużo do roboty. – House usiadł przy stole, Tracy i Dan zajęli miejsca po drugiej stronie. – Przynajmniej wyjaśnijcie mi cel tej wizyty.

– Dan przejrzał twoje akta. Nieskuteczność obrony może być podstawą dla nowego odwołania, ale nie to mnie interesuje.

– Ciebie interesuje, kto zabił twoją siostrę. – House kiwnął głową. – To tak jak mnie.

– Powiedziałeś kiedyś, że podejrzewałeś Callowaya lub kogoś z robiących przeszukanie, że podrzucili kolczyki u twojego stryja. Powtórz to Danowi.

Wzruszył ramionami.

– No bo jak by inaczej się tam znalazły? – mruknął.

– Przysięgli uznali, że sam je tam schowałeś – rzekł Dan.

– Czy ja wyglądam na takiego przygłupa? Odsiedziałem sześć lat w pierdlu. Po co miałbym trzymać w domu dowód, który mógłby mnie znów tam wysłać?

– Ale dlaczego Calloway czy ktoś inny miałby cię wrabiać? – spytał Dan.

– Bo nie umieli znaleźć prawdziwego zabójcy, a ja byłem potworem z gór

nad uroczym spokojnym miasteczkiem, którego mieszkańcy się mnie bali. Chcieli się mnie pozbyć.

– Masz dowody na potwierdzenie tej tezy?

Tracy trochę się uspokoiła. Dan wszedł w swoją rolę i sprawiał wrażenie pewniejszego siebie. Już nie tak przytłoczonego obecnością House'a i więziennym otoczeniem.

– Nie wiem – odparł House, przenosząc wzrok z Dana na Tracy i z powrotem. – A mam?

– Przeprowadzili test DNA włosów znalezionych w twoim samochodzie – skłamała. – Potwierdzili, że to włosy Sary. Prawdopodobieństwo pomyłki jak jeden do miliarda.

– Prawdopodobieństwo jest bez znaczenia, jeśli ktoś je tam podrzucił.

– Powiedziałeś Callowayowi, że tego wieczoru pojechałeś się napić, w drodze powrotnej spotkałeś Sarę i ją podwoziłeś – przejął pałeczkę Dan.

– Nic takiego mu nie mówiłem. Tego wieczoru w ogóle nie wychodziłem z domu. Poszedłem spać. Musiałbym być idiotą, żeby zmyślić coś tak łatwego do podważenia.

– Świadek zeznał, że widział twojego vana na drodze.

– Ryan Hagen – prychnął z pogardą House. – Handlarz części samochodowych, który nagle sobie przypomina po tylu dniach.

– Myślisz, że on też kłamał? Ale dlaczego? – spytał Dan.

– Calloway chciał podważyć moje alibi, żeby dostać nakaz przeszukania. Do chwili pojawienia się Hagenego śledztwo stało w miejscu.

– Ale z jakiego powodu Hagen miałby ryzykować przyłapanie na składaniu fałszywych zeznań?

– Nie wiem. Może chciał zgarnąć nagrodę dziesięciu tysięcy dolarów.

– Nie ma na to dowodów – rzekł Dan. Tracy nigdy nie udało się uzyskać potwierdzenia, że jej ojciec zapłacił coś Hagenowi, a on sam przeczył, by dostał jakąś nagrodę.

– A niby kto miał mu to udowodnić? – mruknął House, obrzucając ich spojrzeniem. – Komu mieli wierzyć przysięgli? Kryminaliście skazanemu za gwałt czy solidnemu obywatelowi? Wzywanie mnie na świadka, żebym podważył jego zeznanie, było najgłupszym posunięciem, jakie Finn mógł zrobić. Bo pozwoliło oskarżeniu wypytać mnie o mój poprzedni wyrok za gwałt.

– A co ze śladami krwi, które znaleźli w samochodzie? – wtrąciła Tracy.

Przeniósł wzrok na Dana.

– Moje własne. W tej sprawie nie kłamałem. Powiedziałem Callowayowi, że skaleczyłem się w warsztacie. Poszedłem z tym do vana po fajki i dopiero potem do domu. – Popatrzył na Tracy. – I nie obrażaj mojej inteligencji gadkami o teście DNA. Gdyby zbadali ślady krwi i stwierdzili, że to krew twojej siostry, nie

siedziałybyś tu. Po co tu jesteś?

– Jeśli mamy się w to włączyć, musiałbyś w pełni z nami współpracować – powiedziała. – Jeśli choć na chwilę uznam, że nas okłamujesz, to wstajemy i odchodzimy.

– Ja jeden nie kłamałem o tym, co się stało tamtej nocy. – House odchylił się od stołu. – Ale co to znaczy, że macie się włączyć?

Skinęła głową do Dana.

– Myślę, że mogą istnieć pewne nowe dowody, o których nie wiadomo podczas procesu – powiedział. – Dowody podające w wątpliwość twoją winę.

– Jakie?

– Zanim przejdę do szczegółów, muszę wiedzieć, czy życzysz sobie mojej pomocy.

House przez chwilę mu się przypatrywał.

– Inaczej mówiąc, czy chcesz nająć na adwokata, w wyniku czego nasza rozmowa zostałaby objęta klauzulą poufności i zmusiła śledczą Tracy do zostawienia nas samych.

– Właśnie tak – potwierdził Dan.

– Najpierw mi powiedz, co byś wtedy zrobił.

– W związku z pojawieniem się nowych dowodów w sprawie wystąpiłbym do sądu o ponowne rozpoznanie winy skazanego i zwołanie posiedzenia celem ich przedstawienia.

– Stary Lawrence wciąż jeszcze sędzi?

– Jest już na emeryturze – odrzekła Tracy.

– Papiery trafiłyby do sądu apelacyjnego. Jeśli wyraziłby zgodę na takie posiedzenie, poprosiłbym o wyznaczenie sędziego prowadzącego spoza okręgu Cascade. Praktycznie nie mieliby wyjścia.

– To nie sędzia mnie skazał. Skazali mnie przysięgli z okręgu Cascade.

– Tym razem nie byłoby przysięgłych. Przedstawilibyśmy nasze dowody bezpośrednio sędziemu.

House przez chwilę siedział ze wzrokiem wbitym w stół, po czym spojrzał na Dana.

– Pozwoliliby ci wezwać świadków? – spytał.

– Przesłuchałbym ponownie tylko tych świadków, którzy zeznawali na twoim procesie.

– Tak? W tym tego buca Callowaya? Czy może on też już jest na emeryturze?

– Był świadkiem na pierwszym procesie – odparł Dan.

– No to jak będzie? – spytała Tracy.

House zamknął oczy i zaczerpnął głęboko powietrza. Wyglądało, jakby Dan chciał jeszcze coś powiedzieć, ale pokręciła głową, żeby się zbytnio nie wrywał.

House w końcu otworzył oczy, spojrzał na nią i uśmiechnął się.

– Wychodzi na to, pani detektyw, że znów jesteśmy w tym razem.

– Nigdy nie byliśmy w tym razem i nigdy nie będziemy.

– Nie? Od prawie dwudziestu lat piszę odwołania. – Wskazał palcem jej lewą dłoń. – Nie widzę obrączki. Ani śladu, że zdjęłaś ją przed przyjściem tu. Wąskie biodra. Płaski brzuch. Niezameężna. Bezdzienna. Czym się zajmowałaś przez te wszystkie lata, pani detektyw?

– Masz dziesięć sekund na podjęcie decyzji, potem stąd wychodzimy.

Ponownie obdarzył ją obleśnym ironicznym uśmiechem.

– Och, już ją podjąłem. I już to sobie wyobrażam.

– Co sobie wyobrażasz?

– Miny ludzi, jak mnie znów spotkają na ulicach Cedar Grove.

Rozdział 26

Vance Clark siedział w bejsbolówce z opuszczonym daszkiem i czytał coś przy stoliku w głębi baru, ale Calloway i tak go dojrzał. Usiadł na krześle naprzeciwko i dopiero wtedy Clark podniósł głowę i na niego spojrział.

– Mam nadzieję, że mają tu porządne happy hour – powiedział Calloway, bo to Clark wybrał ten bar w Pine Flat, dwa zjazdy z autostrady od Cedar Grove. Zdjął marynarkę, powiesił ją na oparciu krzesła i zwrócił się do zbliżającej się kelnerki: – Johnnie walker black z odrobiną wody. Tylko nie przesadź z tą wodą, kochana. – Musiał mówić podniesionym głosem, by przekrzyczeć stukot kul bilardowych i dźwięki country ze staromodnej szafy grającej.

– Dla mnie wild turkey – rzucił prokurator, choć jego szklaneczka była jeszcze do połowy pełna.

Szeryf usiadł i podwinął rękawy flanelowej koszuli. Clark przerzucił kartki do pierwszej stronicy pliku i podsunął Callowayowi.

– Kurde, Vance, zmuszasz mnie do włożenia okularów?

– To wniosek – rzekł adwokat.

– Widzę.

– Złożony w sądzie apelacyjnym w sprawie Edmunda House’a.

Calloway wziął do ręki plik kartek.

– No cóż, to nie pierwsze jego odwołanie i założę się, że nie ostatnie. Ściągnąłeś mnie tu taki szmat drogi, żeby mi to pokazać?

Clark poprawił daszek bejsbolówki i ze szklaneczką w ręce odchylił się.

– To nie House go złożył. Ktoś w jego imieniu.

– Ma adwokata?

Wychylił do końca zawartość, pobrzękując kostkami lodu.

– Chyba jednak lepiej włóż te okulary – mruknął.

Szeryf wyjął z kieszeni okulary, wsadził je na nos i przyjrzał się spode łba prokuratorowi.

– U dołu po prawej masz nazwę kancelarii prawniczej – powiedział Clark.

– Kancelaria Prawnicza Daniela O’Leary’ego – odczytał Calloway i przekartkował cały plik. – Na jakiej podstawie?

– Nowe dowody, nieznane podczas procesu, a także nieskuteczność obrony. Tyle że to nie jest zwykłe odwołanie. To wniosek o ponowne rozpoznanie winy skazanego.

– Co za różnica?

Do stolika podeszła kelnerka i postawiła przed Callowayem szklaneczkę whisky, zabrała pustą szklanekę sprzed Clarka i zastąpiła ją pełną.

Prokurator poczekał, aż odejdzie.

– Jeśli sąd uzna wniosek, może skierować sprawę do ponownego rozpoznania – wyjaśnił. – House musiałby wtedy udowodnić, że jego wcześniejszy proces miał wady prawne.

– Chcesz powiedzieć, że odbyłby się nowy?

– To bardziej posiedzenie sądu pod kątem nowych dowodów, ale jeśli pytasz, czy mógłby powołać nowych świadków, to odpowiedź brzmi „tak”.

– DeAngelo już to widział?

– Wątpię. Formalnie od lat już nie jest obrońcą House’a. Jego nazwiska nie ma na liście adresatów.

– Rozmawiałeś z nim?

Clark pokręcił głową.

– Uznałem, że nie byłoby to rozsądne ze względu na stan jego serca i w ogóle. Ale jeśli sąd apelacyjny przychyli się do wniosku, znajdzie się na liście świadków. Podobnie jak ty.

Szeryf przerzucił kilka kartek i odnalazł swoje nazwisko tuż nad nazwiskiem Ryana P. Hageny, przedostatniego na liście.

– Czy to się trzyma kupy? – zapytał.

– Jak cholera. – Clark osunął się na krzesło. – Myślałem, że ją przekonałeś, żeby dała temu spokój.

– Też tak myślałem.

Clark zmarszczył brwi.

– Ona nigdy nie zamierzała tego odpuścić, Roy. Od samego początku, ani przez chwilę.

Rozdział 27

Ryan Hagen otworzył drzwi i na widok Tracy niepewnie się uśmiechnął, po czym zaczął się zachowywać tak, jakby jej nie poznawał. Od procesu minęły cztery lata i rzeczywiście mógł ją zapomnieć, ale dostrzegła w jego oczach moment wahania świadczący o tym, że wie doskonale, kim jest.

– Czym mogę służyć? – zapytał.

– Nazywam się Tracy Crosswhite, panie Hagen. Sara była moją siostrą.

– A tak, oczywiście. – Pośpiesznie przywdział maskę układowego komiwojażera i uścisnął jej rękę. – Przepraszam. W mojej pracy spotykam tylu ludzi, że wszystkie twarze zlewają mi się w jedną. Co pani tu robi?

– Chciałabym zadać panu kilka pytań.

Obejrzał się za siebie do wnętrza małego domku. Był sobotni rano i z głębi dochodziły odgłosy typowe dla filmów rysunkowych. Na procesie Hagen zeznał, że jest żonaty i ma dwoje małych dzieci. Wyszedł na maleńki ganek i zamknął za sobą drzwi. Włosy, tym razem nieprzylizane żadną pomadą, opadały mu na czoło, jego mocno zaokrąglone kształty wypełniały opięty T-shirt; miał kraciaste szorty i gumowe klapki na nogach.

– Jak mnie pani znalazła?

– W sądzie podał pan swój adres.

– Zapamiętała go pani?

– Zamówiłam protokoły zeznań.

– Zamówiła pani protokoły zeznań sądowych? – zmrużył oczy. – Po co to pani?

– Panie Hagen, czy mógłby mi pan powiedzieć, w jakim programie telewizyjnym widział pan tę wiadomość o Edmundzie Housie, która odświeżyła panu pamięć?

Skrzyżował ręce i złożył je na brzuchu. Wyglądał na zmieszanego, a uśmiech mu zgasł.

– Nie powiedziałem, że to była wiadomość o Edmundzie Housie – mruknął.

– Przepraszam, miałam na myśli wiadomość o zaginięciu mojej siostry. Pamięta pan, w jakim programie? Albo na którym kanale?

Zmarszczył brwi.

– Dlaczego mnie pani pyta?

– Zdaję sobie sprawę, że zawracam panu głowę. Tylko że... że mam nagrania wszystkich programów z tamtego okresu i...

Hagen opuścił ręce.

– Ma pani nagrania wszystkich programów? Na co to pani?

– Miałam nadzieję, że zechce mi pan powiedzieć...

– Na procesie powiedziałem wszystko, co wiedziałem o tej sprawie. Jeśli ma pani protokoły zeznań, to wie pani, co mówiłem. A teraz przykro mi, ale jestem zajęty. – Odwrócił się i sięgnął do klamki.

– Panie Hagen, dlaczego zeznał pan nieprawdę, że widział pan na drodze wiśniowego chevy?

Odwrócił się do niej twarzą.

– Jak pani śmie! To ja wam pomogłem wsadzić za kratki tego zwyrodnialca. Gdybym nie... – Aż się zachłysnął.

– Gdyby nie, to co?

– Wolalbym, żeby pani już sobie poszła. – Hagen pchnął drzwi, ale nie ustąpiły. Szarpnął parę razy za klamkę, jednak bez rezultatu.

– Gdyby pan nie zeznał, że widział tego wiśniowego chevy, to nie uzyskalibyśmy nakazu przeszukania. To pan chciał powiedzieć?

Walnął pięścią w drzwi.

– Mówilem, żeby pani sobie poszła.

– Czy ktoś tak panu kazał zrobić? – Hagen załomotał głośniejsze do drzwi. – Dlatego pan tak zeznał? Bo ktoś panu powiedział, że to pomoże uzyskać nakaz przeszukania? Panie Hagen, proszę.

Otworzyły się, odepchnął małego chłopca, który w nich stanął, przekroczył próg i obejrzał się, gotów zatrzaskać jej drzwi przed nosem.

– Niech pani tu więcej nie wraca – warknął. – Bo wezwę policję.

– To szeryf Calloway tak panu powiedział? – spytała Tracy, ale Hagen zdążył już trzasnąć drzwiami.

Rozdział 28

Dan spodziewał się, że Calloway się do niego odezwie, ale nie aż tak od razu. Szeryf siedział w poczekalni, obojętnie kartkując stos leżących na stoliku pism sprzed miesiąca i pogryzając jabłko. Miał na sobie pełny mundur służbowy; kapelusz leżał na krześle obok.

– Szeryfie, cóż za miła niespodzianka!

Calloway odłożył pismo i wstał.

– Moja wizyta nie jest dla ciebie żadną niespodzianką, Dan.

– Nie jest?

Szeryf odgryzł kawałek jabłka.

– Wpisałeś mnie do tego swojego wniosku na listę świadków.

– Wiadomości szybko się rozchodzą w naszym Cedar Grove.

Dan nie występował dziś w sądzie, więc był w dżinsach i koszuli. W biurze lubił chodzić w kapciach. Akurat teraz wolałby mieć na nogach buty, choć i bez nich różnica wzrostu między nim a Callowayem nie przypominała nawet czasów, kiedy ten zatrzymywał go na rowerze i groźnym tonem pytał, co mu znów strzeliło do głowy.

– Czym mogę służyć, szeryfie?

– Jak myślisz, jak to wpłynie na twoją reputację, kiedy ludzie się dowiedzą, że reprezentujesz Edmunda House'a, mordercę jednej z mieszkańek Cedar Grove?

– Myślę, że może mi nastręczyć więcej spraw natury kryminalnej.

– Jak zwykle się wymądrzasz, co? – burknął Calloway. – Ale ja bym na to nie liczył, O'Leary.

– No cóż, jeśli poza przepowiednią w sprawie mojej kariery zawodowej nie ma pan dla mnie także paru rad dotyczących giełdy, to przykro mi, ale jestem zajęty. – Dan odwrócił się, jakby zamierzał odejść.

– Dan, jeśli masz jakieś pytania, to oto jestem, pytaj. Przez trzydzieści pięć lat na stanowisku szeryfa ani przez chwilę się nie chowałem. Jeśli ktoś chce mnie o coś spytać, z przyjemnością odpowiem.

– Nie wątpię, szeryfie. Ale muszę to zrobić w obecności sędziego i po złożeniu przez pana przysięgi, że powie pan prawdę, całą prawdę i tylko prawdę.

Calloway odgryzł kolejny kawałek jabłka i przez chwilę się nie odzywał.

– Już to zrobiłem, Dan – powiedział w końcu. – Zeznawałem pod przysięgą. Twierdzisz, że wtedy kłamałem?

– O tym zdecyduje sędzia, nie ja.

– Sędzia też już to zrobił. Rozgrzebujesz stare śmieci.

– Być może. Ale poczekajmy na decyzję sądu apelacyjnego.

– Co ona ci powiedziała? – Calloway zamilkł i wyszczerzył zęby

w ironicznym uśmiechu. – Że nikt nie spytał Hagen, jaki program oglądał, albo że Sara miała w uszach inne kolczyki?

– Nie będę tego z panem omawiał, szeryfie.

– Słuchaj, wiem, że to twoja przyjaciółka, ale prowadzi tę krucjatę od dwudziestu lat. Próbowwała mnie wykorzystać, a teraz wykorzystuje ciebie. Ma obsesję. Ta obsesja zabiła jej ojca i doprowadziła do szaleństwa matkę, a teraz wciąga w ten swój świat urojeń ciebie. Nie sądzisz, że pora z tym skończyć?

Dan się zawahał. Gdy Tracy przyszła z tym do niego po raz pierwszy, dokładnie tak pomyślał. Że nie daje sobie rady z żalem i poczuciem winy po stracie siostry i obsesyjnie poszukuje odpowiedzi na pytania, na które już odpowiedziano. Ale potem zagłębił się w jej papiery i ich treść przypomniała mu dawną Tracy, jaką znał od dziecka. Przywódczynię ich niewielkiej paczki przyjaciół, jak zawsze praktyczną, konsekwentną i logiczną.

– O to już musi pan pytać ją. Ja reprezentuję Edmunda House'a.

Calloway wyciągnął ku niemu ogryzek.

– Więc może zechcesz też wyrzucić to, bo najwyraźniej lubisz zajmować się śmieciami.

Dan bez słowa wziął ogryzek. Jak dotąd próby Callowaya zastraszenia go były bardziej żalotne niż groźne. Rzucił ogryzek do kubła za biurkiem, trafiając za pierwszym razem.

– Myślę, szeryfie, że się pan przekona, że znam się na swojej robocie. Chyba powinien pan o tym pamiętać.

Calloway włożył kapelusz.

– Zgłosił się do mnie jeden z twoich sąsiadów. Skarży się, że te twoje psy strasznie ujadają w ciągu dnia i czasami do późna w nocy. W mieście obowiązują przepisy w kwestii zakłócania spokoju przez psy. Za pierwszym razem dajemy mandat, za drugim odbieramy psy.

Dan czuł narastającą złość, ale siłą woli się opanował. Chce go straszyć, proszę bardzo, ale niech zostawi w spokoju niewinne zwierzęta.

– Naprawdę? Nic lepszego nie przychodzi panu do głowy?

– Nie prowokuj mnie, Dan.

– Nie zamierzam pana prowokować, szeryfie, ale przyrzekam, że jeśli sąd apelacyjny pozytywnie rozpatrzy mój wniosek, przesłucham pana bardzo skrupulatnie.

Rozdział 29

Tracy wpisała do komputera treść niedawnego przesłuchania świadka w sprawie Nicole Hansen. Od znalezienia ciała młodej kobiety w motelu przy Aurora Avenue minął już miesiąc i czuła na sobie coraz większą presję, by znaleźć zabójcę nieszczęsnej striptizerki. Od objęcia stanowiska szefa pionu śledczego przez Johnny'ego Nolasco policja w Seattle nie zanotowała ani jednego nierozwiązanego morderstwa, co Nolasco uważał za powód do osobistej dumy i wielokrotnie podkreślał przy różnych okazjach. A ponadto szef śledczych miał też inne powody, by patrzeć krzywo na Tracy. Ich wzajemna niechęć sięgała czasów jej nauki w akademii policyjnej, gdzie był jednym z instruktorów i wykorzystał pokaz rewizji osobistej, by złapać ją za pierś, a ona w odpowiedzi złamała mu nos i kopnęła w jaja, po czym jeszcze bardziej mu się naraziła, poprawiając jego wieloletni rekord na strzelnicy.

Nadzieja, że Nolasco mógł z wiekiem nieco złagodnieć, rozviała się w chwili, gdy Tracy została pierwszą kobietą detektywem w wydziale zabójstw w Seattle. Nolasco, który był już wtedy szefem pionu śledczego, przydzielił ją do pary swemu dawnemu partnerowi, szowinistycznej świni, Floydowi Hattie. Ten stanął na wysokości zadania i szybko przewał ją Bezjajeczną Tracy. Dopiero później dowiedziała się, że miał już wtedy złożony raport o zwolnienie ze służby i przejście na emeryturę, a to oznaczało, że Nolasco chciał ją tylko upokorzyć.

Tak czy siak, prowadzenie śledztwa w sprawie Hansen pozwalało jej zająć czymś głowę i oderwać myśli od sprawy siostry. Sąd miał sześćdziesiąt dni na odpowiedź na wniosek o ponowne rozpoznanie winy skazanego i Dan spodziewał się, że Vance Clark wykorzysta ten termin co do dnia. Starła się tłumaczyć sobie, że skoro czeka już dwadzieścia lat, może poczekać jeszcze dwa miesiące, jednak każdy dzień ciągnął się w nieskończoność.

Zadzwoił telefon i Tracy odnotowała w myślach, że to linia miejska.

– Pani detektyw Crosswhite, mówi Maria Vanpelt z KRIX, kanał ósmy.

Tracy od razu pożałowała, że w ogóle odebrała. Dział zabójstw utrzymywał przyjazne stosunki z reporterami miejskimi, ale Vanpelt, przezywana Super Glue z powodu swoich skłonności do klejenia się do co bardziej prominentnych mężczyzn w Seattle, należała do wyjątków.

W początkach kariery policyjnej Tracy Vanpelt zwróciła się do niej o wywiad w sprawie dyskryminacji kobiet w szeregach policji w Seattle. Tracy odmówiła. Po jej awansie na śledczą Vanpelt ponownie poprosiła o wywiad, by – jak to ujęła – zaprezentować widzom pierwszego detektywa kobietę od zabójstw. Nie chcąc robić szumu wokół siebie i wiedząc już od innych, że specjalnością Vanpelt jest wredne podpuszczanie rozmówców, a nie próba obiektywnego

przedstawienia faktów, Tracy ponownie odmówiła.

Ich szorstkie relacje nie uległy z czasem wygładzeniu. Jakimś cudem Vanpelt uzyskała poufną informację ze śledztwa w sprawie zbiorowego morderstwa, w którym Tracy była śledczym prowadzącym. W ciągu paru godzin od przekazania tej informacji w programie telewizyjnym Vanpelt, *KRIX Tajniacy*, ktoś zastrzelił dwóch ważnych świadków. Tracy, zaskoczona tą wiadomością przez reporterów z konkurencyjnej stacji telewizyjnej, dała się ponieść emocjom i oświadczyła, że Vanpelt ma krew na rękach. W rezultacie wydział zabójstw zerwał z reporterką wszelkie kontakty, odmawiając przekazywania jej jakichkolwiek informacji, aż do chwili, gdy Nolasco specjalnym rozporządzeniem nakazał każdemu wydziałowi współpracę ze wszystkimi mediami.

– Jak pani zdobyła mój bezpośredni numer? – burknęła Tracy. Media miały obowiązek kontaktować się z wydziałami za pośrednictwem Biura Informacji Publicznej, ale wielu reporterów próbowało to obchodzić i dzwoniło bezpośrednio do źródła.

– Różnymi kanałami – odburknęła dziennikarka.

– Czym mogę służyć, pani Vanpelt? – Tracy wypowiedziała jej nazwisko na tyle głośno, by przyciągnąć uwagę Kinsa z drugiego końca pomieszczenia.

Ten nawet na nią nie spojrzał, tylko od razu przytknął słuchawkę do ucha. Mieli swój system sygnałów i system działań.

– Czym się pani teraz zajmuje? – Tracy przebiegła w myślach prowadzone przez siebie sprawy i wyszło jej, że Vanpelt może tylko chodzić o Nicole Hansen. A o tym nie miała nic nowego do powiedzenia.

– Tak naprawdę to panią.

Tracy odchyliła się i oparła o krzesło.

– A cóż we mnie jest ciekawego? – spytała.

– Słyszałam, że dwadzieścia lat temu zamordowano pani siostrę i właśnie odnaleziono jej szczątki. Pomyślałam, że mogłybyśmy o tym porozmawiać.

Kiedy dziennikarka mówiła, Tracy miała chwilę na zastanowienie.

– Od kogo to pani słyszała?

– Moja asystentka śledzi na bieżąco rejestry sądowe – powiedziała Vanpelt. Zbyła pytanie bzdurną odpowiedzią, dając jednak do zrozumienia, że wie o złożonym przez Dana wniosku o ponowne rozpoznanie winy skazanego. – Możemy teraz porozmawiać?

– Nie sądzę, by to mogło zainteresować szersze grono widzów. – Drugi telefon Tracy zaczął brzęczeć, więc spojrzała znacząco na Kinsa. Wprawdzie też trzymał słuchawkę przy uchu, ale ona nagle poczuła chęć dowiedzenia się, co Vanpelt wie w tej sprawie.

– Jaka ma być teza pani materiału?

– To chyba oczywiste, nie sądzi pani?

– Proszę mnie oświecić.
– Śledcza z wydziału zabójstw policji w Seattle, której zadaniem jest łapanie morderców i wsadzanie ich za kratki, nagle próbuje uwolnić drania skazanego za morderstwo jej siostry.

Kins wzruszył ramionami, jakby pytał: „Co tu jest grane?”.

Tracy uniosła ostrzegawczo palec.

– Czy to wynika z rejestru sądowego?
– Jestem reporterem śledczym, pani detektyw.
– I kto jest pani źródłem?
– Moje źródła są objęte tajemnicą zawodową.
– A pewne informacje chce pani traktować jako prywatne i poufne.
– Owszem.
– Zatem rozumie pani mnie. Dla mnie to prywatna sprawa i tak zamierzam ją traktować.

– I tak ją opiszę, pani detektyw. Więc byłoby lepiej, gdybym poznała pani wersję wydarzeń.

– Lepiej dla mnie czy lepiej dla pani?
– Mam to uznać za „bez komentarza”?
– Powiedziałam pani, że to moja prywatna sprawa, i tak zamierzam ją traktować.

– Mogę panią cytować?
– Tak powiedziałam.
– Rozumiem, że ten adwokat, Dan O’Leary, jest pani przyjacielem z dzieciństwa. Chce pani coś jeszcze dodać w tej sprawie?

To musi być sprawka Callowaya. Tylko że szeryfowi nie przyszłoby do głowy dzwonić do Vanpelt. On zadzwoniłby do Nolasco, zwierzchnika Tracy. A chodziły plotki, że Nolasco utrzymuje intymne stosunki z Vanpelt i jest jednym z jej informatorów.

– Cedar Grove to małe miasteczko. Mieszkając tam jako dziecko, poznałam wielu ludzi.

– Znała pani Daniela O’Leary’ego?
– W miasteczku jest tylko jedno gimnazjum i tylko jedno liceum.
– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.
– Jest pani reporterem śledczym. Nie wątpię, że sama pani sobie odpowie.
– Czy ostatnio pojechała pani z mecenasem O’Learym do stanowego zakładu karnego Walla Walla na spotkanie z Edmundem House’em? Mam kopię wykazu odwiedzających House’a w ciągu ostatniego miesiąca. Pani nazwisko widnieje na niej tuż nad nazwiskiem O’Leary’ego.

– To niech ją pani wydrukuję.

– Odmawia pani komentarza?

– Już powiedziałam, że to prywatna sprawa i nie ma żadnego związku z moją pracą. A skoro mowa o pracy, właśnie dzwoni mój drugi telefon. – Tracy odłożyła słuchawkę i zakłęła pod nosem.

– Czego ona chciała? – spytał Kins.

Obrzuciła go ponurym spojrzeniem.

– Wsadzić nos w mój tyłek.

– Vanpelt? – Faz odsunął się z krzesłem od biurka. – To przecież jej specjalność.

– Mówi, że robi program o Sarze, ale bardziej ją interesuje... – Postanowiła nie kończyć myśli.

– Nie przejmuj się – rzucił Kins. – Znasz Vanpelt, fakty jej nie interesują.

– Znudzi się i zajmie zmyśleniem jakiejś innej historii – dodał Faz.

Tracy chciałyby, żeby to było takie proste. Wiedziała, że Vanpelt sama na to nie wpadła. Musiała dostać cynk od Callowaya, a jeśli tak, to szeryf rozmawiał też z Nolasco. A temu niewiele potrzeba, żeby zatruć jej życie.

Zresztą nie byłby to pierwszy raz, kiedy Calloway groził wyrzuceniem jej z pracy.

* * *

Uczniowie przy pierwszych stołach drgnęli i aż odskoczyli do tyłu, gdy między kulami strzeliła oślepiająco jasna iskra. Tracy pokręciła korbką generatora elektrostatycznego, przyspieszając obroty dwóch metalowych tarcz.

– *Błyskawica, moi kochani, to jedno z najbardziej dramatycznych zjawisk w przyrodzie ilustrujących energię, którą naukowcy w rodzaju Jamesa Wimshursta i Benjaminą Franklina próbowali ujarzmić – powiedziała.*

– *Czy to nie ten koleś, który puszczał latawiec podczas burzy?*

– *Tak, Steven. – Uśmiechnęła się. – To ten koleś, który puszczał latawiec w czasie burzy. W ten sposób on i inni „kolesie” szukali sposobu na przetworzenie energii na elektryczność. Czy ktoś z was potrafi wskazać dowód na to, że im się udało?*

– *Żarówka – powiedziała Nicole.*

Tracy przestała kręcić korbką i iskra zniknęła. Jej uczniowie stali dwójkami przy stołach wyposażonych w zlewy, palniki Bunsena i mikroskopy. Tracy odkręciła kran przy pierwszym stole.

– *Dobrze jest wyobrazić sobie prąd elektryczny jako płyn, który może przepływać przez przedmioty. Kiedy prąd elektryczny przepływa przez przedmiot, to jak go nazywamy, Enrique?*

– *Prądem elektrycznym – powiedział Enrique, wywołując tym wybuch śmiechu.*

– *Miałam na myśli ten przedmiot. Jak nazywamy przedmiot, przez który przepływa prąd elektryczny?*

– *Przewodnikiem.*

– *Czy możesz podać przykład przewodnika, Enrique?*

– *Ludzie.*

Klasa znów się roześmiała.

– *Wcale nie żartuję – zaperzył się chłopiec. – Mój wujek pracował na budowie w czasie deszczu, przeciął przewód elektryczny i prawie się zabił, tylko że jeden kolega odciągnął go od piły.*

Tracy przespacerowała się przed frontem klasy.

– *Dobrze, omówmy ten przypadek – zaproponowała. – Kiedy wujek Enrique’a przeciął przewód elektryczny, to co się wtedy stało z prądem?*

– *Przeplłynął przez jego ciało – rzucił chłopiec.*

– *Co by wskazywało, że ciało człowieka jest przewodnikiem. Ale gdyby tak było, dlaczego prąd nie poraził też kolegi, gdy ten dotknął wujka Enrique’a?*

Nikt w klasie się nie odezwał. Sięgnęła pod biurko i wyjęła dziewięciowoltową baterię i żaróweczkę w oprawce. Z baterii sterczały dwa kawałki miedzianego przewodu, dwa inne wystawały z oprawki żarówki. Na końcach przewodów zamocowano krokodylki. Tracy przyczepiła je do kawałka gumowej rurki.

– *Dlaczego żarówka nie świeci? – spytała.*

Nikt nie odpowiedział.

– A jeśli kolega wujka Enrique'a miał na rękach gumowe rękawiczki? Jaki moglibyśmy wyciągnąć wniosek?

– Że guma nie jest przewodnikiem – bąknął Enrique.

– Otóż to, guma nie jest przewodnikiem. Dlatego prąd z baterii nie przepływa przez gumową rurkę. – Przyłożyła krokodylki do dużego gwoźdźca i żarówka zaświeciła. – Gwoźdźce składają się głównie z żelaza. Co więc możemy powiedzieć o żelazie?

– Że jest przewodnikiem – niemal chórem odpowiedziała klasa.

Zadzwieczał dzwonek i Tracy musiała podnieść głos, by przekrzyczeć natychmiastowy gwar i szuranie krzesłami po pokrytej linoleum podłodze.

– Na tablicy macie wypisane zadanie domowe. W środę będziemy kontynuować naszą rozmowę o prądzie elektrycznym.

Wróciła do swojego biurka i zabrała się do demontażu sprzętu do doświadczenia i szykowania nowego na następną lekcję. Natężenie hałasu gwałtownie wzrosło, sygnalizując otwarcie drzwi pracowni na korytarz.

– Jeśli masz jakieś pytania, przyjdź w czasie mojego dyżuru – rzuciła przez ramię. – Wykaz dyżurów i lista zapisów wiszą na drzwiach pracowni.

– To długo nie potrwa.

Odwróciła głowę ku drzwiom.

– Muszę się przygotować do następnej lekcji.

Roy Calloway puścił drzwi, a te same się zamknęły.

– Może mi powiesz, co ty właściwie wyprawiasz?

– Właśnie powiedziałam.

Szeryf podszedł do jej biurka.

– *Podważasz prawdomówność świadka, który odważył się spełnić swój obywatelski obowiązek?*

Widać Hagen poskarżył się Callowayowi. Zresztą po tym, jak w sobotę zatrzęsął jej drzwi przed nosem, można się było tego spodziewać.

– *Nie podważałam jego prawdomówności. Tak ci powiedział?*

– *Zasugerowałaś, że kłamał. – Szeryf oparł się o biurko. – Może mi wyjaśnisz, co chcesz w ten sposób osiągnąć?*

– *Spytałam go tylko, na jakim kanale oglądał ten program.*

– *To nie twoja sprawa, Tracy. Proces się zakończył, czas zadawania pytań minął.*

– *Nie zadano wszystkich pytań.*

– *Niepotrzebne było zadawanie wszystkich pytań.*

– *Ani uzyskiwanie odpowiedzi?*

Wymierzył w nią palec gestem, który pamiętała z dzieciństwa.

– *Zostaw to w spokoju, jasne? Odpuść sobie. Wiem też, że byłaś w Silver Spurs i przepytywałaś barmanów.*

– *A dlaczego ty tego nie zrobiłaś, Roy? Dlaczego tego nie sprawdziłaś, żeby się upewnić, że House nie mówi prawdy?*

– *Nie musiałem sprawdzać, by wiedzieć, że kłamię.*

– *Skąd, Roy? Na jakiej podstawie tak mówisz?*

– *Na podstawie piętnastu lat służby. Zrozumiałaś? Nie chcę więcej słyszeć, że zamawiasz jakieś protokoły zeznań czy nachodzisz świadków. Bo jak nie, to będę musiał poinformować Jerry'ego, że jedna z jego nauczycielek nie poświęca należytej uwagi nauczaniu. Że woli się bawić w detektywa amatora. Rozumiemy się?*

Jerry Butterman był dyrektorem liceum w Cedar Grove. Tracy aż skrzyło na myśl, że Calloway próbuje ją straszyć, ale jednocześnie omal nie parsknęła śmiechem. Szeryf nie wiedział, jak płytka jest jego groźba i że Tracy nie zamierza bawić się w detektywa amatora, bo już podjęła decyzję, że zostanie prawdziwym detektywem. Postanowiła po zakończeniu roku szkolnego odejść z liceum w Cedar Grove i wstąpić do akademii policyjnej w Seattle.

– Roy, czy wiesz, dlaczego zdecydowałam się zostać nauczycielką chemii?

– Dlaczego?

– Bo nigdy nie umiałam przyjmować spraw na wiarę. Chciałam móc się przekonywać, dlaczego coś jest takie, jakie jest. Moje wieczne pytania „dlaczego” doprowadzały rodziców do szału.

– House siedzi w więzieniu. To ci powinno wystarczyć.

– Kładę swoim uczniom do głowy, że nie wynik końcowy jest najważniejszy. Najważniejsze jest przeprowadzenie dowodu, że tak właśnie jest. Jeśli dowód jest przekonujący, to taki też jest wynik.

– Więc jeśli chcesz dalej uczyć, to radzę, żebyś wzięła sobie moją radę do serca i bardziej się przyłożyła do nauczania.

– Roy, już podjęłam w tej sprawie decyzję. – Zadzwieczął dzwonek, drzwi pracowni się otworzyły i uczniowie czwartej klasy zatrzymali się w wejściu, zaskoczeni obecnością szeryfa Cedar Grove.

– Chodźcie, chodźcie – uspokoiła ich Tracy, wychodząc zza biurka. – Siadajcie. Szef Calloway właśnie wychodzi.

Rozdział 30

Tracy i Kins wrócili z Kentu późnym popołudniem. Pojechali przesłuchać księgowego, którego odcisk palca pasował do tego znalezionej przez ekipę dochodzeniową w pokoju motelowym, w którym udusiła się Nicole Hansen.

– I co, przyznał się? – spytał Faz.

– Chwalić Boga i alleluja – odparł Kins. – Jest żarliwym wyznawcą Biblii, który regularnie uczęszcza do kościoła, śpiewa psalmy i tylko przypadkiem ma słabość do młodych prostytutek. Ma też twarde jak skała alibi na noc, kiedy zmarła Hansen.

– To skąd ten odcisk?

– Bo był w tym samym pokoju tydzień wcześniej, tyle że z zupełnie inną młodą damą.

Tracy wrzuciła torebkę do szafki.

– Trzeba było widzieć jego twarz, kiedy powiedziałam, że będziemy musieli poprosić jego żonę o potwierdzenie, że tamtą noc spędził z nią w małżeńskim łóżku.

– Miał taką minę, jakby, nie przymierzając, zobaczył przed sobą Pana – dodał Kins.

– Na tym polega nasza praca – rzekł Faz. – Rozwiązywać morderstwa i pomagać ludziom w znajdowaniu drogi do Pana.

– Bogu niech będzie chwała! – Kins zrobił sobie kółko nad głową.

– Myślisz może o zmianie zawodu? – W drzwiach pomieszczenia stał Billy Williams. Kiedy Andrew Laub został porucznikiem, Williamsa awansowano na sierżanta detektywa zespołu A. – Bo jeśli tak, to pozwól, że jako wychowany na południu baptysta coś ci doradzę. Będziesz musiał być dużo bardziej przekonujący, żeby skłonić wiernych do sięgnięcia do portfeli.

– Rozmawiamy o przesłuchaniu świadka w sprawie Hansen – wyjaśnił Kins.

– Coś z tego wynika?

– Tej nocy go tam nie było. W ogóle nie znał Hansen. Czuje się strasznie winny i już nie będzie więcej grzeszył.

– Bogu niech będzie chwała – dorzucił Faz.

Williams spojrzał na Tracy.

– Masz chwilę?

– Jasne, a co jest?

Odwrócił się i skinął głową, dając znak, że ma pójść za nim.

– Oho, Profesorka podpadła – mruknął Faz.

Wzruszyła ramionami, wykrzywiła na niego twarz i ruszyła korytarzem za Williamsem. Weszli do pokoju przesłuchań i Williams zamknął za nimi drzwi.

– Co się dzieje? – spytała.

- Twój telefon zacznie za chwilę dzwonić. Szefostwo odbywa naradę.
- W jakiej sprawie?
- Pomagasz jakiemuś prawnikowi w doprowadzeniu do nowego procesu drania, który zabił twoją siostrę?

Williams i Tracy mieli wspólny język i dobrze się rozumieli. Jako czarnoskóry, potrafił lepiej wczuć się w bardziej czy mniej subtelne przejawy dyskryminacji, jaka dotykała Tracy z racji bycia kobietą w zdecydowanie męskim środowisku.

- To nie takie proste, Billy.
- Cholera, więc to prawda?
- Ale to sprawa osobista.
- Szefostwo się martwi, że może rzutować na naszą służbę.
- Czy pod słowem „szefostwo” masz na myśli Nolasco?
- Jest jednym z nich.
- A to ci niespodzianka! Rano zadzwoniła Vanpelt, żeby mnie poinformować, że robi o tym program i prosi mnie o komentarz. Jak na kogoś, kto zwykle jest na bakiem z faktami, sprawiała wrażenie wyjątkowo dobrze poinformowanej.

- Słuchaj, ja się do tego nie mieszam.
- A ja cię o to nie proszę. Mówię tylko, że Nolasco nie chodzi o to, jak to rzutuje na naszą służbę, tylko widzi w tym kolejną okazję, żeby się do mnie przyczepić. Więc powiedziałabym „Pieprzyć, jak to rzutuje na służbę”. Oczekiwałamby nieco więcej zrozumienia. Jeśli nie ma zastrzeżeń do tego, jak wykonuję swoje obowiązki służbowe, niech się ode mnie odczepi, bo to go nie dotyczy.

- Tracy, nie strzelaj do posłańca.
Zamilkła i przez chwilę starała się dojść do siebie.
- Przepraszam, Billy. Po prostu nie potrzebuję teraz takich problemów.
- Skąd pochodzą te informacje?
- Podejrzewam, że od szeryfa Cedar Grove. Od dwudziestu lat ma mnie na oku i pilnuje, żebym się do tego nie mieszała.

– No cóż, ktokolwiek za tym stoi, wyraźnie chce ci utrudnić życie. Super Glue kocha węszyć w sprawach osobistych.

- Dzięki za ostrzeżenie, Billy. I przepraszam za swój wybuch.
- Co słyszeć w sprawie Hansen?
- Jak dotąd nic nowego.
- No to mamy problem.
- Tak, wiem.

Williams otworzył drzwi.

- Obiecuj, że rozegrasz to spokojnie – poprosił.

- Znasz mnie.
- I właśnie dlatego się boję.
- * * *

Telefon na jej biurku rzeczywiście zadzwonił i kilka godzin później Tracy weszła jako ostatnia do sali konferencyjnej, do której ją wezwano. Już samo zaproszenie jej na naradę było czymś niezwykłym, bo normalnie Williams poinformowałby ją tylko o decyzjach podjętych przez kierownictwo. Domyślała się, że Nolasco zrobił to po to, by ją upokorzyć w obecności Williamsa i Lauba i publicznie się na niej wyżyć.

Stał przy stole w towarzystwie Bennetta Lee z Biura Informacji Publicznej, którego by tu nie było, gdyby Nolasco nie zamierzał uzgodnić z Tracy treści komunikatu dla mediów. Postanowiła go jednak zawieść, zresztą nie po raz pierwszy i zapewne nie ostatni. Podeszła do stołu i stanęła obok Williamsa i Lauba.

– Śledcza Crosswhite, dzięki, że zechciałaś do nas dołączyć – powiedział Nolasco. – Czy wiesz, dlaczego cię tu zaprosiliśmy?

– Nie bardzo. – Postanowiła udawać zaskoczoną, nie chcąc wydać Williamsa, że coś wie. Wszyscy zajęli miejsca przy stole, Lee położył przed sobą notatnik i wziął do ręki długopis.

– Zadzwoniła do nas reporterka z prośbą o komentarz w sprawie, nad którą aktualnie pracuje – rzekł Nolasco.

– To pan dał Vanpelt mój bezpośredni numer?

– Słucham?

– Vanpelt zadzwoniła na mój bezpośredni numer. To ona jest tą reporterką, która oczekuje komentarza?

Mięśnie twarzy Nolasco stężały.

– Redaktor Vanpelt podejrzewa, że pomagasz adwokatowi w doprowadzeniu do ponownego procesu skazanego zabójcy.

– Tak, mnie też tak powiedziała.

– Zechcesz nas oświecić?

Nolasco dobiegał sześćdziesiątki, był szczupły i wysportowany; włosy, które nosił z przedziałkiem pośrodku, kilka lat wcześniej zaczął farbować na dziwny odcień brązu niemal w kolorze rdzy, co tym bardziej rzucało się w oczy, że jego wąsiki miały zupełnie inny odcień. Tracy uważała, że wygląda jak starzejący się gwiazdor porno.

– Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Nawet manipulatorka w rodzaju Vanpelt nie mogła nic zachachmęcić w podstawowych faktach.

– I jakież to są fakty?

– Pan je zna – odparła. Nolasco był jednym z członków komisji rozpatrującej podanie Tracy o przyjęcie do akademii policyjnej. Był też obecny przy jej

egzaminie ustnym, gdy ze strony komisji egzaminacyjnej padło pytanie o siostrę. W podaniu i na egzaminie niczego nie ukrywała.

– Ale nie wszyscy na tej sali.

Siłą woli zapanowała nad sobą i zwróciła się twarzą do Lauba i Williamsa.

– Dwadzieścia lat temu zamordowano moją siostrę. Nie odnaleziono jej ciała i w procesie poszlakowym skazano Edmunda House'a. W ubiegłym miesiącu natknięto się na jej szczątki i okazało się, że znalezione ślady kryminalistyczne są sprzeczne z materiałem dowodowym przedstawionym na procesie House'a. – Nie wdawała się w szczegóły, nie chcąc, by Nolasco przekazał je Callowayowi lub Vanpelt. – Jego adwokat wykorzystał te rozbieżności do złożenia wniosku o ponowne rozpoznanie winy skazanego. – Przeniosła wzrok na Nolasco. – To jak, wystarczy?

– Znasz tego adwokata? – spytał.

Tracy poczuła narastający gniew.

– Cedar Grove to małe miasteczko, kapitanie. Znam każdego, kto tam dorastał.

– Istnieje podejrzenie, że prowadzisz własne prywatne śledztwo – powiedział Nolasco.

– Na czym oparte jest to podejrzenie?

– Czy prowadzisz własne prywatne śledztwo?

– Od pierwszej chwili po aresztowaniu House'a miałam wątpliwości co do jego winy.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Dwadzieścia lat temu podałam w wątpliwość wartość dowodów, które doprowadziły do skazania House'a. Niektórym mieszkańcom Cedar Grove bardzo się to nie spodobało, w tym także szeryfowi.

– Więc jednak prowadzisz prywatne śledztwo.

Wiedziała, do czego Nolasco zmierza. Wykorzystywanie stanowiska służbowego do prowadzenia prywatnego śledztwa mogło skończyć się naganą, może nawet zawieszeniem w obowiązkach.

– Co pan rozumie przez słowo „śledztwo”?

– Myślę, że ten termin jest ci znany.

– Nigdy nie wykorzystywałam stanowiska w wydziale zabójstw do celów prywatnych, jeśli to pan ma na myśli. Cokolwiek w tej sprawie podejmowałam, robiłam to w moim prywatnym czasie.

– Więc jednak śledztwo.

– Nazwałabym to bardziej „hobby”.

Nolasco pochylił się i potarł sobie czoło, jakby go nagle rozbolała głowa.

– Czy ułatwiłaś adwokatowi dostęp do Walla Walla i spotkanie z House'em?

– A co Vanpelt panu powiedziała?

- Ciebie pytam.
- Może byłoby lepiej, gdyby pan podał mi od razu wszystkie fakty. Zaoszczędzilibyśmy dużo czasu.
- Williams i Laub aż się wzdrygnęli.
- Tracy, nikt cię tu nie przesłuchuje – rzucił Laub.
- Kiedy tak to brzmi, poruczniku. Może powinnam zażądać obecności przedstawiciela związku?
- Nolasco zacisnął usta. Jego twarz coraz bardziej purpurowiała.
- To proste pytanie – syknął. – Czy pomogłaś adwokatowi w zorganizowaniu spotkania z House'em?
- Co pan rozumie przez słowo „pomogłaś”?
- Czy w jakiegokolwiek formie w tym uczestniczyłaś?
- W dniu wolnym od pracy pojechałam z adwokatem jego samochodem do zakładu karnego. Nawet nie dołożyłam się do benzyny. W dniu widzeń weszliśmy zwykłym wejściem, jak wszyscy inni odwiedzający osadzonych.
- Czy posłużyłaś się swoim numerem służbowym?
- Nie w celu wejścia do zakładu karnego.
- Tracy, prasa bombarduje nas pytaniami – wtrącił Laub. – To ważne, żebyśmy wszyscy byli po jednej stronie i mówili to samo.
- Ja niczego nie mówię, poruczniku. Oświadczyłam Vanpelt, że to moja prywatna sprawa i nikomu nic do tego.
- Z uwagi na publiczny wydzźwięk tej sprawy to nie jest właściwe podejście – burknął Nolasco. – Czy to ci się podoba, czy nie, sprawa już funkcjonuje w obszarze publicznym i naszym zadaniem jest dopilnowanie, by nie rzutowała negatywnie na wizerunek policji. Vanpelt domaga się oficjalnego komentarza.
- Kogo obchodzi, czego Vanpelt się domaga?
- Jest reporterką od spraw kryminalnych i współpracuje z kilkoma stacjami w mieście.
- Jest jedną z tych, które uganiają się za karetkami i nękają ofiary wypadków. To szmata pozbawiona zasad etycznych. Wszyscy to wiedzą. Nieważne, co powiem, ona tak to przekręci, by wykreować konflikt. Nie zamierzam się temu poddawać. To moja osobista sprawa, a w sprawach osobistych nigdy się nie wypowiadamy. Dlaczego w tym przypadku mielibyśmy to zmienić?
- Szefowi chyba chodzi o to, czy masz propozycję odnośnie do naszego stanowiska – wtrącił Laub.
- Nawet kilka.
- Nadających się do druku?
- Powinniśmy oświadczyć, że to moja prywatna sprawa i ani ja, ani policja nie wypowiemy się na temat bieżącej procedury sądowej. Zawsze tak postępujemy w odniesieniu do śledztw w toku. Czemu tym razem miałyby być inaczej?

– Bo tej sprawy nie ma w naszych aktach – odparł Nolasco.

– Otóż to! – rzuciła Tracy.

– Muszę przyznać, że jestem skłonny zgodzić się ze śledczą Crosswhite – powiedział Laub, przenosząc wzrok na Nolasco. – Wydanie oficjalnego komunikatu nie przyniesie nam żadnych korzyści.

– Vanpelt i tak powie, co będzie chciała, bez względu na nasze stanowisko – poparł go Williams. – Już nieraz tak było.

– Roztrąbi, że jedna z naszych śledczych z wydziału zabójstw pomaga adwokatowi w doprowadzeniu do wznowienia procesu skazanego zabójcy – powiedział Nolasco. – My na to powiemy „bez komentarza”, tym samym dając do zrozumienia, że to pochwalamy.

– Jeśli pan koniecznie musi zająć jakieś stanowisko, to proszę jej przekazać, że chodzi mi o ostateczne rozwianie wątpliwości w kwestii śmierci mojej siostry – wtrąciła Tracy. – Czy to też może ujemnie rzutować na wizerunek policji?

– Mnie się to podoba – powiedział Laub.

– Tylko że w Cedar Grove wielu uważa, że wszelkie wątpliwości zostały rozwiane już dwadzieścia lat temu – mruknął Nolasco.

– I ci już wtedy byli niezadowoleni, że zadają jakieś pytania.

Wymierzył w nią długopis, a ona pomyślała, że najchętniej złamałaby mu go razem z palcem.

– Wszelkie wątpliwości co do winy tego człowieka powinny trafiać do biura szeryfa okręgu Cascade – oświadczył. – To podlega ich jurysdykcji.

– Czy nie mówił pan przed chwilą, że nie powinnam się do tego mieszać? A teraz z kolei chce pan, żebym informowała o wszystkim szeryfa?

Nolasco aż rozdał nozdrza.

– Jako funkcjonariusz porządku publicznego stwierdzam tylko, że twoim zawodowym obowiązkiem jest dzielić się swoją wiedzą z władzami.

– Raz już spróbowałam, ale daleko nie dotarłam.

Odłożył długopis.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jak na naszą sekcję Ciężkich Przestępstw Kryminalnych rzutuje twoje stawanie po stronie skazanego mordercy?

– Może podkreśli to, jak bardzo jesteśmy bezstronni.

Williams i Laub z trudem opanowali uśmiechy, ale Nolasco jej słowa nie rozbawiły.

– To poważna sprawa, śledcza Crosswhite – rzucił surowym tonem.

– Jak każde morderstwo.

– Może należałoby zapytać, czy twoje zaangażowanie nie przeszkodzi ci w wypełnianiu obowiązków służbowych?

– Z całym szacunkiem, ale wydawało mi się, że szukanie morderców należy do moich obowiązków służbowych.

– I powinnaś poświęcać swój czas na szukanie mordercy Nicole Hansen.

Laub postanowił znów się wtrącić.

– Może weźmy wszyscy głęboki oddech – zasugerował. – Przynajmniej jesteśmy zgodni co do tego, że ani detektyw Crosswhite, ani nikt inny z naszego wydziału nie wypowiedzą się w sprawie podjętych czynności prawnych oraz że wszelkie pytania należy kierować do biura szeryfa okręgu Cascade, czy tak?

Lee zaczął notować.

– Nie wolno ci wykorzystywać stanowiska ani zasobów pozostających w dyspozycji naszej służby do prowadzenia tego śledztwa. Czy wyrażam się jasno?

– Nolasco już nie próbował ukrywać irytacji.

– Czy równie jasne jest to, że szefostwo nie będzie mi wkładało w usta nie moich słów?

– Nikt nie będzie ci niczego wkładał, Tracy – powiedział Laub. – Bennett opracuje komunikat i wspólnie go zatwierdzimy. Czy to zadowala wszystkich obecnych?

Nolasco milczał, a Tracy nie zamierzała kapitulować bez choćby śladu dobrej woli z jego strony.

– Nie będę cię chronił w tej sprawie – zapowiedział w końcu. – To wykracza poza nasze kompetencje. Jeśli coś pójdzie nie tak, zostaniesz z tym sama.

Tracy omal nie parsknęła śmiechem na myśl, że mogłby ją przed czymkolwiek chronić. Miała też ochotę zacząć wrzeszczeć.

– Nie przyszło mi do głowy, że mogłoby być inaczej – burknęła cicho.

* * *

Tracy wróciła do siebie z buzującą w żyłach adrenaliną.

– Co się dzieje? – spytał Kins, okręcając się z krzesłem.

Usiadła przy biurku, ukryła twarz w rękach i rozmasowała sobie skronie. Otworzyła szufladę, wytrząsnęła dwie tabletki ibuprofenu i odchyliwszy głowę, połknęła bez popicia wodą.

– Vanpelt nawet nie spytała o ustalenia biura patologa w sprawie szczątków Sary – odparła. – Chodziło jej o wywęszenie, czy pomagam adwokatowi w doprowadzeniu do nowego procesu Edmunda House’a. Szefostwo się dowiedziało i nie jest tym zachwycone.

– Więc im powiedziałaś, że to nieprawda – rzekł Kins, a gdy nie zareagowała od razu, dodał: – Bo to nieprawda, tak?

– Pamiętasz sprawę tej staruszki z Queen Anne?

– Nory Stevens?

– Czy nie dręczy cię to, że po roku nie wiesz, kto był sprawcą?

– Oczywiście, że mnie dręczy.

– No to pomyśl, jak by cię dręczyło po dwudziestu latach, jeśliby to

dotyczyło kogoś, kogo kochałeś. I jak daleko byłbyś gotów się posunąć, żeby poznać prawdę?

Rozdział 31

Tracy zapukała i cofnąwszy się, pozwoliła, by sprężynujące drzwi siatkowe się zamknęły. Nikt nie otworzył, więc podeszła do okna i osłoniwszy oczy dłońmi, próbowała przebić wzrokiem białe muślinowe firanki. Nie dojrzawszy nikogo, przeszła zadaszonym gankiem do końca i wychyliła się za róg domu. Na podjeździe przed garażem stał najnowszy model hondy civic.

Zawołała i nie uzyskawszy żadnej odpowiedzi, zawróciła do drzwi. Już miała zejść po schodkach, gdy zauważyła przez okienko wolno zbliżającą się sylwetkę. Chwilę potem drzwi się otworzyły.

– Tracy.

– Witam, pani Holt.

– Tak mi się zdawało, że ktoś puka. Siedziałam w pokoju i szydełkowałam. Co za niespodzianka! Co robisz w Cedar Grove?

– Musiałam dopilnować paru spraw spadkowych po rodzicach.

– Myślałam, że już sprzedałaś ich dom.

– Zostało jeszcze trochę do załatwienia.

– To musiało być dla ciebie strasznie bolesne. Harley i ja zawsze mile wspominaliśmy wizyty u was, zwłaszcza te gwiazdkowe przyjęcia. Ale proszę, wejdź, wejdź, nie stój tak na zimnie.

Tracy wytarła nogi na wycieracze i weszła do środka. Dom był umeblowany skromnie, ale schludnie. Na kominku stał rząderek oprawionych w ramki fotografii, kolejne zdobiły przykryty serwetkami kredens w części jadalnej. W stojącej obok serwantce pyszniła się kolekcja porcelanowych figurek. Carol Holt zamknęła drzwi i weszła za Tracy do pokoju. Zdaniem Tracy miała sześćdziesiąt kilka lat. Była przysadzistą kobietą z krótkimi srebrnymi włosami i okularami w srebrzystej oprawce. Nadal była wierna modzie na spodnie z elastiku i długie luźne swetry; nosiła naszyjnik z barwnych koralików. Po zaginięciu Sary zgłosiła się do Legionu Amerykańskiego i zajęła szykowaniem kanapek dla ochotników przeszukujących okoliczne lasy.

– I co porabiasz? – spytała pani Holt. – Słyszałam, że mieszkasz teraz w Seattle.

– Jestem policjantką.

– Policjantka! Ho, ho, to musi być pasjonujące.

– Zdarzają się ciekawe sprawy.

– Siadaj i rozgość się. Napijesz się czegoś? Wody, kawy?

– Nie, dziękuję, pani Holt. Nie chce mi się pić.

– Proszę, kochanie. Myślę, że jesteś już na tyle dorosła, żeby mi mówić po imieniu.

Usiadły w salonie, Tracy na rudobrzazowej kanapie z poduszkami obłożonymi w szydełkowane powłoczki i jedną ukazującą fronton domu państwa Holtów z napisem DOM, SŁODKI DOM, Carol Holt na krześle przy kanapie.

– To cóż cię do mnie sprowadza? – spytała.

– Jechałam już do Seattle i po drodze wstąpiłam do warsztatu, żeby porozmawiać z Harleyem, ale wygląda na to, że warsztat jest nieczynny. – Nie do końca była to prawda. Przyjechała do Cedar Grove, ale nie w sprawach spadkowych. Miesiąc wcześniej wyśledziła dawnego pracodawcę Ryana Hagenę, znalazła u niego ciekawe dokumenty i miała nadzieję, że u Harleya Holta znajdzie coś więcej.

– Żałuję, Tracy. Harley odszedł przeszło pół roku temu.

Aż zaparło jej dech.

– Nic nie wiedziałam – bąknęła. – Tak mi przykro, Carol. Na co umarł?

– Na raka trzustki. Miał przerzuty do węzłów chłonnych i nie można było nic zrobić. Ale przynajmniej nie męczył się długo.

Tracy nie pamiętała ani razu, żeby Harley nie powitał jej z papierosem w ustach, kiedy podjeżdżała do jego warsztatu na serwis samochodu.

– *Przepraszam.*

– *Nie masz za co przepraszać.* – *Carol Holt uśmiechnęła się blado, ale jej oczy zaszkliły się łzami.*

– *Radzisz sobie jakoś?* – *spytała Tracy.*

Carol obojętnie wzruszyła ramionami i poprawiła naszyjnik.

– *No cóż, nie jest łatwo, ale próbuję coś robić i staram się, jak mogę. Bo cóż innego mi zostało, prawda? Boże, po co ja ci to wszystko mówię. Spadło na ciebie wystarczająco dużo nieszczęść.*

– *Jakoś daję sobie radę.*

– *Odwiedzają mnie dzieci z wnukami i to trochę pomaga.* – *Carol klepnęła się dłońmi w uda.* – *No to powiedz, o czym chciałaś rozmawiać z Harleyem po tylu latach.*

– *Szczerze mówiąc, miałam nadzieję wypytać go o jego pracę. Znał praktycznie każdy samochód w Cedar Grove, prawda?*

– *Jak własną kieszeń. Twój ojciec też był jego stałym klientem. Harley bardzo to sobie cenił. To takie straszne, co się stało. Twój ojciec był takim dobrym człowiekiem.*

– *Wiesz może, gdzie Harley zaopatrywał się w części do napraw?*

Carol Holt zrobiła taką minę, jakby Tracy ją pytała o fizykę kwantową.

– *Nie, kochanie, w ogóle nie mieszałam się do tych spraw. Ale myślę, że w wielu różnych miejscach.*

– *Pamiętam, że w jego kantorze stało kilka szafek z papierami – powiedziała Tracy, wyjawiając w ten sposób prawdziwy powód swej wizyty.*

Carol uniosła ręce w dramatycznym geście.

– *Prowadzenie buchalterii było dla Harleya utrapieniem, ale jakoś sobie*

radził. Wypracował własny sposób załatwiania spraw.

– Jak dawno temu zamknął warsztat?

– Kiedy przeszedł na emeryturę. Początkowo liczył, że przejmie go nasz syn Greg i poprowadzi dalej, ale Greg miał inne plany. Chyba jakieś trzy, cztery lata temu.

– Wciąż masz klucze do warsztatu?

Uniosła brwi.

– Nie mam pojęcia. Pewnie gdzieś tu są. A czego szukasz?

– Interesuje mnie jedna sprawa. Wiem, że brzmi to dziwacznie, ale liczyłam, że będę mogła zajrzeć do papierów Harleya i zaspokoić ciekawość.

– Chętnie bym ci pomogła, kochanie, obawiam się jednak, że w warsztacie niczego już nie znajdziesz. Przed zamknięciem Harley wszystko stamtąd wyniósł.

– Też tak pomyślałam, kiedy zajrzałam przez okno do środka. Ale uznałam, że warto spróbować. No cóż, nie będę cię dłużej odrywała od szydełkowania. Zresztą powinnam już ruszyć w drogę do Seattle.

– A co z tymi papierami?

– Słucham?

– Powiedziałaś, że chciałaś zajrzeć do jego papierów.

– Zrozumiałam, że wszystkiego się pozbył.

– Kto, Harley? Przecież pamiętasz jego biuro. Ten człowiek w życiu nie wyrzucił jednego papierka. Ale żeby się do nich dokopać, musiałabyś niezłe pogrzebać.

– Jego papiery są tutaj?

– A jak myślisz, dlaczego mój samochód stoi przed garażem? Harley wywiózł wszystko z warsztatu i złożył w garażu. Wciąż obiecywał, że się do tego zabierze

i uporządkuje, ale potem się rozchorował i jeśli mam być szczerą, w ogóle o tym nie pomyślałam. Dopiero ty mi przypomniałaś.

Rozdział 32

Tracy w końcu się poddała i krótko po drugiej w nocy zwlekła się z łóżka. W ciągu tych lat od zniknięcia siostry rzadko jej się udawało przespać całą noc. Po schowaniu pudeł z papierami do szafy przez jakiś czas było lepiej, teraz jednak bezsenność znów wróciła. Roger, jej szaro-czarny pręgowiec, poszedł za nią do pokoju, głośno miaucząc.

– Tak, wiem. Ja też nie lubię wstawać o tej porze – powiedziała. Wzięła laptop i pilota, otuliła się kocem i usiadła na kanapie w swym sześćdziesięciopięciometrowym mieszkaniu w bloku na Capitol Hill. Nie wybrała go z powodu wyposażenia czy widoku z okien, które wychodziły na identyczny blok po drugiej stronie ulicy. Zdecydowała się na nie, bo pasowały jej wysokość czynszu oraz lokalizacja odpowiednia dla kogoś, kto wprawdzie nie miał literek „dr” przed nazwiskiem, ale też chciał mieszkać blisko centrum, by móc szybko reagować na nagłe wezwania.

Roger wskoczył jej na kolana i po krótkim moszczeniu zwinął się w kłębek. Przebiegła w myślach wczorajszą rozmowę z Danem. Opowiedziała mu o Marii Vanpelt i spotkaniu z Nolasco, a on zaproponował, że w najbliższy piątek przyjedzie do Seattle, zabierze ją na wystawę szklanych wyrobów Chihuly i pójdą potem na kolację.

Od czasu pierwszej wizyty po pogrzebie siostry Tracy jeszcze kilkakrotnie odwiedziła go w Cedar Grove, by dowiedzieć mu resztę dokumentacji i omówić wyniki swojego śledztwa. Dwa razy spędziła w jego domu noc, jednak od czasu zaimprovizowanej lekcji golfa nie doszło między nimi do żadnych romantycznych zbliżeń i Tracy zastanawiała się nawet, czy nie zinterpretowała błędnie jego intencji. Wtedy była niemal pewna, że wyczuła w nim seksualne napięcie, i kusilo ją nawet, by pociągnąć to dalej, lecz uznała, że jakiegokolwiek zbliżenie z Danem byłoby w tych okolicznościach nierozsądne. Nie mówiąc o tym, że nie wyobrażała sobie powrotu na stałe do Cedar Grove, gdzie on najwidoczniej na dobre się osiedlił. Wynikłyby z tego same kłopoty i Tracy postanowiła dać sobie spokój. Jednak po zaproszeniu na wystawę Chihuly należało ponownie rozważyć jego intencje, nie miało ono bowiem żadnego związku z ich pracą, a od razu powstawał problem noclegu w Seattle. Miała tylko jedną sypialnię. Propozycja Dana ją zaskoczyła i Tracy bez większego zastanowienia ją zaakceptowała, po czym resztę dnia spędziła, dumając, czy dobrze zrobiła.

Odpaliła laptop, weszła na stronę Prokuratury Generalnej Stanu Waszyngton i wpisawszy nazwisko i hasło dostępu, zalogowała się do systemu HITS4. Baza zawierała dane ponad 22 000 zabójstw i napaści seksualnych, jakie wydarzyły się od roku 1981 w stanach Waszyngton, Idaho i Oregon. Zakładając, że Hansen

została zamordowana, a nie zmarła w wyniku aktu seksualnego, który dramatycznie wymknął się spod kontroli, można było przypuszczać, że ten, kto ją w tak wymyślny sposób zabił, próbował to już zrobić wcześniej. Z badań kryminalistycznych wynikało, że tego typu przestępcy często powtarzają swe praktyki, chcąc doprowadzić je do perfekcji. Dlatego po długim dniu spędzonym w pracy Tracy od pewnego czasu wracała do domu, siadała przed komputerem i przeglądała bazę danych w poszukiwaniu zabójstw podobnych do śmierci Nicole Hansen.

Pierwszy filtr w postaci słów „pokój motelowy” zredukował listę przypadków z 22 000 do 1511. Dopisała słowo „sznur”, ale nie wspomniała o „uduszeniu”, chcąc sprawdzić wszystkie przypadki skrępowania ofiary, które niekoniecznie skończyły się uduszeniem. To spowodowało dalsze skrócenie listy do 224 przypadków. Z tej liczby zainteresowały ją 43 ofiary, których nie poddano napaści seksualnej, sekcja zwłok Nicole Hansen nie wykazała bowiem obecności nasienia. Tę anomalię można było tłumaczyć tym, że stosunek płciowy w niezwyklej pozycji, w jakiej skrępowano Hansen, był praktycznie niemożliwy. Co więcej, ofiary także nie obrabowano. Zasobny w gotówkę portfel Hansen znaleziono nietknięty na motelowej komodzie, co wykluczało drugi z najczęstszych motywów zabójstwa. Oczywiście cały czas zakładając, że Hansen zamordowano.

Na podstawie opisów przestępstw zamieszczonych w bazie HITS Tracy przystąpiła do szczegółowej analizy czterdziestu trzech przypadków. Niestety, żaden z nich nie wyglądał obiecująco. Zamknęła laptop i oparła się plecami o poduszki kanapy.

– To mi przypomina szukanie igły w stogu siana, Roger – mruknęła.

Kot już mrucał na jej kolanach.

Tracy mogła mu tylko zazdrościć.

Rozdział 33

W piątek po południu jej telefon zawibrował w chwili, gdy z Kinsem przejeżdżali mostem pontonowym 520 przez jezioro Washington. Ruch był duży, bo mnóstwo ludzi jechało do centrum miasta. Nad ciemnymi wodami jeziora sterczały potężne dźwigi na pływających platformach służące do budowy jakże potrzebnej drugiej nitki biegnącej równolegle do pierwszej, ale na skutek wad betonowych pontonów mających podtrzymywać drugi most datę zakończenia budowy przesunięto na rok 2015.

Tracy zajrzała do wykazu połączeń i stwierdziła, że nie odebrała dwóch wcześniejszych telefonów od Dana. Oddzwoniła.

– Hej – rzuciła. – Przepraszam, że nie odbierałam, ale mamy dziś urwanie głowy. Próbujemy namierzyć świadków i rozmawiamy z ekspertami o sznurze z morderstwa w północnym Seattle.

– Spotkała mnie dziś niespodzianka – powiedział Dan.

– Miła czy niemiła?

– Sam nie wiem. Większość dnia spędziłem w sądzie i gdy wróciłem do biura, na faksie znalazłem kopię sprzeciwu Vance’a Clarka na mój wniosek o wyznaczenie terminu ponownego rozpoznania winy skazanego.

– Przypiliło go?

– Najwyraźniej.

– I jak to rozumiesz?

– Jeszcze go nawet nie przeczytałem. Pomyślałem, że najpierw zadzwonię do ciebie i cię zawiadomię.

– Dlaczego tak mu śpieszno?

– Może próbuje to zdusić w zarodku, przekonać sąd apelacyjny, że mój wniosek w ogóle nie zasługuje na rozpatrzenie. Ale to będę wiedział, jak przeczytam. Cokolwiek by było, wygląda na to, że czeka cię mnóstwo roboty.

– Prześlij mi to mailem, porozmawiamy o tym przy kolacji.

– Tak... no właśnie... Przykro mi, ale muszę ją odwołać.

– Coś się stało?

– Wypadło mi coś pilnego i muszę się tym zająć. Mogę zadzwonić do ciebie później?

– Jasne – odparła Tracy. – Pogadajmy o tym wieczorem. – Rozłączyła się, nie bardzo wiedząc, co sądzić o odwołaniu ich randki. Choć początkowo myślała o niej z niepokojem, ostatnio zaczęła się już nawet cieszyć na spotkanie i to, do czego może ono doprowadzić. Już zaplanowała, że kupi u Dicka dwa hamburgery – te duże, po dolar trzydzieści dziewięć sztuka – i zjedzą kolację w domu.

– Coś się stało? – spytał Kins.

- Przepraszam... Słucham?
- Pytam, czy coś się stało.
- Złożyli do sądu sprzeciw na nasz wniosek. Spodziewaliśmy się tego ruchu dopiero za jakieś dwa tygodnie.
- I co to znaczy?
- Jeszcze nie wiem. – W uszach dźwięczała jej niepewność wychwycona w głosie Dana.

Rozdział 34

Dan O'Leary odchylił głowę, by wpuścić sobie krople do oczu. Soczewki kontaktowe wydawały się przyklejone do rogówek. Deszcz za oknem układał się w światło latarni w żółte smugi. Okno zostawił otwarte, by słuchać odgłosów przetaczającej się od północy burzy i wachać deszcz przesycony zapachem rozmokłej ziemi. Jako dziecko często siadywał w oknie swojego pokoju, wypatrywał błyskawic nad Kaskadami i liczył sekundy między błyskiem rozświetlającym szczyty a grzmotem. Kiedyś chciał nawet zostać panem od pogody. Sunnie mówiła, że to najnudniejsze zajęcie na świecie, ale Tracy uważała, że Dan będzie dobrze się prezentował w telewizji. Ona zawsze taka była, nawet jeśli inne dzieci traktowały go jak przygłupa, którym czasami bywał. Zawsze stawiała po jego stronie.

Gdy zobaczył ją taką samotną na uroczystości pogrzebowej Sary, zrobiło mu się jej okropnie żal. Zawsze zazdrościł jej rodziny, takiej dla siebie serdecznej i kochającej. U niego w domu niekoniecznie tak było. A potem w stosunkowo krótkim czasie Tracy straciła wszystko, co kochała. Podchodząc do niej na cmentarzu, kierował się przyjaźnią z czasów dzieciństwa, ale nie mógł zaprzeczyć, że czuje do niej fizyczny pociąg. Dał jej wizytówkę w nadziei, że zadzwoni i spotka się z nim nie jak z chłopcem, którego kiedyś znała, ale z mężczyzną, jakim był teraz. Ta nadzieja rozviała się w chwili, gdy przyszła do niego poprosić, by zapoznał się z jej sprawą. Służbowo, ściśle jako klientka.

Zaprosił ją do siebie z obawy o jej bezpieczeństwo, ale patrząc na nią, nie mógł się uwolnić od myśli, że coś między nimi może jednak zaiskrzyć. Kiedy objął ją od tyłu, by zademonstrować uderzenie w piłeczkę golfową, odezwało się w nim coś, czego już dawno nie czuł. Ostatni miesiąc upłynął mu na tłumieniu tego czegoś. Tłumaczył sobie, że Tracy wciąż głęboko to przeżywa, ma uraz na punkcie Cedar Grove i nie ufa nikomu i niczemu z tym miejscem. Zaproponował pójście na wystawę szkła Chihuly i kolację, by choć trochę ją rozerwać, potem jednak zdał sobie sprawę, że postawił ją w niezręcznej sytuacji. Bo czy to znaczy, że on się spodziewa, że zaprosi go do siebie na noc, czy powinien od razu wynająć hotel? Poczul, że zmusza ją do podjęcia decyzji, do której nie jest jeszcze gotowa. I w związku z niedawnym znalezieniem szczątków Sary oraz zapowiedzią kolejnej szarpiącej nerwy sprawy sądowej w jej życiu nie ma miejsca na nowe problemy.

Miał też wątpliwości natury zawodowej. Tracy formalnie nie była jego klientką. Klientem był Edmund House, ale to ona dysponowała informacjami niezbędnymi do odpowiedniego przygotowania się do posiedzenia w sprawie ponownego rozpoznania winy skazanego, do którego dojdzie, jeśli sąd się na nie

zgodzi. Dlatego uznał, że w tych okolicznościach najlepiej będzie nie narażać Tracy na dodatkowy stres i wycofać się ze spotkania w Seattle, przekładając je na bardziej sprzyjający czas dla obojga.

Sherlock śpiący obok Rexa na dywaniku przed biurkiem poruszył się i głucho warknął. Po wizycie Callowaya i groźbie odebrania psów Dan zaczął zabierać je z sobą do pracy. Psy stanowiły miłe towarzystwo i jedynym problemem było to, że najmniejszy szmer podrywał je na równe nogi. Rzucały się wtedy z głośnym ujadaniem do recepcji, dziś jednak jak dotąd nic ich nie zaniepokoiło.

Skupił się na treści sprzeciwu Vance'a Clarka wobec wniosku o ponowne rozpoznanie winy skazanego. Od początku podejrzewał, że Clark dlatego tak wcześnie złożył sprzeciw, by zasugerować sądowi apelacyjnemu, że wniosek obrony jest bezzasadny i nie ma co się nim zajmować. I nie mylił się. Argumentacja Clarka była prosta. Według niego we wniosku nie wykazano żadnych nieprawidłowości w poprzednim postępowaniu, które mogłyby uzasadnić zgodę na posiedzenie sądu i rozważanie, czy Edmund House zasługuje na nowy proces. Przypominał sądowi, że mimo przyznania się do zabicia Sary Crosswhite House odmówił wskazania miejsca ukrycia jej zwłok, przez co stał się pierwszym mieszkańcem stanu Waszyngton, którego skazano w czysto poszlakowym procesie za morderstwo z premedytacją. Podkreślał, że oskarżony próbował wykorzystać to do zawarcia układu z prokuraturą i nie wolno dopuścić, by ta strategia przyniosła mu teraz korzyści. Clark konkludował, że gdyby House dwadzieścia lat temu ujawnił śledczym miejsce ukrycia zwłok Sary Crosswhite, w jego ówczesnym procesie mogłyby być uwzględnione ewentualne okoliczności łagodzące. Oczywiście nie zrobił tego, bo wskazanie miejsca pochówku stanowiłoby niepodważalny dowód jego winy. Tak czy siak, House był winny. Zapewniono mu uczciwy bezstronny proces i nic z tego, co Dan podnosi w swym wniosku, nie może tego zmienić.

Argumentacja była niezła, tyle że mocno arbitralna, zbudowano ją bowiem na założeniu, że sąd uznał przyznanie się oskarżonego do morderstwa, House zaś próbował wykorzystać sprawę miejsca ukrycia zwłok do wytargowania łagodniejszego wyroku. DeAngelo Finn zawałił sprawę, kiedy przesłuchując Callowaya, nie przycisnął go w kwestii braku spisanego lub nagranego przyznania się House'a do winy, co dla każdego obrońcy powinno stanowić pierwszą linię ataku. Finn zrobił też kolejny błąd, gdy wezwał oskarżonego na świadka. Wystawiło to House'a na atak oskarżenia, które zaczęło go wypytywać o poprzedni wyrok za gwałt jak o coś w jego przypadku normalnego, co podważyło wiarygodność House'a i stało się gwoździem do jego trumny. Kto raz zgwałcił, będzie zawsze gwałcił. Finn powinien był wnioskować o nieuwzględnienie rzekomego przyznania się House'a do winy, co z braku dowodów mogłoby zmienić przebieg całego procesu. Nawet gdyby wniosek został przez sąd

odrzucony, House uzyskałby solidną podstawę do złożenia apelacji. Niezależnie od dowodów mogących podważać winę House'a, jakie znaleziono przy szczątkach Sary, brak wniosku Finna stanowił sam w sobie wystarczającą podstawę do tego, by domagać się nowego procesu.

Sherlock wstał na nogi i zaczął nasłuchiwać. Chwilę później ktoś nacisnął dzwonek w recepcji.

Pazury Sherlocka zachrobotwały po parkiecie, Rex skoczył za nim i oba psy zaczęły głośno szczekać. Dan zerknął na zegarek i ruszył w stronę recepcji, sięgając po drodze po kij baseballowy z autografem Kena Griffeya Juniora, który – tak jak psy – też zaczął zabierać do biura.

Rozdział 35

Sherlock i Rex tak przygwoździły czarnoskórego mężczyznę, że stał rozpląszczony na drzwiach i sprawiał wrażenie autentycznie przerażonego.

– Tu jest napisane, żeby dzwonić – wymamrotał.

– Zostaw – rzucił komendę Dan i oba psy posłusznie usiadły. – Jak pan tu wszedł?

– Drzwi nie były zamknięte.

Dan wcześniej wyprowadzał psy, by załatwiły swoje wieczorne potrzeby.

– Kim pan jest?

– Nazywam się George Bovine, panie O’Leary. – Mężczyzna zerkał niepewnie na psy. Dan skojarzył sobie nazwisko z dokumentacji Tracy, nim przybysz zaczął mówić. – Edmund House zgwałcił moją córkę, Annabelle.

Dan oparł kij baseballowy o biurko recepcjonistki. Trzydzieści lat wcześniej House’a skazano za seks z nieletnią i wsadzono za kratki na sześć lat. Bovine zeznawał na procesie House’a po uznaniu go przez ławę przysięgłych za winnego morderstwa Sary Crosswhite i chodziło już tylko o wymiar kary.

– Co pan tu robi o tej porze?

– Przyjechałem z Eureki.

– Z Kalifornii? – Bovine kiwnął głową. Był mężczyzną pod siedemdziesiątkę, mówił cichym, spokojnym głosem. Miał krótko przystryżoną siwą brodę i okulary w szylkretowej oprawie, na głowie rudawobrazową czapeczkę golfisty, pod marynarką sweter z wycięciem w serek. – Po co?

– Bo chciałem porozmawiać z panem twarzą w twarz. Zamierzałem przyjść jutro rano i podjechałem tylko sprawdzić adres, ale zobaczyłem w oknie światło. Drzwi wejściowe były niezamknięte, wszedłem na górę i stwierdziłem, że w pańskim biurze się świeci.

– Dobrze, rozumiem, ale to nie daje odpowiedzi na moje pytanie. Po co pan przejechał taki szmat drogi?

– Zadzwoił do mnie szeryf Calloway. Powiedział, że walczy pan o nowy proces dla Edmunda House’a.

Dan zaczynał już rozumieć, do czego to wszystko zmierza, zdziwiła go tylko otwartość Bovine’a.

– Skąd pan zna szeryfa?

– Byłem świadkiem na procesie Edmunda House’a.

– Wiem. Czytałem akta. Szeryf Calloway namówił pana, żeby mnie pan odwiódł od występowania w imieniu pana House’a?

– Nie. On mnie jedynie powiadomił, że zmierza pan do nowego procesu. Przyjechałem z własnej woli.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– Proszę tylko o krótką rozmowę. Powiem, co mam do powiedzenia, nie będę się rozwodził. A potem zostawię pana w spokoju.

Dan zamilkł. Miał wątpliwości co do intencji Bovine'a, ale gość robił dobre wrażenie. Odbył ośmiogodzinną podróż i nie próbował ukrywać celu swojej wizyty.

– Rozumie pan, że w sprawach mojego klienta obowiązuje mnie tajemnica – zastrzegł się.

– Oczywiście, panie O'Leary. Nie obchodzi mnie, co Edmund House ma do powiedzenia.

Dan skinął głową.

– Zapraszam do gabinetu. – Pstryknął palcami i oba psy potruchtały w głąb korytarza. W gabinecie zajęły swoje miejsca na dywaniku, ale zamiast się położyć, usiadły z czujnie postawionymi uszami.

Bovine zdjął połyskującą kroplami deszczu marynarkę i powiesił ją na rzadko używanym wieszaku obok drzwi.

– Strasznie są wielkie – zauważył, wciąż niepewnie zerkając na zwierzęta.

– Powinien pan zobaczyć rachunki za ich żarcie. Mogę panu zaproponować kubek nie pierwszej świeżości kawy?

– Tak, chętnie. Mam za sobą długą drogę.

– Z mlekiem?

– Nie – odparł Bovine.

Dan nalał, podał mu kubek i obaj usiedli na krzesłach pod oknem wychodzącym na Market Street. Bovine uniósł kubek do ust i Dan zauważył, że ręka mu drży. Deszcz za oknem lał równo, bębniąc głośno w płaski dach i szumiąc w rynnach i rurach spustowych. Gość odstawił kubek i sięgnął do tylnej kieszeni spodni po portfel. Drżącymi rękami wysupłał kilka fotografii z plastikowych okładek, po czym jego dłonie zaczęły tak dygotać, że Dan zaczął się zastanawiać, czy mężczyzna nie ma parkinsona. Bovine położył na stole jedną z fotografii.

– To Annabelle – powiedział.

Dziewczyna miała jakieś dwadzieścia lat, proste ciemne włosy i skórę jaśniejszą od ojca. O mieszance krwi świadczyły też jej niebieskie oczy. Ale to nie odcień skóry Annabelle Bovine i nie kolor jej oczu przykuły uwagę Dana. Zdumiała go jej martwa, całkowicie pozbawiona wyrazu twarz. Wyglądała jak obrazek wycięty z kartonu.

– Widzi pan tę bliznę na jej twarzy?

Od brwi Annabelle ciągnęła się cienka, ledwo widoczna łukowata kreska kończąca się na szczęce.

– Edmund House zeznał na policji, że uprawiał seks z moją córką za jej zgodą. – Bovine obok pierwszej położył drugą fotografię. Twarz dziewczyny była

niemal nie do poznania. Lewe oko miała opuchnięte, przez policzek biegła krecha zakrzepłej krwi. Dan wiedział z akt Tracy, że w chwili gwałtu ofiara miała szesnaście lat. Bovine wziął do ręki kubek, ale ręka tak mu zadrżała, że odstawił go na stół. A potem przymknął oczy i wziął kilka głębokich oddechów.

Dan chwilę odczekał, po czym rzekł:

– Nie wiem, co mam powiedzieć, panie Bovine.

– Uderzył ją szpadlem, panie O’Leary. – Znow przerwał i zaczerpnął powietrza, jednak tym razem tak gwałtownie, że aż zarzęziło mu w płucach. – Bo House’owi nie wystarczył sam gwałt na mojej córce. Chciał zadawać jej ból i byłby ją zmasakrował, gdyby nie to, że znalazła w sobie tyle siły, żeby się wyrwać i uciec.

Na twarzy Bovine’a pojawił się grymas rezygnacji. Zdjął okulary i przetarł szklą czerwoną chusteczką.

– Sześć lat. Dostał sześć lat za zrujnowanie życia młodej dziewczynie, bo ktoś popełnił błąd przy zbieraniu dowodów. Wcześniej Annabelle była inteligentna, pełna życia. Musieliśmy się przeprowadzić, bo nękały ją koszmary. Nie skończyła szkoły, nie jest w stanie pracować. Mieszkamy przy cichej uliczce w cichym miasteczku o niskim stopniu przestępczości. Jest spokojnie, ale i tak co wieczór zamykamy się na cztery spusty i sprawdzamy każde okno. To codzienna rutyna. A potem żona i ja kładziemy się do łóżka i nasłuchujemy, czy córka nie krzyczy. Nazywają to syndromem traumy gwałtu. Edmund House odsiedział sześć lat, my się z tym borykamy od niemal trzydziestu.

Dan pamiętał zapis w protokole sądowym, ale słowa ojca uzmysłowiły mu głębię dramatu tej rodziny.

– Bardzo panu współczuję. Nikt nie powinien czegoś takiego przeżywać.

– Ale będzie. Jeśli robi pan to, co pan zamierza, ktoś znow to przeżyje, panie O’Leary.

– Szeryf Calloway nie powinien do pana dzwonić. To nieuczciwe wobec nas obu. Nie próbuję umniejszyć znaczenia tego, co zrobiono pana córce i pańskiej rodzinie, ale...

Uciszący gest ręki Bovine’a był równie spokojny jak ton jego głosu.

– Chce mi pan powiedzieć, że Edmund House zgwałcił moją córkę jako młody chłopak, że od tamtej pory minęło blisko trzydzieści lat i ludzie się zmieniają. – Jego usta znow wykrzywił pełen rezygnacji uśmiezek. – Więc oszczędzę panu trudu. – Przeniósł wzrok na Sherlocka i Rexa. – Edmund House różni się od pańskich psów. Jego nie da się wyszkolić. Ani kazać mu zostawić ofiarę.

– Ale jak każdy zasługuje na uczciwy proces.

– Tylko że on nie jest każdym, panie O’Leary. Jedyne miejsce dla takich bestii jak on jest więzienie. I proszę się nie oszukiwać: Edmund House jest

wyjatkową bestią. – Powolnym ruchem zebrał fotografie i schował do portfela. – Powiedziałem panu wszystko, co miałem do powiedzenia. Nie będę zabierał więcej czasu. – Wstał i zdjął z wieszaka marynarkę. – Dzięki za kawę.

– Ma pan gdzie przenocować? – spytał Dan.

– Mam zamówiony nocleg.

Dan odprowadził Bovine'a do wyjścia, a ten zatrzymał się przy drzwiach i spojrzał na psy.

– Niech mi pan powie, czy gdyby pan ich nie przywołał, pogryzłyby mnie?

Dan poklepał je po łbach.

– Wyglądają groźnie, ale więcej szczekają, niż gryzą – powiedział.

– Sądzę, że i tak potrafią nieźle człowieka poszarpać – rzekł Bovine, po czym odwrócił się i zamknął za sobą drzwi.

Rozdział 36

Tracy goniła resztką sił, nie pamiętając, kiedy ostatnio przespała całą noc. Czowała ogromne zmęczenie w ciele i siadając w sali konferencyjnej z Kinsem, Fazem i Delem, by zaznajomić Billy'ego Williamsa i Andrew Lauba z aktualnym stanem spraw w zespole A, słyszała je też w swoim głosie.

W ciągu paru tygodni, które minęły od złożenia przez Dana zwięzłej odpowiedzi na sprzeciw Vance'a Clarka, Kins i Tracy ponownie wykonali szereg czynności w śledztwie w sprawie śmierci Nicole Hansen, ale wciąż bez rezultatu. Raz jeszcze przesłuchali właściciela motelu i grupę gości, przepuścili zdjęte w pokoju motelowym odciski palców przez automatyczny system daktyloskopijny okręgu King i sprawdzili wszystkich, których odciski zostały zidentyfikowane, kolejno skreślając z listy podejrzanych osoby mogące się wykazać niepodważalnym alibi. Ponownie przeprowadzili rozmowy z tancerkami z Dancing Bare, rodziną Nicole Hansen, jej znajomymi i paroma dawnymi chłopakami. Tracy opracowała godzinowy harmonogram kilku ostatnich dni życia Hansen i wpisała do niego wszystkich, którzy w tym czasie mieli z nią kontakt. Przeprowadzili też kilka przeszukań – całkowicie bezowocnych.

– A co z teczkami osobowymi personelu? – spytał Laub.

– Dostaliśmy je wczoraj po południu – odparła Tracy, mając na myśli papiery obecnych i byłych pracowników Dancing Bare, które dostarczyło im kierownictwo lokalu. – Ron już nad nimi siedzi. – Ron Mayweather był piątym kołem zespołu A. Każda z czteroosobowych grup śledczych miała przypisanego asystenta, którego obarczono bardziej prozaicznymi czynnościami śledczymi.

Laub przeniósł wzrok na Faza.

– A co z tymi autami na parkingach? – spytał.

– Na razie nic – odrzekł Faz. – Wciąż jeszcze namierzamy numery spoza stanu, jeden z Kalifornii, drugi z Kolumbii Brytyjskiej. Koledzy za granicą nie mogą na nas narzekać.

– Znaleźliście coś w HITS?

– Nic. – Tracy pokręciła głową.

Odprawa dobiegła końca i Tracy marzyła już o porcji kofeiny, gdy w drzwiach zatrzymał ją Williams.

– Zostań jeszcze chwilę – poprosił, a ona chyba się domyślała, o co chodzi. – Wczorajszy program Vanpelt wywołał burzę z grzmotami – powiedział, gdy zostali sami. – Możesz się spodziewać następnego telefonu.

Prezentem Vanpelt na zbliżające się Boże Narodzenie był godzinny program o Housie, Cedar Grove i Tracy, który nadano w ramach jej cyklu *KRIX Tajniacy*. Przemieszała ujęcia historycznego centrum miasteczka z fotografiami Tracy, Sary,

ich rodziców i Edmunda House'a. Przeprowadziła rozmowy z mieszkańcami Cedar Grove, którzy wspominali, jak zniknięcie Sary zrujnowało idylliczną atmosferę w mieście, jak dramatyczny wpływ na życie mieszkańców miał proces jej zabójcy i co sądzą o grożącym im przechodzeniu przez to raz jeszcze. Wszystkich gnębiła myśl, że ich życie znów zostanie obrzucone medialnym błotem.

Tracy oparła się o stół konferencyjny.

– Tak przypuszczałam – mruknęła. – Jest bardzo źle?

– Dostaliśmy ponad dwadzieścia próśb o wywiad z mediów lokalnych i ogólnokrajowych, i to jeszcze przed ukazaniem się materiału z pierwszej strony dzisiejszego „Seattle Times”. Oni też się domagają wywiadu, podobnie jak CNN, MSNBC i kilka innych stacji.

– Nie zrobię tego, Billy. To nie położyłoby kresu nękanii pytaniami, a tylko zwiększyło zainteresowanie.

– Laub i ja też tak myślimy – rzekł Williams. – I przekazaliśmy naszą opinię Nolasco.

– Taa? I co on na to?

– Powiedział: „A co będzie, jeśli House znów stanie przed sądem?”.

* * *

Nolasco rzadko wyglądał na zadowolonego, ale gdy tego popołudnia Tracy weszła do sali konferencyjnej, miał tak ponurą minę, jakby przy zatwardzeniu dostał zastrzyk z botoxu. Lee znowu siedział obok niego z brodą podpartą ręką i wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w kartkę papieru na stole, zapewne kolejne oświadczenie przygotowane do podpisania przez Tracy. Widać była skazana na sprawianie im kłopotów.

– Na jakim etapie jest dochodzenie w sprawie Hansen? – spytał Nolasco, nim zdążyła usiąść. Nie miała wątpliwości, że odprawa nie została zwołana w celu omówienia tamtego śledztwa.

– Od naszej wczorajszej rozmowy raczej nie zdarzyło się nic nowego – odparła, przysuwając sobie krzesło.

– I co robisz, żeby to zmienić?

– W tej chwili siedzę tutaj, więc niewiele.

– Może czas włączyć w to FBI?

– To już wolałabym drużynę skautów. – W wydziale zabójstw FBI rozszyfrowywano jako skrót od *Famous But Idiots5*.

– Więc radziłbym, żebyś mi znalazła coś, co mógłbym zaraportować wyżej.

Przygryzła język, patrząc, jak Nolasco daje głową znak Lee, a ten sięga pod stół i wyjmuje ponadcentymetrowy plik kartek.

– Zaczęli nas tym zasypywać od chwili zakończenia wczorajszego programu Vanpelt. – Nolasco przesunął stos ku Tracy.

Zerknęła na kopie maili i notatki z rozmów telefonicznych. Z wszystkich była agresja, niektórzy nazywali ją niegodną noszenia munduru, inni żądali jej głowy.

– Ludzie chcą wiedzieć, dlaczego śledcza z wydziału zabójstw policji w Seattle, która przysięgała im służyć i ich bronić, próbuje doprowadzić do zwolnienia drania w rodzaju Edmunda House’a – rzekł Nolasco.

– To hejterzy – powiedziała. – Oni tylko tym żyją. Czy mamy uzależniać nasze decyzje od gustu ludzi z marginesu społecznego?

– A dziennikarze z „Seattle Times”, NBC i CBS to też margines?

– Już o tym rozmawialiśmy. Im zależy tylko na smacznych kąskach i oglądalności ich programów.

– Być może – przyznał. – Ale w świetle ostatnich wydarzeń uważamy, że będzie bezpieczniej, jeśli policja wyda w twoim imieniu oświadczenie.

– Przygotowaliśmy tekst, który chcemy ci przedstawić do rozważenia – wtrącił Lee.

– Do rozważenia, nie do zaakceptowania – dodał z naciskiem Nolasco.

Tracy wyciągnęła rękę po leżącą na stole kartkę, choć i tak nie zamierzała niczego podpisywać. Niech sobie piszą, co im się żywnie podoba, ale nie mogą jej zmusić do firmowania tego jej nazwiskiem.

Śledcza Crosswhite służbowo nie prowadzi dochodzenia ani nie uczestniczy w próbach uzyskania zgody sądu na ponowne rozpoznanie winy skazanego Edmunda House’a. Jeśli dojdzie do posiedzenia sądu i śledcza Crosswhite zostanie wezwana w charakterze świadka, zrobi to wyłącznie jako członek rodziny ofiary. Nie wykorzystwała w przeszłości i nie wykorzysta w przyszłości, oficjalnie lub nieoficjalnie, swego stanowiska śledczej w wydziale zabójstw policji w Seattle do wpływania w jakiegokolwiek formie na przebieg postępowania w tej sprawie. W związku z tym nie ma ona obecnie i nie będzie miała w przyszłości żadnych komentarzy odnośnie do jego wyników.

– Najpierw chcecie, żebym się wypowiadała, a teraz mi tego zabraniać? Nawet nie wiem, co to wszystko znaczy.

– To znaczy, że możesz zeznawać jako świadek, ale będzie to jedyny przejaw twojej aktywności w sprawie – wyjaśnił Nolasco. – Nie wolno ci występować w roli obrońcy posiłkowego.

– Aktywności w jakiej sprawie? – Spojrzała pytająco na Lauba i Williamsa, ale obaj mieli równie zaskoczone miny.

– Myśleliśmy, że wiesz – rzucił Nolasco, nagle nieco zmieszany tonem.

– Że co wiem?

– Sąd apelacyjny przychylił się do wniosku Edmunda House’a o ponowne rozpoznanie winy skazanego.

* * *

Tracy wpadła do swego boksu z takim impetem, że Kins aż się zerwał na nogi.

– Co się stało?

Bez słowa narzuciła na siebie płaszcz. Nadal nie mogła się w pełni oswoić z tym, co przed chwilą usłyszała. Czekala na to od dwudziestu lat, a teraz wszystko zaczęło się dziać w takim tempie, że z trudem to ogarniała.

– Tracy?

– Sąd apelacyjny przychylił się do wniosku. Nolasco przed chwilą mi powiedział.

– A skąd on, u diabła, to wie?

– Nie wiem. Muszę zadzwonić do Dana. – Chwyła z biurka telefon i ruszyła do wyjścia.

– Kiedy odbędzie się to posiedzenie?! – zawołał za nią Kins.

– Tego też nie wiem! – odkrzyknęła w drodze do windy. Musiała znaleźć jakieś ustronne miejsce, z którego będzie mogła zadzwonić do Dana i poukładać sobie wszystko w głowie. Czuła się jak po potężnym ciosie i zmagala się z mroczkami w oczach. Posiedzenie w sprawie ponownego rozpoznania winy skazanego pozwoli jej wykazać niezgodność zeznań świadków i materiału dowodowego w pierwszym procesie Edmunda House'a, a to musi wzbudzić poważne wątpliwości w kwestii winy skazanego. Jeśli Danowi uda się przekonać sędziego, sąd będzie musiał zarządzić nowy proces, co w praktyce będzie się sprowadzało do ponownego wszczęcia dochodzenia w sprawie śmierci Sary.

Wsiadła do windy i przymknęła oczy. Może po dwudziestu latach jej siostra doczeka się wreszcie sprawiedliwości, a ona pozna prawdę.

CZEŚĆ II

...nie ma nic tak groźnego jak maksyma.

C.J. May, *Niektóre reguły dowodowe: uzasadnione wątpliwości w procesach cywilnych i karnych*, rok 1876

Rozdział 37

Sędzia Burleigh Meyers zwołał posiedzenie wstępne w udostępnionym mu na czas rozprawy gabinecie, a nie w sali rozpraw, tłumacząc to „nadmiernym zainteresowaniem mediów tą sprawą”. Dan poprosił go o zgodę na obecność Tracy podczas posiedzenia, a on ją wyraził, nie omieszkając jednak zauważyć, że jest to zaskakująca prośba jak na pełnomocnika obrony. Sędzia sprawiał wrażenie dobrze zorientowanego w niuansach sprawy. Dan zajrzał do jego życiorysu zawodowego i stwierdził, że nie jest to dziełem przypadku.

Meyers przez ponad trzydzieści lat piastował godność sędziego okręgu Spokane, po czym przeszedł na emeryturę, a rada adwokacka okręgu Spokane wystawiła mu wysoką ocenę za sposób prowadzenia rozpraw i postępowanie poza salą sądową. Dan dowiedział się też, że asystent Meyersa i woźny sądowy woleli przejść na emeryturę, niż kontynuować pracę pod wodzą innego sędziego, co uznawał za dobrą prognozę. Udało mu się zdobyć prywatne numery telefonów obu i popytać o sędziego. Obaj byli współpracownicy opisali go jako kogoś niezwykle rzetelnego i pracowitego, kto godzinami śleczkał nad papierami i niekiedy całymi dniami zmagał się z podjęciem decyzji, choć jednocześnie potrafił bez wahania pociągnąć za spust. Był typem sędziego, o jakim Dan i Tracy marzyli – człowiekiem inteligentnym i umiejącym podejmować niepopularne decyzje. Obaj rozmówcy Dana podkreślili też, że sędzia nie daje dmuchać sobie w kaszę i nie ulega naciskom ze strony mediów, co zapewne legło u podstaw decyzji sądu apelacyjnego, by to jemu powierzyć poprowadzenie tej sprawy.

Tracy usiadła z boku, przyglądając się, jak Meyers wytacza zza biurka skórzany fotel na skrzypiących kółkach i ustawia go tak, by się znaleźć twarzą do siedzących obok siebie na kanapie O’Leary’ego i Clarka. Wystrój gabinetu kojarzył się Tracy z oszczędną scenografią teatralną. Na ścianach nie było żadnych obrazów czy fotografii, nigdzie nie leżał nawet skrawek papieru. Od Dana wiedziała, że zgoda sędziego na powrót do sali sądowej nie brała się stąd, że nudził się na emeryturze. Meyers był właścicielem dwudziestoczworohektarowej farmy hodowlanej bydła i wiele prac wykonywał na niej osobiście.

Uznała go za przystojnego sześćdziesięcioparolatka z czerstwą cerą człowieka, który dzięki własnoręcznemu naprawianiu płotów, łataniu dziur w stodole i przerzucaniu beli siana zachowuje kondycję fizyczną. Miał srebrzyście siwą czuprynę, kryształowo błękitne oczy i Tracy uznała, że jest trochę podobny do Paula Newmana.

– Przyjąłem tę sprawę pod jednym warunkiem – zaczął. Na nogach miał lekkie mokasyny, a gdy założył nogę na nogę, spod nogawek dżinsów ukazały się skarpetki w kolorowe romby. – Moja żona uwielbia słońce i jazdę konną. Po to

mam przyczepę na dwa konie, żeby się włóczyć po zachodnich stanach w poszukiwaniu jednego i drugiego. W końcu tego miesiąca żona zaplanowała udział w leśnej gonitwie w Phoenix, a wierzcie mi, że moja żona bardzo nie lubi rozczarowań, a ja nie lubię jej tego fundować. Innymi słowy, mogę być częściowo na emeryturze, ale to nie znaczy, że mam dużo czasu do stracenia. Dlatego chcę się szybko uporać z tą sprawą.

– Ze strony obrony nie będzie w tym względzie żadnych przeszkód, Wysoki Sądzie – obiecał Dan.

Clark wyglądał na nieco zmieszanego.

– Wysoki Sądzie, mam w swoim kalendarzu jeszcze kilka innych spraw, w tym zapowiedziany proces...

– Współczuję panu nawału obowiązków, panie Clark – przerwał mu sędzia – ale pragnę panu przypomnieć, że kodeks nakazuje oskarżycielowi zapewnienie szybkiego przedstawienia dowodów. Proponuję więc, by przesunął pan terminy w swoim kalendarzu i nadał tej sprawie status ekstrapilnej. A co do tego zapowiedzianego procesu, rozmawiałem już z sędzią Wilberem i uzyskałem jego zgodę na przesunięcie terminu o miesiąc.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie – rzekł z westchnieniem Clark.

– Czy obrona zamierza wystąpić o przedprocesowe ujawnienie materiałów dowodowych? – spytał Meyers.

Dokumentacja Tracy zawierała obfitszy materiał dowodowy, niż Dan zdołałby zebrać we własnym zakresie, w tym protokoły z procesu i raport kryminalistyczny Kelly Rosy, uznał więc, że wysłuchiwanie nowych zeznań przedłuży tylko całą procedurę, a także pozwoli wezwanym świadkom wymigiwać się od stawienia w sądzie oraz próbować zmieniać wcześniejsze zeznania. Nie chciał też dawać Clarkowi szansy na przejrzenie jego taktyki w zaplanowanej próbie podważenia zeznań składanych przez świadków oskarżenia na poprzednim procesie.

– Obrona jest gotowa to pominąć – oświadczył.

– Oskarżenie pragnie wezwać świadków – powiedział Clark. – Jesteśmy w trakcie kompletowania listy.

– Wysoki Sądzie – wtrącił Dan. – Na tym etapie oskarżeniu nie wolno przedstawiać nowego materiału dowodowego. Obrona zadowolili się przesłuchaniem świadków oskarżenia z procesu skazanego. Jedynymi nowymi świadkami obrony będą patolog, która przedstawi dane kryminalistyczne z miejsca znalezienia ofiary, oraz ekspert od badań DNA. Nie widzę powodu, by oskarżenie nie mogło rozmawiać z ich świadkami w swoim własnym czasie. Chętnie udostępnimy też naszych świadków poza godzinami rozpraw.

– Panie Clark?

Vance Clark się wyprostował.

– Spróbujemy sami porozmawiać ze świadkami – oświadczył.
– Czy strony pragną zgłosić jakieś wnioski przedprocesowe? – spytał Meyers.

– Oskarżenie wnioskuje o usunięcie z sali sądowej śledczej Crosswhite – powiedział Clark.

Tracy spojrzała na Dana.

– Z jakiego powodu? – spytał.

– Śledcza Crosswhite wystąpi jako świadek obrony. – Clark wlepił wzrok w sędziego. – A skoro tak, nie powinno jej być na sali rozpraw do chwili, gdy zasiądzie na miejscu dla świadków. To reguła dotycząca wszystkich świadków.

– Śledcza Crosswhite nie występuje w roli świadka obrony – oznajmił Dan. – Jest siostrą ofiary. Oczekujemy, że jej zeznanie będzie dotyczyło faktów z dnia zniknięcia siostry. Oskarżenie może z nią rozmawiać, kiedy tylko zechce. Co więcej, śledcza Crosswhite nie jest zwyczajnym świadkiem. Myślałem, że oskarżenie będzie chciało, żeby śledcza Crosswhite...

– Panie O’Leary, proszę się ograniczyć do obrony skazanego i zostawić oskarżeniu swobodę w podejmowaniu własnych decyzji – przerwał mu sędzia, po czym machnięciem ręki nie dopuścił do zabrania głosu przez Clarka. – Oddalam pański wniosek, panie Clark. Śledcza Crosswhite jako rodzina ofiary ma prawo być obecna na sali. Nie bardzo pojmuję, w czym jej obecność mogłaby przeszkadzać oskarżeniu. I jeszcze jedno. Jesteśmy świadomi ogromnego zainteresowania mediów tą sprawą. Nie pozwolę, by zamieniła się w spektakl lub wybieg w zoo. Reporterzy mają prawo być na sali, wyraziłem też zgodę na obecność jednej kamery telewizyjnej. Nie zamierzam kneblować ust stronom ani ich świadkom, odwołuję się jednak do złożonej przez was przysięgi uczestników postępowania sądowego, byście rozpoznawali tę sprawę przede mną, a nie przed przedstawicielami mediów. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

Gdy Clark i Dan skwapliwie zapewnili sędziego, że rozumieją jego przestrożę, wyglądał na usatysfakcjonowanego ich słowami, bo złożył dłonie jak do modlitwy.

– No cóż, skoro jesteśmy tu wszyscy i udostępniono nam na koszt podatników tę piękną salę za ścianą, proponuję, byśmy się zabrali do pracy w poniedziałek z samego rana. Czy słyszę jakieś sprzeciwy?

Pomni groźby gniewu miłośniczki jazd konnych w razie pozbawienia jej jednej z nich, Dan i Clark nie zgłosili żadnych zastrzeżeń.

Rozdział 38

DeAngelo Finn klęczał plecami do ulicy, nie wiedząc, że jest obserwowany. Niebo przejaśniło się i przerwa w padającym deszczu dawała okazję do zajęcia się przydomowym warzywniakiem przed zbliżającą się zimą. Tracy przyglądała mu się, kończąc rozmowę z Kinsem, który zadzwonił z wiadomością, że Nolasco formalnie przekazał sprawę morderstwa Nicole Hansen do Działu Spraw Dawnych.

– Odebrał nam ją? – parsknęła ze złością.

– Taką ma politykę. Nie chce, żeby obciążała konto sekcji. Powiedział, że nie możemy tracić czasu na nierokujące sprawy. Ciebie nie ma, ja mam na głowie kupę innych rzeczy i rzeczywiście brak nam ludzi.

– Cholera! Przykro mi, Kins.

– Nie przejmuj się. Będę się tym nadal zajmował z doskoku, ale Nolasco ma rację. Wyczerpaliśmy nasze możliwości. Jeśli nie zdarzy się coś nowego, nie bardzo jest co robić.

Tracy zrobiło się przykro. Wiedziała, że rodzina Hansen nie zazna spokoju, póki zabójca nie zostanie złapany i skazany.

– Zajmuj się spokojnie swoimi sprawami – powiedział Kins. – Robota i tak będzie czekać na twój powrót, niestety. Śmierć i podatki, jak mawiał mój ojciec. Dwie rzeczy, które nigdy człowieka nie ominą. Śmierć i podatki. Bądź w kontakcie.

– I wzajemnie. – Rozłączyła się i chwilę posiedziała jeszcze w samochodzie. Słońce świeciło tak jasno, że włożyła okulary przeciwsłoneczne, ale było na tyle chłodno, że podchodząc do furki w drewnianym płocie, widziała obłoczki swojego oddechu. Silnik samochodu ani trzaśnięcie drzwiami nie wywołały żadnej reakcji DeAngela. Wyglądało, jakby w ogóle jej nie zauważył.

– Panie Finn?

Walczył z kolejnym chwastem tak zawzięcie, że rękawice zsunęły mu się aż na końce palców.

– Panie Finn?! – powiedziała głośniej.

Odwrócił głowę i dopiero wtedy dostrzegła aparat słuchowy na zauszniku okularów. Finn jakby chwilę się zawahał, potem zdjął rękawice i położył je na ziemi. Poprawił sobie okulary, sięgnął po leżącą obok łaskę, dźwignął się i chwiejnym krokiem podszedł do płotu. Miał na głowie wełnianą czapkę Marinersów, na sobie klubową kurtkę od kompletu, która wisiała na nim tak, jakby ją przejął po starszym bracie. Był przeraźliwie chudy, powiększone przez grube szkła okularów oczy wyglądały na załzawione.

– Tracy Crosswhite – odezwała się, zdejmując ciemne okulary.

W pierwszej chwili nie dawał po sobie poznać, że kojarzy ją lub nazwisko.

A potem wolno się uśmiechnął i pchnął furtkę.

– Tracy, no oczywiście. Przepraszam, niezbyt dobrze widzę. Wiesz, mam katarakty w obu oczach.

– Szykuje pan ogród na zimę – powiedziała, wchodząc do środka. – Pamiętam, jak mój tata robił to samo co roku jesienią. Usuwał chwasty, sypał nawóz, przykrywał grządki czarną folią.

– Jak się nie wyrwie chwastów przed zimą, to potem się plenią – odrzekł. – To pewny sposób na zrujnowanie wiosennego ogrodu.

– Pamiętam, że tata też tak mówił.

Finn obrzucił ją porozumiewawczym spojrzeniem i pochylił się, jakby miał coś poufnego do przekazania.

– Nikt nie miał szans konkurować z pomidorami twojego taty. Tylko że on miał szklarnię.

– Tak, pamiętam.

– Powiedziałem mu, że to nie fair, a on na to, że w każdej chwili mogę przynieść do niego swoje sadzonki. To był naprawdę ktoś... twój ojciec.

Rozejrzała się po maleńkim ogródku.

– I co u pana rośnie? – spytała.

– Trochę tego, trochę tamtego. Większość i tak rozdaję sąsiadom. Mieszkam tu teraz sam. Bo wiesz, Millie umarła.

Nie wiedziała, ale się domyśliła. Żona Finna już przed dwudziestu laty miała kłopoty ze zdrowiem i ojciec Tracy ją leczył.

– Przykro mi. Jak pan sobie radzi?

– Chodź i rozgość się – zaprosił ją. Wejście po trzech betonowych schodkach do tylnych drzwi sprawiło mu trudność i gdy w końcu je pokonał, był czerwony z wysiłku i zdyszany. Tracy zauważyła też, że trzęsącymi rękami rozpiął zamek kurtki i powiesił ją na haku w przedsionku. Do wniosku Vance'a Clarka w sprawie odrzucenia wniosku obrony o wezwanie Finna na świadka dołączone było świadectwo lekarskie. Wynikało z niego, że serce Finna jest w stanie przedzawałowym, a poza tym cierpi on na rozedmę płuc i szereg innych chorób, które powodują, że stres związany ze składaniem zeznań może zagrażać jego życiu.

Wprowadził ją do kuchni, w której od lat nic się nie zmieniło. Szafki z ciemnego drewna kontrastowały z kwiecistą tapetą i blatami z formiki w kolorze dyni. Finn rzucił z krzesła stertę gazet i listów, by zrobić Tracy miejsce przy stole, potem napełnił czajnik i postawił na kuchence. Zauważyła stojącą w kącie butlę z tlenem i poczuła nadmuch ciepłego powietrza z otworów w podłodze. Wokół unosił się zapach smażonego mięsa. Na przednim palniku stała oblepiona tłuszczem żeliwna patelnia.

– Mogę w czymś pomóc? – spytała.

Pomachał ręką, wyjął z szafki dwa kubki i wrzucił do nich torebki herbaty,

mrucząc coś pod nosem. Gdy otworzył drzwi lodówki, Tracy dostrzegła niemal puste półki.

– Nie trzymam dużo w domu – bąknął. – Rzadko miewam gości.

– Powinnam była zadzwonić – powiedziała Tracy.

– Ale się bałaś, że mógłbym nie chcieć z tobą rozmawiać. – Spojrzał na nią znad lekko porysowanych szkieł. – Jestem już stary, Tracy. Dobrze nie widzę ani nie słyszę, ale wciąż co rano czytam gazetę. Więc podejrzewam, że nie przyszłaś pogadać ze mną o ogrodzie.

– Nie. Przyszłam porozmawiać o posiedzeniu sądu.

– Przyszłaś się upewnić, czy rzeczywiście jestem zbyt chory, żeby zeznawać.

– Wygląda, że całkiem nieźle pan sobie radzi.

– Jak człowiek dożywa swojego wieku, to miewa lepsze i gorsze dni. I nigdy nie da się przewidzieć, który z nich go czeka.

– Ile pan ma lat, panie Finn?

– Proszę, Tracy. Czuję się tak, jakbym cię znał od urodzenia. Mów mi DeAngelo. A odpowiadając na twoje pytanie, na wiosnę skończę osiemdziesiąt osiem. Jak Bóg pozwoli. – Stuknął w blat dłonią zwiniętą w pięść i wlepił spojrzenie w Tracy. – A jak nie, to spotkam się z moją Millie i to wcale nie będzie takie złe.

– Proces Edmunda House'a był twoim ostatnim, prawda?

– Od dwudziestu lat moja noga nie postąpiła w sali rozpraw i nie zamierzam tego zmieniać.

Czajnik zagwizdał i Finn podreptał do kuchenki, by napełnić wrzątkiem oba kubki. Tracy podziękowała za śmietankę i cukier, gospodarz postawił kubki na stole, usiadł naprzeciwko niej i zaczął maczać torebkę we wrzątku, po czym trzęsącą ręką uniósł kubek do ust.

– Zdrowie Millie bardzo już wtedy szwankowało i nie chciałem przyjmować żadnych nowych spraw sądowych.

– To czemu przyjąłeś akurat tę?

– Sędzia Lawrence prosił, żeby mu zrobić przysługę i bronić Edmunda House'a. Nikt inny nie chciał się tego podjąć. Gdy proces dobiegł końca, zaszyłem się w domu. Millie i ja mieliśmy nadzieję na jeszcze kilka lat wspólnego życia. Na to, że wreszcie będziemy mogli robić rzeczy, na które nigdy nie było czasu, bo musiałem tkwić w sądzie. Chcieliśmy pojeździć po świecie. Ale życie nie zawsze się układa tak, jak by człowiek sobie tego życzył, prawda?

– Pamiętasz ten proces?

– Pytasz, czy zrobiłem wszystko, co można było zrobić dla tego młodego człowieka.

– Byłeś dobrym prawnikiem, DeAngelo. Ojciec zawsze to podkreślał.

Wykrzywił twarz w uśmiechu i Tracy nie mogła oprzeć się wrażeniu, że coś

się za tym uśmieszkiem kryje. Jakaś tajemnica, ale i pewność, że nikt nie zmusi starca z chorym sercem i rozedmą płuc do tego, by stanął przed sądem.

– Mogę cię zapewnić, że nie mam z tego powodu poczucia winy ani wyrzutów sumienia.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Nie zawsze mamy prawo do odpowiedzi.

– A w tym przypadku dlaczego nie?

– Bo odpowiedź mogłaby zboleć.

– Moich bliskich już nie ma, DeAngelo. Zostałam tylko ja.

Jego spojrzenie jakby się zamgliło.

– Twój ojciec zawsze traktował mnie z szacunkiem. Ale nie wszyscy tak robili. Nie ukończyłem żadnej prestiżowej uczelni i nie byłem podręcznikowym wzorcem adwokata procesowego, ale twój ojciec mnie szanował i zawsze bardzo się troszczył o moją Millie. Ceniłem to bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

– Na tyle, żeby się nie przykładać do swojej ostatniej sprawy, gdyby o to poprosił?

Zawsze uważała, że to jej ojciec, a nie Calloway czy Clark, stał za skazaniem Edmunda House'a. Finn nawet nie mrugnął. Położył dłoń na jej ręce i lekko ścisnął. Była pokryta starczymi plamami i szczuplejsza od jej dłoni.

– Nie będę się starał odwozić cię od tego, z czym tu do nas wróciłaś. Rozumiem, że część ciebie należy do siostry i tkwi w innych czasach. Wszyscy jesteśmy myślami w tych czasach, ale to nie znaczy, Tracy, że uda nam się je przywrócić. Czasy się zmieniają, a my razem z nimi. I dla wszystkich nas wraz ze zniknięciem twojej siostry wiele spraw się zmieniło. Tak bardzo się cieszę, że mnie odwiedziłaś.

Tracy dostała odpowiedź. Jeśli uczestniczył w spisku mającym na celu zrzucenie winy na Edmunda House'a, zabierze to z sobą do grobu. Jakieś dwadzieścia minut pogawędzili jeszcze o Cedar Grove i jego mieszkańcach, w końcu Tracy odsunęła się od stołu i wstała.

– Dzięki za herbatę, DeAngelo – powiedziała.

Odprowadził ją do tylnego wyjścia i wyszedł z nią na maleńki ganek, a ona poczuła raptowny przeskok od ciepłego wnętrza domu do rześkiego, pachnącego nawozem jesiennego powietrza. Raz jeszcze podziękowała i odwróciła się, by odejść, i wtedy poczuła na ramieniu jego rękę.

– Bądź ostrożna, Tracy – powiedział. – Czasem lepiej zostawić pytania bez odpowiedzi.

– Przecież nie ma już nikogo, kto mógłby czuć się zagrożony.

– Ależ tak, są tacy. – Raz jeszcze krzywo się uśmiechnął i odwróciwszy się, zamknął za sobą drzwi.

* * *

Tracy grzebała pałeczkami w kartonowym pojemniku z porcją kurczaka w sosie z czarnej soi. Kuchenny stół Dana był zavalony papierami, notatnikami i protokołami sądowymi. Przerwali na chwilę pracę, by coś zjeść i obejrzeć wieczorne wiadomości.

– Nawet nie zaprzeczył – rzuciła Tracy, relacjonując spotkanie z DeAngelo Finnem. – Oświadczył tylko, że nie ma wyrzutów sumienia ani poczucia winy.

– Ale nie powiedział, że bronił go najlepiej, jak mógł.

– Nie, tego zdecydowanie nie powiedział.

– Tak naprawdę jego przyznanie, że obrona nie odpowiadała wymaganym standardom, nie jest nam do niczego potrzebne. – Dan, mówiąc, przebiegał wzrokiem notatkę na pierwszej stronie „Seattle Times” o zbliżającym się posiedzeniu sądu. W gazecie zamieszczono obszerny artykuł ze zdjęciem Sary z klasy maturalnej, fotografią Edmunda House’a sprzed dwudziestu lat i dużo świeższym zdjęciem Tracy. Artykuł przejęła Associated Press i przekazała go do kilkunastu tytułów ogólnokrajowych, między innymi do „USA Today” i „Wall Street Journal”.

– Ale było w tym coś jeszcze, Dan. – Włożyła pałeczki do kartonika i oparła się plecami o krzesło. Podszedł Rex i położył łeb na jej kolanach, co jak na niego było wielką demonstracją uczuć.

– Domagasz się pieszczot? – Pogłaskała go po głowie.

– Uważaj, bo to mistrz manipulacji. Chodzi mu nie o pieszczoty, tylko o kurczaka.

Podrapała Rexa za uszami, na co Sherlock natychmiast zareagował, próbując wcisnąć się na jego miejsce.

– Nadal chcesz zacząć od Callowaya? – spytała Tracy.

– Wezmę go na pierwszy ogień – odparł Dan, składając gazetę.

– Moim zdaniem zasłoni się niepamięcią i spróbuje się odwołać do swoich zeznań na procesie.

– I na to liczę. Bo zamierzam roznieść jego zeznania na strzępy. – Pstryknął palcami i wyciągnął rękę. Oba psy posłusznie przeszły do salonu i położyły się na swoim dywaniku. – Im bardziej będzie kluczyl z odpowiedziami na moje pytania, tym lepiej. Wystarczy go tylko przygwoździć i pozwolić, by zdyskredytowały go zeznania innych. A jeśli uda mi się go wyprowadzić z równowagi, to może powiedzieć więcej, niżby chciał.

– Ma krótki lont i łatwo wybucha. – Tracy spojrzała na ekran telewizora. – Oho, a oto i nasza panna Vanpelt. – Przeszła do salonu i usiadła na kanapie.

Maria Vanpelt stała przed budynkiem sądu okręgu Cascade, którego nazwa z brązu na tablicy z piaskowca wyzierała zza jej prawego ramienia. Dan dosiadł się do Tracy, wziął do ręki pilota i włączył głos w chwili, gdy Vanpelt ruszyła ku

schodom przed wejściem do sądu, powtarzając, jak to ona pierwsza „odkryła” rolę Tracy Crosswhite w próbie doprowadzenia do nowego procesu Edmunda House’a.

– Mówi to tak, jakby wykryła drugą Watergate, co? – mruknął Dan.

U stóp schodów Vanpelt wykonała zwrot i stanęła twarzą do kamery. W tle widać było liczne wozy transmisyjne zaparkowane w bocznej uliczce.

– Można odnieść wrażenie, że przed sądem staje nie tylko Edmund House, ale całe miasto Cedar Grove. Bo wciąż pozostaje w mocy pytanie, co się naprawdę wydarzyło dwadzieścia lat temu. Zaginęła córka szanowanego lekarza. Przeprowadzono wytężoną akcję poszukiwawczą. Aresztowano wypuszczonego z więzienia gwałciciela. Odbył się sensacyjny proces w sprawie o morderstwo, w wyniku którego skazano być może niewinnego człowieka. Żadna ze stron nic nie mówi, ale wkrótce wszystkiego się dowiemy. Jutro rano odbędzie się w tym sądzie posiedzenie w sprawie Edmunda House’a, a ja będę się mu przysłuchiwała na sali sądowej, by móc codziennie relacjonować wam to, co się tam wydarzy.

Vanpelt raz jeszcze powiodła wzrokiem po wejściu do budynku i oddała głos do studia.

Dan wyłączył dźwięk.

– Wygląda na to, że udało ci się osiągnąć coś, co się nikomu nie udało – zauważył.

– Co mianowicie?

– Rozsławić Cedar Grove. Mówią o nim w każdych wiadomościach telewizyjnych i piszą w każdej dużej gazecie w kraju. Słyszałem, że wszystkie hotele między Cedar Grove a sądem są przepełnione. Ludzie wynajmują kwatery w prywatnych domach.

– Myślę, że to bardziej jej zasługa niż moja – powiedziała Tracy, wskazując ręką ekran. – Ale myli się, nazywając tamten proces sensacyjnym. Ja go zapamiętałam jako wręcz nudny. Vance Clark był metodyczny i monotony, DeAngela zapamiętałam jako kompetentnego, lecz zupełnie niezaangażowanego. Jakby z góry znał wynik.

– Może tak było.

– Pamiętam, że właściwie całe miasto tak się zachowywało. Jakby nikt nie chciał tam być, ale czuł się w obowiązku uczestniczyć w procesie. Często się zastanawiałam, czy to też nie była sprawka mojego ojca. Czy przypadkiem nie skrzyknął telefonicznie ludzi po to, by sędzia i przysięgli czuli presję świadcząca o tym, kim dla miasta była Sara i czym dla mieszkańców stała się jej śmierć.

– Jakby chciał mieć pewność, że gdy przyjdzie moment decyzji o winie House’a, nikt z przysięgłych się nie zawaha.

Tracy pokiwała głową.

– Był przeciwnikiem kary śmierci i chciał dla House’a dożywocia, ale bez możliwości ulaskawienia. Pamiętam to. Tyle że ojciec robił wrażenie najbardziej

zobojętniałego ze wszystkich.

– Jak to?

– Miał fioła na punkcie robienia notatek. Pamiętam, jak w trakcie nawet zwykłej rozmowy telefonicznej coś sobie na boku notował. Podczas procesu trzymał notatnik na kolanach, ale nie zapisał w nim ani jednego słowa. – Dan spojrział na nią pytająco. – Ani słowa – powtórzyła.

Przejechał dłonią po jednodniowym zarostu na brodzie.

– Jak ty sobie z tym wszystkim radzisz? – spytał.

– Ja? Dobrze.

Wyglądało, jakby jej odpowiedź go zaskoczyła.

– Ty nigdy nie opuszczasz gardy, co?

– Nie trzymam gardy. – Wróciła do kuchni i zaczęła sprzątać ze stołu, by zrobić miejsce do pracy.

Dan stał oparty o blat, przyglądając się jej.

– Tracy, rozmawiasz z kimś, kto przez dwa lata chował się za uniesioną gardą, żeby nikt nie widział, jak cierpi z powodu byłej żony.

– Myślę, że powinniśmy się ograniczyć do naszej sprawy sądowej i odłożyć próbę psychoanalizy Tracy na inną chwilę.

– Jak chcesz – rzucił, odsuwając się od blatu.

Odstawiła kartonik po chińszczyźnie.

– Dan, co ci mam powiedzieć? Mam się nad sobą rozczulić i zacząć płakać?

I co to da?

Uniósł ręce w geście poddania, przysunął krzesło do stołu i usiadł.

– Po prostu pomyślałem, że może ci to pomóc.

Tracy zrobiła krok w jego stronę.

– Co ma mi pomóc? Rozmowa o zaginięciu Sary? Rozmowa o ojcu wkładającym sobie lufę w usta? Nie muszę o tym rozmawiać, Dan. Ja to przeżyłam.

– Tylko spytałem, jak sobie radzisz.

– A ja odpowiedziałam, że dobrze. Chcesz też być moim psychiatrą?

– Nie, nie chcę być twoim psychiatrą – odparł, mrużąc oczy. – Ale chciałbym znów być twoim przyjacielem.

Odpowiedź Dana trochę ją zaskoczyła. Podeszła jeszcze bliżej i stanęła nad nim.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo czuję się jak twój adwokat i wywołuje to we mnie wystarczająco dużo etycznych zawirowań. Bądźmy szczerzy. Czy w ogóle chciałabyś mieć ze mną coś wspólnego, gdybym ci nie powiedział na pogrzebie Sary, że jestem prawnikiem?

– To niesprawiedliwe, co mówisz.

– Dlaczego?

– Bo nie chodzi o sprawy osobiste.

– Tak, wiem. To też mi już powiedziałaś. – Otworzył swój laptop.

Przysunęła krzesło bliżej i usiadła. Wiedziała, że nadejdzie moment, kiedy będą musieli zdefiniować swój wzajemny stosunek. Nie przyszło jej tylko do głowy, że stanie się to na dzień przed posiedzeniem sądu. Ale skoro już do tego doszło, nie widziała powodu, by robić uniki i nie wyjaśnić sprawy do końca.

– Nie chciałam mieć nic wspólnego z kimkolwiek w Cedar Grove, Dan, nie tylko z tobą. Nie zamierzałam tu w ogóle wracać.

Zaczął coś pisać na klawiaturze, nie unosząc głowy.

– Tak, jasne. Rozumiem.

Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na klawiaturze. Dan odchylił się do tyłu.

– Po prostu chcę doprowadzić to do końca. Chyba to rozumiesz. Kiedy będzie po wszystkim, będę mogła zająć się swoim życiem. Całym życiem.

– Oczywiście, że rozumiem. Tylko, Tracy, nie mogę ci tego zagwarantować.

Powiedział to nietypowym dla siebie ostrym tonem i Tracy pomyślała, że on też żyje w stresie. Tak dobrze to ukrywał, że niemal zapomniała, że jutro rano nie tylko stanie przed sędzią, ale za jego plecami będzie siedział tłum wrogo nastawionych mieszkańców i przedstawicieli mediów, on zaś będzie to robił dla przyjaciółki z dzieciństwa, która czeka na to od dwudziestu lat.

– Przepraszam, Dan. Nie chciałam cię dodatkowo stresować. Wiem, że to dla ciebie trudne, zwłaszcza że tu teraz mieszkasz. I wiem, że nie możesz mi niczego zagwarantować.

– Sędzia Meyers może odmówić House’owi nowego procesu – odezwał się cicho. – Może się też na niego zgodzić. A ty w obu wypadkach możesz się nie dowiedzieć ani trochę więcej, niż wiesz teraz.

– To nieprawda. W trakcie posiedzenia wyjdą na jaw wszelkie niedociągnięcia. To, o czym wiem od dawna. Wiele ustaleń podczas procesu miało się z prawdą i trafi to teraz do publicznej wiadomości.

– Martwię się o ciebie, Tracy. Bo co ty wtedy zrobisz? Co zrobisz, jeśli mimo to nie uda ci się przekonać innych, że trzeba rozpocząć nowe dochodzenie?

Sama wielokrotnie zadawała sobie to pytanie i nie znajdowała odpowiedzi. Gdy nagły podmuch wiatru z łomotem uderzył w okna, psy czujnie uniosły łby i zastrzygły uszami.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami, bezradnie się uśmiechając. – No więc masz, wydusiłam to z siebie. Zadowolony? Nie wiem, co zrobić. Na razie próbuję posuwać się do przodu, krok za krokiem.

– Mogę udzielić ci rady człowieka doświadczonego?

– Jasne! – Kiwnęła głową.

– Po pierwsze, musisz przestać się obwiniać o to, co się stało.

Przymknęła oczy i poczuła drapanie w gardle.

– Powinam ją była odwiedzić do domu, Dan. Nie wolno mi było zostawiać jej samej.

– A ja sobie wmawiam, że gdybym częściej bywał w domu, to żona nie puściłaby się z moim kolegą.

– To nie to samo, Dan.

– Nie, to nie to samo. Ale obwiniasz się o coś, czego nie zrobiłaś. To moja żona złamała przysięgę małżeńską, a za śmierć Sary odpowiada ten, kto ją zabił. Nie ty.

– Byłam za nią odpowiedzialna.

– Nikt nie opiekował się swoją siostrą lepiej od ciebie, Tracy. Nikt.

– Ale nie wtedy. Tamtego wieczoru się nią nie zaopiekowałam. Byłam na nią zła, że mi dała wygrać, i nie uparłam się, żeby pojechała z nami. – Głos jej się załamał i z trudem opanowała łzy. – Każdego dnia żyję z tą świadomością. Jutrzejsze posiedzenie to sposób na zaopiekowanie się nią teraz. Próba zmazania winy za zostawienie jej wtedy samej. Nie wiem, co się stanie później, Dan, ale muszę wiedzieć, co się stało wtedy. Tylko o to proszę. A potem zobaczę, co dalej.

Rex podniósł się z legowiska, podszedł do frontowego okna, oparł łapy o parapet i wpatrzył się w ciemność za szybą. Dan odsunął się od stołu i wstał.

– Chyba trzeba je wypuścić – powiedział, ruszając w stronę psa. – Co jest, kolego? Przypiliło cię i chcesz wyjść?

Tracy spojrzała w wychodzące na podwórze okno. W bladym świetle lamp ogrodowych mignęła jej ciemna sylwetka, która nagle wysunęła się z za pnia drzewa.

– Dan!

Okno z hukiem eksplodowało.

Tracy odepchnęła krzesło, skoczyła przed siebie i rzuciwszy się na Dana, pociągnęła go na podłogę w obawie przed dalszymi strzałami. Jednak więcej strzałów nie padło, a z za okna dobiegł głośny warkot silnika i pisk opon jakiegoś dużego pojazdu. Tracy stoczyła się z Dana, wyszarpnęła glocka z torebki i otworzywszy frontowe drzwi, wybiegła na trawnik. Pojazd dojeżdżał już do końca ulicy i był zbyt daleko, by można było rozpoznać markę czy dojrzeć tablice rejestracyjne. Zauważyła tylko, że gdy przyhamował przed zakrętem, zapaliło się jedno – prawe – światło stop.

Wróciła do domu i zastała Dana klęczącego na podłodze i rozpaczliwie starającego się zatamować krwawienie Rexa, którego sierść coraz bardziej czerwieniała.

Rozdział 39

Tracy opuszczała tylną klapę SUV-a Tahoe, nie przestając wybierać numeru.

– Tu śledcza Tracy Crosswhite z wydziału zabójstw policji w Seattle – przedstawiła się standardowo. Dan ułożył Rexa na podłodze, usiadł obok i wręczył jej kluczyki. – Zgłaszam strzelaninę w kwartale sześćset przy Elmwood Avenue w Cedar Grove. Proszę wszystkie jednostki w okolicy o włączenie się.

Zatrzasnęła klapę i usiadła za kierownicą.

– Podejrzany pojazd sprawców, prawdopodobnie półciężarówka, jedzie na wschód Cedar Hollow, w stronę szosy okręgowej. – Wrzuciła wsteczny i z piskiem opon wyjechała na jezdnię. – Lewe światło stop nie działa. – Odsunęła telefon od ucha, odwróciła głowę i krzyknęła: – Dan, gdzie mam jechać?!

– Pine Flat! – odkrzyknął.

Rzuciła telefon na fotel pasażera i wcisnęła gaz. Słyszała skomlenie Sherlocka na tylnym siedzeniu i widziała w lusterku wstecznym, jak patrzy na swego rannego kompana. Dan siedział na podłodze i uciskając rany Rexa, rozmawiał z kliniką weterynaryjną przez telefon wciśnięty między policzek a ramię.

– Obficie krwawi z wielu ran. Będziemy za jakieś siedem, osiem minut.

– Jak z nim? – spytała Tracy.

– Weterynarz już na nas czeka. Nie mogę zatamować krwawienia. – W głosie Dana pobrzmiwała panika. – Trzymaj się, Rex. Trzymajmy się razem, stary.

Wjechała na szosę i szybko dogoniła jadącego wolno vana. Chwilę odczekała w nadziei, że van przyśpieszy, potem spróbowała go wyprzedzić, musiała jednak natychmiast się schować na widok świateł z naprzeciwka. Minęła ich olbrzymia osiemnastokołowa ciężarówka i fala powietrza aż zakłużyła ich tahoe. Zaraz potem Tracy znów zjechała na lewą stronę jezdni, nie dostrzegła żadnych świateł i zaczęła wyprzedzać vana. Ledwo zdążyła wcisnąć pedał gazu, gdy z zakrętu wyłoniły się kolejne światła. Wcisnęła gaz do dechy, patrząc, jak odległość między nią a światłami gwałtownie maleje. W ostatniej chwili wepchnęła się na prawy pas, niemal zahaczając o maskę vana i słuchając wściekłego trąbienia obu pojazdów.

Przed dotarciem do Pine Flat wyprzedziła jeszcze dwa samochody, po czym Dan pokazał jej wjazd pod budynek z drewnianych bali ze spadzistym dachem. Wcisnęła hamulec i tahoe z poślizgiem zatrzymał się na wysypanym żwirem podjeździe. Nie gasząc silnika, wyskoczyła i ruszyła do tyłu samochodu. Z drzwi budynku wybiegły dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Dan wysiadł z zakrwawionym Rexem na rękach i ruszył po schodkach do wejścia do kliniki.

Gdy zniknął w środku, Tracy zgasiała silnik. Choć zrobiło się piekielnie zimno, a ona miała na sobie tylko koszulę z długimi rękawami i dżinsy, była zbyt rozedrgana i rozzłoszczona, by spokojnie usiąść w środku. Wróciła do tyłu i jednym z ręczników, którymi Dan opatulał Rexa, zaczęła wycierać ślady krwi z podłogi tahoe. W końcu zatrzasnęła klapę i chodząc po parkingu, wykonała następny telefon. Dyżurna w biurze szeryfa oświadczyła, że Roya Callowaya nie ma, ale patrol już podjął interwencję w sprawie strzelaniny pod domem Dana. Tracy poinformowała dyżurną, że jest teraz w klinice zwierzęcej w Pine Flat, i poprosiła o informowanie jej o dalszym przebiegu zdarzeń.

Starła się zapanować nad nerwami i nie pozwolić, by zmały jej jasność myślenia. Strzelano śrutem. Świadczyła o tym pogruchotana szyba w oknie i liczne rany Rexa. Tracy często polowała z ojcem na jelenie i wiedziała, że wszystko zależy od tego, czy któraś ze śrucin trafi w ważny dla życia organ. Objęła się rękami, by się ochronić przed nocnym ziąbem. Niebo pokryło się chmurami, gwiazdy zniknęły, wiatr się uspokoił. Widoczny pod okapem dachu gong wiatrowy zwisał całkiem nieruchomo.

Jeszcze przez chwilę kręciła się po żwirze, czując, jak z zimna drętwieją jej palce u rąk i nóg, w końcu poddała się i weszła na drewniane schodki ganku tonące w żółtawym świetle lampy nad drzwiami. Już miała wejść do środka, gdy dostrzegła na drodze światła nadjeżdżającego samochodu. Okazał się nim suburban, który wjechał na parking i zatrzymał się obok tahoe Dana. Ze środka wysiadł Roy Calloway we flanelowej koszuli, dżinsach, kurtce Carhartt i skórzanych butach z cholewkami, które głośno zastukały na drewnianych schodkach.

– Przyjechałeś mi powiedzieć: „A nie mówiłem”?

– Przyjechałem sprawdzić, czy nic ci nie jest.

– Nic mi nie jest.

– A co z psem?

Wskazała głową wejście do kliniki.

– Jeszcze nie wiem.

– Udało ci się coś zauważyć?

– Tak, to była półciężarówka – odparła.

– Zapisłaś numery?

– Była za daleko. Jechała bez świateł.

– To skąd wiesz, że to półciężarówka?

– Poznałam po dźwięku silnika i wysokości światła stop nad ziemią.

Na moment się zamyślił.

– Takie dane nie zawężą zbytnio poszukiwań, nie w naszych stronach.

– Wiem. Miała przepalone lewe światło stop.

– To już coś.

– Strzelano śrutem – powiedziała. – Jakiś idiota chciał nas tylko nastraszyć.
– Pies Dana może być innego zdania.
– Okna nie były zasłonięte, Roy. Siedziałam tuż pod kuchennym oknem. Gdyby chcieli mnie zabić, mieli mnie jak na dłoni. Strzelali, żeby napędzić nam stracha. Media wywołały w mieście nerwowość. Wiesz coś o tym?

Calloway poskrobał się po karku.
– Każę moim ludziom powęszyć. Może ktoś się spił i odgrażał.
– To też zbytnio nie zawęzi pola poszukiwań.
– Wysłałem Finlaya do domu Dana. Kazałem mu ściągnąć Macka ze składu drewna, żeby zabił okno kawałkiem dykty.
– Dzięki. Przekażę Danowi. – Sięgnęła do klamki.
– Tracy?

Tak naprawdę nie miała ochoty słuchać tego, co mógł chcieć jej powiedzieć, ani wdawać się z nim w rozmowy. Teraz pragnęła tylko uciec z zimna i sprawdzić, co z Rexem. Mimo to zwróciła się ku szeryfowi i spojrzała wyczekująco. Przez chwilę wyglądało, że Calloway nie może znaleźć odpowiednich słów, co było do niego niepodobne.

– Twój ojciec był jednym z moich najbliższych przyjaciół – odezwał się w końcu. – Nie twierdzą, że czuję to samo co ty, ale nie ma dnia, żebym nie myślał o nim i Sarze.

– Trzeba było znaleźć tego, kto ich zabił.
– Zrobiłem to.
– Dowody świadczą o czymś innym.
– Nie zawsze należy ufać dowodom.
– Nie ufam.

Zrobił taką minę, jakby swym zwyczajem miał wybuchnąć, zaraz jednak się opanował, na jego twarzy pojawił się grymas zmęczenia i Tracy po raz pierwszy dojrzała w nim starego człowieka.

– Niektórzy z nas nie mogli stąd uciec, Tracy – powiedział cicho. – Niektórzy musieli tu zostać, bo mieli coś do zrobienia. Mieli na głowie całe miasto. Miejsce, które wielu wciąż nazywa domem. I do tamtej pory było to dobre miejsce do mieszkania. Dlatego ludzie chcieli jak najszybciej się z tym uporać i pójść spokojnie dalej.

– Wygląda na to, że nikomu z nas nie udało się pójść za daleko.

Rozłożył ręce.

– Czego ty ode mnie chcesz?

Ale było już za późno na takie pytania. Ta rozmowa prowadziła donikąd, a Tracy zaczynała dygotać z zimna.

– Niczego – odrzekła, znów kładąc dłoń na klamce.

– Twój ojciec...

Ponownie cofnęła rękę. DeAngelo w rozmowie z nią też wspomniał o ojcu.

– Co, Roy? Co mój ojciec?

Calloway przygryzł dolną wargę.

– Powiedz Danowi, że jest mi naprawdę przykro z powodu jego psa – powiedział, ruszając w dół po schodkach.

* * *

Na ich widok Tracy pomyślała, że Rex chyba nie przeżył. Dan siedział w poczekalni z brodą podpartą rękami z łokciami na kolanach, na podłodze przed nim leżał Sherlock z łbem złożonym na łapach, wpatrując się w niego z wyraźnie zasepioną miną.

– Są jakieś wiadomości? – spytała.

Dan pokręcił głową.

– Przed chwilą był tu Calloway. Obiecał, że popyta, czy ktoś się nie odgrażał. Powiedział, że sprowadził kogoś do zabicia okna dyktą.

Nie zareagował.

– Napijesz się kawy? – spytała.

– Nie.

Usiadła obok niego na krześle i zapadło niezręczne milczenie. Po chwili wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

– Dan, nie wiem, co powiedzieć. Nie powinnam była cię w to wciągać. To było nie fair wobec ciebie. Przepraszam.

Siedział nieruchomo ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Słuchaj, jeśli chcesz się wycofać...

Dan uniósł głowę i spojrzał na nią.

– Podjąłem się tego, bo poprosiła mnie o to przyjaciółka z dzieciństwa. Zaangażowałem się w sprawę, bo to, co zobaczyłem, było pozbawione sensu i wskazywało na to, że został wrobiony niewinny człowiek. A jeśli tak, to znaczy, że prawdziwy morderca uniknął kary i być może nadal żyje w tym mieście. A ja postanowiłem tu wrócić i zamieszkać. Tu jest teraz mój dom, Tracy, na dobre i na złe, a kiedyś dobre tu przeważało, prawda?

– Tak, przeważało – przyznała, myśląc jednocześnie, że Calloway i DeAngelo powiedzieli praktycznie to samo.

– Nie próbuję wracać do czasów dzieciństwa. Wiem, że to było dawno temu, ale może... – Westchnął głęboko. – Sam już nie wiem.

Postanowiła nie ciągnąć tego tematu i znów zapadło milczenie.

Trzy kwadransy po przywiezieniu Rexa drzwi za stanowiskiem recepcjonistki otworzyły się i stanął w nich weterynarz. Był wysoki, miał długie ręce i nogi i przypominał wyrosniętego nastolatka. Tak bardzo, że Tracy poczuła się przy nim staro. Oboje z Danem wstali, Sherlock też zerwał się na nogi.

- Ma pan dzielnego psa, panie O’Leary.
- Wyliże się z tego?
- Wyglądało gorzej, niż jest naprawdę. Śrut trochę go poharatał, ale rany okazały się dość płytkie. Głównie dzięki temu, że jest tak silnie umięśniony.
Dan odetchnął z ulgą, zdjął okulary i rozmasował sobie nasadę nosa.
- Dziękuję, panie doktorze – powiedział drżącym głosem. – Bardzo dziękuję za wszystko.
- Dostał środek uspokajający, żeby się nie wiercił. Lepiej, żeby na razie został u nas. Myślę, że pojutrze będzie można zabrać go do domu, o ile da pan radę nad nim zapanować.
- Jutro zaczyna się posiedzenie sądu i obawiam się, że przez kilka następnych dni nie będzie mnie dużo w domu.
- Może zostać tu. Proszę tylko dać znać, kiedy pan się zdecyduje. – Weterynarz ujął Sherlocka pod brodę. – Chcesz teraz odwiedzić swojego kumpla?
- Sherlock gwałtownie zamachał ogonem i potrząsnął łbem, kłapiąc uszami i brzęcząc kolczatką. Obaj z Danem ruszyli za weterynarzem, Tracy została w poczekalni. Uznała, że nie ma tam dla niej miejsca. Sherlock obejrzał się na nią pytająco, ale Dan, nie zatrzymując się, poszedł dalej i zniknął za drzwiami.

Rozdział 40

Ranek nastał szybko. Tracy dotarła do motelu w Silver Spurs dobrze po północy i po położeniu się do łóżka długo nie mogła usnąć. Zapamiętała czerwone cyferki pokazujące 2:38, o 4:54 była już na nogach.

Odsunęła zasłony i ujrzała białą kurtynę z płatków śniegu, które sypały cicho z nisko wiszącego ołowianego nieba. Śnieg zdążył już pobielić ziemię, osiąść na gałęziach i liniach energetycznych i stłumić odgłosy miasteczka, tworząc atmosferę sielskiej ciszy i spokoju.

Tracy zarezerwowała pokój w motelu, chcąc uniknąć tego, że jakiś gorliwy fotoreporter przyłapie ją rano na wychodzeniu z domu Dana. Po strzelaninie namawiał ją, by została na resztę nocy u niego, upierając się, że nie powinna być teraz sama w motelu, ona jednak zignorowała jego obawy, podobnie jak słowa Roya Callowaya, który próbował ją straszyć.

– To tylko jakiś kretyn, który wypił za dużo piwa – powiedziała. – Gdyby ktoś rzeczywiście chciał mnie zabić, mógł to bez trudu zrobić. I nie strzelałby śrutem. Mam w torebce glocka i to mi wystarczy do obrony.

Ale tak naprawdę nie chciała narażać Dana i Sherlocka na nowe niebezpieczeństwo.

* * *

Wjechała na parking przed budynkiem sądu godzinę przed wyznaczonym początkiem posiedzenia w nadziei, że w ten sposób uda jej się uniknąć zbytniego zainteresowania prasy, parking był już jednak w trzech czwartych wypełniony, a tłumek reporterów i kamerzystów kręcił się przy rozstawionych na ulicy wozach transmisyjnych. Szybko wypatrzyli Tracy i wycelowawszy w nią obiektywy, uwiecznili dla potomności jej przejście do drzwi sądu. Reporterzy ruszyli w jej stronę, zarzucając ją pytaniami.

– Pani detektyw, może pani coś powiedzieć o wczorajszej strzelaninie?

– Boi się pani o swoje życie?

Tracy skierowała się ku szerokim schodom przed wejściem do budynku, zbywając ich milczeniem.

– Co pani robiła w domu Dana O’Leary’ego?

– Czy policja ma jakichś podejrzanych?

Im bliżej była schodów, tym tłumek coraz bardziej gęstniał, utrudniając jej poruszanie się. Przed samym wejściem tłoczyła się gromada ludzi, którzy w ośnieżonych zimowych okryciach czekali na wpuszczenie do środka. Dalej tłum przechodził w kolejkę ciągnącą się przez całą szerokość schodów i sięgającą ulicy, przyczyniając się do jeszcze większego zamieszania przed budynkiem sądu.

– Będzie pani zeznawać jako świadek?

– To będzie zależec od pełnomocników stron – rzuciła. Pamiętała, że podczas procesu Edmunda House’a ani ona, ani nikt z jej rodziny nie musiał stać w kolejce, by wejść na salę rozpraw.

– Rozmawiała pani z Edmundem House’em?

Wymknęła się z tłumu i skierowała się do bocznych drzwi, którymi wtedy wpuszczano członków rodzin, świadków i pełnomocników stron. Gdy zastukała w szybę, dyżurujący za drzwiami strażnik uchylił je i o nic nie pytając, wpuścił ją do środka.

– Pamiętam pierwszy proces – powiedział. – Za czasów sędziego Lawrence’a byłem woźnym sądowym. Wszystko się powtarza. Nawet korzystają z tej samej sali.

* * *

W związku z ogromnym zainteresowaniem sprawą sędziemu Meyersowi rzeczywiście przydzielono główną salę rozpraw na pierwszym piętrze, w której dwadzieścia lat wcześniej sądzono Edmunda House’a. Strażnik wpuścił do niej Tracy, a ona poczuła się tak, jakby wracały tamte straszne dni. Sala wyglądała niemal identycznie, począwszy od eleganckiej marmurowej posadzki aż po mahoniowe zdobienia i belkowany sufit, z którego zwisały żyrandole z brązu i barwionego szkła.

Salę sądową zawsze kojarzyły jej się z kościołem. Tu stół sędziowski, tam krzyż jako punkt centralny górujący nad otoczeniem i doglądający przebiegu wydarzeń. Strony siedziały przy stołach twarzami do stołu sędziowskiego. Od miejsc dla publiczności – jeszcze pustych kilkunastu drewnianych ław z przejściem pośrodku – oddzielała je barierka z uchylną bramką. Świadkowie byli wpuszczani od tyłu i musieli przemaszerować środkiem przez całą długość sali, uchylić bramkę w barierce, przejść między stołami stron, wejść na podest dla świadków i usiąść na drewnianym ażurowym krześle. Na lewo od miejsca dla świadków znajdowała się ława przysięgłych, na prawo – okna, przez które widać było gęsto sypiący śnieg.

Zmieniło się tylko techniczne wyposażenie sali. W rogu, gdzie niegdyś był stelaż do prezentacji plansz i fotografii, stał teraz wielki płaskoekranowy telewizor, na stołach stron, sędziego i stanowisku dla świadków rozstawiono monitory komputerowe.

Dan siedział przy stole bliżej okna. Obejrzał się i szybkim spojrzeniem obrzucił wchodzącą Tracy, zaraz jednak powrócił wzrokiem do rozłożonych na stole papierów. Mimo dramatycznych nocnych przygód, w granatowym garniturze, białej koszuli i gładkim srebrzystym krawacie prezentował się zdaniem Tracy nienagannie. W odróżnieniu od niego, stojący przy stole obok pustej ławy przysięgłych Vance Clark wyglądał już na zmęczonego i wymiętoszonego. Jego

niebieska sportowa marynarka wisiała na oparciu krzesła, a rękawy koszuli miał podwinięte do łokci. Z przymkniętymi oczami i dłońmi płasko dociśniętymi do stołu pochylał się nad rozłożoną na nim mapą. Ciekawe, czy kiedykolwiek pomyślał, przemknęło Tracy przez głowę, że może jeszcze znaleźć się w tej samej sali i mieć do czynienia z tym samym oskarżonym, przeciwko któremu występował dwadzieścia lat wcześniej. Chyba raczej nie, uznała.

Drzwi za jej plecami otworzyły się i na salę wkroczyło kolejne wspomnienie z przeszłości. Na jej widok Parker House, stryj Edmunda, zawahał się, jakby miał wątpliwości, czy wejść, czy się wycofać. Mocno się postarzał, choć według Tracy miał dopiero sześćdziesiąt kilka lat. Włosy mocno mu się przerzedziły i posiwiały, ale nadal zwisały strąkami nad kołnierzem bluzy Carhartt. Jego twarz, niegdyś opalona i czerstwa od ciągłego przebywania na świeżym powietrzu, obwisła od ciężkiej pracy i ostrego picia. Wsadził ręce do kieszeni wytartych džinsów, spuścił wzrok i stukając głośno podkutymi podeszwami, przeszedł wzdłuż tylnej ściany na drugą stronę sali. Usiadł w pierwszym rzędzie miejsc dla publiczności, tuż za stołem Dana, dokładnie na tym samym miejscu, na którym przesiedział samotnie pierwszy proces bratanka. Ojciec Tracy co rano witał go na sali, a kiedy spytała, dlaczego to robi, ojciec odparł, że ten człowiek też cierpi.

Teraz podeszła do niego, ale siedział z głową zwróconą ku oknu, wpatrzony w sypiący równo śnieg.

– Parker?

Wyglądał na zaskoczonego, bo dopiero po chwili wahania spojrzał na nią i wstał.

– Hej, Tracy – powiedział niemal szeptem.

– Przykro mi, Parker, że znów musisz przez to przechodzić.

– No – mruknął, marszcząc brwi.

Nie wiedząc, co by jeszcze mogła powiedzieć, zostawiła go w spokoju. Niemal machinalnie podeszła do ławki za stołem oskarżenia, gdzie siedziała w towarzystwie matki, ojca i Bena, i to wspomnienie tak mocno na nią podziałało, że jej oczy wypełniły się łzami. Okazało się, że pamięć o tamtych dniach jest wciąż bardzo żywa, a granica między opanowaniem a płaczem jest o wiele cieńsza, niż Tracy się spodziewała.

Przeszła do drugiego rzędu i usiadła.

Czekając na rozpoczęcie, zajęła się sprawdzaniem esemesów i gapieniem się w okno. Gałęzie drzew na skwerze przed sądem były jak obsypane pierzem, cały świat stał się dziewczczo biały.

Dziesięć minut przed dziewiątą woźny sądowy przekręcił klucz w drzwiach i otworzył je na oścież. Sala szybko się zapełniła i ludzie zaczęli przepychać się jak w kinie do lepszych miejsc i rozkładać na sąsiednich płaszcze, kapelusze i rękawiczki, by rezerwować je dla znajomych.

– Ludzie, żadnego zajmowania miejsc! – zawołał woźny. – U nas kto pierwszy, ten lepszy. Proszę chować płaszcze i rękawiczki pod ławki, żeby wszyscy z dworu mogli się pomieścić.

Na sali było dwieście pięćdziesiąt miejsc siedzących i pamiętając tłum przed wejściem oraz kolejkę pod budynkiem, Tracy pomyślała, że niektórzy i tak odejdą z kwitkiem lub – wpuszczeni do sali obok – będą musieli zadowolić się przekazem telewizyjnym.

Na salę wkroczyła Vanpelt z dyndającym na piersiach identyfikatorem prasowym i usiadła z przodu, tuż za Parkerem House'em. Tracy naliczyła jeszcze kilkanaście osób z podobnymi identyfikatorami. Wiele z nich pamiętała z pogrzebu siostry, tyle że tym razem nikt do niej nie podszedł, choć parę osób pozdrowiło ją skinieniem głowy i zdawkowym uśmiechem, który po sekundzie zniknął im z twarzy.

Gdy wszystkie miejsca się zapełniły, otworzyły się boczne drzwi i na salę wszedł Edmund House prowadzony przez dwóch strażników. Zapadła cisza. Pamiętający go z procesu z niedowierzaniem przyglądali się jego dramatycznie odmienionemu wyglądowi i podnieconymi szeptami dzielili się swoimi spostrzeżeniami z sąsiadami. W przeciwieństwie do tamtego procesu teraz nikt nie starał się zadbać o prezencję House'a w celu wywarcia korzystniejszego wrażenia na przysięgłych, bo tym razem nie było przysięgłych. Ubrany w spodnie khaki i koszulę z krótkimi rękawami, z których wystawały pokryte tatuażami ręce, powłócząc nogami, ruszył w stronę stołu Dana. Długi warkocz zwisał mu do połowy masywnych pleców, łańcuchy łączące kajdany na nogach z pasem na brzuchu szczękały i podzwaniały.

Podczas procesu House zdawał się w ogóle nie dostrzegać publiczności, teraz sprawiał wrażenie zaskoczonego tak licznym tłumem. Tracy przypomniało to jego słowa podczas jej i Dana odwiedzin w więzieniu. Powiedział wtedy, że wyobraża sobie miny mieszkańców, kiedy go zobaczą, jak jako wolny człowiek idzie ulicami Cedar Grove. Mogła mieć tylko nadzieję, że nie dojdzie do tego zbyt prędko. Rozejrzała się po sali i zauważyła dwóch dodatkowych strażników, którzy ustawili się po bokach stołu sędziowskiego.

Czekając, aż strażnicy zdejmą mu kajdany z rąk i nóg, House zwrócił się twarzą do publiczności. Dan położył mu rękę na ramieniu i szepnął coś do ucha, ale jego klient nie zareagował. Stał, przesywając wzrokiem stryja, który na niego nie patrzył, siedząc z nisko opuszczoną głową i przypominając modlącego się w kościele grzesznika.

Woźny sądowy, który opuścił salę w chwili wejścia House'a, wszedł na nią ponownie przez boczne drzwi i zarządził ciszę. Tuż za nim wkroczył Meyers, zasiadł za stołem sędziowskim na podwyższeniu i sprawnie uporał się z wstępnymi formalnościami, w tym z przypomnieniem zebranym o konieczności zachowania

na sali dobrych obyczajów. A potem, już bez dalszych wstępów, zwrócił się do Dana:

– Panie O’Leary. Jako że główny ciężar tego posiedzenia spoczywa na barkach oskarżonego, zaczniemy od pana.

Po dwudziestu latach wszystko zaczynało się od nowa.

Rozdział 41

Gdy Dan wstał i oznajmił, że „obrona wzywa na świadka szeryfa Roya Callowaya”, House aż zeszywniał i wlepił w niego wzrok.

Calloway pchnął bramkę w barierce, zatrzymał się i obrzucił House’a tak nienawistnym spojrzeniem, że jeden ze strażników przesunął się bliżej stołu obrony, szeryf jednak tylko ironicznie się uśmiechnął i ruszył w stronę podestu dla świadków.

Składając przysięgę, że będzie mówił prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, stojący na podwyższeniu szeryf Cedar Grove prezentował się jeszcze okazalej niż zwykle.

Usiadł i krzesło pod nim jakby skarłało. Dan zaczął od rutynowych pytań, ale sędzia Meyers szybko mu przerwał.

– Znam karierę zawodową świadka i znajdzie się ona w protokole. Przejdźmy od razu do meritum – nakazał. Leśne gonitwy żony widać mocno leżały mu na sercu.

Dan posłusznie przeszedł do rzeczy.

– Dwudziestego drugiego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku otrzymał pan zgłoszenie od jednego z funkcjonariuszy o niebieskim kamperze marki Ford, rzekomo porzuconym na poboczu szosy okręgowej, czy tak?

– Nie rzekomo porzuconym. Porzuconym.

– Proszę opowiedzieć sądowi, co pan wtedy zrobił.

– Mój człowiek od razu sprawdził numer rejestracyjny i powiadomił mnie, że pojazd należy do Jamesa Crosswhite’a. Wiedziałem, że jeździ nim jego córka, Tracy Crosswhite.

– Był pan zaprzyjaźniony z Jamesem Crosswhite’em?

– Z Jamesem Crosswhite’em wszyscy byli zaprzyjaźnieni.

Szmery na sali i kiwanie głowami skłoniły Meyersa do podniesienia głowy i popatrzenia groźnie po sali, nie spowodowały jednak użycia sędziowskiego młotka.

– I co było dalej?

– Pojechałem na miejsce, żeby obejrzeć samochód.

– Sprawiał wrażenie uszkodzonego?

– Nie.

– Próbował pan dostać się do środka?

– Drzwi były zamknięte na klucz, w środku nie było nikogo. Szyby w tylnej części kampera były przyciemnione, zastukałem w karoserię, ale nikt się nie odezwał. – W tonie Callowaya słychać było pełne pogardy zniecierpliwienie.

– I co pan wtedy zrobił?

– Pojechałem do domu Crosswhite'ów i zapukałem do drzwi, ale tu też nikt się nie odezwał. Wtedy uznałem, że należy zawiadomić Jamesa.

– Czy doktor Crosswhite był w domu?

– Nie. Razem z Abby pojechali na Maui, żeby uczcić dwudziestą piątą rocznicę ślubu.

– Wiedział pan, jak go odnaleźć?

– James zostawił mi numer telefonu hotelu, na wypadek gdybym go pilnie potrzebował. Zawsze tak robił, kiedy wyjeżdżał z miasta.

– Jak James Crosswhite zareagował na wiadomość o znalezieniu kampera córki?

– Powiedział, że w ten weekend obie córki uczestniczyły w strzeleckich mistrzostwach stanu Waszyngton i że Tracy niedawno się wyprowadziła i mieszka w wynajętym domu. Zasugerował, że jeśli dziewczyny miały kłopoty z samochodem, to mogły pojechać do niej. Obiecał, że zadzwoni do Tracy, i poprosił, żebym nie podejmował żadnych działań, póki do mnie nie oddzwoni.

– I zrobił to?

– Zadzwonił i powiedział, że rozmawiał z Tracy, która go poinformowała, że Sara sama wróciła do domu. Powiadomił mnie, że Tracy już tam jedzie, ma klucze i spotka się tam ze mną.

– Czy Sara była w domu?

– Jeśliby była, tobyśmy tu dzisiaj nie siedzieli.

– Proszę odpowiadać na pytania – skarcił go Meyers.

Dan zajrzał do zapisków w swoim iPadzie i przeszedł do pytań dotyczących oględzin domu i kampera przez Callowaya i Tracy.

– Co pan zrobił potem? – spytał na koniec.

– Poleciałem Tracy, żeby obdzwoniła przyjaciół siostry i popytała, czy Sara nie spędziła nocy u któregoś z nich.

– Sądził pan, że tak mogło być?

Calloway wzruszył masywnymi ramionami.

– W nocy była ulewa. Pomyślałem, że jeśli Sara miała kłopoty z samochodem i poszła pieszo, to raczej wróciłyby do domu.

– Czyli już wtedy pan podejrzewał, że stało się coś niedobrego?

– Robiłem, co do mnie należało, Dan.

– Proszę odpowiadać na pytania i zwracać się do obrońcy per „panie mecenasie” – pouczył go Meyers.

– Kto ostatni widział Sarę? – spytał Dan i od razu uświadomił sobie swój błąd.

Szeryf nie przepuścił okazji.

– Edmund House – prychnął.

Tym razem Meyers uciszył gwar na sali jednym stuknięciem młotka.

- A pomijając pańskie podejrzenia wobec oskarżonego...
- Tu nie chodzi o podejrzenia, panie mecenasie. House sam mi powiedział, że jako ostatni widział Sarę żywą, przed zgwałceniem jej i uduszeniem.
- Wysoki Sądzie, proszę o poinstruowanie świadka, że powinien wysłuchać mojego pytania do końca, zanim na nie odpowie.
- Sędzia Meyers przechylił się ku podestowi dla świadków.
- Szeryfie, nie będę więcej powtarzał, że ma pan traktować to posiedzenie i jego uczestników z należytym uszanowaniem. Ma pan obowiązek wysłuchać pytania do końca, zanim pan na nie odpowie.
- Calloway zrobił taką minę, jakby rozgryzł coś gorzkiego.
- Dan przeszedł kilka kroków i stanął na tle okna, za którym wisiała kurtyna białych płatków.
- Szeryfie Calloway, kto według pańskiej wiedzy był ostatnią osobą, która widziała Sarę Crosswhite żywą?
- Świadek chwilę się zastanawiał.
- Tracy i jej chłopak rozmawiali z Sarą na parkingu w Olympii.
- Następnego dnia rano spotkał się pan z Tracy i jej ojcem u nich w domu, czy tak?
- James i Abby wrócili nocnym samolotem.
- Po co pan się spotkał z Jamesem Crosswhite'em?
- Calloway spojrzał na Meyersa z wyrzutem, jakby chciał powiedzieć: „Jak długo jeszcze mam odpowiadać na jego idiotyczne pytania?”.
- Po co się spotkałem z ojcem zaginionej dziewczyny? Żeby z nim omówić akcję poszukiwawczą.
- Uważał pan, że Sarę spotkało coś złego?
- Brałem pod uwagę taką ewentualność.
- Czy rozmawialiście z Jamesem Crosswhite'em o ewentualnym sprawcy?
- Tak, o jednym. O Edmundzie Housie.
- Dlaczego podejrzewaliście Edmunda House'a?
- Wypuścili go z więzienia po wyroku za gwałt. Okoliczności obu zdarzeń były podobne. Urowadzenie młodej kobiety.
- Rozmawiał pan o tym z panem House'em?
- Pojechałem do niego do domu. Wraz z jego stryjem, Parkerem House'em, obudziliśmy go.
- Spał w swoim łóżku?
- Jeśli by nie spał, tobyśmy go nie budzili.
- Czy w wyglądzie pana House'a coś pana zastanowiło?
- Na twarzy i na rękach miał zadrapania.
- Czy spytał go pan, skąd się wzięły?
- Twierdził, że pracował w szopie, odprysnęła drzazga i go pokaleczyła.

Powiedział, że to go zniechęciło do pracy, pooglądał trochę telewizję i poszedł spać.

– Uwierzył mu pan?

– Ani trochę.

– Już wtedy był pan przekonany, że Edmund House miał coś wspólnego ze zniknięciem Sary, czy tak?

– Pomyślałem, że w życiu nie słyszałem, żeby odprysk drewna mógł tak pokaleczyć ręce i twarz. Bo o to mnie pan pyta.

– A co pańskim zdaniem mogło spowodować te zadrapania?

Calloway znów przez chwilę się wahał, jakby czuł, dokąd zmierzają pytania Dana.

– Pomyślałem, że wyglądają tak, jakby ktoś paznokciami podrapał go po twarzy i rękach.

– Paznokciami?

– Owszem.

– Czy w związku z tym zrobił pan coś jeszcze?

– Zrobiłem parę zdjęć polaroidem i spytałem Parkera, czy mogę się rozejrzeć po gospodarstwie, a on wyraził zgodę.

– I co pan znalazł?

Szeryf poruszył się niespokojnie, jakby to pytanie niezbyt mu pasowało.

– Tylko pobieżnie się rozejrzałem.

– I nie znalazł pan nic, co by świadczyło o przetrzymywaniu tam Sary, czy tak?

– Powtarzam, że rozejrzałem się tylko pobieżnie.

– Zatem odpowiedź na moje pytanie brzmi przecząco?

– Odpowiedź brzmi, że nie znalazłem tam Sary.

Dan dał za wygraną.

– Czy przeszukano wzgórze w okolicach Cedar Grove?

– Tak.

– Dokładnie?

– To duży teren.

– Czy uznał pan to przeszukanie za dokładne?

– Zrobiliśmy, co w tym terenie było możliwe. – Calloway wzruszył ramionami.

– I znaleźliście zwłoki Sary?

– Jezu – jęknął pod nosem szeryf, ale mikrofon i tak to wychwytał. Poprawił się na krześle. – Nie znaleźliśmy Sary żywej i nie znaleźliśmy jej ciała. Ile razy mam to powtarzać?

– O tym ja zdecyduję, szeryfie Calloway, nie pan – powiedział Meyers i spojrzał na Dana. – Mecenasiu, myślę, że już ustaliliśmy, że ofiary nie

odnaleziono.

– Przejdę zatem dalej. – Dan przeprowadził Callowaya przez następne siedem tygodni i liczne sygnały od ludzi aż po telefon od Ryana P. Hagen, po czym wręczył mu plik kartek i oznajmił: – Szeryfie, to jest wykaz zgłoszeń telefonicznych, jakie dotarły do was w ramach dochodzenia w sprawie Sary Crosswhite. Zechciałby pan wyszukać w nim zgłoszenie od pana Hagen?

Calloway szybko przerzucił stronicę wykazu.

– Nie widzę go – odparł. Dan zabrał wykaz i już miał wrócić do stołu, gdy szeryf dodał: – Mógł zadzwonić bezpośrednio na numer posterunku. Specjalny numer telefonu na sygnały od ludzi nie był już wtedy podawany w mediach.

Dan zmarszczył czoło, ale wstrzymał się od komentarza.

– Czy istnieje wykaz takich rozmów? – spytał.

– Już nie. To mały posterunek, mecenasie.

Dan zaczął wypytywać szeryfa o szczegóły rozmowy z Ryanem Hagenem.

– Czy zapytał go pan, w jakim programie telewizyjnym widział ten komunikat?

– Możliwe.

– A zapytał go pan o nazwisko klienta, którego wtedy odwiedził?

– Możliwe.

– Ale w swoim raporcie nie wspomina pan ani o jednym, ani o drugim.

– Nie zawsze się wszystko pisało w raporcie.

– Czy rozmawiał pan z klientem, którego Hagen wtedy odwiedził?

– Nie miałem powodu, żeby mu nie wierzyć.

– Szeryfie Calloway, czy prawdą jest, że pański posterunek dostał wtedy wiele fałszywych zgłoszeń od ludzi utrzymujących, że widzieli Sarę całą i zdrową?

– Pamiętam, że parę takich było.

– Czy to prawda, że jeden z dzwoniących twierdził, że Sara nawiedziła go we śnie i że przebywa w Kanadzie?

– Takiego zgłoszenia nie pamiętam.

– A czy to prawda, że James Crosswhite zaoferował nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów za informację, która doprowadzi do aresztowania i skazania sprawcy?

– Prawda.

– Plansa z tą informacją stała przy wjeździe do miasta, czy tak?

– Stała.

– Ale nie uznał pan za stosowne sprawdzić, czy świadek mówi prawdę?

Calloway wychylił się do przodu.

– Nigdy nie podaliśmy do wiadomości, że podejrzewamy Edmunda House'a ani że to on mógł siedzieć za kierownicą wiśniowego vana Chevy. Pojazd nie był nawet na niego zarejestrowany. Należał do Parkera. Hagen w żaden sposób

nie mógł wiedzieć, jaką rolę w śledztwie odgrywa ten wiśniowy van.

– Ale wiedział pan, że Edmund House jeździ właśnie takim autem, prawda?

Szeryf obrzucił Dana wściekłym spojrzeniem.

– Świadek jest obowiązany odpowiadać na pytania – upomniał go Meyers.

– Wiedziałem.

– Czy pan Hagen wyjaśnił, dlaczego zapamiętał akurat ten pojazd?

– O to musi już pan spytać jego.

– Pytam pana jako funkcjonariusza prowadzącego dochodzenie w sprawie zaginięcia córki przyjaciela. Czy spytał go pan, dlaczego zapamiętał ten konkretny pojazd, chociaż widział go tylko przez moment po ciemku i w lejącym deszczu?

– Nie pamiętam – odparł Calloway.

– Bo w pańskim raporcie też tego nie ma. Czy mam przez to rozumieć, że nie zadał mu pan tego pytania?

– Nie powiedziałem, że nie zadałem. Powiedziałem, że nie wszystko trafiło do raportu.

– Czy zweryfikował pan to, czy naprawdę był wtedy umówiony z klientem?

– Miał to wpisane w swoim terminarzu.

– Ale u klienta pan tego nie sprawdził?

Calloway walnął pięścią w blat pulpitu i zerwał się z krzesła.

– Uważałem, że ważniejsze jest szukanie Sary. Dla mnie to było ważne. I w tej sprawie robiłem wszystko, co możliwe.

Meyers huknął młotkiem w stół sędziowski, jakby chciał zagłuszyć przechodzące w krzyk słowa świadka, stojący z przodu sali strażnik szybko przesunął się ku podestowi dla świadków. Na Callowayu ani jedno, ani drugie nie zrobiło wrażenia. Wyciągnął rękę w stronę Dana i nie ścisząc głosu, wrzasnął:

– Ciebie tu wtedy nie było! Siedziałeś sobie w swoim college'u na Wschodnim Wybrzeżu. A teraz przyjeżdżasz po dwudziestu latach i wypytujesz mnie, jak wykonywałem swoją pracę? Spekulujesz, snujesz domysły i rzucasz insynuacje w sprawach, o których nie masz pojęcia.

– Proszę siadać! – Meyers zerwał się z fotela z twarzą poczerwieniałą ze złości.

Drugi ze strażników dołączył do pierwszego, dwaj strażnicy stanowiący eskortę House'a ustawili się po jego bokach.

Calloway nie przestawał świdrować wzrokiem Dana, który stał nieruchomo przed stołem sędziowskim. Edmund House przyglądał się tej scenie z ironicznym uśmiechem.

– Szeryfie, jeśli będę musiał nakazać wyprowadzenie pana stąd w kajdankach i pod eskortą, nie sprawi mi to żadnej przyjemności, ale nie zawaham się tego zrobić, jeżeli jeszcze raz podniesie pan głos – rzekł Meyers tonem, w którym brzęczała stal. – To jest teraz mój sąd i okazując mu brak szacunku,

okazuje go pan mnie. A ja na brak szacunku sobie nie pozwolę. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

Calloway przeniósł płonące spojrzenie z Dana na Meyersa i Tracy pomyślała, że tym wzrokiem sprowokuje sędziego do zakucia go w kajdanki, szeryf szybko jednak obrócił głowę, spojrzał na publiczność złożoną z przedstawicieli mediów i mieszkańców miasta i bez słowa usiadł.

Meyers też usiadł i przez chwilę w milczeniu przekładał papiery na stole, jakby dawał wszystkim czas na dojście do siebie. Calloway upił łyk wody ze stojącej na pulpicie szklanki. Meyers spojrzał na Dana.

– Może pan kontynuować, mecenasie – powiedział.

– Szeryfie Calloway, czy nigdy nie przyszło panu do głowy, że pan Hagen mógł wpisać tę wizytę do terminarza po fakcie?

Calloway odchrząknął i zapatrzył się w narożnik sufitu.

– Już mówiłem, że nie widziałem powodu, by nie wierzyć mu na słowo – mruknął.

Dan zaczął drążyć temat rozmów szeryfa z Edmundem House'em.

– Poinformowałem go, że mam świadka, który tego wieczoru widział na drodze wiśniowego vana Chevy – rzekł Calloway.

– A co on na to?

– Parsknął pogardliwie i powiedział, że muszę się bardziej postarać.

– I co, postarał się pan bardziej?

Szeryf zacisnął usta i tym razem ominął wzrokiem mecenasa i zawiesił go na Tracy.

– Czy mam powtórzyć pytanie? – spytał Dan.

– Nie – odparł Calloway, wracając do niego wzrokiem. – Uprzedziłem House'a, że świadek zezna też, że dostrzegł w kabinie mężczyznę i jasnowłosą kobietę.

DeAngelo Finn nigdy nie wspomniał o tym na procesie House'a i w żadnym ze zdobytych przez Tracy protokołów też nie było o tym mowy. Wiedziała, że szeryf to zmyślił, bo przyznał się do tego podczas jednej z licznych narad w gabinecie ojca.

– Czy pan Hagen rzeczywiście tak panu powiedział?

– Nie.

– To dlaczego pan tak powiedział House'owi?

– Zastawiłem na niego pułapkę, mecenasie. Chciałem się przekonać, czy połknie przynętę. To powszechnie stosowana technika.

– Zatem nie zaprzecza pan, że powiedział nieprawdę?

– Jak pan to zgrabnie ujął, mecenasie, starałem się wykryć sprawcę zabójstwa córki przyjaciela.

– I dla osiągnięcia tego celu był pan gotów powiedzieć wszystko, czy tak?

– Obrona wyciąga nieuprawnione wnioski – zaprotestował Clark i sędzia Meyers podtrzymał jego sprzeciw.

– Jak pan House zareagował na ten podstęp?

– Zmienił swoją wersję. Przyznał, że ten wieczór spędził poza domem. Pił w barze i w drodze powrotnej natknął się najpierw na stojący na drodze kamper, a potem, kawałek dalej, zobaczył idącą poboczem Sarę. Zeznał, że się zatrzymał, zaproponował podwiezienie i odwiózł ją do domu.

– Czy w swoim raporcie wymienił pan bar, w którym podejrzany miał pić tego wieczoru?

– Nie pamiętam.

– Czy uzyskał pan potwierdzenie, że House rzeczywiście spędził wieczór w tym lokalu?

– Sam mi to powiedział.

– Ale nie zanotował pan nazwy tego baru ani nie próbował pan sprawdzić, czy House spędził w nim ten wieczór?

– Nie.

– Jak w przypadku pana Hageny, postanowił pan uwierzyć House'owi na słowo?

– Nie widziałem powodu, dla którego House miałby kłamać... – Calloway raptownie przerwał.

– Zechce pan dokończyć to zdanie?

– Już skończyłem.

Dan podszedł do podestu dla świadka.

– Nie widział pan powodu, dla którego pan House miałby się sam obciążać, przyznając, że miał styczność z ofiarą. Czy to chciał pan powiedzieć?

– Niektórzy kłamcy zapominają, co nakłamali.

– W to nie wątpię – rzucił z sarkazmem w głosie Dan. Clark już się zrywał z miejsca, by zgłosić sprzeciw, ale Dan go uprzedził. – Czy nagrał pan tę rozmowę?

– Nie miałem okazji.

– Czy nie uważał pan tej informacji za istotną, szeryfie Calloway?

– Uważałem za istotne to, że House zmienił swoją wersję w sprawie alibi. Uważałem za istotne, żeby to jak najszybciej trafiło do sędziego Sullivana, by ten mógł wydać nakaz przeszukania domu i samochodu House'a. Moim głównym celem było odnalezienie Sary.

– A bez oświadczenia Hageny, że widział na drodze wiśniowego vana Chevy, nie było szans na uzyskanie takiego nakazu, czy tak?

– Nie brałem udziału w procesie decyzyjnym sędziego Sullivana.

Następnie Dan przepytął Callowaya o wyniki przeszukania.

– Co powiedział James Crosswhite, kiedy pokazał mu pan znalezione

kolczyki?

– Że z całą pewnością należały do jego córki.

– Wyjaśnił, skąd miał taką pewność?

– Powiedział, że dał je córce w prezencie, gdy zwyciężyła w ubiegłorocznych mistrzostwach strzeleckich stanu Waszyngton.

– Czy okazał pan ten dowód Edmundowi House'owi?

– Powiedział tylko, że to „gówno prawda”. – Calloway przeniósł wzrok na siedzącego za Danem House'a. – Nachylił się nad stołem i uśmiechnął. A potem przyznał się, że nie zawiózł Sary do domu, tylko do lasu, tam zgwałcił ją, udusił i zakopał jej zwłoki. I ze śmiechem dodał, że bez ciała ofiary nic mu nie zrobimy. Tak się śmiał, jakby mu się udał świetny dowcip.

Wśród publiczności rozległy się szepty.

– I ma pan nagrane to przyznanie się do winy?

Calloway przygryzł wargę.

– Nie – mruknął.

– Czy po tym, jak nie nagrał pan pierwszego przyznania się do winy, nie wyciągnął pan żadnych wniosków?

– Widać nie.

– Jeszcze jedno pytanie, szeryfie. – Dan wziął do ręki pilota i wyświetlił na ekranie telewizora powiększony fragment mapy okolic Cedar Grove.

– Czy zechciałby pan wskazać na mapie miejsce, w którym znaleziono szczątki Sary?

Rozdział 42

Po serii zabiegów ze strony Clarka, by zrehabilitować Callowaya w oczach publiczności siedzącej ze wzrokiem utkwionym w czarnym X na mapie w miejscu znalezienia szczątków Sary, szeryf ostatecznie opuścił podest dla świadków. Dan uprzedził Tracy, że po Callowayu zamierza powołać kilkoro świadków, których zeznania będą krótkie i zwięzłe, tak by rozbieżności w tym, co zeznał obecnie, a tym, co mówił na procesie, nie utonęły w powodzi nieistotnych drobiazgów. Chodziło mu o to, by Meyers mógł w domu spokojnie przemyśleć zeznania szeryfa.

Pierwszego wezwał Parkera House'a. Przyglądając mu się, Tracy pomyślała, że sprawia wrażenie równie zagubionego jak podczas procesu. Zostawił marynarkę na ławce i stanąwszy na podeście w wygniecionej białej koszuli z krótkimi rękawami, przysiągł mówić prawdę, po czym usiadł i zaczął skubać włoski na ręce, wybijając piętą prawej nogi bezgłośny rytm.

– Pracował pan wtedy na nocnej zmianie? – zapytał Dan.

– Zgadza się.

– O której wrócił pan do domu?

– Dość późno. Gdzieś tak około dziesiątej.

– Tak samo zeznał pan na procesie.

– No to pewnikiem tak było.

– O której skończył pan zmianę w tartaku?

– Gdzieś tak koło ósmej.

– To co pan robił między zejściem ze zmiany a powrotem do domu?

Parker poprawił się na krześle i powiódł wzrokiem po twarzach publiczności, ale ominął bratanka.

– Poszłem wypić parę piw.

– Parę, to znaczy ile?

– Nie pamiętam. – Wzruszył ramionami.

– Na procesie zeznał pan, że wypił trzy piwa i jedną whisky.

– To pewnikiem tak było.

– Pamięta pan nazwę tego baru?

Świadek wyglądał na kogoś, kto cierpi na bóle kręgosłupa i szuka sobie wygodniejszej pozycji. Wykorzystał to Clark, by się zerwać i zaprotestować.

– Wysoki Sądzie, wszystkie te informacje nie mają żadnego związku, a pytania obrony tylko dezorientują świadka. Jeśli obrona próbuje w ten sposób namieszać świadkowi w głowie...

– Nic podobnego, Wysoki Sądzie – zaprzeczył szybko Dan. – Próbuję jedynie ustalić, czy świadek mógł właściwie ocenić to, co jak twierdzi, zastał po

powrocie do domu.

– Dopuszczam – oświadczył Meyers. – Ale proszę się streszczać.

– Nazwy nie pamiętam – powiedział Parker.

Po dwudziestu latach trudno się było temu dziwić, tyle że podczas procesu też tej nazwy nie pamiętał, co – zważywszy, że w miasteczku aż tak wielu takich miejsc nie było – brzmiało dużo mniej wiarygodnie. Mimo to Vance Clark nie próbował go wtedy w tej sprawie przycisnąć. Podobnie jak DeAngelo Finn.

– Kiedy dotarł pan do domu, gdzie był Edmund?

– Spał w swoim pokoju.

– Obudził go pan?

– Nie tak od razu... nie.

– To kiedy go pan obudził?

– Jak przyjechał szeryf. Było chyba koło jedenastej.

– Czy dostrzegł pan jakieś zmiany w wyglądzie bratanka?

– Znaczący się, te zadrapania na twarzy i rękach?

– Zauważył pan zadrapania na jego twarzy i rękach?

– Musiałem. Były widoczne jak diabli.

– Nie próbował ich zamaskować jakimś pudrem czy czymś w tym rodzaju?

– Chyba nic takiego żeśmy nie mieli. Mieszkaliśmy sami, tylko on i ja. Nie było żadnych bab. – Po publiczności przetoczył się śmiech, Parker też się nieśmiało uśmiechnął i po raz pierwszy spojrzął na bratanka. Uśmiech szybko zniknął z jego twarzy.

– Czy Edmund wytłumaczył panu i szeryfowi, skąd się wzięły te zadrapania?

– Powiedział, że w szopie obrabiał kawałek drewna, piła odłupała drzazgę, która strzeliła prosto w niego.

– Co wtedy powiedział lub zrobił szeryf Calloway?

– Wziął polaroid i zrobił parę zdjęć twarzy i rąk Edmunda, a potem spytał, czy może się trochę rozejrzeć.

– Wyraził pan zgodę?

– Powiedziałem mu, że może.

– Towarzyszył mu pan w tych oględzinach?

– Nie.

– Widział pan, żeby szeryf wchodził do szopy?

– No, to akurat widziałem.

– Czy ten wiśniowy van był u pana w trakcie remontu?

– No, akurat był.

– Ale Edmundowi pozwolił pan nim jeździć?

– No. On nie miał nic innego, a tego vana akurat polubił.

– Czy podłoga vana była wyłożona wykładziną?

– Nie, zerwałem wszystko do gołej blachy.

- Tapicerka była skórzana czy z materiału?
- Skórzana.
- Jeszcze jedno pytanie, panie Parker. Czy trzymał pan w tym samochodzie jakiś czarny plastik? Wie pan, coś w rodzaju worków na śmieci albo folii ogrodowej?
- Nie mam ogrodu, więc mi to niepotrzebne.
- Czyli niczego takiego tam nie było?
- Nic o tym nie wiem.
- A w domu?
- Pytasz pan o worki na śmieci?
- Tak.
- Nie. Większość odpadków kompostuję, resztę rzucam na kupę. A jak kupa za bardzo urośnie, to wywożę ją na wysypisko w górach. Nie mamy tu śmieciarek.

Clark nie miał pytań do Parkera i Dan na zakończenie wezwał na świadka Margaret Giesę, detektyw z CSI6, która uczestniczyła w przeszukaniu gospodarstwa i pojazdów Parkera i w puszcze po kawie znalazła kolczyki z coltami. Giesa była już obecnie na emeryturze i wraz z mężem Erikiem mieszkała w małym miasteczku w Oregonie, ale poza tym niewiele różniła się od kobiety, którą Tracy zapamiętała z procesu. Nadal wyglądała sztywno, łącznie z butami na dziesięciocentymetrowych obcasach.

Dan wypytał Giesę o przebieg przeszukania posiadłości Parkera House'a i znalezione wówczas dowody. Najwięcej czasu poświęcił kolczykom znalezionym w warsztacie stolarskim oraz włosom w kabinie vana. Metodycznie przeprowadził Giesę przez cały proces opisywania materiału dowodowego. Było to zadanie nużące i czasochłonne, ale niezbędne dla uniknięcia zarzutu, że w ciągu dwudziestu lat od przekazania materiału dowodowego do Policyjnego Laboratorium Kryminalistycznego Stanu Waszyngton ktoś mógł przy nim majstrować lub coś podmienić.

Po przesłuchaniu Giesy sędzia Meyers zakończył dzisiejszą sesję. Z powodu zapowiedzi pogorszenia pogody podał numer telefonu do biura urzędnika sądowego, pod którym w razie konieczności odwołania następnej sesji będzie można odsłuchać komunikat dla prasy i publiczności. Na zakończenie walnął młotkiem i od razu Vanpelt i inni reporterzy ruszyli hurmem w stronę Tracy, która równie szybko rzuciła się do wyjścia z sali. W drzwiach natknęła się na Finlaya Armstronga, który wśród oślepiających błysków fleszy i pytań wykrzykiwanych przez reporterów poprowadził ją do holu i dalej do służbowej klatki schodowej.

– Zechce pani skomentować przebieg rozprawy, pani detektyw?! – zawołała za nią Vanpelt, ale Tracy zignorowała pytanie.

Finlay wyprowadził ją z budynku i przeszli przez parking do samochodu. Warstwa świeżego puchu sięgała miejscami trzydziestu centymetrów.

- Spotkajmy się tu jutro rano – powiedział.
- Szeryf polecił panu mi pomagać? – spytała.
- Skinął głową i wręczył jej swoją wizytówkę.
- Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę dzwonić.

Ledwo zdążyła wyjechać z parkingu, gdy zadzwoniła jej komórka. Choć Dan uprzedził, że takie posiedzenia są jak maratony i pierwszy dzień to dopiero pierwszy kilometr, po głosie można było poznać, że jest zadowolony z jego przebiegu.

– Jadę do Pine Flat odwiedzić Rexa – powiedział. – Spotkajmy się tam. Pogadamy o jutrze.

* * *

Tracy zastała go na rozmowie z weterynarzem, naciągnęła więc na głowę kaptur kurtki, wyszła na ganek i zaczęła sprawdzać esemesy i oddzwaniać na numery, których połączeń nie odebrała. Zrobiło się już całkiem szaro, z nieba pokrytego grubą warstwą nisko wiszących chmur sypał gęsty śnieg i nic nie zapowiadało, by miał wkrótce przestać. Umieszczony obok oszronionego gongu termometr pokazywał minus pięć stopni Celsjusza.

Połączyła się z Kinsem i zaczęła relacjonować przebieg dzisiejszych wydarzeń, gdy nagle zauważyła coś dziwnego. Na końcu placu pokrytego świeżo spadłym śniegiem stał samochód z dachem i maską przysypanymi kilkucentymetrową warstwą białego puchu, na którego przedniej szybie widać było wyraźny ślad po zgarniających śnieg wycieraczkach. Był za daleko, by w zapadającym zmierzchu i gęsto sypiącym śniegu można było dobrze mu się przyjrzeć, ale Tracy była niemal pewna, że w środku ktoś siedzi. Czyżby jakiś reporter? Zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna tego sprawdzić, gdy drzwi się uchylily i ukazała się w nich rozradowana twarz Dana.

- Chcesz złapać zapalenie płuc? – rzucił.
- Co z Rexem?
- Chodź i sama zobacz.

Wewnątrz Tracy ze zdumieniem ujrzała kręcącego się po recepcji Rexa, choć jego ruchy były jeszcze dość niepewne. Z plastikowym kołnierzem uniemożliwiającym wylizywanie obandażowanych ran wyglądał jak cyrkowy klaun. Gdy wyciągnęła rękę, pies bez wahania podszedł i dotknął jej dłoni zimnym, wilgotnym nosem.

– Właśnie się zastanawiamy, co robić dalej – powiedział Dan, wskazując głową stojących obok weterynarza i jego żonę. – Strasznie nie chce mi się go zostawiać, ale chyba tak będzie najlepiej. Zwłaszcza że całymi dniami mnie nie będzie.

- Proszę się nie martwić – wtrącił weterynarz. – Może u nas zostać tak

długo, jak będzie trzeba.

Dan przyklęknął na jedno kolano i objął rękami łeb psa.

– Przepraszam cię, stary. Jeszcze jedna noc i wrócisz do domu, obiecuję.

Tracy ze wzruszeniem obserwowała wyraz troski na twarzy Dana i jego stosunek do zwierzaka. Z trudem powstrzymując łzy, patrzyła, jak weterynarz odprowadza Rexa w głąb kliniki. Przed drzwiami pies odwrócił łeb i obrzucił ich tak żalonym spojrzeniem opuszczonego zwierzęcia, że aż ścisnęło jej się serce.

Kiedy Dan pośpiesznie wyszedł na ganek, podążyła za nim. Dziwny samochód zniknął. Rozejrzała się, ale na pobliskich ulicach nie było nikogo. Na parkingu stały tylko dwa auta – tahoe Dana i jej subaru. Kawałek dalej widać było dym z kominów skupiska domów ze spadzistymi dachami i bawiące się na śniegu dzieci w ciepłych kurtkach, czapkach z nausznikami i szalikach. Poza nimi nikt inny nie kwapił się do wychodzenia z domu i ryzykowania odmrożenia sobie nosa. Prognozy przewidywały jeszcze obfitsze opady śniegu.

– Tak mi go żal, że musi tu zostać – jęknął Dan.

– Wiem, ale to słuszna decyzja.

– Nie jest mi przez to ani trochę lżej.

– I to dowodzi, że decyzja była słuszna. – Wzięła go za rękę, co go chyba zaskoczyło. – Rex i Sherlock mieli szczęście, że trafili na ciebie. I myślę, że Roy Calloway wie, że nie jesteś już pulchnym smarkaczem w okularach, którym tak lubił komenderować.

– Pulchnym? To tak mnie odbierałaś? To były niewyrobite dobrze mięśnie.

Uśmiechnęła się, dostrzegając w nim nie tylko chłopca, który kiedyś był jej przyjacielem, ale także mężczyznę, którym się stał. Wystarczająco pewnego siebie i mocnego, by stawić czoło Royowi Callowayowi, a jednocześnie na tyle wrażliwego, by mieć w oczach łzy z powodu psa. Dobrego człowieka, który skrzywdzony przez los i ludzi, umiał obrócić w żart wyrządzone mu krzywdy. Z kimś takim mogłaby się związać. Wykorzystywała sprawę śmierci siostry jako wymówkę, że nie ma teraz czasu na myślenie, co do niego czuje. Od tak dawna nie była z nikim związana emocjonalnie, że bała się stracić kolejną szansę i przeżyć ból zawodu.

Płatki śniegu osiadały na włosach Dana.

– Dobry byłeś dzisiaj. Lepszy niż dobry.

– Przed nami jeszcze daleka droga. Dziś chodziło mi tylko o przygwożdżenie Callowaya w jego zeznaniach. Jutro czeka nas wymiana prawdziwych ciosów.

– Ale i tak mi zaimponowałeś.

Przyjrzał się jej badawczo.

– Chcesz powiedzieć, że cię to zaskoczyło?

– Ależ skąd! – Uniosła rękę i zbliżyła do siebie kciuk i palec wskazujący. – No, może tyle.

Roześmiał się i uściskał jej dłoń.

– Zdradzę ci sekret – powiedział. – Mnie też to trochę zdziwiło.

– Taak? A niby czemu?

– Od mojego ostatniego przepytывania świadka w poważnej sprawie minęło już dużo czasu. Ale to pewnie tak jak z jazdą na rowerze.

– Tyle że jazda na rowerze nie zawsze ci wychodziła, o ile dobrze pamiętam.

Spojrzał na nią z udawanym oburzeniem.

– No wiesz! Tylko raz mi się zdarzyło złapać gumę.

Roześmiała się, nie przestając myśleć o tym, jak ich splecione palce dziwnie dobrze do siebie pasują. I o tym, co by poczuła, gdyby zaczął ją głaskać tymi palcami.

– Myślisz, że ci będzie dobrze w tym motelu? – spytał.

– Nie podadzą mi słynnych na cały świat hamburgerów z serem i bekonem, ale pewnie dzięki temu pożyję trochę dłużej.

– To, że cię nie namawiałem do zostania u mnie w domu, nie miało nic wspólnego z Rexem. Przepraszam. Byłem podenerwowany i coś tam chlapnąłem...

– Wiem. – Przysunęła się bliżej, zostawiając mu inicjatywę.

Pochylił się ku niej, a ona wspięła się na palce. Mimo panującego mrozu usta miał ciepłe i wilgotne i pocałunek wydał się jej czymś całkiem naturalnym. Niemal tak naturalnym i pasującym jak ich splecione dłonie.

Gdy ich głowy nieco się od siebie odsunęły, wielki płatek śniegu osiadł mu na nosie. Dan uśmiechnął się i strząsnął go palcami.

– Oboje nabawimy się tu zapalenia płuc – powiedział.

– W motelu dali mi dwa klucze do pokoju.

* * *

Leżeli w stłumionym świetle lampki nocnej przy łóżku, gruba pokrywa śniegu tłumiała wszelkie odgłosy z zewnątrz i poza cichymi odgłosami grzejnika pod oknem w pokoju panowała głucha cisza.

– Dobrze ci? Bo jakoś strasznie ucichłaś – powiedział.

– Cudownie. A tobie?

Przytulił ją i pocałował w czubek głowy.

– Czegoś żałujesz?

– Tylko tego, że nie możesz zostać do rana.

– Chciałbym, ale Sherlock bez brata jest jak duże dziecko, a poza tym muszę się przygotować do ważnej sesji jutro.

– Myślę, że byłbyś dobrym ojcem. – Uśmiechnęła się.

– Tak, no cóż, pewne sprawy nie są człowiekowi pisane.

Podparła się na łokciu.

– Dlaczego nie mieliście dzieci?

– Ona nie chciała. Uprzedziła mnie o tym jeszcze przed ślubem, ale sądziłem, że zmieni zdanie. Myliłem się.

– Za to masz teraz swoich chłopaków.

– I nie wątpię, że jeden z nich jest zaniepokojony.

Pocałował ją i przeturlał się na swoją stronę łóżka, ale ona wysunęła rękę i przyciągnęła go do siebie.

– Przepróż w moim imieniu Sherlocka, że musiał czekać – powiedziała, kładąc się na Danie i czując, jak pod nią twardnieje.

* * *

Po wszystkim została w łóżku i patrzyła, jak on się ubiera.

– Odprowadzisz mnie do drzwi czy po prostu mam sobie pójść? – zapytał.

Wstała z łóżka i sięgnęła po koszulę nocną, zaskoczona, że nie czuje się skrępowana swoją nagością.

– Tylko żartowałem. Choć nie ukrywam, że widok bardzo mi się podoba.

Tracy wciągnęła koszulę przez głowę i odprowadziła go do drzwi. Przed ich otwarciem odsunął zasłonkę na oknie i rozejrzał się.

– Tłum fotoreporterów z aparatami? – spytała.

– Przy takiej pogodzie wątpliwe. – Otworzył drzwi i Tracy poczuła mroźny powiew na rozgrzanej skórze. – Przestało sypać. To dobry znak.

Wyrzrzała przez jego ramię. Rzeczywiście śnieg przestał padać, ale sądząc po grubej warstwie puchu na poręczy przed wejściem, chyba niedawno, a ołowiane chmury na niebie wskazywały, że raczej nie na długo.

– Pamiętasz śniegi z dawnych czasów? – spytała.

– Jak mógłbym zapomnieć! Najlepsze dni w szkole.

– Nie mieliśmy wtedy szkoły.

– No właśnie!

Nachylił się i jeszcze raz ją pocałował, a ona poczuła takie ciarki, że aż zadygotała i objęła się ramionami.

– To w reakcji na mnie czy na mróz? – spytał z uśmiechem.

– Dla mojego ścisłego umysłu zbyt mało danych empirycznych, żeby odpowiedzieć.

– Trzeba będzie nad tym popracować.

Schowała się za drzwi.

– Do zobaczenia rano – rzuciła.

Jego buty zaskrzypiały na śniegu. Na schodkach zatrzymał się i obejrzał za siebie.

– Zamknij już, bo zamarzniesz – powiedział. – Na zasuwę.

Ona jednak odczekała, aż Dan dotrze do swojego tahoe i wsiądzie. Już miała zamknąć drzwi, gdy dostrzegła stojący na ulicy samochód. Właściwie nie tyle

samochód, ile jego przednią szybę ze śladem po pracy wycieraczek. Stojący na mrozie samochód z kimś w środku mógł budzić zdziwienie, ale jeśli się to zdarzyło po raz drugi, oznaczało celowe działanie. Musiał w nim siedzieć jakiś zawzięty reporter, któremu należało pokazać, czym grozi nękanie gliniarza. Zatrzasnęła drzwi, szybko włożyła spodnie, kurtkę i kozaki i z glockiem w ręce otworzyła drzwi.

Samochodu nie było.

Poczuła, jak jeżą jej się włoski na karku. Zamknęła drzwi na zasuwkę i zadzwoniła do Dana.

– Już się stęskniłaś?

Odsunęła zasłonkę na oknie i rozejrzała się. Zostały płytkie ślady opon, co znaczyło, że samochód stał tam w padającym śniegu, ale niezbyt długo.

– Tracy?

– Chciałam tylko usłyszeć twój głos – powiedziała. Miał wystarczająco dużo na głowie, żeby mu dodawać nowych zmartwień.

– Coś się stało?

– Nie. Po prostu się niepokoję. Moja skaza zawodowa.

– U mnie wszystko w porządku. A w domu mam nadal pół systemu alarmowego.

– Nikt za tobą nie jedzie?

– Gdyby ktoś jechał, musiałbym być kretynek, żeby tego nie zauważyć. Droga jest zupełnie pusta. U ciebie wszystko w porządku?

– Tak, w porządku. Dobranoc, Dan.

– Następnym razem chcę obudzić się przy tobie.

– Byłoby fajnie.

Rozłączyła się i pod nocną koszulę włożyła spodnie od piżamy. Przed położeniem się jeszcze raz podeszła do okna, odsunęła zasłonkę i spojrzała na puste miejsce po tajemniczym samochodzie. Założyła na drzwi łańcuch, na stoliku nocnym położyła glocka i zgasiła światło.

Na poduszce został zapach Dana, czułego i ciepłego kochanka o delikatnym dotyku mocnych rąk. Dał jej czas, by się mogła rozluźnić, uwolnić od wszelkich myśli i skupić tylko na ruchach jego ciała i dotyku rąk. Gdy osiągnęła szczyt, przywarła do niego cała, chcąc, by chwila uniesienia i jego bliskość trwały jak najdłużej.

Rozdział 43

Po raz pierwszy od wielu miesięcy przespała całą noc i obudziła się wyspana i zrelaksowana, zaraz jednak opadł ją niepokój na myśl o czekającym ją dniu. Nie pamiętała, by jako policjantka kiedykolwiek stresowała się pracą. Dni, gdy coś się działo albo wszystko się sypało, uważała za udane i emocjonujące, czas pracy mijał szybko, a godziny zamieniały się w minuty. Ale myśl o spędzeniu całego dnia na sali rozpraw była równie stresująca jak jej uczestnictwo w tamtym procesie sprzed lat.

Wzięła w holu przy recepcji egzemplarz „Cascade County Courier”. Na pierwszej stronie zamieszczono artykuł o posiedzeniu w sądzie i zilustrowano go fotografią Tracy wchodzącej do budynku, ale na szczęście nie było zdjęcia Tracy i Dana całujących się przed kliniką dla zwierząt lub wchodzących razem do motelu.

Zgodnie z zapowiedzią Finlay czekał na nią na parkingu przed gmachem sądu, pomógł jej opędzić się od tłumu reporterów i przedrzeć do środka. Patrząc na niego, Tracy nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jest dumny z roli jej opiekuna.

W miarę zbliżania się godziny dziewiątej Tracy coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że po pierwszym dniu posiedzenie straciło na atrakcyjności, do czego dołożyła się pogarszająca się pogoda, i w rezultacie zjawią się tylko najzagorzalsi bywalcy sal sądowych. Jednak gdy w końcu otwarto drzwi, ławy znów błyskawicznie się zapełniły, a widzów było chyba jeszcze więcej, bo czytelników mógł zaintrygować reportaż w gazecie z pierwszego dnia posiedzenia. Tak czy inaczej, Tracy doliczyła się czterech więcej identyfikatorów prasowych.

House ponownie wkroczył na salę w asyście dwóch strażników, ale kiedy dotarł do stołu obrony i w oczekiwaniu na zdjęcie kajdan odwrócił się twarzą do publiczności, jego wzrok nie powędrował ku stryjowi, tylko ku Tracy. Wpatrywał się w nią tak nachalnie, że poczuła ciarki. Dokładnie jak przed dwudziestu laty, tyle że tym razem nie zamierzała uciekać przed nim wzrokiem i nie zrobiła tego, nawet gdy jego usta ułożyły się w dobrze znany wyzywający uśmiešek. Wiedziała już, że jego spojrzenia i uśmieszki są tylko mającą zbić ją z tropu fasadą, za którą kryje się ktoś fizycznie zahartowany przez lata spędzone w więzieniu, ale emocjonalnie pokiereszowany. Nadal niepewny swego smarkacz, który porywa Annabelle Bovine, dlatego że nie może znieść myśli o jej odejściu.

Przestał wwiercać się wzrokiem w Tracy, gdy wszedł woźny sądowy, który polecił wszystkim wstać. Sędzia Meyers zajął miejsce za stołem i rozpoczął się drugi dzień posiedzenia.

– Mecenasiu O’Leary, może pan kontynuować – rzekł sędzia.

Dan wezwał na świadka Boba Fitzsimmonsa. Przed dwudziestu laty Fitzsimmons był współnikiem zarządzającym w firmie, która podpisała kontrakt

z władzami stanu Waszyngton na budowę trzech zapór hydroelektrycznych na rzece Cascade i jedną z nich była zapora nazwana Cascade Falls. Choć Fitzsimmons przekroczył już siedemdziesiątkę i był na emeryturze, wyglądał tak, jakby przed chwilą wyszedł z posiedzenia zarządu jakiejś firmy z listy Fortune 500. Miał bujną siwą czuprynę, granatowy garnitur w prążki i lawendowy krawat.

Pokrótkie opisał procedurę uzyskiwania federalnych i stanowych zezwoleń na budowę zapór, która jest jawna i szczegółowo relacjonowana w miejscowej prasie.

– Oczywiście budowa tamy spowodowała spiętrzenie rzeki – powiedział, swobodnie rozparty z nogą na nodze. – Konieczne jest stworzenie zbiornika retencyjnego na wypadek suszy.

– I co było takim awaryjnym zbiornikiem dla Cascade Falls? – zapytał Dan.

– Jezioro Cascade.

Za pomocą dwóch rysunków Dan przedstawił obrys jeziora Cascade przed budową zapory i po zalaniu terenu w wyniku spiętrzenia rzeki. Zaznaczony przez Callowaya punkt X w miejscu znalezienia szczątków Sary znalazł się na terenie zalanim przez wodę.

– I kiedy doszło do zalania? – spytał.

– Dwunastego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego – odrzekł Fitzsimmons.

– Czy data zalania była podana do wiadomości publicznej?

Świadek skinął głową.

– Dopilnowaliśmy, by znalazła się we wszystkich gazetach i lokalnych wiadomościach radiowych i telewizyjnych. Wymagają tego przepisy stanowe, ale my zrobiliśmy nawet więcej.

– Dlaczego?

– Bo ludzie polowali i urządzali piesze wędrówki na tych terenach. Chodziło o to, by woda nikogo nie zaskoczyła.

Dan podziękował i wrócił na miejsce.

– Panie Fitzsimmons – zaczął Clark. – Czy pańska firma nie zrobiła czegoś jeszcze, by, jak pan to nazwał, „woda nikogo nie zaskoczyła”?

– Nie bardzo rozumiem.

– Czy nie wynajęliście firmy ochroniarskiej, która ustawiła blokady na drogach, by nie dopuścić nikogo postronnego do terenu zalewowego?

– Owszem, na kilka dni przed zalaniem.

– Czyli wejście na ten teren było mocno utrudnione, czy tak?

– I o to chodziło.

– Czy któryś z ochroniarzy zgłosił próbę wejścia na zamknięty teren?

– Niczego takiego sobie nie przypominam.

– Nie zgłoszono próby wtargnięcia przez kogoś niosącego ciało?

– Prokurator podpowiada świadkowi, Wysoki Sądzie – zaprotestował Dan.

- Wysoki Sądzie, obrona dokładnie tak samo insynuuje – odciął się Clark.
 - O podtrzymaniu lub odrzuceniu sprzeciwu decyduję ja, panie Clark. Sprzeciw obrony odrzucony.
 - Czy powiadomiono pana o kimś niosącym ciało? – powtórzył Clark.
 - Nie – odrzekł Fitzsimmons.
 - Clark usiadł.
 - Dan wstał.
 - Jak duży jest ten obszar? – spytał, wskazując tereny zalewowe.
 - Fitzsimmons zmarszczył czoło.
 - O ile dobrze pamiętam, jezioro miało nieco ponad tysiąc hektarów, po postawieniu zapory jego powierzchnia wzrosła prawie dwukrotnie.
 - A ile pieszych traktów przebiegało przez ten teren?
 - O wiele za dużo, bym mógł to wiedzieć.
 - Umieściliście blokady i postawiliście ochroniarzy na głównych drogach dojazdowych, ale nie byliście w stanie upilnować wszystkich punktów wejścia i wyjścia, czy tak?
 - To było zupełnie niemożliwe – potwierdził Fitzsimmons.
- * * *

Następnie Dan wezwał na świadka Verna Downiego, którego James Crosswhite poprosił o pokierowanie akcją poszukiwawczą córki. Vern mieszkał w górach i znał tereny wokół Cedar Grove lepiej niż ktokolwiek inny. Tracy często żartowała, że Vern ze swą rzednącą czupryną i wieczną szczeciną na poranej bruzdami twarzy miałby zapewnioną karierę w horrorach, zwłaszcza że mówił głosem rzadko głośniejszym od szeptu.

Wyglądało na to, że ostatecznie zrezygnował z golenia, bo jego szarosrebrzysty zarost zaczynał się teraz parę centymetrów poniżej oczu, porastał dolną część twarzy i schodził po szyi aż na klatkę piersiową. Vern był w nowych dżinsach z szerokim pasem z owalną srebrną klamrą, kowbojkach i flanelowej koszuli. Dla niego był to ubiór wyjściowy jak do kościoła. Jak podczas procesu, w pierwszym rzędzie dla publiczności usiadła jego żona, by wspierać go moralnie. Tracy zapamiętała Verna jako zdeklarowanego introwertyka, któremu mówienie do większego grona słuchaczy sprawiało wyraźną trudność.

– Panie Downie, będzie pan musiał mówić trochę głośniej, żebyśmy wszyscy mogli pana słyszeć – wtrącił się sędzia, gdy w odpowiedzi na pytanie Dana świadek wyszeptał swoje nazwisko i adres. Zapewne chcąc go nieco ośmielić, Dan zaczął od ogólniejszych pytań i dopiero potem przeszedł do spraw zasadniczych.

– Ile dni trwały poszukiwania? – zapytał.

Vern wydał wargi i zmarszczył twarz z wysiłku.

– Szukaliśmy codziennie przez cały tydzień – odparł. – Potem jeszcze po

parę razy w tygodniu, zwykle po pracy, i tak przez kilka tygodni. Aż do zalania terenu.

– Z ilu osób składała się pierwotna ekipa poszukiwawcza?

Świadek potoczył wzrokiem po sali.

– A ile osób tu siedzi? – bąknął.

Dan zostawił pytanie bez odpowiedzi i usiadł, wywołując tym lekkie odprężenie na sali.

Clark wstał i podszedł do podestu dla świadków, ale i on ograniczył się do zaledwie kilku pytań.

– Vern, ile hektarów liczą tereny góryste poza miastem?

– Cholera, Vance, nie mam pojęcia.

– Ale to ogromny teren, prawda?

– Pewno, że ogromny.

– Trudny do przeszukania?

– Zależy gdzie. Miejscami jest bardzo stromo, gdzie indziej gęsto od drzew i krzaków. Miejscami diabelna gęstwina, to na pewno.

– Dużo jest takich miejsc, w których można by ukryć ciało tak, by nikt go nie znalazł?

– Pewno tak – mruknął Vern i spojrzał na House'a.

– Używaliście psów?

– Pamiętam, że mieli psy na południu Kalifornii, ale nie można ich było sprowadzić. Nie zgodzili się na przysłanie ich samolotem.

– Jeśli chodzi o skrupulatność waszych poszukiwań, czy można uznać, że przeszukaliście każdy metr kwadratowy terenu?

– Zrobiliśmy, co było można.

– Czy przeszukaliście każdy metr kwadratowy terenu?

– Każdy metr? Nie da się tego stwierdzić na pewno. Za duży teren. Ale chyba nie każdy.

* * *

Po Downiem Dan wezwał Ryana Hagen, akwizytora części samochodowych. Hagen wyglądał, jakby od soboty rano, kiedy Tracy zaskoczyła go w domu, przytył piętnaście kilo. Policzki zwisały mu nad kołnierzykiem koszuli, włosy jeszcze bardziej się przerzedziły, rumiana cera i sinoczerwony bulwiasty nos dowodziły, że musi często zaglądać do kieliszka.

Hagen zareagował śmiechem na pytanie Dana, czy posiada kopię zamówienia lub inne dokumenty, które by świadczyły o celu jego podróży dnia dwudziestego pierwszego sierpnia 1993 roku.

– U kogokolwiek wtedy byłem, idę o zakład, że firma już dawno nie istnieje. Teraz większość warsztatów kupuje przez internet. Akwizytorów odwiedzających

klientów spotkał los dinozaurów.

Patrząc na niego, Tracy pomyślała, że może akwizytorzy zniknęli, ale Hagen nie przestał się uśmiechać i wdzięczycić niczym zmanierowany domokrążca.

Nie umiał powiedzieć, na jakim kanale widział komunikat.

– Dwadzieścia lat temu zeznał pan, że oglądał swoich ukochanych Mariners.

– Nadal ich kocham – potwierdził.

– Zatem wiadomo panu, że Mariners nigdy nie zagraли w World Series?

– Pozostaję optymistą. – Jego słowa wywołały uśmiechy na twarzach publiczności.

– Ale w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim im się nie powiodło, prawda?

Hagen się zawahał.

– Nie.

– W tamtym roku zajęli czwarte miejsce i nie zakwalifikowali się nawet do play-offów.

– Wierzę panu na słowo. Nie mam aż tak dobrej pamięci.

– A to oznacza, że ostatni mecz ligowy rozegrali w niedzielę, trzeciego października, przegrywając z Minnesota Twins siedem do dwóch, zgadza się?

Uśmiech na twarzy Hagena nieco przygasł.

– W to też wierzę panu na słowo.

– W rezultacie pod koniec października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego, kiedy podobno widział pan ten komunikat, Mariners już w ogóle nie grali, prawda?

Hagen nie przestawał się uśmiechać, choć jego uśmiech stał się jakby nieco wymuszony.

– Mogłem oglądać mecz jakiejś innej drużyny.

Dan chwilę odczekał, by odpowiedź świadka zapadła w pamięć słuchających.

– Panie Hagen, czy w ramach swoich obowiązków odwiedzał pan odbiorców części w Cedar Grove?

– Nie pamiętam. Obsługiwałem duże terytorium.

– Jak rasowy handlowiec.

– Pewnie tak – odrzekł Hagen, choć już na takiego zbytnio nie wyglądał.

– Zobaczmy, czy nie uda mi się panu pomóc. – Dan sięgnął po pojemnik na akta, położył go na stole i wykonał show z przerzucaniem przekładek i wyszukiwaniem teczek z dokumentami. Hagen patrzył na to zaskoczony i Tracy zauważyła, że w pewnej chwili powędrował spłoszonym wzrokiem ku miejscu, gdzie siedział Roy Calloway. W końcu Dan wyjął teczkę znaną przez Tracy w garażu Harleya Holta i podszedł z nią do podestu, uniemożliwiając Hagenowi kontakt wzrokowy z szeryfem. W teźce były kopie zamówień składanych

regularnie przez Harleya Holta w firmie Hagen.

– Czy nie odwiedził pan przypadkiem Harleya Holta, właściciela serwisu w Cedar Grove?

– To było tak dawno temu...

Dan znów urządził przedstawienie z grzebaniem i przekładaniem papierów w teczce.

– Z tych papierów wynika, że odwiedzał pan Holta dość regularnie, mniej więcej co dwa miesiące.

Świadek uśmiechnął się, ale policzki mu płonęły, na czole lśniły kropelki potu.

– Jeśli tak wynika z papierów, to nie będę się spierał – powiedział.

– Czyli bywał pan regularnie w Cedar Grove, w tym także latem i jesienią roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego, prawda?

– Musiałbym sprawdzić w moim terminarzu – mruknął Hagen.

– Już to za pana zrobiłem – rzekł Dan. – I mam tu kopie zamówień z podpisami pana i Harleya. Noszą takie same daty, jak te wpisane w terminarzu wizyty w serwisie w Cedar Grove.

– No to pewnie tak było. – Głos Hagen brzmiał coraz mniej pewnie.

– Ciekaw jestem, czy podczas wizyt w warsztacie Harleya Holta rozmawialiście, panowie, o zaginięciu Sary Crosswhite?

Hagen sięgnął po wodę, wypił łyk i odstawił szklankę na miejsce.

– Mógłby pan powtórzyć pytanie?

– Czy podczas wizyt w warsztacie Harleya Holta rozmawiał pan z nim o zaginięciu Sary Crosswhite?

– Nie jestem pewien, wie pan...

– W Cedar Grove to była wtedy głośna sprawa, prawda?

– Nie wiem. Pewnie tak.

– Przy wjeździe do miasta stała wielka tablica z informacją o zaginięciu Sary i nagrodzie w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów za pomoc w jej odnalezieniu, prawda?

– Nie dostałem żadnej nagrody.

– Nie twierdzę, że pan dostał. – Dan wyciągnął z pudła kolejny papier i mówiąc, udawał, że go czyta. – Pytałem, czy mimo iż zaginięcie Sary było głośne w całym Cascade, pan sobie nie przypomina, czy kiedykolwiek rozmawialiście z panem Holtem o tej sprawie.

Hagen odchrząknął.

– Coś mi świta, że chyba rozmawialiśmy, ale wie pan, tak ogólnie. Bez żadnych szczegółów. To tyle, co jestem w stanie sobie przypomnieć.

– Czyli wiedział pan o zaginięciu Sary jeszcze przed obejrzeniem tego komunikatu w telewizji, zgadza się?

– Komunikat mógł mi odświeżyć pamięć. Albo mogłem rozmawiać z Harleyem już po jego obejrzeniu. Pewnie tak właśnie było, ale w tej chwili niczego nie jestem pewien.

Dan uniósł kolejne kartki.

– Czyli nie rozmawialiście o tym w sierpniu ani we wrześniu, ani w październiku.

– Po prostu mówię, że dokładnie nie pamiętam. Mogliśmy rozmawiać. Jak już powiedziałem, dwadzieścia lat to długo.

– Czy podczas bytności w Cedar Grove rozmawiał pan z kimś o Edmundzie Housie?

– O Edmundzie Housie? Nie, jestem prawie pewien, że to nazwisko nigdy nie padło.

– Prawie pewien?

– Nie pamiętam, żebym o nim rozmawiał.

Dan wyjął kolejną kartkę.

– Czy Harley wspominał panu, że sprowadza części do samochodów remontowanych przez Parkera House'a i że serwisował jego wiśniowego vana Chevy?

– Wysoki Sądzie! – Clark zerwał się z krzesła. – Jeśli pan O'Leary zamierza zadawać pytania na podstawie jakichś zapisów, to należy je włączyć do materiału dowodowego, a nie testować pamięć pana Hageny w sprawie spotkań, które się odbyły lub nie dwadzieścia lat temu.

– Oddalam – burknął Meyers.

Tracy wiedziała, że Dan blefuje. Nie udało jej się znaleźć kopii zamówienia, z którego wynikałoby, że Harley zamawiał u Hageny części do vana, jednak Hagen nie odważył się zarzucić Danowi, że zmyśla. Poczerwieniał tylko jak burak i zaczął się nerwowo wiercić, jakby mu ktoś podłożył pod tyłek gorącą fajerkę.

– Zdaje się, że coś o tym wspominał – wybąkał, zakładając nogę na nogę i od razu ją zdejmując. – Powoli to do mnie wraca. Chyba wspomniałem Harleyowi, że tamtej nocy widziałem na drodze wiśniowego vana czy jakoś tak. Pewnie stąd go zapamiętałem.

– Zdawało mi się, że zapamiętał go pan dlatego, że mówili o nim w komunikacie w przerwie meczu Mariners, a van Chevy był pańskim ulubionym pojazdem, czy nie tak?

– No... znaczy... pewnie było trochę tak, trochę tak. Van Chevy był moim ulubionym pojazdem, więc jak Harley wspominał, że... no wie pan... że Edmund House takim jeździ, to mi to jakoś zostało w głowie.

Sędzia Meyers zmarszczył brwi i przewiercił Hageny spojrzeniem.

Dan podszedł do podestu i stanął twarzą w twarz ze świadkiem.

– Czyli rozmawialiście z Harleyem Holtem o Edmundzie Housie, tak?

Hagen wytrzeszczył oczy, na jego twarzy nie było już cienia uśmiechu.

– Powiedziałem Edmund? Miałem na myśli Parkera. No właśnie. Parkera House'a. Przecież to był jego van, nie?

Nie siląc się nawet na odpowiedź, Dan przeniósł wzrok na Clarka.

– Pański świadek – powiedział.

Rozdział 44

Gdy sędzia Meyers wrócił na salę, by rozpocząć popołudniową część posiedzenia, widać było, że jest zdenerwowany i z niepokojem spogląda w okna, za którymi wciąż sypał gęsty śnieg.

– Wprawdzie zależy mi na szybkim zakończeniu tej sprawy, ale nie będę szalał – powiedział. – Synoptycy prognozują, że do końca dnia opady śniegu ustaną, ale jako ktoś, kto większość życia spędził na pacyficznym północnym zachodzie, wolę stosować własne metody meteorologiczne i wystawiać głowę za drzwi. – Po sali przebiegł chichot. – Właśnie to zrobiłem podczas przerwy na lunch i nie dostrzegłem na horyzoncie ani skrawka nieba. W tej sytuacji przesłuchamy jeszcze tylko jednego świadka i na dzisiaj zakończymy posiedzenie, tak byśmy nie musieli wracać do domów po ciemku.

Dan wezwał na świadka Kelly Rose, antropologa kryminalistycznego okręgu King, i zaprezentował na ekranie telewizora serię wykresów i fotografii. Zaczął od telefonu Finlaya Armstronga i fotografii kości.

– Ile potrzeba czasu na to, by tłuszcz w tkance ludzkiej zamienił się w wosk trupi?

– To zależy od wielu czynników: miejsca i głębokości pochówku, rodzaju gleby, warunków klimatycznych. W każdym razie można stwierdzić, że liczy się to w latach, a nie w dniach czy miesiącach.

– Czyli uznała pani, że szczątki ofiary przeleżały w tym miejscu wiele lat. Więc co panią w tym zaskoczyło?

Rosa poprawiła się na krześle.

– Zwykle ciało zagrzebane płytko w terenie nie leży tam zbyt długo. Dobierają się do niego kojoty i inne dzikie zwierzęta.

– Czy udało się pani rozwiązać tę zagadkę?

– Poinformowano mnie, że miejsce znalezienia szczątków było do niedawna zalane wodą i niedostępne dla zwierząt.

– Czy to, że zwierzęta nie zbecześciły szczątków i nie rozwlekły kości, pani zdaniem oznacza, że ofiarę zakopano krótko przed zalaniem terenu wodą?

– Wysoki Sądzie, obrona każe świadkowi snuć domysły – zaprotestował Clark.

Meyers chwilę się zastanawiał.

– Doktor Rosa jest specjalistką i ma prawo mieć w tej kwestii swoje zdanie i wyciągać własne wnioski – zdecydował w końcu.

– Mogę tylko stwierdzić, że w normalnych okolicznościach na rozgrzebanie tak płytkiego grobu przez dzikie zwierzęta nie trzeba by długo czekać – powiedziała.

– W pani protokole wyczytałem – mówił Dan, przechadzając się – że znalazła pani też inny dowód na to, że ofiary nie pochowano bezpośrednio po jej śmierci. Czy może nam to pani wyjaśnić?

– Wiąże się to z pozycją zwłok w grobie. – Dan wrzucił na ekran fotografię szczątków Sary. Odgarnięto z nich ziemię i odsłonięto kręgosłup zwinięty w pozycji zbliżonej do embrionalnej.

Po sali przebiegł szmer, kilka osób cicho westchnęło. Tracy spuściła wzrok i czując zawrót głowy, zakryła usta dłonią. Zrobiło jej się niedobrze, usta wypełniły się śliną, przymknęła oczy i zaczęła spazmatycznie dyszeć.

– Wynika z tego – ciągnęła Rosa – że sprawca starał się ułożyć ciało tak, by je zmieścić do wykopanej jamy.

– Na ile wcześniej nastąpiło pośmiertne stężenie ciała? – spytał.

– Nie potrafię tego określić z należytą dokładnością.

– Czy udało się pani ustalić przyczynę śmierci?

– Nie.

– Czy stwierdziła pani jakieś obrażenia, połamane kości?

– Zauważyłam pęknięcie kości w tylnej części czaszki. – Rosa wzięła do ręki rysunek i wskazała miejsce pęknięcia.

– Czy udało się pani ustalić, co mogło być przyczyną tego urazu?

– Silne uderzenie tępym narzędziem, ale jakim...? – Wzruszyła ramionami.

– Tego nie jestem w stanie określić.

Następnie opowiedziała, jak jej zespół zidentyfikował wszystkie znalezione drobiazgi – od odłamków kości po nity z dzinsów Sary i srebrno-czarne zatrzaski od koszuli Scully. Oznajmiła też, że w grobie znaleziono fragmenty czarnej folii, z jakiej robi się worki do pakowania liści i trawy, oraz włókna z wykładziny dywanowej.

– Czy z tych przedmiotów wynikają jakieś konkretne wnioski?

– Mogę się tylko domyślać, że folię albo rozścielono w jamie przed włożeniem do niej ciała, albo...

– Po co ktoś miałby to robić? – przerwał jej Dan.

– Nie mam pojęcia. – Rosa pokręciła głową.

– A ta druga możliwość?

– Że ciało umieszczono w foliowym worku.

Tracy starała się zapanować nad oddechem. Czuła, że policzki jej płoną, po twarzy ściekają kropelki potu.

– Czy znalazła pani coś jeszcze?

– Biżuterię.

– Co konkretnie?

– Dwa kolczyki i naszyjnik.

Wśród publiczności przebiegł szmer, Meyers sięgnął po młotek, ale go nie

użył.

– Może pani opisać te kolczyki?

– Łezki z jadeitu.

Dan pokazał Rosie znalezione kolczyki.

– Czy może pani wskazać na rysunku, gdzie dokładnie je znaleźliście?

Pokazała wskaźnikiem miejsca znalezienia obu kolczyków.

– Blisko czaszki. Naszyjnik znaleźliśmy przy górnej części kręgosłupa.

– Czy z rozmieszczenia biżuterii wynikają jakieś wnioski?

– Uznałam, że ofiara miała ją na sobie w chwili zakopania w ziemi.

* * *

Vance Clark zostawił na stole okulary w szylkretowej oprawie i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę podestu dla świadków. W dłoni nie miał notatek, ręce trzymał założone na piersiach.

– Pani doktor, porozmawiajmy chwilę o tym, czego pani nie wie. Nie wie pani na przykład, jak ofiara zmarła.

– Nie wiem.

– Nie wie pani, jakim tępym narzędziem zadano jej cios w tył głowy.

– Nie wiem.

– Zabójca mógł na przykład uderzać jej głową w ziemię podczas próby duszenia.

Rosa wzruszyła ramionami.

– Mogło tak być.

– Nie ma pani też dowodu na to, że ofiarę zgwałcono.

– Nie mam.

– Nie dysponuje pani śladami DNA, na podstawie których dałoby się zidentyfikować zabójcę.

– Nie dysponuję.

– Zakłada pani, że ofiara poniosła śmierć jakiś czas przed zakopaniem ciała, ale nie wie pani, jaki mógłby to być czas.

– Nie mam w tej kwestii pewności.

– Nie wie pani zatem, czy zabójca zakopał ciało tuż po zabiciu ofiary, po czym po jakimś czasie wrócił i przeniósł zwłoki tam, gdzie je ostatecznie znaleziono.

– Tego nie wiem – potwierdziła Rosa.

– Czyli w takim przypadku stężenie pośmiertne mogłoby się pojawić, zanim zwłoki trafiły na miejsce, w którym je znaleziono, prawda? Edmund House mógł ją zabić, zakopać ciało, wrócić po jakimś czasie i stwierdzić, że nastąpiło już stężenie pośmiertne, tak?

– Wysoki Sądzie, teraz oskarżenie każe świadkowi się domyślać –

zaprotestował Dan.

Meyers znów chwilę się zastanawiał.

– Oddalam sprzeciw – orzekł w końcu.

– Pani doktor, czy życzy sobie pani, bym powtórzył pytanie? – spytał Clark.

– Nie. Taki scenariusz jest możliwy z jedną uwagą. Stężenie pośmiertne ustępuje po mniej więcej trzydziestu sześciu godzinach. Czyli w tym scenariuszu pan House musiałby stosunkowo szybko wrócić i przenieść zwłoki.

– Ale jest to możliwe – upewnił się Clark.

– Owszem – przyznała Rosa.

– Czyli poza wiedzą naukową posługuje się pani także domysłami.

– Po prostu odpowiadam na zadawane pytania – odparła z uśmiechem.

– Rozumiem. Ale jedyne, co pani może z całą pewnością stwierdzić, to że ofiara to Sara Lynne Crosswhite.

– Tak.

– Czy wiadomo pani, jak była ubrana w chwili zaginięcia?

– Nie.

– Czy wiadomo pani, jaką w tym momencie miała biżuterię?

– Mogę się wypowiadać tylko na podstawie tego, co znalazłam w jej grobie.

– Widzę, że ma pani w uszach kolczyki.

– Mam.

– Czy zdarzyło się pani włożyć kolczyki, poczuć wątpliwości i na wszelki wypadek wziąć z sobą drugą parę?

– Nie przypominam sobie takiej sytuacji.

– Zna pani kobiety, które tak postępują?

– Spotykałam takie.

– Bo kobiety lubią zmieniać zdanie, prawda? – rzekł z uśmiechem Clark. –

Bóg mi świadkiem, że mojej żonie często się to zdarza.

Na sali odezwały się pojedyncze chichoty i atmosfera grozy wywołanej zeznaniami Rosy nieco zelżała. Nawet sędzia Meyers się uśmiechnął.

– Wciąż to powtarzam mężowi – przyznała Rosa.

– Zatem nie wie pani, czy ofiara w chwili uprowadzenia miała z sobą więcej niż jedną parę kolczyków lub więcej niż jeden naszyjnik?

– Nie mogę tego wiedzieć.

Clark po raz pierwszy od dwóch dni się rozpromienił i wrócił na miejsce.

– Nie mam więcej pytań – powiedział Dan, wstając.

Meyers popatrzył na zegar na ścianie.

– Na dziś koniec – oznajmił. – Panie O’Leary, kogo zamierza pan powołać jutro?

Dan wstał.

– Jeśli pogoda nie przeszkodzi, panią Tracy Crosswhite.

Rozdział 45

Przedstawiciele mediów tym razem zostawili Tracy w spokoju, być może nastraszeni uwagą sędziego Meyersa, że powinni się starać dotrzeć do domu przed zmierzchem. W samochodzie było zimno jak w lodowni, Tracy uruchomiła silnik i wysiadła, by oczyścić przednią szybę, na którą od środka dmuchało ciepłe powietrze.

Dan zadzwonił i poinformował ją, że jedzie po Rexa.

– Pogoda ma się jeszcze pogorszyć – dodał. – Nikt nie będzie się kręcił po nocy. Zostań u mnie na noc.

Pogimnastykowała palce, by przywrócić krążenie, i rozejrzała się po parkingu i pobliskich ulicach, które szybko pustoszały.

– Jesteś pewny? – spytała, choć oczami wyobraźni już widziała, jak się kochają i jak potem usypia wtulona w niego.

– Nie usnę, a Sherlock tęskni za tobą.

– Tylko Sherlock?

– Strasznie skomle. To nie jest miłe.

* * *

W drzwiach powitał ją Rex, zawzięcie młóćąc powietrze ogonem.

– Coś mi się zdaje, że w tym domu szybko zejdem na drugi plan – zauważył Dan. – Ale to przynajmniej świadczy, że mają dobry gust w kwestii urody.

Tracy postawiła torbę, przyklękła i wsunawszy rękę pod plastikowy kołnierz, czule pogłaskała psa po łbie.

– Jak się czujesz, kolego?

Wyprostowała się i Dan spytał ją o to samo.

Podeszła do niego, a on ją objął i przytulił. Zeznania Kelly Rosy zrobiły na niej większe wrażenie, niż się spodziewała. W policji nauczono ją nie angażować się w los ofiary i w ciągu wielu lat pracy w wydziale zabójstw Tracy zetknęła się z różnymi okropnościami, ale udawało jej się zachowywać profesjonalny dystans. Świadomie się znieczulała, by móc się zajmować często niewyobrażalnym okrucieństwem człowieka wobec człowieka. Icałymi latami z tym samym profesjonalnym dystansem badała okoliczności zaginięcia siostry, nie dopuszczając do siebie myśli o cierpieniach, jakie mógł jej zadać morderca. Pierwsze szczeliny w tym ochronnym pancerzu pojawiły się w chwili, gdy ujrzała szczątki Sary w płytkim grobie na pagórkowatych terenach po zalewie, po czym na widok fragmentów szkieletu siostry na ekranie telewizora pancerz całkiem się rozleciał. Od tej chwili musiała się zmagać ze świadomością koszmaru Sary przed śmiercią i po niej, kiedy to morderca zapakował jej ciało w plastik i zakopał w płytkim

grobie jak worek śmieci. Dopiero teraz, tuląc się do kogoś, kto też znał i kochał jej siostrę, i czując się nareszcie wolna od spojrzeń obcych ludzi i obiektywów kamer, rozplakała się.

Po dłuższej chwili uwolniła się z objęć Dana i otarła łzy.

– Pewnie koszmarnie wyglądam – jęknęła.

– Ty nigdy nie możesz wyglądać koszmarnie.

– Dzięki, Dan.

– Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

– Zabierz mnie stąd.

– Dokąd?

Odchyliła głowę i pocałowała go w usta.

– Do łóżka. Kochaj się ze mną, Dan – szepnęła.

* * *

Ich ubrania leżały rozrzucone na podłodze razem z ozdobnymi poduszkami, Dan leżał przykryty prześcieradłem, łapiąc dech. Wcześniej zrzucili z siebie kołdrę i kapę z łóżka.

– Może dobrze, że zrezygnowałaś z uczenia w szkole – sapnął. – Złamałabyś wiele uczniowskich serc.

Przetoczyła się i go pocałowała.

– A jakbym była twoją nauczycielką, to postawiłabym ci mocną szóstkę za twoje starania – powiedziała z uśmiechem.

– Tylko za starania?

– I wyniki.

Podłożył sobie rękę pod głowę i zagapił się w sufit, wciąż jeszcze ciężko dysząc.

– To by była moja pierwsza szóstka w życiu. Co ty na to? Gdybym w szkole wiedział, że wystarczy przespać się z nauczycielką...

Wymierzyła mu kuksańca i oparła brodę o jego ramię.

– Życie potrafi wyczyniać różne łamańce, co? – odezwała się po chwili rozleniwionej ciszy. – Czy kiedy tu mieszkałeś, przyszło ci do głowy, że ożenisz się z kimś ze Wschodniego Wybrzeża i zamieszkas w Bostonie?

– Nie. A gdy już się tam przeprowadziłem, nie przyszło mi do głowy, że kiedyś tu wrócę i prześpię się z Tracy Crosswhite w sypialni moich rodziców.

– W tej wersji brzmi to dość paskudnie. – Musnęła palcami jego pierś. – Sara zawsze mówiła, że w przyszłości ze mną zamieszka. A kiedy ją spytałam, co robi, gdy wyjdę za mąż, odparła, że zamieszka po sąsiedzku, nauczy moje dzieci strzelać i będzie z nimi jeździć na zawody jak nasz tata z nami.

– Myślałaś kiedyś o powrocie do Cedar Grove? – Jej palce na jego piersi znieruchomiały, a on cicho stęknął i aż się skulił. – Przepraszam, nie powinienem

pytać.

– Trudno oddzielić dobre wspomnienia od złych – powiedziała po chwili milczenia.

– A ja do których należałem?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Zdecydowanie do tych dobrych, Dan. I coraz bardziej się w tym umacniasz.

– Jesteś głodna?

– Na słynnego na cały świat cheeseburgera z bekonem?

– Na spaghetti carbonara. To inna z moich specjalności.

– Wszystkie twoje specjalności są takie tuczące?

– Takie są najlepsze.

– No to wskoczę pod prysznic.

Pocałował ją i zsunął się z łóżka.

– Jak skończysz, spaghetti będzie czekało na ciebie na stole.

– Rozpieszczasz mnie, Dan.

– Robię, co mogę.

Pochylił się i jeszcze raz ją pocałował, a ona najchętniej wciągnęłaby go znów do łóżka, ale się wyslizgnął i ruszył do drzwi. Tracy opadła na plecy, przytuliła poduszkę do piersi i zaczęła się wsłuchiwać w odgłosy dobiegające z kuchni – otwieranie i zamykanie szuflad, brzęczenie rondli i patelni. Kiedyś była tu szczęśliwa. Czy mogłoby znów tak być? Może wystarczy do tego ktoś taki jak Dan. Ktoś, kto sprawi, że znów poczuje się jak w domu. Ale odpowiedź narzucała się sama. Nie bez powodu ludzie mawiają, że „do domu się nie wraca”, podobnie jak nie bez powodu mówi się tego rodzaju rzeczy. Bo tkwi w nich prawda. Jęknęła cicho, zsunęła z siebie poduszkę i wstała. Nie czas teraz myśleć o przyszłości. Ma wystarczająco dużo zmartwień z teraźniejszością.

Jutro rano czekało na nią miejsce dla świadków.

Rozdział 46

Tym razem prognozy się sprawdziły i burza śnieżna nie dotarła do Cedar Grove, co jednak nie znaczyło, że pogoda się poprawiła. Temperatura spadła do minus trzynastu stopni Celsjusza, jednej z najniższych w historii Cedar Grove, ale i tak pod budynkiem sądu ustawiła się kolejka chętnych do uczestniczenia w trzecim dniu posiedzenia. Tracy włożyła czarną spódniczkę i żakiet – zestaw nazywany przez nią „sądowym” – w torbie przyniosła buty na wysokich obcasach i teczkę. W budynku sądu zdjęła kozaki i zastąpiła je szpilekami.

Z powodu prognoz nadal straszących nadciągającą burzą śnieżną sędzia Meyers był jeszcze bardziej zdecydowany jak najszybciej zakończyć sprawę, bo nie zdążył nawet dobrze usiąść, gdy już zwrócił się do Dana:

- Mecenasiu O’Leary, może pan wezwać następnego świadka.
- Obrona wzywa Tracy Crosswhite.

Czując na sobie wzrok Edmunda House’a, Tracy pchnęła bramkę, weszła na podest i przysięgła mówić prawdę. Robiło jej się niedobrze na myśl, że od niej może zależeć wyjście House’a na wolność. Dan powtórzył jej rozmowę z ojcem Annabelle, który przyjechał go ostrzec przed Edmundem House’em i powiedział, że więzienie jest jedynym miejscem dla takich bestii jak Edmund House. Tracy też tak uważała, ale sprawy posunęły się już za daleko.

Dan powoli wprowadził ją w rolę świadka, a sędzia – zapewne wyczuwając targające nią emocje – nie próbował go popędzać.

- Nazywano ją pani cieniem, prawda? – powiedział Dan po przebrnięciu przez wstępne formalności.
- Zawsze się mnie trzymała.

Podszedł do okna. Nisko na niebie wisiały ciężkie ołowiane chmury, z których znów zaczynał sypać śnieg.

- Czy może pani opisać rozmieszczenie pokoi pani i siostry w rodzinnym domu?

Wstał Clark, który w trakcie przesłuchania Tracy miał dużo więcej zastrzeżeń niż wobec pytań zadawanych wcześniejszym świadkom obrony. Wyglądało na to, że próbuje ich oboje zbić z tropu, jakby się obawiał, że Dan przemyci w swych pytaniach coś niewłaściwego.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Pytanie nie ma związku ze sprawą.
- Odrzucam sprzeciw, ale posuwajmy się szybciej do przodu, panie mecenasiu.

– Pokój siostry był zaraz obok mojego, ale tak naprawdę nie miało to znaczenia, bo i tak większość nocy spała w moim łóżku. Bała się ciemności.

- Miałyście wspólną łazienkę?

– Tak, między naszymi pokojami.
– Czy jako siostry pożyczałyście sobie różne rzeczy osobiste?
– Czasem z tym przesadzałyśmy. – Tracy spróbowała przywołać na twarz blady uśmiech. – Byłyśmy podobnego wzrostu i miałyśmy podobny gust.

– Także w sprawie biżuterii?

– Tak.

– Pani Crosswhite, zechce pani opisać sądowi wydarzenia z dwudziestego pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku.

Tracy poczuła narastające zdenerwowanie i na moment zamilkła.

– Sara i ja brałyśmy udział w Mistrzostwach Stanu Waszyngton w Kowbojskim Strzelaniu – powiedziała. – Przed ostatnią rundą finałową miałyśmy tyle samo punktów. Finał polegał na strzelaniu z obu rąk do dziesięciu celów. Spudłowałam pierwszy strzał, co automatycznie oznaczało pięciosekundową karę. Czyli w praktyce w tym momencie sprawa była przesądzona.

– I Sara zwyciężyła?

– Nie. Spudłowała dwa razy. – Tracy uśmiechnęła się do tego wspomnienia.

– Nie zdarzyło jej się spudłować dwukrotnie w ciągu ostatnich dwóch lat, a cóż dopiero w jednej rundzie.

– Zrobiła to celowo?

– Wiedziała, że Ben, mój chłopak, ma po mnie przyjechać i podczas kolacji w naszej ulubionej restauracji zamierza mi się oświadczyć. – Zamilkła, upiła łyk wody i odstawiła szklanekę na stolik obok krzesła. – Wiedziałam, że dała mi wygrać, i byłam na nią zła. To musiało wpłynąć na moją ocenę.

– Ocenę czego?

– Sytuacji, pogody. Zapowiadano ulewny deszcz i burzę z piorunami. Ben przyjechał po mnie na strzelnicę, żebyśmy zdążyli skorzystać z rezerwacji. – Słowa uwięzły jej w gardle.

Dan przyszedł jej w sukurs.

– Czyli Sara miała wracać sama, tak?

– Powinnam się była uprzeć, żeby pojechała z nami. Nigdy więcej jej nie zobaczyłam.

Przez moment milczał, jakby chciał uszanować jej odczucia.

– Czy za zwycięstwo w zawodach była jakaś nagroda? – spytał po chwili.

Tracy kiwnęła głową.

– Tak, posrebrzana klamra do pasa.

Wziął ze stołu klamrę w szarym ołowianym kolorze i odczytał z wywieszki numer identyfikacyjny dowodu.

– Patolog zeznała, że znalazła tę klamrę wśród szczątków Sary. Czy może pani wyjaśnić sądowi, skąd się tam znalazła, skoro to pani ją zdobyła?

– Dałam ją siostrze.
– Dlaczego to pani zrobiła?
– Jak już wspomniałam, wiedziałam, że Sara dała mi wygrać. Więc zanim odjechalismy z Benem, wręczyłam jej nagrodę.

– I wtedy widziała pani tę klamrę po raz ostatni?

Tracy kiwnęła głową. Nigdy nawet nie przyszło jej na myśl, że ta krótka chwila, kiedy patrzyła przez tylną szybę pick-upa na Sarę stojącą w deszczu w jej czarnym stetsonie, będzie ostatnim obrazem siostry. W ciągu minionych lat wielokrotnie się nad tym zastanawiała. Nad ulotnością życia i nieprzewidywalnością tego, co nas czeka, choćby w najbliższej przyszłości. Żałowała, że zezłościła się na Sarę o to, że ta dała jej wygrać. Że uniosła się urażoną dumą, nie wiedząc, że siostrą kierowały jak najlepsze intencje. Sara nie chciała, by nad jednym z najważniejszych wieczorów w życiu Tracy zaciążyła gorzycz porażki.

Starła się panować nad sobą, ale i tak w kącikach oczu pojawiły się łzy. Wyjęła chusteczkę z pudełka na stoliku i przytknęła ją do oczu. Kilka osób na sali też otarło łzy i wysiękało nosy.

By zyskać na czasie, Dan podszedł do stołu i udał, że szuka czegoś w papierach, po czym wrócił do podestu.

– Pani Crosswhite, zechce pani opowiedzieć sądowi, jak siostra była ubrana, gdy dwudziestego pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku widziała ją pani po raz ostatni.

Clark zerwał się z miejsca i nieoczekiwanie wyszedł na środek.

– Wysoki Sądzie, oskarżenie zgłasza sprzeciw. Pytanie siłą rzeczy zmusza świadka do spekulowania, a zatem odpowiedź nie może być miarodajna.

Dan dołączył do Clarka i obaj stanęli twarzami do sędziego.

– Sprzeciw jest nie na miejscu, Wysoki Sądzie. Oskarżenie może zgłaszać sprzeciw co do konkretnych pytań, a także zweryfikować pamięć pani Crosswhite, przesłuchując ją. Ale nie może jej zamykać ust.

– Pozostaję z pełnym szacunkiem dla Wysokiego Sądu i nie wątpię w jego umiejętność niebrania pod uwagę takich zeznań – oświadczył poirytowanym tonem Clark. – Ale oskarżenie obawia się, że do protokołu trafią spekulacje i domysły.

– Oskarżenie może bez przeszkód zgłaszać zastrzeżenia do treści protokołu – zauważył Dan.

– To prawda, panie O’Leary, wiemy jednak, że sprawa zyskała zbyt wielki rozgłos w mediach, i rozumiem zaniepokojenie oskarżenia treścią protokołu – powiedział sędzia Meyers.

Clark od razu poszedł za ciosem.

– Wysoki Sądzie, oskarżenie chciałoby poddać świadka weryfikacji, by się upewnić, że po ponad dwudziestu latach jest w stanie pamiętać takie szczegóły, jak

ubiór jej siostry konkretnego dnia w sierpniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku.

Meyers zmrużył oczy i chwilę się zastanawiał, kołyszając się z fotelem.

– Wyrażam zgodę na weryfikację pamięci świadka – zawyrokował.

Tracy ta decyzja nie zaskoczyła. Wiedziała z doświadczenia, że gdy sędzia liczy się z tym, że wynik prowadzonej przez niego sprawy może trafić do sądu apelacyjnego, ma skłonność do przesadnej ostrożności w podejmowaniu decyzji, by w ten sposób ograniczyć podstawy apelacji. Pozwalając na weryfikację jej pamięci, Meyers zabezpieczał się przed wykorzystaniem sprzeciwu Clarka wobec rzekomo mylnej decyzji sędziego jako podstawy do apelacji. Tym samym redukował groźbę, że sprawa wróci do niego do ponownego rozpoznania.

Dan usiadł przy stole obok House'a, a ten nachylił do niego głowę i szepnął mu coś na ucho. Cokolwiek to było, Dan puścił to mimo uszu.

Clark poprawił krawat z obrazkiem pstrąga i podszedł do podestu.

– Pani Crosswhite, czy pamięta pani, jak pani była ubrana dwudziestego pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku?

– Potrafię z dużym prawdopodobieństwem to zgadnąć.

– Zgadnąć? – Clark spojrzał znacząco na sędziego.

– Byłam przesadna. Na zawody zawsze wkładałam czerwoną bandanę, na szyję turkusowy sznur z ozdobnym pierścieniem, na głowę czarny stetson. Nosłam też długą zamszową sukienkę.

– Rozumiem. Czy pani siostra także była przesadna?

– Sara była za dobra, żeby zawracać sobie głowę przesadami.

– Zatem w jej przypadku nie ma mowy o zgadywaniu, jak była wtedy ubrana, czy tak?

– Poza tym, że zawsze chciała wyglądać lepiej od innych.

Na twarzach wielu osób wśród publiczności pojawiły się uśmiechy.

– Ale nie miała jednej określonej koszuli, którą wkładała na każde zawody?

– Nosła koszule Scully. To taki specjalny rodzaj. Podobał się jej ich ozdobny haft.

– Ile miała takich koszul?

– Pewnie z dziesięć, coś koło tego.

– Dziesięć – powtórzył Clark. – A jakieś charakterystyczne buty lub kapelusz?

– Miała kilka par kowbojek i z pół tuzina kapeluszy.

Clark zwrócił twarz ku ławie przysięgłych, przypomniał sobie, że jest pusta i nie ma przed kim grać, więc przesunął się ku barierce oddzielającej ławy dla publiczności.

– Zatem nie może pani mieć pewności, jak siostra była ubrana ponad dwadzieścia lat temu, dwudziestego pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset

dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Może pani tylko domniemywać na podstawie wspomnień oraz tego, co słyszała pani w trakcie tego posiedzenia, zgadza się?

– Nie, nie zgadza się.

Odpowiedź Tracy chyba Clarka zaskoczyła. Fotel Meyersa zaskrzypiał od gwałtownego wahanca i sędzia wlepił w nią spojrzenie. Wśród publiczności zapadła głucha cisza. Clark podszedł bliżej podestu, zapewne zmagając się z dylematem każdego, kto przesłuchuje świadka strony przeciwnej: zadać następne pytanie i być może otworzyć nim puszkę Pandory, o której zawartości nic nie wie, czy machnąć ręką i przejść do następnego tematu. Tracy wielokrotnie występowała w roli świadka w sprawach kryminalnych i z doświadczenia wiedziała, że problem Clarka polega na tym, że sam się w to wpakował, i jeśli nie zada następnego pytania, zrobi to za niego Dan. Clarkowi wyraźnie odeszła ochota do żartów i niepewnym tonem bąknął:

– Nie może pani pamiętać, jak była wtedy ubrana.

– Ze stuprocentową pewnością nie pamiętam.

– I ustaliliśmy, że siostra nie miała żadnych przesądów co do ubioru.

– Nie miała.

– A więc skąd pani może... – Zawahał się.

Tracy postanowiła nie czekać, aż dokończy pytanie.

– Z fotografii – oznajmiła.

Aż się wzdrygnął.

– Ale chyba nie z tego dnia? – burknął.

– Tak, z tego – powiedziała obojętnym tonem. – Zrobiono polaroidem zdjęcie trzech pierwszych zawodniczek na podium. Sara była druga.

Clark odchrząknął.

– I pani przechowuje to zdjęcie od dwudziestu lat?

– Oczywiście. To ostatnie zdjęcie mojej siostry.

Tracy wyjęła je ze zdezelowanego wózka we wnętrzu niebieskiego kampera, gdy następnego dnia rano spotkała się na miejscu z Callowayem. W rezultacie zdjęcie nie zostało zaliczone do dowodów i nigdy nie trafiło do kartoteki policyjnej.

Clark popatrzył na Meyersa.

– Wysoki Sądzie, oskarżenie wnioskuje naradę stron w gabinecie sędziowskim.

– Wniosek odrzucony. Czy zakończył pan już weryfikację?

– Wysoki Sądzie, oskarżenie wnosi sprzeciw. Ta fotografia nigdy nie została ujawniona. Po raz pierwszy słyszę o jej istnieniu.

– Panie O’Leary? – Sędzia popatrzył na Dana.

– O ile mi wiadomo, oskarżenie się nie myli – rzekł Dan, wstając. – Obrona też nie miała tego zdjęcia i nie mogłaby go udostępnić, nawet gdyby ją o to

poproszono. Ale oskarżenie mogło bez trudu do niego dotrzeć poprzez śledczą Crosswhite.

– Sprzeciw oskarżenia oddalony – orzekł Meyers. – Mecenasiu O’Leary, może pan kontynuować przesłuchanie świadka.

Dan podszedł do podestu.

– Pani Crosswhite, czy ma pani przy sobie to zdjęcie?

Tracy sięgnęła do teczki i wyjęła oprawioną w ramkę fotografię. Na sali wybuchł tak głośny gwar, że sędzia musiał tym razem wałnąć młotkiem. Fotografia została wpisana do rejestru dowodów i opatrzona numerem, po czym Dan poprosił Tracy o skomentowanie wyglądu siostry.

– Czy może pani opisać kolczyki i naszyjnik, jakie Sara ma na tym zdjęciu?

– Kolczyki są w kształcie łezek z jadeitu, na szyi ma srebrną plecionkę.

– Czy to te kolczyki? – Podał jej parę znalezioną przez Rosę przy szczątkach Sary.

– Tak. Ma na zdjęciu te kolczyki.

Dan wziął do ręki parę kolczyków z wisiorkami w postaci miniaturowych coltów, które były dowodem na procesie House’a. Wśród publiczności przebiegł szmer.

– A te? – spytał. – Te pani też poznaje?

– Tak, te też należały do mojej siostry.

– Czy mogła mieć je w uszach w dniu uprowadzenia?

Clark zerwał się z miejsca.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Świadek już zeznał, że nie ma pewności, co jej siostra miała na sobie tego dnia. Świadek może się jedynie wypowiedzieć, czy te kolczyki odpowiadają tym na zdjęciu.

– Wycofuję pytanie – mruknął Dan. – Pani Crosswhite, czy te kolczyki odpowiadają kolczykom w uszach siostry na zdjęciu?

– Nie, nie odpowiadają – odrzekła Tracy.

Odłożył kolczyki i usiadł. Gwar na sali tak się wzmógł, że Meyers uznał za stosowne ponownie wałnąć młotkiem.

– Przypominam obecnym, że wszystkich obowiązują zasady należytego zachowania, o czym uprzedzałem na początku tej rozprawy – burknął.

Clark wstał i podszedł do stołu z dowodami. Widać było, że jest spięty, ton jego głosu stał się zaczepny.

– Świadek zeznała, że siostra zwracała uwagę na swój ubiór, czy tak?

– Tak, była wybredna.

– Świadek powiedziała też, że na zawody siostra ubierała się w różne zestawy i miała do dyspozycji kilka koszul, spodni i kapeluszy, zgadza się?

– Tak.

– Czy zdarzało jej się zabierać na zawody dodatkowe części garderoby,

zmieniać zdanie i już na miejscu przebierać się w coś innego?

– Nawet dość często. – Tracy skinęła głową. – Miała taki irytujący zwyczaj.

– Zmieniała też biżuterię? – upewnił się Clark.

– Pamiętam, że czasem tak robiła. Zwłaszcza jeśli turniej trwał dłużej niż jeden dzień.

– Dziękuję – rzucił Clark i szybko wrócił na miejsce, jakby nieco uspokojony.

Dan wstał.

– Jeszcze chwilę, Wysoki Sądzie – powiedział i podszedł do podestu. – Pani Crosswhite, nawiązując do pani słów, że siostra czasem zmieniała biżuterię, czy przypomina pani sobie choć jeden przypadek założenia przez nią biżuterii zaprezentowanej podczas procesu Edmunda House'a? Mam na myśli kolczyki z coltami oznaczone w wykazie dowodów rzeczowych numerami trzydzieści cztery A i trzydzieści cztery B?

– Nigdy jej w nich nie widziałam.

Dan wskazał ręką Clarka.

– W pytaniu oskarżenia zawarta jest sugestia, że tak mogło być. Czy zdaniem świadka mogło się tak zdarzyć?

– Obrona znów zmusza świadka do snucia domysłów – zaprotestował Clark.

– Świadek może się jedynie odnosić do tego, co widać na zdjęciu.

– Swoim pytaniem każe pan świadkowi snuć domysły, panie O'Leary – rzekł Meyers.

– Myślę, że jeśli Wysoki Sąd powoli, świadek Crosswhite wyjaśni, dlaczego to nie jest domysł.

– Pójdę panu na rękę, ale proszę się pośpieszyć.

– Czy mogło się zdarzyć, że siostra włożyła te kolczyki z coltami? – spytał

Dan.

– Nie.

– Skąd ta pewność, skoro sama pani zeznała, że lubiła się przebierać?

– Ojciec dał jej kolczyki z coltami i naszyjnik w prezencie po jej wygranej w Mistrzostwach Stanu Waszyngton w Kowbojskim Strzelaniu. Miała wtedy siedemnaście lat i rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi jest wygrawerowany pod spodem na obu kolczykach. Włożyła je tylko raz, bo powodowały u niej ostrą infekcję uszu. Nie mogła nosić nic poza dwudziestoczołkowatym złotem i wysokiej próby srebrem. Ojciec kupił jej ten komplet w przekonaniu, że to czyste srebro, ale najwyraźniej został oszukany. Sara nie chciała robić mu przykrości i mu tego nie powiedziała. Ale o ile wiem, nigdy więcej ich nie włożyła.

– Gdzie je trzymała?

– W szkatułce na biżuterię na komodzie w swoim pokoju.

Meyers przestał się kołysać, widownia też zamarła. Za oknami z nieba spłynęły ulotne cienie i śnieg zaczął sypać jeszcze gęściej.

– Dziękuję – powiedział Dan i wolno wrócił do stołu.

Clark z palcem na ustach przyglądał się, jak Tracy schodzi z podestu dla świadków i ze stukotem obcasów po marmurowej posadzce dociera do barierki. W tej samej chwili gwałtowny podmuch wiatru zabrzęczał szybami, siedzący bliżej aż drgnęli, jedna z kobiet głośno westchnęła, ale poza tym sala jakby zamarła. Nawet Maria Vanpelt w swym błękitnym kostiumie ze spodniami od St. Johna siedziała nieruchomo, zatopiona w myślach.

I tylko jeden człowiek na sali wyglądał na w pełni usatysfakcjonowanego przebiegiem porannej sesji. Edmund House odchylił się z krzesłem i uśmiechnął z zadowoleniem jak ktoś, kto skończył ucztę w dobrej restauracji i z przyjemnością wspomina każdy kęs.

Rozdział 47

Sędzia Meyers rozpoczął popołudniową sesję w dość minorowym nastroju.

– Wygląda na to, że synoptycy jednak się nie mylili – zauważył. – Zbliża się trzecia fala opadów, a zawieja ma się zacząć nawet szybciej, niż się spodziewano. Już wczesnym popołudniem. Będę namawiał strony, by w miarę możliwości do końca dzisiejszej części posiedzenia zakończyły przesłuchania świadków.

Dan natychmiast wstał i oznajmił, że ostatnim świadkiem obrony będzie Harrison Scott.

– No to do dzieła – ponaglił go Meyers.

Miejsce dla świadków zajął wysoki, szczupły mężczyzna w eleganckim szarym garniturze, a Dan szybko potwierdził jego dane personalne i zawodowe. Scott przez wiele lat kierował pracą Laboratoriów Kryminalistycznych Stanu Waszyngton w Seattle i Vancouver, obecnie zaś był właścicielem prywatnego Niezależnego Laboratorium Kryminalistycznego.

– W czym specjalizuje się pańskie NLK? – spytał Dan.

Świadek odgarnął z czoła kosmyk włosów w kolorze piasku. Wyglądał zdecydowanie za młodo jak na tak imponującą karierę naukową i tylko lekka siwizna na skroniach mogła świadczyć, że nie jest młokosem z grupy surferów z plaż na południu Kalifornii.

– Zajmujemy się wszystkimi dziedzinami kryminalistyki, od analiz DNA po daktyloskopię. Prowadzimy też badania broni i narzędzi przestępstw, oględziny miejsc zbrodni oraz analizę mikrośladów w postaci włosów, włókien, okruchów szkła i plam farby.

– Zechce pan powiedzieć sądowi, z czym zwróciłem się do pańskiego laboratorium w związku z tą sprawą?

– Zlecił pan nam analizę DNA trzech próbek krwi i trzynastu próbek włosów.

– Czy poinformowałem pana, skąd pochodziły te próbki?

– Próbki pochodziły z Policyjnego Laboratorium Kryminalistycznego Stanu Waszyngton, gdzie trafiły w ramach śledztwa w sprawie zaginięcia młodej kobiety, Sary Crosswhite.

– Zechce pan przedstawić sądowi krótki zarys badania DNA?

– Sąd wie, na czym polega badanie DNA – wtrącił Meyers, notując coś i nie unosząc nawet głowy. – Proszę dalej.

– Czy na dostarczonych próbkach udało się panu przeprowadzić badanie DNA?

– Tak – odparł Scott i pokrótce zrelacjonował wykonane analizy.

– Czy takie testy mogły być przeprowadzone w tysiąc dziewięćset

dziewięćdziesiątym trzecim?

- Nie, wtedy ich nie wykonywano.
- Zaczniemy od próbek krwi. Czy udało się uzyskać z nich profil DNA?
- Tylko jeden.

– Czy na podstawie tego pojedynczego profilu dało się wyciągnąć jakieś wnioski?

- Zaledwie tyle, że krew należała do mężczyzny.
- Ale nie można go było zidentyfikować, czy tak?
- Zgadza się.

Dan skinął głową i zajrzał do notatek. Zeznanie Scotta potwierdzało wersję House'a, że ślady krwi w vanie były jego. Uprawdopodobniało to jego wersję, że skaleczył się podczas pracy w szopie i z krwawiącą ręką poszedł najpierw do samochodu po papierosy, a dopiero potem do domu, by opatrzyć skaleczenia.

- Proszę teraz przedstawić wyniki badań próbek włosów – powiedział Dan.

– Zbadaliśmy każdą próbkę pod mikroskopem. Z trzynastu zbadanych siedem miało cebulki pozwalające uzyskać profile DNA.

- Udało wam się uzyskać profil DNA dla każdej z tych siedmiu próbek?
- Profile DNA uzyskaliśmy dla pięciu próbek.
- Czy przepuściliście te profile przez stanową i krajową bazę profili DNA?
- Tak jest.

– Czy uzyskane przez was profile pasowały do któregoś z tych przechowywanych w bazach?

- Tak, uzyskaliśmy tak zwane „pewne trafienia” dla trzech z pięciu profili.

– Co oznacza termin „pewne trafienie”?

– Znaczy, że profile DNA uzyskane z trzech próbek włosów pasowały do profili przechowywanych w stanowych i krajowych bazach.

– Dziękuję, doktorze Scott. A teraz na chwilę się cofnijmy. Czy dostarczyłem panu też jakieś inne próbki z prośbą o zbadanie DNA?

- Tak, dostarczył pan kosmyk blond włosów i zlecił ich oddzielną analizę.

– Czy poinformowałem pana o źródle pochodzenia tej próbki?

- Nie, tego pan nie powiedział.

– Czy udało się uzyskać profil DNA z tego kosmyka włosów?

– Tak. Ten profil też przepuściliśmy przez stanową i krajową bazę danych i też uzyskaliśmy pewne trafienie.

– Doktorze Scott, czy może pan na tej podstawie zidentyfikować osobę, której profil DNA w bazie odpowiadał profilowi uzyskanemu z dostarczonej przeze mnie próbki włosów?

– Profil z próbki pasował do profilu należącego do funkcjonariuszki policji, śledczej Tracy Crosswhite.

Tracy poczuła na sobie spojrzenie wszystkich obecnych w sali.

– Rozumiem. Zeznał pan wcześniej, że dla trzech próbek włosów pochodzących z archiwum policyjnego też uzyskaliście pewne trafienia w stanowej bazie. Zechce pan zidentyfikować tę osobę?

– DNA uzyskane z tych trzech próbek włosów również pasowało do profilu DNA Tracy Crosswhite, przechowywanego w stanowej bazie danych.

Wśród publiczności przebiegł głośny szmer.

– O mój Boże! – westchnął ktoś.

Meyers stuknął młotkiem, uciszając salę.

– Dla jasności sprawy, czy mam przez to rozumieć, że DNA uzyskane z trzech próbek włosów z policyjnego archiwum, pobranych wcześniej z wnętrza wiśniowego vana Chevy, należało do Tracy Crosswhite?

– Tak jest.

– Jakie jest prawdopodobieństwo tego, że pan się myli? – spytał Dan.

– Jak jeden do wielu miliardów – powiedział z uśmiechem Scott.

– Doktorze Scott, powiedział pan, że uzyskał też profile DNA z dwóch innych próbek włosów z archiwum policyjnego. – Dan odwrócił głowę i spojrzał na Tracy. – Te nie należały do śledczej Crosswhite?

– Nie.

– Czy był pan w stanie cokolwiek dla nich ustalić?

– Tak się składa, że owszem. Włosy należały do osoby genetycznie spokrewnionej ze śledczą Crosswhite.

– W jakim stopniu spokrewnionej?

– Kogoś z rodzeństwa.

– Siostry?

– Najprawdopodobniej siostry.

Rozdział 48

Po zwięzłej serii pytań Vance'a Clarka Harrison Scott opuścił podest dla świadków i sędzia Meyers zwrócił się do Clarka z pytaniem, czy oskarżenie życzy sobie wezwać jakichś swoich świadków.

Pytanie zostało zadane tonem mocno zniechęcającym, zwłaszcza że oskarżenie tak naprawdę nie miało kogo wzywać. Wszyscy świadkowie z procesu w roku 1993 na obecnym posiedzeniu specjalnie nie błysnęli swoimi zeznaniami.

– Nie, Wysoki Sądzie, oskarżenie rezygnuje z powoływania świadków – oświadczył Clark, wstając od stołu.

Meyers kiwnął głową i zarządził przerwę, nie tłumacząc, dlaczego przerywa posiedzenie, a nie kończy, i pośpiesznie opuścił salę. Gdy tylko drzwi za nim się zamknęły, wybuchła głośna wrzawa i przedstawiciele mediów ruszyli ku Tracy, ona jednak równie szybko zerwała się z miejsca i pośpieszyła do wyjścia, by nie zostać zablokowana przez tłum. Finlay Armstrong już czekał, by wyprowadzić ją z sali.

– Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza – sapnęła.

– Znam odpowiednie miejsce – zapewnił ją.

Skorzystaliby z tylnych schodów i wyszli bocznymi drzwiami na wewnętrzny dziedziniec. Tracy jak przez mgłę pamiętała, że stała na nim także podczas procesu.

– Muszę przez chwilę zostać sama – rzuciła.

– Nic pani nie trzeba? – upewnił się Finlay. – Mam stanąć przy drzwiach?

– Nie, dziękuję.

– Dam znać, kiedy sędzia wróci.

Na dworze było przeraźliwie zimno, ale Tracy i tak była zlane potem i ciężko dyszała. Końcówka dzisiejszej części posiedzenia zdumiała także ją, i potrzebowała chwili, by to wszystko spokojnie przemyśleć.

Zeznanie Scotta, że znalezione w vanie włosy należały do niej i Sary, stawiało pod znakiem zapytania prawdziwość tego dowodu. Do tego dochodziło jeszcze ujawnienie faktu, że kolczyków – kluczowego dowodu na procesie – w chwili wprowadzenia Sary nie było w jej uszach oraz że kawałki folii i włókna z wykładziny dywanowej przy szczątkach w sposób zasadniczy podważały wersję Callowaya, że House przyznał się do szybkiego zabicia i zakopania Sary. Nie mówiąc już o tym, jak Dan podał w wątpliwość opowieść Hageny. Wszystko razem zdawało się przesądzać sprawę i pozwalało liczyć na decyzję sędziego o przyznaniu Edmundowi House'owi prawa do nowego procesu. W tej sytuacji należało już myśleć do przodu. Będzie musiała doprowadzić do wznowienia śledztwa w sprawie śmierci siostry i skłonić ludzi do mówienia. Z doświadczenia wiedziała, że nic tak nie skłania spiskowców do wzajemnego sypania jak obawa

przed prawdziwym dochodzeniem kryminalnym i groźba trafienia za kratki.

Siarczyste zimno, które początkowo ją orzeźwiło, teraz zaczynało szczypać w policzki i powodować drętwienie końców palców. Zawróciła do wejścia i natknęła się na obserwującą ją Marię Vanpelt.

– Ma pani coś do powiedzenia, śledcza Crosswhite?

Tracy nie odpowiedziała.

– Teraz rozumiem, co pani miała na myśli, mówiąc, że to sprawa osobista. Współczuję z powodu pani siostry. Przesadziłam.

Tracy zdobyła się na kiwnięcie głową.

– Wie już pani, kto za to wszystko odpowiada?

– Nie jestem pewna.

Vanpelt podeszła bliżej.

– Tu chodzi o telewizję, pani śledcza. Liczy się oglądalność. Z mojej strony nigdy nie było w tym nic osobistego.

Ale Tracy wiedziała, że dla nich obu to sprawa osobista. Śledcza z wydziału zabójstw, która zabiega o wznowienie procesu skazanego mordercy, to dobry temat telewizyjny. Gdy ofiarą mordercy jest rodzona siostra śledczej, to już świetny temat. A świetny temat to nie tylko lepsza oglądalność dla stacji, ale także rozgłos dla reportera. Dla takich jak Vanpelt rozgłos był wszystkim.

– Dla pani to oglądalność – powiedziała Tracy. – Ale nie dla mnie ani mojej rodziny. Nie w tej społeczności. Morderstwo ma bardzo namacalny wpływ na ludzi. Tu idzie o moje życie. A wcześniej chodziło o życie mojej siostry i rodziców. O życie całej społeczności Cedar Grove. To, co się tu wydarzyło dwadzieścia lat temu, wywarło wpływ na życie wszystkich.

– Może chciałaby pani udzielić wywiadu na wyłączność? Mogłaby pani opowiedzieć swoją wersję.

– Moją wersję?

– Historię pani dwudziestoletnich starań, które chyba właśnie się kończą.

Tracy przyglądała się pierwszym płatkom, które znów zaczynały sypać z jeszcze bardziej ołowianego nieba. Wyglądało na to, że tym razem meteorologom się udało. Pamiętała słowa Kinsa i Dana, którzy ją pytali, co zrobi, kiedy skończy się ta sprawa.

– To jest właśnie to, czego pani nie rozumie. Czego pani nigdy nie zrozumie. Kiedy skończy się ta sprawa, pani po prostu zajmie się następnym tematem, ale mnie to nie będzie dane. Dla mnie to nigdy się nie skończy. Dla mnie i dla tutejszej społeczności. Tylko my nauczyliśmy się żyć z tym bólem.

Wyminęła Vanpelt i otworzyła drzwi. Chciała wrócić na salę i posłuchać, co Meyers będzie miał teraz do powiedzenia.

* * *

Meyers przez chwilę w milczeniu przekładał papiery na stole sędziowskim, ale Tracy od razu zauważyła w nim zmianę. Uniósł do oczu notatnik, przysłonił nim część twarzy i patrząc nad zsuniętymi na koniec nosa okularami, powiódł ponurym wzrokiem po na wpół opustoszałej sali. Wyglądało na to, że duża część publiczności wykorzystała przerwę i uciekła przed zbliżającą się zawieją.

– Podczas przerwy ponownie sprawdziłem prognozę pogody, a także upewniłem się co do moich uprawnień w tym postępowaniu – oświadczył. – W tej pierwszej sprawie uzyskałem potwierdzenie, że wieczorem spodziewana jest gwałtowna burza śnieżna. Sumienie nie pozwala mi ciągnąć tego posiedzenia choćby o dzień dłużej i w tej sytuacji jestem gotów już teraz ogłosić swój werdykt w tej sprawie.

Tracy wlepiła wzrok w Dana, to samo zrobił Edmund House. Dan i Clark uprzątnęli w czasie przerwy wszystkie papiery ze swoich stołów, bo jak wszyscy byli pewni, że po przerwie Meyers ogłosi tylko koniec posiedzenia na dzisiaj. Na słowa sędziego obaj pośpiesznie sięgnęli do teczek po notatniki.

– W ciągu trzydziestu lat pracy sędziowskiej nie zetknąłem się z tak drastyczną pomyłką sądową. Nie wiem, co naprawdę się wydarzyło dwadzieścia lat temu. Zapewne Departament Sprawiedliwości zdecyduje, co dalej zrobić z tą sprawą, a także o losie osób ponoszących za nią odpowiedzialność. Wiem natomiast, że w toku tego posiedzenia obrona udowodniła, że istnieją poważne wątpliwości co do rzetelności dowodów, na podstawie których w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim skazano Edmunda House'a. W pisemnym uzasadnieniu mojego werdyktu dokładnie wytknę wszystkie niedociągnięcia tamtejszego postępowania, jednak już dziś sumienie nie pozwala mi odesłać oskarżonego do więzienia na choćby jeden dzień dłużej.

House wpatrywał się w Dana rozjarzonym wzrokiem, jakby nie bardzo mógł uwierzyć w to, co słyszy. Po pustawej sali przetoczył się głośny pomruk, ale Meyers jednym walnięciem młotka przywołał publiczność do porządku.

– Nasz system prawny opiera się na prawdzie. Zakłada się, że uczestnicy postępowania sądowego trzymają się prawdy, całej prawdy i tylko prawdy, tak im dopomóż Bóg. Tylko przy tym założeniu nasz wymiar sprawiedliwości może dobrze funkcjonować. Tylko to pozwala zapewnić oskarżonemu uczciwy proces. Ale nie ma systemów idealnych. Nie potrafimy kontrolować świadków, którzy nie szanują prawdy, lecz możemy kontrolować innych uczestników postępowania sądowego: funkcjonariuszy porządku publicznego oraz zeznających pod przysięgą specjalistów z różnych dziedzin. – Tym jednym stwierdzeniem Meyers potępił postępowanie Callowaya, Clarka i DeAngelo Finna. – Nasz system nie jest pozbawiony wad, ale jak powiedział mój kolega po fachu, William Blackstone7, „Lepiej, aby dziesięciu winnych uniknęło kary, niżby jeden niewinny miał cierpieć”. Panie House, nie wiem, czy jest pan winny, czy nie zbrodni, o którą pana

oskarżono, osądzono i skazano. Nie do mnie należy ustalenie prawdy. Natomiast na podstawie dowodów przedstawionych na tej sali muszę stwierdzić, że mam poważne wątpliwości co do rzetelności pańskiego procesu, a tej wymaga nasza konstytucja i o nią zabiegali nasi przodkowie, którzy ją stworzyli. W tej sytuacji zarekomenduję sądowi apelacyjnemu, by skierował pańską sprawę do sądu orzekającego celem wyznaczenia nowego procesu.

House słuchał z dłońmi płasko rozłożonymi na stole i brodą nisko opuszczoną na pierś. Jego ramionami wstrząsnęło głębokie westchnienie ulgi.

– Nie jestem naiwny i wiem, że w ciągu dwudziestu lat ślady dawno się zatarły, a ludzka pamięć się zamgliła – mówił dalej Meyers. – Dlatego oskarżenie stanie przed jeszcze trudniejszym zadaniem niż poprzednio, ale jeśli upływ czasu okaże się dla niego dodatkowym utrudnieniem, winę za to ponosi ono samo. To już nie mój problem. Przygotowanie szczegółowego uzasadnienia mojej decyzji trochę potrwa, myślę też, że sąd apelacyjny również będzie potrzebował czasu, by się z nim zapoznać. Liczę się z tym, że prokuratura odwoła się od mojej decyzji. Tak więc upłynie nieco czasu, nim sprawa trafi z powrotem do sądu i zostanie wyznaczony nowy proces, jeśli w ogóle do niego dojdzie. Ale ta zwłoka nie będzie już obciążać pana, panie House.

Tracy wiedziała, do czego Meyers zmierza, podobnie jak siedzący na sali widzowie, którzy zaczęli szeptać i wiercić się na ławkach.

– Dlatego zarządzam zwolnienie pana po uprzednim dopełnieniu formalności w areszcie okręgu Cascade i ustaleniu warunków pańskiego przebywania na wolności. Nie wyznaczam żadnej kaucji. Dwadzieścia lat w celi to wystarczająco wysoka cena. Zarządzam natomiast, że nie wolno panu przekraczać granic stanu. Będzie pan musiał codziennie meldować się u kuratora sądowego, obowiązywać będzie zakaz używania alkoholu i narkotyków oraz ściśle przestrzeganie praw tego stanu i kraju. Czy zrozumiał pan warunki?

Edmund House, który przez ostatnie trzy dni nie wypowiedział ani jednego słowa, wstał.

– Tak, panie sędzio – oświadczył.

Rozdział 49

Gdy tylko sędzia Meyers stuknął młotkiem na zakończenie, reporterzy zerwali się z miejsc i stanawszy przy barierce, zaczęli jeden przez drugiego wykrzykiwać pytania do Dana i Edmunda House'a. Przycichli dopiero na widok strażników, którzy założyli House'owi kajdany i wyprowadzili tylnym wyjściem do karetki więziennej, którą odwieźli go do aresztu okręgu Cascade w celu dopełnienia formalności.

– Zaraz po tym, jak zostaną dopełnione formalności związane ze zwolnieniem mojego klienta, zwołamy w areszcie konferencję prasową – oświadczył Dan.

Do Tracy podszedł Finlay Armstrong, by wyprowadzić ją z sali, a ona spojrzała za siebie na panujące zamieszanie i na moment wróciła pamięcią do chwili, gdy patrząc przez tylną szybę pick-upa Bena, widziała po raz ostatni stojącą samotnie w deszczu siostrę.

Dan uniósł głowę i napotkawszy jej wzrok, posłał jej triumfalny uśmiech.

Finlay wyprowadził ją z sali i ruszyli marmurowymi schodami do rotundy na parterze. Podbiegło ku niej kilku reporterów, którzy widać uznali, że skoro nie wydobędą nic z Dana i House'a, powinni spróbować z nią. Fotoreporterzy i kamerzyści wycelowali w nią obiektywy, jakby jej zejście po schodach sądu było godne uwiecznienia.

– Czuje pani, że zemsta się dokonała?

– Tu nie chodziło o zemstę.

– A o co?

– Jak zawsze o moją siostrę. O to, co naprawdę się z nią stało.

– Będzie pani ciągnąć to dochodzenie?

– Wystąpię o wznowienie dochodzenia w sprawie śmierci mojej siostry.

– Domyśla się pani, kto ją zabił?

– Gdybym się domyślała, przekazałabym to tym, którzy poprowadzą dochodzenie.

– Czy wie pani, jak to się stało, że pani włosy znalazły się w vanie Edmunda House'a?

– Ktoś celowo je tam umieścił – odparła.

– Wie pani kto?

Pokręciła głową.

– Nie.

– Podejrzewa pani szeryfa Callowaya?

– Niczego nie jestem pewna.

– A co z tą biżuterią? – spytał ktoś inny. – Wie pani, kto ją podrzucił?

- Nie zamierzam spekulować.
- Jeśli nie Edmund House zabił pani siostrę, to kto?
- Już powiedziałam, że nie zamierzam spekulować.

W marmurowej rotundzie obiegło ją jeszcze więcej mikrofonów i kamer. Wiedząc, że i tak nie uda jej się umknąć, przystanęła.

– Sądzi pani, że mordercy siostry zostanie wymierzona sprawiedliwość? – spytał któryś z reporterów.

– Dziś zrobiono pierwszy krok na drodze do wznowienia sprawy morderstwa Sary. Zamierzam przebyć tę drogę krok po kroku.

– Co pani teraz zrobi?

– Przede wszystkim wrócę do Seattle. Tylko będę musiała poczekać na poprawę pogody. Proponuję, żebyśmy wszyscy zajęli się swoimi sprawami.

Przepchnęła się przez tłum za torującym drogę Finlayem; paru najbardziej zawziętych reporterów wyszło za nią z budynku, ale na widok przybierającej na sile zamieci szybko się zniechęciło. Świat przesłaniała biała koronkowa firana, wielkie płatki śniegu wirowały w gwałtownych podmuchach wiatru. Tracy włożyła czapkę i wciągnęła rękawiczki.

– Dalej już sobie poradzę – zwróciła się do Finlaya.

– Na pewno?

– Masz żonę, Finlay?

– Jasne. I trójkę dzieci w wieku poniżej dziewięciu lat.

– To wracaj do nich do domu.

– Chciałbym. Ale takie noce jak ta bywają dla nas bardzo trudne.

– Pamiętam to z czasów mojej pracy w prewencji.

– Staramy się, jak możemy...

– Tak, wiem – powiedziała. – I dziękuję.

Ruszyła w dół schodami. Nie zdążyła zmienić szpilek na kozaki i czuła się niepewnie na śliskich schodach. Każdy krok groził upadkiem. Głęboko wycięte skórzane buty przepuszczały wilgoć i po chwili poczuła, jak palce drętwieją jej z zimna. Przypuszczała, że bezpowrotnie zniszczy bardzo przyzwoitą parę butów.

Uniosła głowę i przyjrzała się sznurowi samochodów wyjeżdżających z parkingu i ustawiających się w korku w uliczce przed gmachem sądu. Samochody osobowe i pick-upy, niektóre z łańcuchami na kołach, pobrzękującymi niczym kajdany House'a. W uliczkę wjechała półciężarówka na wielkich zimowych oponach i z płaską platformą zamiast skrzyni, zahamowała i zapaliło się prawe światło stop. Tylko prawe.

Tracy poczuła gwałtowny zastrzyk adrenaliny. Po sekundzie wahania przyspieszyła kroku i zbiegła po schodach, najszybciej jak mogła. Na ostatnim stopniu poślizgnęła się i noga spod niej odjechała, ale udało jej się przytrzymać poręczy i nie runąć na zaśnieżony chodnik. Zanim stanęła pewnie na nogach,

półciężarówka z platformą zamiast skrzyni już się ustawiła przed skrzyżowaniem. Tracy przebiegła przez jezdnię na mieszczący się po drugiej stronie parking, starając się odczytać numer, pojazd był jednak za daleko i padał zbyt gęsty śnieg, by można było rozróżnić litery i cyfry. Wnętrza kabiny też nie było widać, bo zasłaniała je kratka na tylnej szybie. Samochód skręcił w ulicę ciągnącą się wzdłuż północnej ściany sądu.

Zaczęła się przepychać wśród pozostałych jeszcze pojazdów. Z rur wydechowych dobywały się kłęby czarnego dymu, kierowcy zawzięcie zeskrobywali lód z przednich i tylnych szyb, niektórzy ruszali z miejsca bez odgarniania śniegu, jeszcze inni już stali w korku do wyjazdu. Starając się nie spuszczać wzroku z półciężarówki, Tracy nie zauważyła ruszającego tyłem samochodu, który z tylną szybą całkowicie pokrytą śniegiem uderzył ją zderzakiem w nogę. Walnęła pięścią w bagażnik, żeby zwrócić uwagę kierowcy, i uskoczyła w bok, aby nie dostać się pod koła. Spadł jej przy tym but i przewróciła się, uderzając kolaniem w kawałek gołego asfaltu w miejscu, gdzie stojący tam wcześniej samochód osłonił go przed śniegiem. Kierowca wysiadł i zaczął ją przeproszać, ona już jednak zdążyła się podnieść i rozejrzeć za półciężarówką, która stała jako trzecia w kolejce przed skrzyżowaniem w główną drogę. Tracy przepchnęła się wśród zaparkowanych samochodów, czując, jak ją pali w płucach i łydki jej mdleją z wysiłku. Półciężarówka dotarła do skrzyżowania, skręciła w lewo i rozplynęła się w zadymce, oddalając się w kierunku Cedar Grove.

Tracy dała za wygraną i z rękami na kolanach i zadartą głową wpatrywała się tylko przez chwilę w niknącą w oddali sylwetkę półciężarówki. Jej oddech zamieniał się w obłoki pary, czuła ukłucia zimna w płucach i całej klatce piersiowej, nieosłonięte niczym policzki i uszy szczypały. Zdała sobie sprawę, że padając na asfalt, podarła rajstopy i boleśnie stłukła kolano. Palce u nóg miała zdrętwiałe z zimna.

Sięgnęła do teczki, wygrzebała pióro i ściągawszy zębami skuwkę, zapisała na wilgotnej dłoni te cyfry i litery z tablicy rejestracyjnej półciężarówki, które udało jej się dojrzeć.

Wróciła do samochodu, uruchomiła silnik, po czym nastawiwszy na maksimum rozmrażanie szyb, włączyła wycieraczki i wsłuchiwała się przez chwilę w głośny hurgot piór po oblodzonej szybie. Palce miała tak zdrętwiałe, że nie udało jej się wstukać cyfr na telefonie. Zwinęła dłoń w pięść i chwilę w nią pochuchała, po czym spróbowała ponownie.

Kins odebrał po pierwszym sygnale.

– Hej – powiedział.

– Już po sprawie.

– Co?

– Meyers podjął decyzję od razu na sali. House będzie miał nowy proces.

– Jak to się stało?

– Wszystko ci później opowiem. W tej chwili potrzebuję przysługi. Chciałabym, żebyś mi sprawdził numer rejestracyjny. Nie znam wszystkich cyfr, więc będziesz musiał sprawdzić różne warianty. Spróbuj się czegoś dowiedzieć.

– Czekaj, znajdę coś do pisania.

– Rejestracja ze stanu Waszyngton. – Wyrecytowała zapisane litery i cyfry. – Ale nie jestem pewna, zamiast W mogło być V, a zamiast trójki mogła być ósemka.

– Zdajesz sobie sprawę, ile to możliwych kombinacji?

Przełożyła telefon do lewej ręki i pochuchała w prawą.

– Tak, wiem. To półciężarówka z platformą, więc może być zarejestrowana na firmę. Po prostu nie udało mi się dobrze przyjrzeć. – Znów przełożyła telefon, pogimnastykowała palce lewej dłoni i pochuchała w pięść.

– Kiedy wracasz?

– Nie wiem. Zapowiadają straszną zamieć. Mam nadzieję, że najpóźniej w poniedziałek.

– Tu też się już zaczyna, bo za oknem słyszę piaskarki. Nienawidzę tego. Człowiek się czuje tak, jakby jeździł po kocim żwirku. Zaraz wpuszczę ten twój numer do systemu, bo chcę jak najszybciej jechać do domu. Dam ci znać, jak się coś urodzi.

Ledwo zdążyła się rozłączyć, gdy telefon znów zadzwonił.

– Jestem w drodze do aresztu – powiedział Dan. – Po zwolnieniu House’a zwołamy tam konferencję prasową.

– Co on teraz zamierza z sobą zrobić?

– Jeszcze z nim nie rozmawiałem. Ale brzmi to jak ironia losu, nie?

– Co mianowicie?

– Dla niego to pierwszy dzień wolności, a my wszyscy jesteśmy uwięzieni przez pogodę.

Rozdział 50

Po zakończeniu posiedzenia w sądzie Roy Calloway nie pojechał do domu. Wrócił tam, gdzie od trzydziestu pięciu lat jeździł niemal codziennie – w upale i w deszczu, w dniu roboczym i w weekend – i gdzie czuł się najlepiej. Lepiej niż we własnym domu, w czym właściwie nie było nic dziwnego. W biurze spędzał dużo więcej czasu niż w domu. Siadał przy biurku porysowanym w miejscu, gdzie miał zwyczaj opierać kowbojki. Przy biurku, przy którym znajdą jego trupa, bo – jak mawiał – do śmierci go nie opuści. Albo do chwili, gdy sprowadzą dźwig i siłą go zza niego wyjmą, a on będzie protestował, kopiąc i wrzeszcząc.

– Żadnych telefonów – zapowiedział dyżurnemu sierżantowi, po czym rozsiadł się za biurkiem, odchylił z fotelem do tyłu i zapatrzył w swego wielkiego pstrąga na ścianie. A może jednak powinien ulec namowom żony i przejść na emeryturę. Może byłoby dobrze zacząć chodzić na ryby i polepszyć swoje golfowe wyniki. Może czas zejść z posterunku i przekazać pałeczkę Finlayowi. Niech się młodzi wykażą. Może należy wreszcie zająć się rozpieszczaniem wnuków.

Brzmiało fajnie. Brzmiało rozsądnie.

Brzmiało jak ucieczka.

A Roy Calloway nigdy w życiu przed niczym nie uciekał i teraz też nie zamierzał tego robić. Nie zamierzał niczego im ułatwiać. Niech go sobie nazywają, jak chcą: upartym, zawziętym, zarozumiałym. Było mu to obojętne. Mogą mu sprowadzić na kark federalnych, Departament Sprawiedliwości, oddział marines, wszystko jedno kogo. Dobrowolnie nikomu nie odda swojego biurka i stanowiska. Niech się gubią w domysłach. Mogą twierdzić, że jego zeznania budzą wątpliwości. Mogą zarzucać mu złamanie prawa. Jednego, czego nie mogą zrobić, to cokolwiek mu udowodnić.

Cokolwiek.

Więc niech sypią zarzutami i wyciągają ku niemu oskarżycielskie palce. Niech się zachłystują świętym oburzeniem. Niech plotą o nienaruszalności prawa. Po prostu nic nie wiedzą. Nie mają pojęcia. Miał dwadzieścia lat na to, by wszystko dobrze przemyśleć. Dwadzieścia lat na zastanawianie się, czy postąpił słusznie. Dwadzieścia lat na potwierdzenie tego, co wiedział w chwili wspólnego podejmowania decyzji. I nie zamierzał już niczego zmieniać, absolutnie niczego.

Sięgnął do dolnej szuflady biurka po butelkę johnnie walkera, nalał sobie na dwa palce do szklanki, wypił łyk i poczuł palenie w gardle. Niech po niego przychodzą. Jest tu i czeka.

* * *

Calloway nawet nie wiedział, ile czasu upłynęło do chwili, gdy zadzwoniła

jego komórka, wyrywając go z przeszłości i sprowadzając do teraźniejszości. Bardzo niewiele osób znało jego numer komórkowy. Wyświetlacz powiadomił go, że dzwoni DOM.

– Jedziesz już? – spytała żona.

– Niedługo – odparł. – Jeszcze tylko coś skończę.

– Oglądałam wiadomości. Współczuję.

– No – mruknął.

– Zaczyna naprawdę mocno padać. Wracaj do domu, zanim tak zasypie drogi, że się nie przebijesz. Zrobiłam z resztek gulasz.

– W taki wieczór brzmi to nieźle. Niedługo będę.

Rozłączył się i wsunął telefon do kieszonki koszuli. Schował butelkę i szklankę do dolnej szuflady i już ją miał zasunąć, gdy za mleczną szybą przesunął się cień. Vance Clark otworzył bez pukania drzwi i wszedł do gabinetu. Wyglądał tak, jakby właśnie stoczył ciężką walkę w ringu i przez trzy rundy robił uniki przed ciosami przeciwnika wagi ciężkiej. Kołnierzyk koszuli miał rozpięty, węzeł krawata rozluźniony i przekrzywiony. Rzucił teczkę i płaszcz na krzesło z tak widoczną ulgą, jakby ręce nie wytrzymały już ich ciężaru, i opadł na krzesło przy biurku. Jako prokurator okręgowy miał obowiązek po zakończeniu głośnego procesu stawać przed kamerami i odpowiadać na pytania mediów. Nadzorowały to władze okręgu, choć Calloway pamiętał, że zdarzyło się to tylko kilka razy w ciągu całej jego kariery. Dwadzieścia lat temu po wyroku skazującym Edmunda House'a szeryf do niego dołączył, a w wśród słuchaczy była wtedy Tracy oraz jej rodzice, James i Abby Crosswhite'owie.

– Aż tak źle? – rzucił.

Clark wzruszył tylko ramionami, jakby nie miał siły na nic więcej. Ręce zwisały mu bezwładnie po bokach krzesła.

– A czego się spodziewałeś – burknął.

Calloway wrócił na fotel, sięgnął do szuflady i wyjął butelkę i dwie szklaneczki. Do jednej znów nalał na dwa palce i przesunął w stronę Clarka, a potem nalał sobie.

– Pamiętasz? – Dwadzieścia lat temu opijali w tym samym miejscu wyrok skazujący Edmunda House'a, tyle że wtedy towarzyszył im jeszcze James Crosswhite.

– Pamiętam. – Clark uniósł szklaneczkę w geście toastu, wlał do gardła zawartość i skrzywił się.

Szeryf wziął do ręki butelkę, ale Clark odmownie zamachał ręką. Calloway odgiął końcówkę spinacza, ujął kciukiem i palcem wskazującym i pokręcił jak wirnikiem helikoptera. W gabinecie zapadła cisza, słychać było tylko tykanie zegara i ciche buczenie jarzeniówek.

– Odwołasz się? – spytał w końcu.

– Dla czystej formalności.
– Ile to potrwa, zanim sąd apelacyjny odrzuci twoje odwołanie i wyznaczy nowy proces?
– Obawiam się, że to już nie będę ja. A nowy oskarżyciel może chcieć ograniczyć straty. – Wyglądało na to, że Clark pogodził się już z utratą stanowiska.
– Będzie miał na dzień dobry gotową wymówkę: to wszystko wina poprzednika. Uzna, że tak spieprzyłem sprawę, że w nowym procesie nie ma szans na wygraną. Więc po co marnować pieniądze podatnika? I po co szargać sobie wizerunek dlatego, że ktoś inny dał dupy.
– Opierają się tylko na domysłach i spekulacjach, nic więcej.
– W mediach już buzuje od podejrzeń o korupcję i znowę w Cedar Grove. Bóg raczy wiedzieć, z czym jeszcze wyskoczą.
– Ludzie tu cię znają i wiedzą, co sobą reprezentujesz.
Clark uśmiechnął się ponuro, ale jego uśmiech szybko zgasł.
– Sam chciałbym to wiedzieć – mruknął, odstawiając szklaneczkę na biurko.
– Myślisz, że postawią nam zarzuty o złamanie prawa?
Szeryf wzruszył ramionami.
– Możliwe – powiedział.
– Pewnie pozbawią mnie uprawnień.
– A mnie zarzucą przestępstwo urzędnicze i wywalą z roboty.
– Nie wyglądasz na zbyt przejętego.
– Co ma być, to będzie, Vance. Nie zamierzam się zamartwiać na zapas.
– Nigdy nie dręczyły cię wątpliwości?
– Czy postąpiliśmy słusznie? Ani przez chwilę. – Calloway dopił drinka i przypomniał sobie o telefonie żony w sprawie pogody. – Proponuję, żebyś wrócił do domu, póki się da. Jedź i ucałuj swoją zoneczkę.
– No. – Clark kiwnął głową. – To nam zawsze jeszcze zostało, nie?
Calloway znów popatrzył na pstrąga na ścianie.
– Tylko to – powiedział.
– A co z House'em? Wiesz może, co zamierza zrobić?
– Nie mam pojęcia, ale jedno jest pewne: w tę pogodę nigdzie zbytnio się nie oddali. Masz jeszcze tę swoją trzydziestkęósemkę?
Clark skinął głową.
– Nie byłoby źle mieć ją pod ręką.
– Już o tym pomyślałem. A co z DeAngelem?
Szeryf pokręcił głową.
– Będę go miał na oku, ale nie podejrzewam House'a o tyle sprytu. Gdyby było inaczej, już dawno złożyłby odwołanie, powołując się na nieskuteczną obronę. A nigdy tego nie zrobił.

Rozdział 51

Tracy wrzuciła wsteczny, przestawiła bieg na „Drive” i po raz trzeci dodała gazu. Tym razem opony subaru złapały przyczepność na chropowatej krawędzi między śniegiem a oblodzonym podjazdem i samochód z nieprzyjemnym chrzęstem pojechał kawałek do przodu. Udało jej się wpasować na tyle, by zostało za nią miejsce na tahoe Dana. Chrząst opon wzbudził domowy alarm i w środku rozpoczął się koncert szczekania i skomlenia, choć przez zabite sklejką okno psów nie było widać.

Tracy wysiadła i zapadła się do pół łydki w warstwę śniegu na kamiennej ścieżce. Ogrodowe lampy w śnieżnych czapach rozsiewały przed domem plamy złocistej poświaty. Na futrynie drzwi garażu znalazła zapasowy klucz do domu i przed otwarciem drzwi zawołała psy. Szczekanie przeszło w tak radosny skowyt, że usunęła się na bok, pewna, że gdy tylko otworzy, psy z impetem runą na dwór, jednak się myliła. Rexa w ogóle nie interesowało wyjście, Sherlock wystawił nos, ale przekonawszy się, że nie idzie za nią Dan, leniwie zawrócił w głąb domu.

– Wcale wam się nie dziwię – powiedziała, zamykając drzwi. – Do mnie też bardziej przemawia gorąca kąpiel. – Poziom napędzającej ją przez ostatnie dni adrenaliny już opadł i Tracy czuła się emocjonalnie i fizycznie wypłuta, choć w głowie wciąż jeszcze wirowały jej litery i cyfry tablicy rejestracyjnej półciężarówki.

Zamknęła drzwi na zasuwę i zostawiła przy nich buty, rękawice i płaszcz. Znalazła pilota na kanapie, włączyła telewizor i zaczęła przerzucać kanały, chcąc posłuchać komentarzy o zakończonym posiedzeniu sądu i zaskakującej decyzji sędziego Meyersa. Zatrzymała się na Kanale 8, na którym nadawano codzienne relacje Vanpelt, po czym przeszła do kuchni i sięgnęła do lodówki po butelkę piwa. Zdjęła kapsel, wróciła do pokoju i rozsiadłszy się na kanapie z butelką w dłoni, poczuła, jak jej mięśnie od razu się rozluźniają. Zimne i orzeźwiające piwo smakowało bardziej, niż się spodziewała. Oparła nogi w samych rajstopach o stół przy kanapie i obejrzała stłuczone kolano. Było zranione, ale niezbyt głęboko. Pewnie należałoby je przemyć i zdezynfekować, ale nie chciało jej się wstawać i myszkować w łazience. Może uda jej się namówić Dana, żeby ją zaniósł na górę do łóżka.

Wróciła myślami do tablicy rejestracyjnej – do V, które mogło być W i trójki, która mogła być ósemką. Czy numer wskazywał na rejestrację firmową? Nie była pewna.

Sącząc piwo, starała się rozluźnić. W sprawach nastąpił tak nagły i nieoczekiwany zwrot, że nie zdążyła przemyśleć wszystkich wynikających z tego konsekwencji. Jak pozostali była przekonana, że sędzia Meyers ogłosi tylko

przerwę w postępowaniu i dopiero później wyda orzeczenie na piśmie. Nie przyszło jej nawet do głowy, że Edmund House wyjdzie z sądu jako wolny człowiek. Była pewna, że wróci do więzienia i będzie czekał na decyzję sądu apelacyjnego w sprawie nowego procesu. Wróciła pamięcią do wizyty w więzieniu Walla Walla i drwiącego uśmiechu na twarzy House'a. „Już to sobie wyobrażam – powiedział wtedy. – Myny ludzi, jak mnie znów spotkają na ulicach Cedar Grove”.

Będzie miał okazję je zobaczyć, choć nie od razu. Dziś w nocy, a może nawet przez kilka najbliższych dni, na ulicach Cedar Grove będą pustki. Jak zauważył Dan, wszystkich uwięziła pogoda.

Ale losy House'a nie wydawały jej się już najważniejsze. Było jej obojętne, jak potoczy się jego nowy proces i czy w ogóle do niego dojdzie. Jej zadaniem było teraz doprowadzenie do wznowienia śledztwa w sprawie śmierci Sary, co od początku stanowiło jej główny cel. Wątpliwe, by decyzja o tym należała do Vance'a Clarka. Należało się liczyć z tym, że po sędziowskiej reprimendzie Clark zrezygnuje ze stanowiska prokuratora okręgowego, ale jego wpadka nie sprawiała jej satysfakcji. Znała go od wielu lat, znała też jego żonę, a ich córki uczęszczały do liceum w Cedar Grove. Wyglądało również na to, że odejście ze stanowiska byłoby najlepszym rozwiązaniem dla Roya Callowaya, choć Tracy wiedziała, że jest uparty i może się zaprzec. Ale to, czy Departament Sprawiedliwości zechce wszcząć dochodzenie w sprawie ewentualnej zмовы miejscowych przedstawicieli prawa w celu skazania House'a, było jej w zasadzie obojętne. Nie miała pewności, czy dochodzenie objęłoby też DeAngelo Finna. Był już bardzo stary i nieporadny, ale mógł się okazać ważnym świadkiem.

Sącząc piwo, wróciła myślami do rozmowy z Finnem i jego pożegnalnych słów na schodkach domu.

Bądź ostrożna. Czasem lepiej zostawić pytania bez odpowiedzi.

Przecież nie ma już nikogo, kto mógłby czuć się zagrożony.

Ależ tak, są tacy

Roy Calloway też chyba chciał jej coś powiedzieć tego wieczoru, kiedy rozmawiali pod przychodnią weterynaryjną. „Twój ojciec... – zaczął, ale coś go powstrzymało i nie skończył.

Teraz zastanawiała się, czy opowieść George'a Bovine'a o tragedii jego córki mogła na tyle wstrząsnąć jej ojcem i pozostałymi, że uznali, że skoro nie są w stanie znaleźć zabójcy Sary, to przynajmniej dopilnują, aby taka bestia jak Edmund House spędziła resztę życia za murami więzienia. Przez wiele lat uznawała tę wersję za najbardziej prawdopodobną. Jej ojciec był człowiekiem tak niezłomnie moralnym i uczciwym, że trudno jej było pogodzić się z myślą, że mógł

się posunąć do czegoś takiego. Tyle że człowiek, w którego przemienił się jej ojciec w ciągu paru tygodni od zaginięcia córki, był już kimś zupełnie innym. Ten, którego znała i z którym robiła wszystko, by odnaleźć Sarę, wydawał się opętany przez obcego ducha. Był zły, zgorzkniały, pochłonięty śmiercią Sary. Tracy podejrzewała, że gnębi go straszliwe poczucie winy, że go nie było wtedy w Cedar Grove. Że nie towarzyszył córkom podczas zawodów strzeleckich i że się nimi nie zaopiekował, jak robił zawsze, uważając to za swój ojcowski obowiązek.

W telewizji zaczęły się lokalne wiadomości i jak można było się spodziewać, decyzja sędziego Meyersa o wypuszczeniu Edmunda House'a z więzienia była pierwszym tematem, zresztą tak jak w ciągu minionych trzech dni głównym tematem wiadomości był przebieg posiedzenia w sądzie.

– Z Cascade dochodzą do nas szokujące wiadomości z posiedzenia o przyznaniu skazanemu Edmundowi House'owi prawa do nowego procesu – zaczął ze studia prowadzący. – Po dwudziestu latach w więzieniu skazany prawomocnym wyrokiem gwałcielem i mordercą wychodzi na wolność. Więcej o tej sprawie wie Maria Vanpelt, która przed budynkiem aresztu okręgowego Cascade zмага się z szalejącą śnieżycą i z którą łączymy się teraz na żywo. Wcześniej w budynku aresztu odbyła się konferencja prasowa, zwołana przez obrońcę Edmunda House'a.

Vanpelt stała pod parasolem w blasku reflektorów, wokół wirowały gęste płatki śniegu, niemal rozmazując zarysy aresztu okręgu Cascade, który wybrała na tło swego wystąpienia. Podmuchy wiatru szarpały parasolem, grożąc wywinięciem go na drugą stronę, futrzany kołnierz jej kurtki z kapturem lśnił jak lwia grzywa.

– „Szokujące” to właściwe słowo na określenie dzisiejszych wydarzeń – rozpoczęła, po czym zrelacjonowała zeznania Tracy i Harrisona Scotta, których treść legła u podstaw decyzji sędziego o uwolnieniu Edmunda House'a. – Uznając jego proces za parodię wymiaru sprawiedliwości, sędzia Meyers obciążył odpowiedzialnością wszystkich, którzy w nim uczestniczyli, łącznie z Royem Callowayem, szeryfem Cedar Grove, oraz Vance'em Clarkiem, prokuratorem okręgowym – mówiła dalej Vanpelt. – Dziś po południu uczestniczyłam w konferencji prasowej, która odbyła się w budynku aresztu za moimi plecami i z którego Edmund House wyszedł jako wolny człowiek, przynajmniej na tę chwilę.

Na ekranie pojawiło się nagranie z wcześniejszej konferencji prasowej. Za stołem siedzieli Dan i House, przed nimi sterczał las mikrofonów. Różnica ich postur była dostrzegalna już w trakcie rozprawy, ale po przebraniu się House'a w dżinsową koszulę i zimową kurtkę jeszcze bardziej rzucała się w oczy.

Zadzwoiła komórka. Tracy podniosła ją z kanapy i wcisnęła przycisk PAUSE na pilocie.

– Właśnie patrzę na ciebie w telewizorze – powiedziała. – Gdzie jesteś?

– Miałem jeszcze kilka wywiadów dla ogólnokrajowych mediów – odparł

Dan. – Już jadę, ale dzwonię, żeby ci powiedzieć, że na autostradzie jest koszmar. Wszędzie pełno samochodów, które wpadły w poślizg i wyleciały z trasy. Trochę to potrwa, zanim dotrę do domu. Mówi się też o powalonych drzewach i przerwach w dostawach prądu.

– W domu wszystko w porządku.

– W garażu jest generator, gdyby był potrzebny. Wystarczy wsadzić wtyczkę w gniazdko obok tablicy z bezpiecznikami.

– Nie wiem, czy się na to zdobędę.

– Moi koledzy w porządku?

– Obaj leżą na dywaniku. Ale może będziesz musiał ich wynieść na rękach, żeby się wysikali.

– A jak ty?

– Na razie z sikaniem jakoś sobie radzę, dziękuję.

– Widzę, że ci wróciło poczucie humoru.

– Jeszcze jestem rozdygotana. Ale już mi się uśmiecha długa, gorąca kąpiel.

– W pełni pochwalam.

– Oddzwonię za chwilę. Chcę obejrzeć relację z twojej konferencji prasowej.

– Jak się prezentuję?

– Wciąż się domagasz komplementów?

– Sama wiesz. Dobra, zadzwoń później.

Rozłączyła się i wcisnęła przycisk PLAY.

– Przebrniemy przez ten most, gdy do niego dotrzemy – mówił Dan. – Myślę, że z powodu błędów proceduralnych w procesie sąd apelacyjny zadziała szybko. Potem będziemy musieli jeszcze poczekać na decyzję prokuratury.

– Jakie to uczucie być znów wolnym człowiekiem? – spytała Vanpelt House'a.

House strząsnął warkocz z ramienia.

– No cóż, jak powiedział mój adwokat, nie jestem jeszcze całkiem wolny, ale... – Uśmiechnął się. – To fajne uczucie.

– Co pan zrobi najpierw jako wolny człowiek?

– To samo co wszyscy. Wyjdę na dwór i poczuję na twarzy śnieg i wiatr.

– Jest pan zły na tych, którzy tak pana urządzili?

– Nie użyłbym słowa „zły”.

– A więc wybaczył pan tym, którzy są winni wsadzenia pana do więzienia?

– Tego też bym nie powiedział. Jedyne, co mogę zrobić, to naprawić moje dawne błędy i postarać się już nigdy ich nie powtórzyć. I taki mam zamiar.

– Czy wie pan, co kierowało ludźmi, którzy sfabrykowali obciążające pana dowody? – spytał jakiś reporter spoza kadru.

Do mikrofonu nachylił się Dan.

– Nie będziemy komentować przedstawionych sądowi dowodów –

powiedział.

– Ignorancja – rzucił House, przebijając się przez głos Dana. – Ignorancja i arogancja. Myśleli, że ujdzie im to na sucho.

Vanpelt skierowała następne pytanie bezpośrednio do Dana.

– Panie O’Leary, czy zgodnie z sugestią sędziego Meyersa będzie pan chciał włączyć do sprawy Departament Sprawiedliwości?

– Przedyskutuję to z klientem i wspólnie podejmiemy decyzję.

Ale House znów nachylił się do mikrofonu.

– Nie zamierzam prosić Departamentu Sprawiedliwości, żeby kogoś ukarał.

– Czy chciałby pan powiedzieć coś detektyw Crosswhite? – spytała Vanpelt.

House wykrzywił usta w lekkim uśmiechu.

– Chyba nie potrafię wyrazić słowami tego, co w tej chwili czuję. Ale mam nadzieję, że wkrótce będę mógł jej podziękować osobiście.

Tracy poczuła ciarki, jakby po jej plecach przebiegł pająk.

– O czym pan teraz najbardziej marzy? – spytał jakiś reporter.

House uśmiechnął się szeroko.

– O zjedzeniu cheeseburgera.

Obraz powrócił na żywo do stojącej przed aresztem Vanpelt. Zawzięcie walczyła z parasolem wyrywany jej przez wiatr, który dmuchał też w mikrofon, powodując nieprzyjemne trzaski.

– Jak już mówiłam, oglądali państwo nagrane fragmenty konferencji prasowej, która odbyła się kilka godzin temu. Po konferencji Edmund House opuścił mury widocznego za moimi plecami aresztu jako wolny człowiek.

– Mario – wtrącił ze studia prowadzący – czy nie wydaje ci się niezwykle, że ktoś, kto spędził dwadzieścia lat w więzieniu za zbrodnię, której, jak się okazuje, nie popełnił, jest gotów tak łatwo wybaczyć? Co teraz będzie z tymi, którzy są za to odpowiedzialni?

Vanpelt dociskała przez chwilę słuchawkę do ucha, po czym zaczęła głośno mówić, przekrzykując wycie wiatru:

– Mark, rozmawiałam dziś z profesorem prawa z uniwersytetu stanu Waszyngton, który powiedział, że bez względu na to, czy Edmund House zdecyduje się wystąpić z pozwem cywilnym o naruszenie jego praw obywatelskich, czy nie, Departament Sprawiedliwości może z urzędu się włączyć i postawić zarzuty karne winnym zaniedbań. Może też podjąć decyzję o wznowieniu dochodzenia w sprawie śmierci Sary Crosswhite. Wygląda więc na to, że sprawa jest daleka od zakończenia. Może się okazać, że z posiedzenia sądu, które się dzisiaj zakończyło, wyniknie więcej pytań niż odpowiedzi. Ale dzisiejszy wieczór Edmund House spędzi jako wolny człowiek na szukaniu, jak sam słyszałeś, dobrego cheeseburgera.

– Mario, zaraz ci damy spokój i pozwolimy się schronić, zanim wiatr urwie

ci głowę, ale spytam jeszcze: czy udało ci się porozmawiać ze śledczą Crosswhite?

Reporterka wzdrygnęła się pod kolejnym uderzeniem wiatru, po czym odparła:

– Rozmawiałam z nią dzisiaj podczas przerwy i spytałam, czy czuje, że dokonała się zemsta. Odpowiedziała, że nie chodzi jej o zemstę, tylko o ustalenie, co naprawdę stało się z jej siostrą. W tej chwili wygląda to na kluczowe pytanie, na które być może nigdy nie poznamy odpowiedzi.

Zadzwoiła komórka i na wyświetlaczu Tracy zobaczyła, że to Kins.

– Przed chwilą wysłałem do ciebie maila z wykazem możliwych rejestracji – powiedział. – Jest dość długi, ale da się przeżyć. To ten pojazd z przepalonym światłem stop?

– To jakiś pojazd z przepalonym światłem stop, ale niekoniecznie ten. Może ich być więcej.

– Podobno wypuścili House’a.

– Wszystkich strasznie to zbulwersowało, Kins. Byliśmy pewni, że sędzia Meyers skonsultuje z kimś swoją decyzję i dopiero potem wyda pisemne orzeczenie. Ale gdyby nie zrobił tego dzisiaj, sprawa przeciągnęłaby się przez weekend. A on nie chciał trzymać House’a ani godzinę dłużej pod kluczem.

– Wygląda na to, że materiał dowodowy był przygniatający.

– Dan wykonał świetną robotę.

– To czemu jesteś taka zgaszona?

– Jestem bardzo zmęczona i myślę o stu rzeczach naraz. O siostrze, mamie i tacie. Mam strasznie dużo do przemyślenia.

– Pomyśl, jak czuje się House.

– Co masz na myśli?

– Po dwudziestu latach w Walla Walla nagle wychodzi na wolność i wyrusza w miasto. Czytałem kiedyś reportaż o weteranach z Wietnamu, którzy wracali do domu prosto z wojny, bez czasu na psychiczną dekompresję. Jednego dnia siedzą w dżungli i patrzą na śmierć ludzi, następnego wracają do jakiejś amerykańskiej dziury, gdzie nic się nie dzieje. Wielu sobie z tym nie poradziło.

– Nie sądzę, by ktokolwiek wyruszył dziś w miasto. Zapowiadają burzę śnieżną.

– Tu też, a wiesz, jak tutejsi nie radzą sobie z jazdą po zaśnieżonych drogach, szczególnie w górach. Trzymaj się ciepło. Wyruszam do domu, nim szaleńcy całkiem zakorkują drogi.

– Dzięki, Kins. Masz u mnie dług.

– I dopilnuję, żebyś go spłaciła.

Rozłączyła się i ściągnęła aplikację pozwalającą otworzyć maila od Kinsa. Rzut oka na wykaz wystarczył, by Tracy zorientowała się, że liczba potencjalnych kombinacji numerów rejestracyjnych wcale nie jest mała. Zaczęła wolniej

przeglądać nazwy miejscowości i nazwiska właścicieli, licząc na coś brzmiącego znajomo. Nie natrafiła na żadną nazwę, która z czymś by się kojarzyła, ale w pewnej chwili rzuciło jej się w oczy słowo „Cascadia” i na nim się zatrzymała. Pojazd był zarejestrowany na firmę „Meble prosto z Cascadii”. Przeszła z telefonem do komputera Dana, poruszyła myszką, by go obudzić, wpisała nazwę do wyszukiwarki i jęknęła „O rany” na widok blisko ćwierć miliona trafień.

Gdy dopisała „Cedar Grove”, liczba trafień radykalnie zmalała, ale nadal było ich zbyt wiele, by można je było sensownie przeanalizować. „I co dalej?”, mruknęła na głos. Po trzech dniach siedzenia w sądzie miała w głowie mętlik. Nie przychodziło jej na myśl żadne inne hasło, które pozwoliłoby dodatkowo przefiltrować trafienia.

Odsunęła się z krzesłem od komputera i już miała wstać po następne piwo, gdy nagle przypomniała sobie, gdzie się natknęła na tę nazwę. Rozejrzała się po kuchni. Pudła z dokumentacją zebraną w jej prywatnym dochodzeniu w sprawie śmierci siostry stały ułożone jedno na drugim w kącie. Dan nie potrzebował wszystkich w sądzie. Przeniosła pierwsze pudło na kuchenny stół, zaczęła grzebać w teczkach i po chwili znalazła to, czego szukała. Usiadła i zaczęła czytać protokół z zeznań śledczej Margaret Giesy złożonych podczas procesu. Czytała je wielokrotnie i znała niemal na pamięć, więc bez trudu odszukała potrzebny jej fragment.

PYTANIA ZADAJE PROKURATOR CLARK

P. Czy pani zespół znalazł coś jeszcze w kabinie vana?

Ś. Ślady krwi.

P. Detektyw Giesa, umieszczam na stojaku dokument oznaczony w wykazie materiałów dowodowych prokuratury numerem sto dwanaście. Jest to powiększona fotografia lotnicza posiadłości Parkera House’a. Czy na podstawie tej fotografii może pani wyjaśnić przysięgłym, gdzie pani zespół dokonał dalszych przeszukań?

Ś. Tak, poszliśmy tą ścieżką i przeszukaliśmy ten budynek.

P. Zatem oznaczmy ten budynek cyfrą jeden. Czy w budynku numer jeden znaleźliście coś ciekawego?

Ś. Znaleźliśmy narzędzia do obróbki drewna i kilka sztuk mebli w różnych stadiach produkcji.

Tracy spojrzała na mail od Kinsa. „Meble prosto z Cascadii”.

Wybuch był tak potężny, że zadzwoniły szyby, cały dom zadygotał, a Rex i Sherlock rzucili się do zabitego sklejką okna. A potem wszystko pograżyło się w ciemnościach.

Rozdział 52

Vance Clark już zbierał się do wyjścia z biura Roya Callowaya, gdy na biurku szeryfa zabrzączał telefon. W słuchawce rozległ się głos Finlaya Armstronga, ledwie słyszalny na tle statycznych zakłóceń.

Calloway podkreślił głośność.

– Roy, jesteś tam? – Głos Finlaya brzmiał tak, jakby mówił z jadącego samochodu z opuszczoną szybą.

– Jestem – mruknął Calloway i w tym momencie usłyszał odległy huk, w którym od razu rozpoznał odgłos eksplozji. Światłówki zamigotały, przygasły i chwilę potem zgasły zupełnie. Musiał wybuchnąć transformator, pomyślał Calloway. Zaklął pod nosem i usłyszał, jak uruchamia się awaryjny generator prądu, wydając odgłos przypominający grzanie silników samolotu przed startem. Chwilę potem światło znów rozbłysło.

– Szeffie?

– Na moment straciliśmy zasilanie. Zaczekaj, generator dopiero się rozkręca. Twój głos chwilami zanika i słyszę cię z przerwami.

– Co mówisz?

– Twój głos zanika. – Światła przygasły i ponownie się zapaliły.

– Nawałnica przybiera na sile! – krzyknął Finlay. – Podmuchy wiatru... Musisz tu natychmiast przyjechać, Roy. Coś się... Musisz... tutaj...

– Zaraz, Finlay. Powiedz to jeszcze raz. Powtarzam: powiedz jeszcze raz.

– Musisz tu przyjechać! – wykrzyknął Armstrong.

– Ale gdzie? – W słuchawce zatrzeszczało, statyczne trzaski jeszcze się nasiliły. – Dokąd mam przyjechać?

– Do domu DeAngelo Finna.

* * *

Huraganowy wiatr zwałił drzewa, pozrywał przewody energetyczne i śródmieście Cedar Grove pogrążyło się w ciemnościach; wyglądało jak miasto duchów. Na chodnikach leżały usypane przez wiatr głębokie zasypy śniegu, latarnie uliczne i sklepowe wystawy się nie świeciły. Ciemne okna domów mieszkalnych za miastem dowodziły, że awaria zasilania objęła swym zasięgiem cały teren.

Płatki śniegu wirowały w światłach reflektorów, które wydobywały z ciemności leżące na drodze konary drzew, co zmuszało Dana do powolnej jazdy i częstych gwałtownych manewrów kierownicą. Zbliżając się do skrzyżowania do Elmwood, dostrzegł kawałek dalej coś na kształt płonącej pochodni. Palił się umieszczony na słupie telefoniczny transformator, co tłumaczyło panujące wokół ciemności. Padła sieć zasilająca w całym Cedar Grove, a miasto nie dysponowało

systemem zasilania awaryjnego. Kilka lat wcześniej rada miejska podjęła decyzję o rezygnacji z tej inwestycji, uznając ją za zbyt kosztowną. Dodatkowym argumentem było to, że większość gospodarstw domowych posiadała własne generatory prądu, tyle że indywidualne generatory nie rozwiązywały kwestii zasilania telefonii komórkowej. W rezultacie w razie awarii przestawały działać nie tylko uliczne latarnie, ale także komórki.

Dan wjechał na podjazd przed domem i dostrzegł na śniegu ślady opon, ale subaru Tracy nie było. Natychmiast ogarnął go niepokój. Sprawdził swoją komórkę i stwierdził brak sygnału. Spróbował wybrać numer Tracy, ale usłyszał tylko ciągłe buczenie.

Gdzież ją, do diabła, poniosło?

Otworzył schowek, wyjął latarkę i poświecił. Psy, które zaczęły szczekać na odgłos podjeżdżającego samochodu, słysząc jego kroki, jeszcze bardziej się ożywiły.

– Spokój! – zawołał, otwierając drzwi i szykując się na radosne powitanie ze strony stu trzydziestu kilo żywej wagi. – No już dobrze, dobrze. – Poklepał psy i omiół wewnątrz strumieniem światła. Na wysokim oparciu jednego z kuchennych krzeseł wisiała jej torba.

– Tracy? – Brak odpowiedzi. – Chłopaki, gdzie ona się podziała?

Przecież rozmawiał z nią zaledwie pół godziny temu i zapewniła go, że w domu wszystko w porządku.

– Tracy? – Obszedł cały dom, wykrzykując jej imię. – Tracy?!

Na wyświetlaczu komórki nadal nie było kresek oznaczających siłę sygnału, ale i tak spróbował wybrać jej numer. Bez rezultatu.

– Zostań – rzucił do psów, otwierając frontowe drzwi, choć i bez tego żaden z nich nie kwapił się, by mu towarzyszyć. Przeszedł do garażu i włączył generator.

Światła w domu zapaliły się, telewizor ożył, choć na ekranie pojawił się tylko obraz bez dźwięku. Wziął do ręki niedopitą butelkę piwa. Była jeszcze całkiem zimna. Wcisnął na pilocie guzik MUTE i z głośnika popłynął głos lokalnego synoptyka, który posługując się mapą terenu, objaśniał siłę, zasięg i drogę szalejącej burzy śnieżnej. Zaznaczył też obszary wysokiego i niskiego ciśnienia oraz zapowiedział, że do rana może spaść do pół metra świeżego śniegu.

– Ale naszym głównym problemem nie jest obecnie śnieg, tylko wciąż nasilający się wiatr – stwierdził synoptyk.

– Kurczę, Sherlock – prychnął Dan, a pies na dźwięk swojego imienia cicho zaskowyczał.

– Z powodu wahań temperatury na liniach przesyłowych i na gałęziach drzew tworzy się warstewka lodu. Być może niektórzy z państwa natknęli się już na leżące na drogach gałęzie lub słyszeli trzask łamiących się pod ciężarem lodu konarów. Mamy informacje, że doszło do awarii co najmniej jednego

transformatora, co pograżyło w ciemnościach niemal cały rejon Cedar Grove.

– Powiedz mi, koleś, coś, czego nie wiem – mruknął Dan.

Na ekranie pojawił się prowadzący wiadomości ze studia.

– Będziemy co jakiś czas łączyli się z Timem, by na bieżąco informować państwa o rozwoju sytuacji na froncie pogodowym, ale wygląda na to, że mamy do czynienia z potężną burzą śnieżną.

Dan odłożył pilota i przeszedł do kuchni.

– Powiadomiono nas o pożarze, jaki wybuchł przy Pine Crest Road w Cedar Grove – usłyszał, znieruchomiał i zaczął słuchać.

Pamiętał tę okolicę z dawnych lat, ale nazwa ulicy skojarzyła mu się z czymś więcej niż tylko wspomnieniami z dzieciństwa. Z czymś znajomym i dużo świeższym.

– Jak nas informują, na miejscu szybko zjawili się funkcjonariusze z biura szeryfa oraz oddziały straży ogniowej, którym już udało się opanować pożar. Niestety, dom uległ poważnym zniszczeniom. Według informacji z biura szeryfa mieszkała w nim co najmniej jedna osoba w podeszłym wieku.

To mu odświeżyło pamięć. Na Pine Crest Road wysłał wezwanie, którego nie udało się doręczyć. Chodziło w nim o DeAngelo Finna, którego chciał przesłuchać jako świadka na rozprawie Edmunda House'a. Poczł zimne dreszcze. Zajrzał do teczki Tracy, potem sięgnął po kluczyki do samochodu i ruszył do wyjścia.

I wtedy zauważył kartkę przyklejoną na drzwiach.

* * *

Wirujące światła na dachach radiowozu Finlaya Armstronga i dwóch wozów strażackich rozsiewały czerwone, niebieskie i białe błyski, wskazując drogę do domku DeAngelo Finna. W światłach reflektorów Roy Calloway dojrzał zwęglone krokwie, które sterczały z resztek dachu jak żebra padliny, do której dobrali się już padlinożercy.

Zaparkował za większym z dwóch wozów strażackich i wysiadł. Minął kilku strażaków zwijających węże i skierował się w stronę stojącego na schodkach Finlaya Armstronga. Ten zauważył szeryfa, opuścił głowę i chroniąc twarz przed zamiecią, ruszył mu na spotkanie. Spotkali się przy segmencie płotu przewróconym przez strażaków, którzy tędy poprowadzili węże gaśnicze od ulicznego hydrantu. Armstrong miał postawiony kołnierz kurtki, klapki futrzanej czapy były spuszczone na uszy i zawiązane pod brodą.

– Wiedzą już, co spowodowało pożar? – spytał Calloway, przekrzykując wycie wiatru.

– Komendant straży mówi, że pachnie czymś łatwopalnym. Pewnie gazem.

– Gdzie?

Armstrong zmrużył oczy. Płatki śniegu osiadłe na futrze okalającym jego twarz zamieniły się w sopelki lodu.

– Co gdzie?

– Gdzie zaczęło się palić?

– W garażu. Podejrzewają, że mógł eksplodować generator.

– Znaleźli DeAngela?

Armstrong odwrócił głowę i odsłonił ucho.

– Znaleźli DeAngela? – powtórzył głośniejszym głosem szeryf.

Jego zastępca pokręcił głową.

– Dopiero co skończyli dogaszać. Na razie sprawdzają, czy można bezpiecznie wejść do środka.

Calloway ruszył przed siebie i wraz z Armstrongiem podszedł do ganku, na którym dwóch strażaków prowadziło głośną rozmowę. Szeryf pozdrowił Phila Ronkowskiego, zwracając się do niego po imieniu.

– Cześć, Roy – rzucił Ronkowski i rozłożył ramiona. – Pożar podczas śnieżycy. Tylko tego mi brakowało do kompletu.

– Znaleźliście DeAngela? – spytał Calloway.

Ronkowski pokręcił głową, zszedł z ganku i wskazał ręką zwęgloną konstrukcję dachu.

– Ogień szybko się rozprzestrzenił po dachu i zaatakował praktycznie wszystkie pomieszczenia. Coś musiało go podtrzymywać. Pewnie gaz. Sąsiedzi twierdzą, że dym był czarny i gęsty.

– Mógł zdążyć uciec?

Strażak skrzywił się.

– Módlmy się, żeby tak było, ale od przyjazdu nikogo nie widzieliśmy. Może w związku z pogodą schronił się u sąsiadów, ale jak dotąd nikt nas o tym nie powiadomił.

Usłyszeli głośny trzask i instynktownie odskoczyli. Na podwórzu runął wielki konar, miażdżąc fragment płotu, niemal ocierając się o tył wozu strażackiego i budząc popłoch wśród strażaków.

– Muszę tam wejść, Phil – powiedział Calloway.

– Konstrukcja nie została jeszcze sprawdzona i uznana za bezpieczną. – Ronkowski pokręcił głową. – Nie przy tym wietrze.

– Zaryzykuję.

– Roy, do cholery, zdawało mi się, że ja tu dowodzę!

– Spisz służbową notatkę. To moja decyzja. – Calloway wziął od Finlaya latarkę. – Zaczekaj tu.

Framuga drzwi nosiła ślady wyważenia, czarne opalenia i purchle farby wskazywały, gdzie jęzory ognia poszukiwały tlenu. Szeryf wszedł do środka i usłyszał hulający po domu wiatr i kapanie wody. Światłem latarki omiół opalone

ściany i nadpalone meble. Gromadzone przez całe życie fotografie w ramach i różne bibeloty leżały porozrzucone na dywanie, z sufitu zwisał namoknięty kawał płyty gipsowej, który przypominał prześcieradło suszące się na sznurze. Przez otwór w dachu sypał śnieg. Powietrze było tak przesiąknięte dymem i smrodem spalenizny, że Calloway musiał zakryć nos chustką. Przy każdym kroku jego buty wyciskały z dywanu kałuże wody.

Zajrzał przez otwarte drzwi do kuchni, ale tam DeAngela nie było. Przeszedł przez zrujnowany salon i w korytarzyku prowadzącym na tyły domu głośno zawołał DeAngela, ale odpowiedziała mu cisza. Pchnął barkiem pierwsze z brzegu drzwi i zajrzał do pokoju gościnnego. Tu zniszczenia były minimalne – zapewne dlatego, że tak, jak twierdził Ronkowski, pożar zaczął się w drugim końcu domu, a zamknięte drzwi skutecznie ograniczyły dopływ tlenu. Szeryf poświecił na duże dwuosobowe łóżko, potem otworzył drzwi szafy i omiótł światłem latarki drążek i kilka pustych drucianych wieszaków.

Wyszedł z pokoju i otworzył drzwi obok, pokonując opór skrzypiących zawiasów. Sypialnia pana domu. Ściany i sufit były osmalone, ale w porównaniu z resztą domu zniszczenia wydawały się minimalne. Poświecił latarką na komodę częściowo przykrytą opadłą z sufitu płytą gipsową, uklęknął i uniósłszy kapę, poświecił pod łóżko. Pusto.

Kłęcząc, raz jeszcze zawołał: „DeAngelo!”

Gdzie on się, do diabła, podział? Złe przeczucia, jakie go ogarnęły w chwili, gdy usłyszał o pożarze w domu Finna, przybierały na sile.

Do pokoju wszedł Finlay.

– Już tu idą – powiedział. – Znalazłeś go?

– Tu go nie ma.

– Zdążył uciec?

– To gdzie jest? – Calloway nie mógł się uwolnić od ponurych myśli. Podeszedł do szafy i pociągnął za uchwyt, ale drzwi nie drgnęły. – Popytaj wśród sąsiadów – rzucił. – Może w głowie mu się pokręciło.

Armstrong kiwnął głową.

– Już idę.

Szeryf chwycił za uchwyt i już chciał za niego szarpnąć, gdy zauważył wystające z drzwi i oddalone od siebie o jakiś metr dwa ciemne sztyfty. W świetle latarki wyglądały jak czubki kołków wystrzelonych z pistoletu, które przebiły ścianę. Tyle że te były dużo grubsze i bardziej przypominały szpikulce.

– Co, u diabła? – burknął i z całej siły szarpnął drzwi szafy. Nawet nie drgnęły, więc zaparł się nogą o ścianę i ponownie szarpnął. Tym razem otworzyły się łatwiej, niż oczekiwał, niemal wyrywając uchwyt z jego rąk.

– Jezu! – wrzasnął Armstrong i odskoczył do tyłu tak, że wpadł plecami na komodę.

Rozdział 53

Tracy słuchała, jak silnik jej subaru zмага się z kołami buksującymi w głębokim śniegu. Linia środkowa i pobocze szosy były zupełnie niewidoczne, ciągnęła się przed nią tylko płaska wstęga bieli. Dzięki napędowi na cztery koła i lewarkowi na LOW samochód parł do przodu, ale poruszał się dość wolno. Pracujące w równym rytmie, wycieraczki nie nadążały zgarniać z szyby gęsto padającego śniegu, co dodatkowo ograniczało widoczność do zaledwie paru metrów. Spadające na szybę czapy śniegu z przeciążonych gałęzi drzew chwilami całkowicie zasłaniały widok i każdorazowo wywoływały u Tracy odruchowe naciśnięcie hamulca, choć zdawała sobie sprawę, że zatrzymanie się grozi tym, że może już nie ruszyć.

Pokonała kolejny zakręt i oślepił ją ostry strumień światła, a ona odruchowo odbiła w bok ku skalnej ścianie. Pęd powietrza towarzyszący mijającej ją osiemnastokątowej ciężarówce zakołysał subaru, lewy bok zasypała fontanna śniegu tryskającego spod łańcuchów na kołach olbrzyma. Może to był głupi pomysł, żeby ruszać w drogę w taką zadymkę, ale nie mogła spokojnie siedzieć i czekać na poprawę pogody. Doznała olśnienia i nagle wszystko nabrało sensu. Tak bardzo, że poczuła złość, że wcześniej na to nie wpadła. No bo kto jeszcze miał dostęp do wiśniowego vana? Kto mógł podrzucić do niego biżuterię i włosy Sary? Ktoś, czyja obecność w tym miejscu nie budziłaby podejrzeń. Ktoś mieszkający w tym domu, komu Edmund House ufał.

Parker.

Tak bardzo się skupili na winie Edmunda House'a, że nikomu nie przyszło do głowy, by zweryfikować alibi Parkera. Zeznał, że miał nocną zmianę w tartaku, ale nikt tego nie sprawdził. Znaleźli winnego w osobie gwałciciela z wcześniejszym wyrokiem, więc nie widzieli powodu. Było jednak równie prawdopodobne, że Parker, znany powszechnie z nałogowego picia, wypił parę głębszych w jednym z barów, postanowił wrócić do domu boczną drogą, by uniknąć spotkania z patrolem policyjnym i natknął się po drodze na przemokniętą i bezradną dziewczynę. Sara zapewne знаła go z widzenia, więc bez wahania wsiadła do jego samochodu. Tylko co dalej? Czy zaczął się do niej przystawiać i wściekł się, kiedy go odepchnęła? Doszło do szamotaniny, Sara uderzyła o coś głową i straciła przytomność? Parker spanikował i schował jej ciało do worka na śmieci do czasu, aż będzie mógł bezpiecznie się go pozbyć? Niewątpliwie znał plany budowy zapory. Mieszkał w pobliżu terenu, który miał zostać zalany. Znał dobrze te okolice i brał nawet udział w akcji szukania Sary. I – co być może najważniejsze – miał pod ręką kozła ofiarnego, którego mógł łatwo podsunąć Callowayowi: bratanka z wyrokiem za gwałt.

Tartak w Pine Flat, w którym Parker wtedy pracował, już nie istniał, z czego więc żył teraz? Skąd miał pieniądze na opłacanie rachunków? W czasach, gdy Tracy mieszkała jeszcze w Cedar Grove, jego hobby była stolarka meblowa i od czasu do czasu wstawiał swoje meble w komis do Domu Handlowego Kaufmana. Widać później założył własną firmę „Meble prosto z Cascadii” i kupił półciężarówkę z platformą, by dostarczać nią swoje wyroby do klientów.

Tracy wróciła myślami do pytania, które zadała Danowi: co Edmund House zamierza z sobą począć jako wolny człowiek? Tyle że House właściwie na nie odpowiedział podczas ich pierwszego spotkania w Walla Walla.

Już sobie wyobrażam miny ludzi, jak mnie znów spotkają na ulicach Cedar Grove.

Bo gdzie indziej mógł się udać, jak nie do domu stryja na pustkowiu za Cedar Grove? Cały czas się upierał, że Calloway i Clark zawiązali przeciwko niemu spisek, i wyglądało, że się nie mylił. To jednak nie wyjaśniało, kto ukrył biżuterię w puszcze po kawie i kto podrzucił włosy do vana. Nie mogli tego zrobić ani Calloway, ani Clark. Nie w obecności rozeźlonego Edmunda i członków ekipy CSI. Czy Edmund się domyślił, że jego stryj uczestniczył w spisku? Że sprzymierzył się z Callowayem i Clarkiem, by chronić własną skórę?

Tracy na moment oderwała wzrok od drogi i zerknęła na wyświetlacz komórki. Ani jednej kreski. Ciekawe, czy Dan wrócił już do domu i znalazł jej wiadomość. Czy wsiadł do samochodu i pojechał do Roya Callowaya. Zauważyła zaspę wyglądającą tak, jakby ktoś celowo ją odgarnął z bocznej drogi i usypał na poboczu jezdni, i zwolniła, by się jej przyjrzeć. Próbowała sobie uzmysłowić, czy to tu powinna skręcić w drogę prowadzącą w górę do posiadłości Parkera. Jeśli się pomyli, ma duże szanse się zakopać i nie dać rady zawrócić.

Skręciła i lekko wcisnęła pedał gazu, by zachować stałą prędkość w jeździe pod górę. Opony subaru osunęły się w koleiny wyżłobione przez jakiś cięższy pojazd na szerszych oponach, na przykład półciężarówkę z platformą do przewozu mebli. Subaru tańczyło po drodze jak samochodzik na torze w wesołym miasteczku, światła reflektorów omiatały pnie i gałęzie drzew, które gwałtownie wyginały się na wietrze. Tracy siedziała pochylona nad kierownicą, wpatrzona w malejące pole widzenia na szybie coraz bardziej pokrytej lodem i śniegiem, z którymi nie radziły sobie ani wycieraczki, ani ustawiony na maksimum nadmuchi gorącego powietrza.

Zjechała nieco na bok, by pokonać zakręt, i już miała przyśpieszyć, gdy dostrzegła wystającą ze śniegu gałąź. Ostro zahamowała i z poślizgiem stanęła. Nieco dalej światła reflektorów wydobyły z ciemności pnie dwóch powalonych drzew, które tarasowały przejazd. Nie było szans na dalszą jazdę samochodem. Nie wiedziała, jak daleko stąd do domu Parkera House'a ani czy w ogóle jest na

właściwej drodze. Raz jeszcze zerknęła na wyświetlacz komórki i raz jeszcze stwierdziła, że brak zasięgu.

Czy Dan i Calloway są już w drodze? Nie wiedziała, ale instynkt podpowiadał jej, że nie ma chwili do stracenia.

Sprawdziła magazynek w glocku, wsunęła go na miejsce i wprowadziła nabój do komory. Włożyła do kieszeni kurtki dwa zapasowe magazynki, na głowę czapkę, na dłonie rękawice narciarskie, a do ręki wzięła latarkę znaną w szufladzie w kuchni Dana. Otworzyła drzwi i przytrzymując je ramieniem, żeby nie zamknął ich wiatr, zebrała się w sobie i wysiadła.

Rozdział 54

DeAngelo Finn wisiał ukrzyżowany na drzwiach szafy. Ręce miał rozpostarte na wysokości ramion, z dłoni przebitych metalowymi szpikulcami kapąła krew. Ciało podtrzymywał sznur, którym był obwiązany w pasie i którego koniec przywiązano do haka. Głowa ukrzyżowanego opadła na ramię, jego oczy były zamknięte, twarz w świetle latarki Callowaya miała barwę ziemiście szarą.

Szeryf przytknął ucho do piersi Finna i dosłyszał ciche bicie serca. Finn jęknął.

– On żyje – rzekł z niedowierzaniem w głosie Armstrong.

– Znajdź mi jakiś młotek albo coś w tym rodzaju.

Armstrong wyszedł sypialni, zataczając się i zgarniając ręką rzeczy z komody.

W pierwszym odruchu Calloway chciał odwiązać sznur od haka, ale w porę sobie uświadomił, że wtedy cały ciężar Finna zawiśnie na przyszpilonych dłoniach.

– Trzymaj się, DeAngelo. Pomoc jest już w drodze. Słyszysz mnie? DeAngelo? Trzymaj się. Zaraz cię stąd zdejmujemy.

Do sypialni wrócił Armstrong, za nim wsunęli się Ronkowski i dwóch strażaków.

– Jezu! – jęknął Ronkowski.

– Potrzebne mi coś do wyciągnięcia tych gwoździ.

– Jeśli je wyciągniesz, ból go zabije – sapnął Ronkowski.

– A jakby je wybić od zewnętrznej strony drzwi szafy?

– To samo.

– To może je przeciąć i zostawić?

Ronkowski potarł dłonią twarz.

– No dobra – mruknął. – Możemy spróbować. Podtrzymamy go, żeby odciążyc dłonie. Dirk, przynieś piłkę do metalu.

– Czekaście! – rzucił Armstrong, powstrzymując strażaka ręką. – Wystarczy wyjąć trzpienie z zawiasów i odczepić całe drzwi. Użyjemy ich zamiast noszy.

– Ma rację – przyznał Ronkowski. – To lepszy pomysł. Dirk, idź po młotek i śrubokręt. – Zbliżył twarz do DeAngela. – Ma trudności z oddychaniem. Unieście go, żeby mu odciążyc klatkę piersiową.

Gdy Calloway objął DeAngela w pasie i dźwignął, starzec jęknął. Armstrong przyniósł z kuchni taboret i wsunął pod nogi wiszącego, ale Finn był za słaby, by się na nim oprzeć. Calloway nie puścił go aż do przyjścia Dirka, który przyniósł młotek i śrubokręt i od razu zabrał się do rozkręcania górnego zawiasu.

– Nie – powstrzymał go Armstrong. – Najpierw dolny. Górny przytrzymamy.

Strażak wybił trzpień z dolnego zawiasu, potem ze środkowego, Armstrong i Calloway przytrzymywali w tym czasie drzwi.

– Trzymacie go? – upewnił się strażak.

– Wybijaj – ponaglił go Armstrong.

Dirk wybił górny trzpień, szeryf przejął na siebie cały ciężar Finna wraz z drzwiami, po czym obaj z Armstrongiem powoli ułożyli drzwi na łożku.

– Przynieś gumowe sznury – polecił Ronkowski. – Jeśli mamy go stąd wynieść, musimy go przymocować do drzwi.

Strażak poszedł po gumy, a Ronkowski włożył Finnowi maskę tlenową i sprawdził tętno. Kiedy Dirk wrócił z gumami, Calloway i Armstrong odwiązali pętlę na brzuchu Finna, przewlekli gumowe sznury pod drzwiami i obwiązali nimi starca na wysokości kostek nóg, pasa i klatki piersiowej.

– Dobra, spróbujmy go teraz stąd wynieść – zarządził Ronkowski.

Calloway chwycił drzwi przy głowie Finna, Armstrong od strony nóg.

– Na trzy – powiedział Ronkowski.

Unieśli wolno drzwi, unikając gwałtownych ruchów. Finn znowu jęknął.

Przeciskając się przez drzwi, Armstrong uniósł głowę i spojrzał na szeryfa.

– Kto mógł zrobić coś takiego, Roy? – jęknął. – Chryste Panie, kto mógł tak potraktować starego człowieka?

Rozdział 55

Czuła, jak zimno przenika każdym szwem ubrania, kłując jej skórę dziesiątkami szpileczek. Opuściła głowę, by schować ją przed wiatrem, przekroczyła powalone drzewo i ruszyła w górę po śladach kół. Trzymała się kolein zostawionych przez opony, ale i tak zapadała się do połowy łydek i każdy krok wymagał nie lada wysiłku. Szybko się zadyszała, ale brnęła dalej, nie dopuszczając do siebie myśli, że cały wysiłek pójdzie na marne, bo i tak nie da rady wycofać samochodu tyłem, a zawrócenie w świeżym śniegu w ogóle nie wchodziło w rachubę. Zresztą sama uruchomiła tę całą zawieruchę zdarzeń i musiała sama ją zatrzymać.

Po dwustu metrach marszu dotarła do skraju płaskiego placu i poprzez wirujące płatki śniegu dostrzegła kawałek dalej plamę światła, zarysy budynków i przysypane śniegiem kształty. Z procesu Edmunda House'a pamiętała fotografię posiadłości Parkera z lotu ptaka i widoczne na niej budynki z dachami z blachy falistej oraz stojące na podwórzu samochody i maszyny rolnicze w naprawie. Pewnie od tamtej pory niewiele się zmieniło. To musiało być tu. Zgasła latarkę i zaczęła brnąć ku plamie światła za domem. Po drodze natknęła się na nie całkiem przysypaną śniegiem półciężarówkę z platformą, którą widziała przed sądem. Zeskrobała warstwę lodu i śniegu z tablicy rejestracyjnej, stwierdziła, że numer zgadza się z podanym jej przez Kinsa, i to rozwiało resztki wątpliwości. Przyjrzała się byle jak skleconemu pojazdowi i stwierdziła, że kabinę pokrywa półmetrowa warstwa śniegu, z krawędzi platformy zwisają trzydziestocentymetrowe sople lodu, a z rury wydechowej nie dobywa się żaden opar.

Wiatr wynalazł sobie szparę między kołnierzem kurtki a czapką i mroził kręgosłup Tracy, końce palców mimo rękawic zdrętwiały z zimna i pomyślała ze strachem, że jeśli jeszcze trochę postoi na tym mrozie, może całkiem stracić sprawność fizyczną.

Z trudem pokonała zasy py dzielące ją od drewnianych schodków przed drzwiami, z których ktoś niedawno odgarnął śnieg. Deski lekko ugięły się pod jej ciężarem, weszła na niewielki ganek i przyłgnęła plecami do ściany. Chwilę odczekała, po czym wyciągnęła szyję i spróbowała zajrzeć do środka przez szybę, która jednak okazała się zamarznięta od zewnątrz i zaparowana od środka.

Zębami ściągnęła rękawice, rozpięła suwak kurtki i wyjąwszy glocka, boleśnie odczuła lodowaty dotyk metalu. Pochuchała w jedną, potem w drugą dłoń i sięgnęła do klamki. Nacisnęła, ale drzwi nie ustąpiły. Pomyślała, że są pewnie zamknięte od środka, lecz w zamku nagle coś szcęknęło i drzwi puściły. Szyby w oknie lekko zadrżały, więc Tracy znów chwilę odczekała, czując, jak wiatr smaga jej plecy i niemal strąca dłoń z klamki. Wślizgnęła się do środka i zamknęła

za sobą drzwi. Osłoniło to ją od wiatru świszczącego w całym domu, ale nie od zimna. Wewnątrz temperatura była niemal tak niska jak na zewnątrz i w dodatku śmierdziało gnijącymi odpadkami.

Chwilę wyginała palce, by przywrócić im krążenie, i jednocześnie próbowała się zorientować w układzie pomieszczeń. Pod niewielkim oknem z czterema szybkami stał stół i jedno krzesło, blat kuchenny w kształcie litery L z wbudowanym stalowym zlewozmywakiem ciągnął się wzdłuż całej ściany; w sąsiednim pomieszczeniu paliło się światło – zapewne to, które ją tu zwabiło. Starła się poruszać ostrożnie, ale i tak podłoga pod jej ciężarem lekko skrzypiała, na szczęście częściowo zagłuszał to warkot pracującego generatora. Tak jak wszędzie, tu też zabrakło prądu. Tracy przesunęła się wzdłuż blatu, dotarła do drzwi w ścianie działowej i z pistoletem w ręce uchyliła je szerzej.

Światło aż raziło, bo źródłem była goła żarówka, a zdjęty z niej abażur leżał na podłodze obok odwróconego do niej oparciem pokrytego pluszem fotela. Od lampy wił się po podłodze i ginął gdzieś w przedpokoju pomarańczowy kabel. Tracy wślizgnęła się do pokoju i zamarła na widok siwej czupryny tuż nad oparciem fotela. Ktoś na nim siedział. Chwilę odczekała, ale jej wejście nie wywołało żadnej reakcji. Przeszła kilka kroków i obeszła fotel z boku. Podłoga pod jej nogami wciąż skrzypiała, zdradzając jej obecność. Minęła stojący obok fotela stolik, zrobiła kolejny krok i zza bocznego skrzydła oparcia fotela wyłoniła się twarz siedzącego.

Mężczyzna uniósł głowę, otworzył oczy i spojrzał na nią.

– O Jezu! – jęknęła.

Na fotelu siedział Parker House.

Rozdział 56

Parker House wytrzeszczył oczy i wlepił w nią spojrzenie, w którym Tracy zamiast zaskoczenia dojrzała przerażenie, z jakim wielokrotnie miewała do czynienia w swojej pracy. Tak patrzyły ofiary brutalnych napaści. Podłokietniki były nasiąknięte krwią w miejscach, gdzie dłonie Parkera przyszpilono metalowymi szpikulcami. Dwa takie same szpikulce wystawały z butów przybitych ze stopami do podłogi. Spod obu zelówek sączyły się strużki krwi.

Tracy oderwała wzrok od pobludłej twarzy Parkera i szybko się rozejrzała. Obok piecyka dojrzała ciemny wylot korytarza i skierowała ku niemu światło latarki. Serce waliło jej jak młotem, w głowie wirowało, ale nawyki zawodowe wzięły górę i Tracy ruszyła z bronią w jednej ręce i latarką w drugiej w głąb mrocznego korytarza, omiatając go światłem. Przyłgnęła plecami do ściany, przemknęła wokół framugi drzwi i rzuciła snop światła na rozbebeszone łóżko i prymitywną komodę. Przesunęła się dalej, powtórzyła ten sam manewr w następnym pokoju i stwierdziła, że poza wąskim łóżkiem, szafką nocną i komodą niczego w nim nie ma. Zawróciła do dużego pokoju, gorączkowo próbując uporządkować myśli i coś z tego zrozumieć.

Parker siedział z zamkniętymi oczami. Uklękała i delikatnie dotknęła jego dłoni.

– Parker? Parker?

Z trudem otworzył oczy. Powieki pozostały do połowy przymknięte, twarz wykrzywił grymas, jakby nawet taki wysiłek sprawiał mu ból. Jego wargi się poruszyły, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Oddychał szybko i płytko, z wyraźnym wysiłkiem. W końcu udało mu się coś z siebie wydusić.

– Chciałem...

Tracy przysunęła się bliżej.

– Chciałem... ostrzec...

Wzrokiem prześlizgnął się po jej twarzy, jakby coś nad nią zobaczył, a ona za późno pojęła swój błąd. Światło było tylko przynętą, która miała ją tu zwabić jak ćmę do ognia, warkot generatora miał zagłuszyć dźwięki.

Tracy zerwała się na nogi, ale nim zdążyła się obrócić, poczuła ostry ból z tyłu głowy. Nogi się pod nią ugięły, pistolet wypadł jej z dłoni. Poczuła na sobie ręce, które objęły ją w pasie i podtrzymały. Na uchu poczuła czyjś ciepły oddech.

– Pachniesz całkiem jak ona.

* * *

Roy Calloway i Finlay Armstrong przenieśli drzwi szafy z przytroczonym Finnem przez cały dom i wyszli na dwór. Porywy wichury były tak gwałtowne, że

musieli je trzymać z całej siły, by nie odfrunęły jak latawiec.

– Teraz ostrożnie – powiedział Calloway, czując, jak nogi ślizgają mu się na oblodzonej ścieżce przed domem. Stawiając małe kroki i szurając stopami, donieśli swój ładunek do drzwi karetki.

– W drogę – zarządził Ronkowski.

Szeryf pochylił się nad leżącym Finnem.

– Zajmę się tym – szepnął mu do ucha. – Dokończę to, co powinienem był zrobić dwadzieścia lat temu.

– Roy, musimy jechać – ponaglił go Ronkowski. – Życie z niego wycieka.

Calloway wysiadł z karetki, Ronkowski zatrzasnął drzwi, samochód przez chwilę buksował kołami w miejscu i w końcu, błyskając lampami, ruszył. Szeryf, Finlay i stojący obok niego strażacy odprowadzili go wzrokiem. Śnieg z wolna przysypywał ich sprzęt gaśniczy, na wąsach i brodach tworzyły się kryształki lodu.

– Czyjaś komórka działa? – zapytał Calloway.

Żadna nie działała.

– Wsiadaj w samochód i jedź do Vance’a Clarka – zwrócił się do Armstronga. – On i jego żona mają pojechać z tobą. Przekaż mu, że ma wziąć z sobą spławek i trzymać ją w pogotowiu.

– Roy, co się dzieje?

Calloway chwycił zastępcę za ramiona, ale nie podniósł głosu.

– Słyszałeś, co powiedziałem?

– Dobra, dobra, słyszałem.

– A potem jedź do mnie i zabierz moją żonę. Zabierz ich wszystkich troje na posterunek i czekajcie przy radiostacji.

– Co mam im powiedzieć?

– Że ja tak kazałem. Moja żona potrafi być uparta jak oślica. Powiedz jej, że mówiłem, że nie życzę sobie żadnej dyskusji. Jasne?

Armstrong kiwnął głową.

– No to w drogę. Zrób wszystko dokładnie tak, jak powiedziałem.

Zapadając się po kolana w śnieg, Armstrong dotarł do swojego radiowozu. Gdy po chwili rozpląnął się w zadymce, Calloway wsiadł do suburbana, wyjął z uchwytu karabin Remington 870, otworzył zamek i załadował pięć naboju, po czym wrzucił garść do kieszeni. Jeśli mają to być jego ostatnie dni na urzędzie, odejdzie, wypełniając do końca swoje obowiązki.

Uruchomił silnik i już miał ruszyć, gdy z zawiei wyłonił się jadący prosto na niego samochód, jakby wręcz celował w jego przedni zderzak. Tahoe zatrzymał się z poślizgiem i ostatnie kilka metrów pokonał, sunąc bokiem. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się i wyskoczył Dan O’Leary w grubej kurtce i futrzanej czapie. Zostawiając za sobą otwarte drzwi, zapalone światła i pracujący silnik.

Szeryf opuścił szybę.

– Przesuń ten cholerny samochód, Dan! – zawołał.

Dan bez słowa podał mu kartkę. Calloway odczytał jej treść, zmiął ją w kulkę i walnął pięścią w kierownicę.

– Zjedź na bok i wsiadaj – rzucił.

Rozdział 57

Dan trzymał się uchwytu na drzwiach, drugą rękę docisnął do deski rozdzielczej, stopami wparł się w podłogę, ale niewiele to pomagało. Suburban, którego tyłem co chwila zarzucało, tańczył na drodze. Calloway umiejętnie kontrował i dodawał gazu, koła co chwilę buksowały w miejscu, po czym ciężki samochód gwałtownie wrywał do przodu. Gęsty śnieg zasypywał szybę i ograniczał widoczność, reflektory kilkadziesiąt centymetrów przed maską bezradnie odbijały się od białej ściany płatków. Szeryf gwałtownie skręcił, by ominąć zwaloną gałąź, i Danem aż szurnęło po przedniej kanapie.

– James był zrozpaczony – zaczął Calloway. – Od początku wiedzieliśmy, że sprawcą jest House. Nie kupowaliśmy bajeczki o pokaleczeniu twarzy i rąk odłamkiem drewna, ale nie mogliśmy tego udowodnić. Powiedziałem Jamesowi, że jeśli nie uda nam się powiązać House’a z Sarą, nigdy go nie dopadniemy. Uświadomiłem mu, że bez ciała i śladów kryminalistycznych nie mamy czego szukać w sądzie i łajdak uniknie kary. Jeszcze nigdy nikogo nie skazano za morderstwo z premedytacją bez ciała ofiary. Badania kryminalistyczne nie były wtedy tak wyrafinowane jak dziś.

– I wtedy zgodził się dać jej biżuterię i kosmyk włosów.

– Nie od razu. Początkowo nie chciał o tym słyszeć.

– Co wpłynęło na zmianę jego decyzji?

Calloway spojrzał na Dana z ukosa.

– George Bovine.

– Gałąź! – wrzasnął Dan i zaparł się nogami o podłogę, a Calloway wykonał gwałtowny skręt, ledwo omijając wielki konar na drodze.

Dan w milczeniu uspokoił oddech i dopiero po chwili mruknął:

– Nasłałeś na niego Bovine’a, tak jak go nasłałeś na mnie.

– Bzdura! Bovine sam się zgłosił do Jamesa, kiedy o zaginięciu Sary zrobiło się głośno. Nie miałem z tym nic wspólnego. Kiedy James zadzwonił i poprosił, żebym do niego przyjechał, Bovine już u niego był. Tracy i Abby nie było w domu, James zamknął drzwi do gabinetu i Bovine opowiedział nam to, co pewnie opowiedział też tobie. Tydzień później James ponownie wezwał mnie do siebie i wręczył mi plastikową torebkę z kolczykami i kosmykiem włosów Sary. Nawet nie przyszło nam do głowy, że część tych włosów może należeć do Tracy. Jak już ci mówiłem, tego typu drobiazgi specjalnie nas wtedy nie martwiły. Schowałem kolczyki i włosy do szuflady biurka i długo się zastanawiałem, nim włączyłem w to Vance’a Clarka. Obaj zgodnie uznaliśmy, że bez nakazu przeszukania posiadłości Parkera dowody niczego nie załatwią. A jedynym sposobem na zdobycie nakazu było znalezienie świadka, który podważyłby alibi House’a i skierowałby na niego

podejrzenie.

– Jak przekonałeś Hagena, żeby tak zeznawał? Nagrodą?

Calloway wykonał skręt i tyłem suburbana gwałtownie zarzuciło. Szeryf odbił kierownicą w drugą stronę, SUV zatrząsł się i silnik na moment zawył na wysokich obrotach, po chwili jednak koła odzyskały przyczepność.

– Ojciec Ryana i ja byliśmy razem w akademii policyjnej. Znałem tego chłopaka od dziecka. Gdy jego ojciec zginął w wypadku drogowym, utworzyłem fundusz na rzecz rodziny. Ryan wpadał do mnie, ilekroć był w Cedar Grove.

– I stąd wiedział o Sarze.

– Wszyscy wiedzieli o Sarze. Podczas jednego z naszych spotkań wspomniałem mu, że potrzebuję kogoś, kto mógłby zeznać, że się kręci po okolicy o różnych porach dnia i nocy. Wtedy on sprawdził swój terminarz i powiedział, że akurat tego dnia tu był. Wystarczyło, żeby zeznał, że jechał boczną drogą i widział na niej vana House'a. Pomyślałem, że kiedy CSI znajdzie dowody, House dojdzie do wniosku, że go mamy, powie nam, gdzie zakopał ciało Sary, i na tym sprawa się zakończy. Przyzna się do winy, dostanie dożywocie bez prawa do ulaskawienia i będziemy mieli go z głowy. Nigdy nie przyszło mi na myśl, że może dojść do drugiego procesu.

Calloway zwolnił i skręcił kierownicę w prawo, suburban podskoczył na wybojach i zaczął się wspinać pod górę.

– Świeże ślady opon – zauważył Dan.

– Widzę.

– Miałeś przy sobie biżuterię i włosy w trakcie przeszukania i wtedy je podrzuciłeś, tak?

Szeryf obrzucił Dana spojrzeniem i odczekał, aż ustanie gwałtowny podmuch wiatru.

– Nie mogłem tego zrobić z ekipą CSI na karku i nie mogłem sam tam pojechać, żeby nie wzbudzić podejrzeń House'a. Nie, zrobił to Parker.

– Parker? Dlaczego miałby wrabiać własnego bratanka?

Calloway pokręcił głową.

– Ty wciąż nic nie kapujesz, co?

Rozdział 58

Sara podśpiewywała do kompaktu Bruce'a Springsteena z kolekcji Tracy, postukując palcami o kierownicę do taktu E Street Band. Tak naprawdę to była muzyka Tracy i Sara nie znała nawet wszystkich słów, ale lubiła patrzeć na tyłek Springsteena w obcisłych dżinsach.

Śpiewała z nim *Born To Run*, starając się nie myśleć o odejściu Tracy. Nie odejściu w dosłownym sensie, ale nie miała wątpliwości, że zamążpójście siostry wszystko zmieni.

Droga z Olympii była długa i nużąca. Cieszyła się szczęściem Tracy, ale od czasu pojawienia się Bena nic już nie było tak samo. Siostra zawsze była jej najlepszą przyjaciółką i niekiedy zastępowała jej nawet matkę. Sara wiedziała, że najbardziej będzie jej brakowało ich wieczorów, kiedy leżąc w łóżku, gadały o wszystkim – od strzelectwa po szkołę i chłopaków. Podpytywała nawet Tracy, czy po ślubie będą mogły nadal mieszkać razem. Uśmiechnęła się do myśli, jak pakuje się do łóżka Tracy, a siostra ją przytula i pomaga zasnąć. Pomyślała też o ich wspólnym pacierzu. Zawsze pamiętały o zmówieniu pacierza. Sara często tylko tak potrafiła usnąć.

Usłyszała w myślach głos Tracy.

Już nie...

– Już nie... – powtórzyła głośno.

Już się nie boję...

– Już się nie boję...

Już się nie boję ciemności

– Już się nie boję ciemności.

Ale miała osiemnaście lat i wciąż się bała.

Będzie jej brakowało podbierania sobie ciuchów i budzenia się w łóżku Tracy w bożonarodzeniowy poranek. Będzie jej brakowało zjeżdżania po poręczy, chowania się w kącie i straszenia Tracy i jej koleżanek. Będzie jej brakowało ich domu, wierzby płaczącej w ogrodzie, huśtania się na jej w itkach, wiszenia nad trawnikiem i fantazjowania, że rozpościera się pod nią nie trawnik, ale pełna aligatorów Amazonka. Tego wszystkiego będzie jej brakowało.

Otarła łzę z policzka. Myślała, że już się z tym pogodziła, ale gdy teraz nadszedł ten dzień, okazało się, że wcale tak nie jest. I nigdy nie będzie.

W przyszłym roku wyjeżdżasz na uniwersytet w Seattle, upomniała się. Tracy przynajmniej będzie miała Bena.

Uśmiechnęła się na wspomnienie miny siostry, kiedy wręczano jej srebrną klamrę. Była tak skwaszona, jakby ją pszczoła użądliła w tyłek. Nie miała pojęcia, dlaczego siostra dała jej wygrać. Była tak zła, że nawet nie zauważyła, że Ben włożył nową koszulę i nowe spodnie. Sara pomagała mu wybrać jedno i drugie. Bóg jej świadkiem, że sam by sobie z tym nie poradził. Zadzwoił do niej dwa tygodnie przed zawodami i powiedział, że zamierza się oświadczyć Tracy w ich ulubionej restauracji w Seattle, ale jedyna rezerwacja w tym dniu jest możliwa na dziewiętnastą trzydzieści. To znaczyło, że aby zdążyć na czas, będą musieli pojechać zaraz po zawodach, a to z kolei znaczyło, że Sara będzie musiała sama wrócić do domu. Oboje znali Tracy i jej opiekuńcze zapędy „starszej siostry”, więc Sara musiała wymyślić coś, co zniechęci Tracy do odwiezienia jej do domu. Nie musiała się długo zastanawiać. Wiedziała, że Tracy nienawidzi przegrywać, ale jeszcze bardziej nienawidziła, kiedy Sara celowo pozwalała jej wygrać. W strzelaniu lub w czymkolwiek.

Deszcz padał ogromnymi, rozbryzgującymi się na szybie kroplami, ale to wciąż jeszcze nie był potop, którym Tracy tak się przejmowała. Rany! Jakby tu nigdy wcześniej nie padało!

Z kompaktu popłynęła następna piosenka i Sara znów rozpoczęła duet ze Springsteenem.

Gdy samochód gwałtownie szarpnął, aż podskoczyła. Spojrzała w lusterko wsteczne w obawie, że najechała na coś na drodze, ale było za ciemno, by cokolwiek dojrzeć.

Samochód znów szarpnął i tym razem była już pewna, że w nic nie uderzyła. Silnik zaczynał się dławić i przerywać, kamper tracił prędkość. Wskaźnik szybkościomierza szybko opadał, na desce rozdzielczej zapaliła się kontrolka paliwa.

– Kurczę, żarty sobie robisz?

Czerwona kreska szybko zjechała na E.

Sara postukała palcem w szybkę, ale wskaźnik nawet nie drgnął. No nie! To nie może dziać się naprawdę!

– Powiedz mi, że to się nie dzieje naprawdę – powiedziała na głos.

Przecież to niemożliwe.

Zatankowały do pełna w piątek, bo Tracy nie chciała mieć tego na głowie rano w dniu zawodów, żeby się nie spóźnić. Sara kupiła sobie na stacji dietetyczną colę i torbę cheetos.

„Chyba nie będziesz jadła tego świństwa na śniadanie”, mruknęła z naganą w głosie Tracy.

Silnik zgasł, kierownica nagle się usztywniła i z trudem dawała się obrócić. Sarze udało się przepchnąć kampera za zakręt, lekki spadek drogi pozwolił mu kawałek się potoczyć, ale z całą pewnością nie na tyle, by dotoczył się aż do Cedar

Grove, chociaż niewiele zostało już do miasta. Samochód zaczynał stawać, Sara skręciła kierownicę lekko w prawo, koła zachrzęściły na poboczu i samochód się zatrzymał. Przekręciła kluczyk i silnik wydał charkot, jakby się z niej naśmiewał. A potem coś pyknęło i zapadła cisza. Oparła się plecami o fotel, walcząc z chęcią wydania wrzasku. Springsteen nie przestawał jęczeć i zawodzić. Wyłączyła odtwarzacz.

Chwilę pomilczała, po czym powiedziała na głos:

– No dobra, trzeba się przegrupować. – Ojciec zawsze ich uczył, że w każdej sytuacji trzeba zachować elastyczność i mieć plan działania. – Jaki mam plan działania? Trzeba zacząć od najważniejszego. Gdzie ja, u diabła, jestem?

Spojrzała w lusterko wsteczne. Nic nie jechało, nie widać było żadnych świateł. W ogóle nic nie było widać. Kiedyś dobrze знаła te okolice, ale ostatnio częściej korzystała z autostrady, a po drodze specjalnie się nie rozglądała. Nie bardzo wiedziała, gdzie jest. Spojrzała na zegarek i spróbowała policzyć, ile minęło czasu od wyjazdu z Olympii. Miała nadzieję, że na tej podstawie dojdzie, ile jej jeszcze zostało do Cedar Grove. Niestety, nie była do końca pewna, o której wyjechała z parkingu. Wiedziała natomiast, że od zjazdu na szosę okręgową do skrętu do Cedar Grove jedzie się dwadzieścia minut. Oceniała, że od zjazdu minęło jakieś dziesięć minut, a skoro tak, to do skrętu zostało jeszcze jakieś osiem, dziesięć kilometrów. Nie był to spacer po parku, zwłaszcza w taką pogodę, ale też nie maraton. A może jej się poszczęści i złapie jakąś okazję, choć wiedziała, że od czasu zbudowania autostrady ruch na tej szosie bardzo zmalął.

„Obiecuj, że będziesz się trzymała autostrady”.

Dlaczego nie posłuchała siostry? Tracy ją za to zabije.

Jęknęła, pozwalając sobie troszkę się nad sobą poużalać, ale zaraz się otrząsnęła i zaczęła obmyślać plan działania. Przez chwilę rozważała pomysł spędzenia nocy w kamperze, zaraz jednak pomyślała o panice, w jaką wpadnie Tracy, gdy rano zadzwoni – bo że zadzwoni, by przekazać jej radosną wiadomość, było pewne – a jej nie będzie w domu. Siostra podniesie alarm, ściągnie rodziców z Hawajów, zawiadomi FBI i zwoła mieszkańców Cedar Grove, żeby jej szukali.

– No dobra – powiedziała na głos. – W każdym razie nic nie zdziałasz, jak będziesz tak beczynnie siedzieć. Trzeba się stąd ruszyć.

Włożyła kurtkę i sięgnęła na fotel pasażera po czarnego stetsona Tracy. Pod kapeluszem leżała srebrna klamra i Sara wsunęła ją do kieszeni. Chciała rano oddać klamrę siostrze, żeby jej pokazać, jaką była zołą. Potem obie zdrowo się pośmieją, a srebrna klamra będzie już im zawsze przypominać zaręczyny Tracy. Może nawet uda się doczepić do niej jakąś okolicznościową plakietkę czy coś w tym rodzaju.

Zwlekała, jakby grając na czas. Wcale jej się nie uśmiechał długi spacer w deszczu.

Włożyła stetsona, wysiadła z kampera i zamknęła kluczykiem drzwi. Jak na

złość, deszcz jeszcze się wzmógł, a ulewie zaczęły towarzyszyć grzmoty. Ruszyła poboczem w nadziei, że znajdzie jakąś kryjówkę pod gałęziami drzew. Po chwili poczuła na plecach spływające krople wody.

– Zdaje się, że naprawdę dostanę niezłą szkołę – mruknęła.

Dla otuchy zaczęła nucić *Born to Run*, bo słowa piosenki jakoś zapadły jej w pamięć.

– *Wszyscy dziś wylegli na drogi, ale nie ma nic, co by...* Nie pamiętam wszystkich słów.

Po paru minutach marszu przystanęła i nastawiła uszu. Wydało jej się, że słyszy warkot silnika, ale przez szum deszczu w gałęziach drzew i chlupot kropli o asfalt nie była pewna. Zeszła jeszcze bardziej na pobocze i obejrzała się, starając się przebić wzrokiem ciemności. Tak. Kawałek dalej pojawiła się poświata, po czym zza zakrętu wyłoniła się para reflektorów. Sara stanęła na skraju jezdni, uniosła rękę i osłoniła sobie oczy przed rażącym blaskiem reflektorów. Samochód zwolnił i chwilę potem się zatrzymał.

Czerwony van Chevy.

Rozdział 59

Tracy otworzyła oczy, ale nadal otaczała ją całkowita ciemność. Wszystko ją bolało, jej myśli otulała mgła, była zupełnie oszołomiona, nie pamiętała, co jej się przydarzyło. Poruszyła głową i poczuła tak ostry ból, promieniujący na całą górną część czaszki, że się skrzywiła. Gdy ból nieco zelżał, podparła się ręką i podciągnęła do pozycji siedzącej. W głowie jej waliło, kończyny miała ciężkie jak z ołowiu. Kilka razy głęboko odetchnęła, próbując zebrać myśli i odzyskać orientację. Obrazy zaczęły napływać kolejnymi falami.

Zbliża się do jakiejś rudery.

Przysypana śniegiem platforma ciężarówki.

Prowadzące do kuchni drzwi.

Pokój dzienny.

Męska głowa wystająca zza oparcia fotela.

Parker House zwracający ku niej twarz i otwierający oczy.

„Pachniesz całkiem jak ona”.

Ktoś uderzył ją w tył głowy. Spróbowała unieść rękę, żeby się pomacać, i stwierdziła, że ręka strasznie jej ciąży. Potrząsnęła nią i usłyszała brzęk łańcuchów. Serce podeszło jej do gardła. Spróbowała wstać, ale zakręciło jej się w głowie i opadła na kolano. Zrobiła kilka głębokich wdechów, odczekała, aż jej miną zawroty głowy, i spróbowała ponownie. Zachwiała się na nogach, ale udało jej się zachować równowagę.

Wymacała, że ręce ma skute kajdankami połączonymi trzydziestocentymetrowym łańcuchem, od którego w połowie ciągnie się następny, masywniejszy. Przekładając dłonie, stwierdziła, że łańcuch kończy się na prostokątnej stalowej płytce, na której opuszkami palców wymacała sześciokątne łby dwóch śrub. Zaparła się nogą o ścianę, owinęła sobie łańcuch wokół ręki i pociągnęła. Poczuła, że płytka lekko się poddaje, ale w tym samym momencie znów zakręciło jej się w głowie i ogarnął ją silny pulsujący ból.

Usłyszała za sobą jakiś szmer. Ciemności rozjaśniła smuga bladego światła, która stopniowo zaczęła się rozszerzać. Ktoś otwierał drzwi. W świetle zamajaczyła jakaś sylwetka, po czym drzwi się zamknęły i znów zapadły całkowite ciemności. Oparła się plecami o ścianę i uniosła ręce i nogi, szykując się do odparcia ataku.

Starala się namierzać słuchem odgłos kroków, ale w panujących ciemnościach kroki zdawały się zbliżać jednocześnie ze wszystkich stron. Usłyszała dziwny chrzęst i rozbłysło ostre światło, na moment zupełnie ją oślepiając. Spuściła wzrok, czekając, aż rozplyną się czarno-białe plamy, potem uniosła rękę i przysłoniła oczy. Źródłem światła okazała się goła, niczym

nieosłonięta żarówka na przewodzie doczepionym do drewnianej belki. Jednej z dwóch podtrzymujących gliniany strop ze śladami szpadla, którym go uklepywano.

Pod żarówką klęczał ktoś zwrócony do niej plecami i kręcił korwą sterczącą z drewnianej skrzynki. Przy każdym obrocie korby rozlegał się chrzęst, jakby do lotu zrywała się chmara niewidzialnych owadów, drucik w żarówce gwałtownie się rozżarzał, a barwa światła przechodziła od pomarańczowej przez czerwoną aż po rażąco białą, stopniowo rozświetlając pomieszczenie i wydobywając z mroku jego zarysy.

Tracy oceniła, że pomieszczenie ma mniej więcej sześć metrów na cztery i jest wysokie na dwa i pół metra. Ściany były z gołej gliny, cztery spękane stemple podpirały dwie belki stropowe. Rzeczywiście na nadgarstkach miała zardzewiałe metalowe kajdanki połączone kawałkiem łańcucha, od którego prowadził mniej więcej półtorametrowy łańcuch do prostokątnej metalowej płytki przytwierdzonej śrubami do betonowej ściany. Na podłodze leżały kawałki wykładziny dywanowej, w rogu stało żelazne łóżko z dziurawym materacem i stare rozchwierutane krzesło. Jedna ze ścian była zabudowana półkami z surowych desek, na których widać było puszki z konserwami i kieszonkowe wydania książek. Zza książek wystawało rondo czarnego stetsona, którego Tracy nie widziała od dwudziestu lat.

Edmund House wyprostował się i zwrócił do niej twarzą.

– Witaj w domu, Tracy – powiedział.

Rozdział 60

Ośnieżona gałąź smagnęła przednią szybę, obsypując ją białym puchem, ale Calloway nawet nie przyhamował. Trzymając się śladu opon, pokonał następny zakręt i już miał dodać gazu, gdy nagle gwałtownie wcisnął hamulec i zatrzymał się tuż za tylnym zderzakiem subaru Tracy.

Tylna szyba i dach samochodu były zasypane śniegiem, ale tylko parocentymetrową warstwą. Dan rozejrzał się i dostrzegł sterczące ze śniegu gałęzie, zapewne z tarasującego drogę drzewa.

Calloway zaklął pod nosem, wziął do ręki mikrofon krótkofalówki i kręcąc pokrętłami, zaczął wykrzykiwać swój kod wywoławczy i dopytywać, czy ktoś go słyszy. Nikt się nie odezwał. Ponowił próbę, ale znów odpowiedziała mu cisza.

– Finlay, jesteś tam? Finlay?

Odwiesił mikrofon i zgasił silnik.

– Co mam kapować? – mruknął Dan.

Szeryf obrzucił go spojrzeniem.

– Co?

– Powiedziałeś, że wciąż nie kapuję. Co mam kapować?

Calloway otworzył kluczykiem uchwyt, wyjął karabin i podał Danowi.

– Nie wrobiliśmy niewinnego, Dan – powiedział. – Wrobiliśmy mordercę.

Otworzył drzwi i wysiadł.

Dan przez chwilę siedział jak porażony. Co on najlepszego zrobił?

Rozprostował kulkę, w którą Calloway zwinął wiadomość od Tracy.

Samochód, z którego strzelano w okno,

zarejestrowany na Parkera House 'a.

Nikt nie sprawdził jego alibi.

Jadę się przekonać.

Sprowadź Callowaya.

Tracy doszła do wniosku, że to Parker. Że to on zabił Sarę.

Dan włożył czapkę i rękawice i wysiadł. Zapadł się po kolana w śnieg i poczuł na twarzy lodowaty podmuch wiatru, ale jakoś dobrnął do Callowaya, który z karabinem zwisającym na ramieniu pakował pociski do kieszeni kurtki, wyraźnie szykując się do drogi.

– Skąd to wiesz?! – zawołał Dan, przekrzykując wycie wiatru.

Szeryf wyjął z tylnego nadkola dwie latarki, upewnił się, że działają, i podał jedną Danowi wraz z dwiema zapasowymi bateriami.

– Roy, skąd, do diabła, wiesz, że to Edmund, a nie Parker House?

– Skąd? Już ci powiedziałem. Wszystkim mówiłem. Przyznał się, że to zrobił. – Calloway zatrzasnął tylną klapę i stanął na ścieżce niedawnych śladów stóp na śniegu, które przysypywał już świeży puch.

– Dlaczego miałby się przyznawać?

Calloway odwrócił się, spojrzął na Dana i przekrzykując wycie wiatru, wrzasnął:

– Dlaczego?! Bo jest jebanym psychopata, dlatego!

Podszedł do tarasującego drogę drzewa i przyklękawszy, odgarnął śnieg z końca pnia. Gładka prosta płaszczyzna jednoznacznie wskazywała na to, że ktoś celowo ściał drzewo piłą.

Wyprostował się i wbił wzrok w wirujące płatki śniegu.

– On wie, że po niego idziemy – mruknął.

Ruszył po śladach na śniegu, Dan powlókł się za nim ze strzelbą w ręce, z trudem łapiąc powietrze. Po stu metrach brnięcia w kopnym śniegu musieli stanąć, by odsapnąć.

– Jeśli to on ukrył jej zwłoki, to dlaczego ich nie znaleźliście? – zapytał Dan, z trudem cedząc słowa.

Policzki i nos Callowaya pokrywała siateczka czerwonych i niebieskich żyłek.

– Bo akurat w tej sprawie kłamał. Wcale od razu jej nie zabił. Manipulował nami wszystkimi, rozgrywał mnie. A teraz manipulował tobą.

– Ale powiedziałaś, że dokładnie przeszukaliście całą posiadłość Parkera. Jeśli Sary tam nie było, a on jej nie zakopał, to gdzie była?

Calloway pokazał głową w stronę gór.

– Tam. Cały czas była tam.

Rozdział 61

Sara przysłoniła oczy od rażącego blasku reflektorów, ale i tak nie dojrzała twarzy kierowcy, który otworzył drzwi kabiny i wychylił się ku niej.

– To twój kamper stoi tam przy drodze? – dobiegł do niej męski głos, ledwo słyszalny przez szum wiatru.

– Mój! – odkrzyknęła.

– Chcesz, żeby cię podwieźć?

– Nie, nie trzeba. Mam już niedaleko.

Mężczyzna wysiadł z kabiny, szybkim krokiem obszedł samochód i stanął obok niej na poboczu. Wystarczył jej jeden rzut oka, by go uznała za przystojniaka. W białym T-shircie, obcisłych dżinsach i znoszonych kowbojkach był nawet trochę podobny do Springsteena. Opięty na umięśnionej klatce materiał koszulki był wilgotny od potu.

– A co się stało?

– Chyba skończyła mi się benzyna.

– No to nieźle trafiłaś w pogodę, co? – Odgarnął z twarzy kosmyki włosów i zatknął je za uszy, w uśmiechu jego oczy aż rozbłyły. – Ale nie przejmuj się. Mnie też się to kiedyś zdarzyło. Chciałem sprawdzić, ile mi się uda wyciągnąć z jednego baku. – Wskazał palcem tył vana. – Mam tam kanister, tylko że pusty. Ale w Cedar Grove jest chyba stacja.

– Nie wiem, czy Harley ma jeszcze otwarte. W soboty zwykle zamyka o dziewiątej.

– Mieszkasz gdzieś tu? – zapytał.

Właśnie po to użyła imienia właściciela stacji, by wiedział, że jest stąd. Że zna tu ludzi, a ludzie znają ją.

– Kawalek pod miastem.

Zawrócił do drzwi kierowcy.

– Wsiadaj, podwiozę cię.

Sara nie drgnęła.

– A skąd ty jesteś? – spytała.

Odwrócił się i spojrzał na nią ponad maską.

– Byłem u moich starych w Seattle. Niezła pogoda na drogę, co? Powinienem zostać i przeczekać, ale musiałem wracać. Mieszkam kawalek dalej, w Silver Spurs. Jak stacja będzie zamknięta, to cię podrzucę do domu.

– Mam już niedaleko – powiedziała, starając się mówić beztroskim tonem. – Przejdę się.

– Daj spokój. Do Cedar Grove będzie stąd z osiem kilometrów.

– To nie tak daleko.

– Może nie, tylko że dziś można się utopić. – Uśmiechnął się. – Powiem ci, co zrobimy. Pojadę i zobaczę, czy stacja jest czynna. Jak jest, to napełnię kanister, wrócę i podwiozę cię do kampera. Jak nie, to podjadę do twojego domu i powiem, że utknęłaś.

Wiedziała, że o tej porze stacja Harleya jest zamknięta, a w domu nie ma nikogo. Tracy pojechała z Benem, a rodzice są na Hawajach. Więc nie miała kogo powiadamiać.

– Nie rób sobie kłopotu.

– Nie ma sprawy. – Zawrócił i podszedł do niej z wyciągniętą ręką. – Edmund jestem.

– Sara – odparła. – Sara Crosswhite.

– Crosswhite? Mamy w szkole w Cedar Grove jakąś Crosswhite. Uczy chyba matmy.

– A co, pracujesz w szkole?

– Jestem jednym z nocnych dozorców.

– Nigdy cię tam nie widziałam.

– Bo pracuję w nocy. Tylko wampiry mnie widują. Nie, żartuję, dopiero co zacząłem tam pracować.

Uśmiechnęła się. Przystojniak i do tego jeszcze dowcipny.

– Taka blondynka, nie? Trochę do ciebie podobna.

– Wszyscy tak mówią.

– Twoja siostra. – Pokiwał głową. – Widzę po rysach twarzy.

– Jest o cztery lata starsza. Uczy chemii.

– Założę się, że masz u niej piątkę jak w banku.

– Nie, skończyłam już liceum. Jesienią jadę na studia do Seattle.

– Znaczą się zdolniacha z ciebie, co?

– Niespecjalnie. Z nas dwóch to ona ma głowę.

– No, wiem coś o tym. Mój brat też jest taki, prawdziwy młody Einstein.

Poryw wiatru smagnał ich strumieniem deszczu. Długie włosy zwisały Edmundowi niemal do ramion, przemoknięty T-shirt opinał umięśnioną klatkę piersiową i brzuch. Zatarł ręce.

– No dobra, to może skryj się pod tym drzewem przy słupku kilometrowym, żebyś mógł cię znaleźć, a ja pojadę po benzynę i wrócę. – Znów zawrócił ku drzwiom kierowcy.

– Nie musisz.

– Co nie muszę?

– Po prostu pojadę z tobą.

– Jesteś pewna?

– Tak będzie lepiej. Nie chcę, żebyś musiał jeździć tam i z powrotem.

– No to wsiadaj. – Obszedł samochód, wsiadł do środka i z uśmiechem

otworzył drzwi po stronie pasażera. – Chodź, pomogę ci.

Sara podała mu plecak, przytrzymała się drzwi i wsiadła do kabiny. Zdjęła stetsona i korzystając z resztek ciepłego nadmuchu, potrząsnęła głową i rozpuściła włosy.

– Chyba miałam szczęście, że akurat tędy jechałeś – powiedziała.

– No, a nie jakiś zboczeniec – parsknął, wrzucając bieg. – Bo wiesz, zdarza się, że taki koleś zabiera dziewczynę w środku nocy i ślad się po niej urywa.

Rozdział 62

Dan wiedział, że Calloway ma na myśli góry wznoszące się za Cedar Grove, ale w szalejącej zadymce i panujących ciemnościach nie widział dalej jak na pięć metrów.

– Trzymał ją żywą w jednym z pomieszczeń starej kopalni. Odczekał do ostatniej chwili przed uruchomieniem zapory i dopiero wtedy ją zabił i zakopał w miejscu, które miało zostać zalane wodą.

– Skąd to wiesz?

– Bo tam znaleziono jej szczątki.

– Nie, skąd wiesz, że ją przetrzymał w kopalni?

– Musimy ruszać. – Calloway poszedł pierwszy, Dan pośpieszył za nim, starając się nie uronić ani słowa.

– Parker odszukał to miejsce – mówił Calloway. – Edmund często brał terenówkę i jechał w góry. Już po procesie Parker pomyślał o starej kopalni i zaczął się zastanawiać, czy jego bratanek nie jeździł właśnie tam. Przyszedł z tym do mnie i pojechaliśmy razem. Przepiłowaliśmy zamknięcie bramy wejściowej, weszliśmy do środka i początkowo nic nie znaleźliśmy. Dopiero po jakimś czasie zwróciłem uwagę na ściankę w dawnym kantorze, która jak na tak bogatą firmę wyglądała na bardzo amatorską robotę. Przyjrzałem się bliżej i dostrzegłem szparę wokół wejścia. Edmund postawił fałszywą ściankę i w komorze za nią trzymał Sarę przykutą do ściany. W środku znaleźliśmy szary fartuch, kajdanki i przyczepiony do ściany łańcuch. – Calloway potrząsnął głową. – Kiedy wyobraziłem sobie Sarę przetrzymywaną w takim miejscu i to, co z nią tam robił, myślałem, że się porzygam. Zostawiliśmy wszystko, jak było, zamknęliśmy i nigdy więcej tam nie wróciliśmy.

Dan chwycił Callowaya za ramię i szarpnął.

– Dlaczego, do diabła, nikomu nie powiedzieliście?

Szeryf strząsnął jego rękę.

– Co mieliśmy powiedzieć? Że wszyscy kłamaliśmy, spreparowaliśmy dowody, a teraz przepraszamy i powiemy, jak było naprawdę? House wyszedłby na wolność i zamęczyłby kolejną czyjąś córkę. Co się stało, to się nie odstanie. Nie było co do tego wracać. House dostał dożywocie, Sara nie żyła.

– Ale czemu nie wyznałeś prawdy Tracy?

– Nie mogłem.

– Dlaczego, do cholery? Rany boskie, dlaczego nie mogłeś jej powiedzieć?

– Bo przysiągłem, że jej nie powiem.

– I pozwoliłeś jej przez dwadzieścia lat męczyć się w niewiedzy?

Futrane obramowanie czapki Callowaya pokryło się szronem, kryształki

lodu wczepiły mu się w brwi.

– To nie była moja decyzja, Dan. James tak postanowił.

– Na litość boską, dlaczego miałby tak traktować córkę?! – zapytał z niedowierzaniem Dan.

– Bo ją kochał, dlatego.

– Jak możesz tak mówić?

– James nie chciał, żeby przez resztę życia musiała się zmagać z poczuciem winy. Wiedział, że poznanie prawdy by ją zabiło.

– Od dwudziestu lat żyje w poczuciu winy.

– Nie – powiedział Calloway. – Nie w takim.

* * *

Edmund House przysiadł na obudowie generatora, żarówka nad jego głową pykała i cicho brzęczała.

– To trochę ironia losu, nie? – rzucił.

– Co takiego?

– Że musiało minąć tyle czasu, ale w końcu się udało.

– O czym ty mówisz?

– Mówię o tobie i o mnie w tym miejscu. – Rozłożył ręce z uśmiechem. – To dla ciebie to zbudowałem.

– Co takiego?

– Znacząca większość roboty wykonała Kopalnia Cedar Grove, ale ja zmieniłem trochę wygląd. Wstawiłem łóżko, na podłodze położyłem wykładzinę, ściany obudowałem półkami na książki. Wiedziałem, że lubisz dużo czytać. Wiem, że to nie wygląda teraz najlepiej, ale jak przez dwadzieścia lat nie robi się wiosennych porządków, to cały wysiłek idzie na marne. – Uśmiechnął się. – Szczerze mówiąc, dziwię się, że jest tu wciąż tak, jak to zostawiłem. Że nikt nie znalazł tego miejsca.

– Przecież w ogóle cię nie znałam, House.

– Ale ja znałem ciebie. Od chwili, jak przyjechałem do Cedar Grove i zobaczyłem cię w szkole, zacząłem wszystko o tobie zbierać. Chodziłem często pod szkołę i przyglądałem się wychodzącym po lekcjach dzieciakom, aż któregoś dnia zobaczyłem cię wśród gromadki uczniów. W pierwszej chwili pomyślałem, że też jesteś uczennicą, ale potem się kapnąłem, że jesteś od nich starsza. Od tego momentu wiedziałem, że to ty. Nigdy w życiu nie miałem swojej kobiety, choć o paru fantazjowałem. I nigdy nie miałem blondynki. Od tamtej pory zacząłem celowo przejeżdżać koło szkoły po południu, kiedy kończyły się lekcje. Chciałem wiedzieć, jakim jeździsz samochodem. Ale nie da się za często parkować pod szkołą, żeby człowieka nie wypatrzył jakiś wścibski sąsiad. Jak w końcu się upewniłem, że jeździsz kamperem Forda, wystarczyło tylko rzucić okiem na

szkolny parking. Jeśli go tam nie było, jechałem dalej. Miałas zwyczaj siadać w kawiarni i poprawiać klasówki. Kiedyś usiadłem obok i ci się przyglądałem. Jeśli nie było cię w kawiarni, jechałem dalej, przejeżdżałem obok twojego domu i sprawdzałem, czy na podjeździe stoi kamper. Znalazłem sobie miejsce przy drodze, skąd miałem dobry widok na okno twojego pokoju. Lubiłem patrzeć, jak wychodzisz spod prysznic i stajesz w oknie z głową w turbanie z ręcznika. Wiedziałem, że łączy nas coś specjalnego, nawet potem, jak już zaczęłaś się spotykać z tym frajerem. Nigdy nie mogłem zrozumieć, co ty w nim widzisz ani dlaczego przeniosłaś się z takiego pięknego wielkiego domu do gównianej rudery. Wchodził mi w drogę, bo wciąż się koło ciebie kręcił. Nie mogłem po prostu stanąć przed twoimi drzwiami ani poczekać na ciebie w środku. Doszedłem do wniosku, że będę musiał sam stworzyć okazję. I wtedy wpadłem na pomysł, żeby pomajstrować przy twoim kamperze i spowodować, by rozkraczył się na drodze.

Myśl, że House cały czas ją podglądał, była wystarczająco obrzydliwa, jednak teraz dowiadywała się o czymś znacznie gorszym. Tamtego wieczoru za kierownicą kampera siedziała Sara. Tracy spojrzała na czarnego stetsona na półce.

– Kiedy pierwszy raz zobaczyłem twoją siostrę, poczułem się całkiem skołowany – mówił dalej House. – Któregoś dnia zjawiała się w tej twojej kawiarni, zaszła cię od tyłu i zakryła ci oczy, a ja odniosłem wrażenie, że widzę was podwójnie.

– I tamtej nocy myślałeś, że to ja?

– Jak mógłbym pomyśleć inaczej? – House wstał i zaczął krążyć po pomieszczeniu. – Kurde, wyglądaliście zupełnie jak te bliźniaczki z reklamy gumy Doublemint. Nawet ubierałyście się podobnie.

Choć w komorze było bardzo zimno, Tracy poczuła, że cała zlewa się potem.

– Kiedy zobaczyłem kampera przy drodze i ją idącą w tym czarnym kapeluszu na głowie, byłem pewny, że to ty. Możesz sobie wyobrazić moje zdziwienie, jak wysiadłem i zobaczyłem, że to ona. W pierwszej chwili byłem zawiedziony i pomyślałem nawet, żeby ją po prostu odwieźć do domu. Ale potem pomyślałem: kurde, tyle wysiłku na nic? Kto powiedział, że nie mogę mieć was obu.

Tracy poczuła, jak uginają się pod nią nogi, i oparła się plecami o ścianę.

– No i teraz osiągnąłem cel.

– Nie pochowałeś jej od razu. Dlatego nie mogliśmy jej znaleźć.

– Nie, nie od razu. Szkoda było zmarnować taką okazję. Ale nie mogłem pozwolić, żeby mi zwiłała jak ta Annabelle Bovine. – House zacisnął szczęki, twarz mu spochmurniała. – Ta dziwka zabrała mi sześć lat życia. – Postukał palcem w skroń. – Ale mądry uczy się na błędach, a ja miałem sześć lat na obmyślenie, jak w przyszłości uniknąć takiego błędu. Całkiem niezłe się tu zabawialiśmy, twoja siostrzyczka i ja.

Sara zaginęła dwudziestego pierwszego sierpnia 1993 roku. Zaporę Cedar Falls oddano do użytku w pierwszym tygodniu października. Tracy poczuła drapanie w gardle, zrobiło jej się niedobrze i pochyliła się, jakby miała zwymiotować.

– Tyle że ten zasraniec Calloway nie dawał mi spokoju. Kiedy mi powiedział o świadku, tym Hagenie, poczułem, że to już tylko kwestia czasu. Nie da się liczyć na uczciwość takiego gnojka. Cholernie przykre, nie? Pewnie to samo pomyślałaś o swoim ojcu.

Odcharknęła flegmę, która zebrała jej się w ustach, i uniosła na niego wzrok.

– Pierdol się, House.

Rozdziawił usta w szerokim uśmiechu.

– Założę się, że twojemu staremu nie przyszło nawet do głowy, że dzięki tym kolczykom i włosom, których użył do wrobienia mnie, pewnego dnia wyjdę z pierdła. Ani że ty mi w tym pomożesz.

– Nie zrobiłam tego, żeby ci pomóc.

– No, nie bądź taka, Tracy. Przecież nigdy cię nie okłamałem.

– Co ty pieprzysz?! Wszystko było jednym wielkim kłamstwem.

– Od razu ci powiedziałem, że mnie wrobili. Że podrzucili dowody. Nigdy ani razu ci nie powiedziałem, że jestem niewinny.

– Coś ci się pojebało w głowie! Zamordowałaś ją!

– Nie – pokręcił głową – nie, ja ją kochałem. Zamordowali ją oni, twój stary i Calloway, tymi ich kłamstwami. Nie zostawili mi wyboru. Zbliżało się otwarcie zapory i oni mnie do tego zmusili. Wcale nie chciałem tego zrobić, ale ten pieprzony waźniak Calloway nie popuścił.

Rozdział 63

Sara usłyszała skrzypnięcie zawiasów bramy i uniósłszy głowę, zaczęła nasłuchiwać. Wrócił szybciej, niż się spodziewała. Zwykle przed jego powrotem najpierw gasło światło, ale tym razem żarówka nie przestawała się jarzyć bladym żółtawym światłem.

Pospiesznie zabrała się do zacierania śladów – zgarniania okruchów betonu i upychania ich wraz z pyłem do wydłubanego otworu. Żarówka świeciła coraz słabiej i Sara nie była pewna, czy udało jej się zebrać wszystkie ślady, ale nie było czasu na dokładne sprawdzenie. Wcisnęła pręt do otworu, przysypała ziemią i przyklepała.

Drzwi w murze już się otwierały, ale zdążyła jeszcze nasunąć na beton kawałek wykładziny, usiąść plecami do ściany i wziąć do ręki książkę. Edmund House wszedł do środka, położył plastikową torbę na składanym stoliku i zakręcił korbą generatora. Żarówka raptownie rozbłysła, na moment ją oślepiając.

Odwrócił się i wpatrywał się w nią dłużej niż zwykle, po czym przeniósł wzrok na fragment wykładziny. Dopiero w pełnym świetle dostrzegła, że nie ułożyła jej dokładnie w tym miejscu co poprzednio.

– Co ty tu kombinujesz? – burknął.

Wzruszyła ramionami i uniosła książkę.

– A co ja mogę kombinować? Każdą z tych książek czytałam już po dwa razy. A to nie taka frajda czytać, jak zna się zakończenie.

– Skarżysz się?

– Tak tylko mówię, wiesz. Może mógłbyś przynieść mi kilka nowych.

Według swoich obliczeń siedziała tu już siedem tygodni. Bez okien trudno było liczyć mijające dni, ale zamiast zegara wykorzystywała jego przyjscia. Założyła, że każda jego wizyta oznaczała nowy dzień, i robiła kreskę na ścianie. Porwał ją w sobotę, dwudziestego pierwszego sierpnia. Jeśli dobrze liczyła, dziś był poniedziałek, jedenasty października.

Po miesiącu od przywiezienia natknęła się na metalowy pręt, częściowo zagrzebany w ziemi u podstawy pionowego słupa. Sądziła, że niegdyś używano go do układania torów, po których jeździły wagoniki z urobkiem srebra. Miał jakieś dwadzieścia pięć centymetrów długości i spłaszczony koniec, by ułatwić wbijanie go w podłoże. Jej służył do kruszenia betonu wokół stalowej płytki, do której była przykuta łańcuchem. Śruby nie były zbyt mocno dokręcone do betonowego podłoża, dzięki czemu udawało się kruszyć beton tak, że na pierwszy rzut oka nic nie było widać. Miała nadzieję, że uda jej się na tyle poluzować płytkę, że w końcu oderwie ją od ściany.

– Zrobiłeś zakupy?

Pokręcił głową z taką miną, jakby co innego zaprzętało jego myśli. Jak mały chłopiec.

– Dlaczego?

Oparł się o stolik i naprężył bicepsy.

– Szef Calloway znów się mnie czepia – burknął.

W głowie rozbłysła jej iskierka nadziei, ale nie dała nic po sobie poznać.

– Czego ten dureń znów chce? – spytała.

– Mówi, że ma świadka.

– Naprawdę?

– Tak twierdzi. Mówi, że ktoś zezna, że na drodze widział nas razem w samochodzie. Nie pamiętam, żebyśmy kogoś mijali. A ty?

– Ja też nie. – Sara pokręciła głową.

Oderwał się od stolika i podszedł bliżej.

– Kłamie – rzucił ze złością. – Wiem, że sukinsyn kłamie. Ale on się upiera, że ma świadka, którego zeznanie wystarczy do wydania nakazu przeszukania domu. Jak myślisz, co on może znaleźć?

– Nic. – Wzruszyła ramionami. – Mówiłeś, że byłeś bardzo ostrożny.

Wyciągnął rękę i końcami palców dotknął jej twarzy. Przewalczyła w sobie odrzę i chęć szarpnięcia się do tyłu. Wiedziała, że wtedy od razu się wścieka.

– Wiesz, co sobie myślę? – powiedział, a ona pokręciła głową. – Myślę, że postanowili mnie wrobić. – Opuścił rękę i odszedł kilka kroków. – Skoro zmyślili tego świadka, to pewnie podrzucą też jakieś dowody i postawią mnie przed sądem. Wiesz, co to znaczy?

– Nie mam pojęcia.

– To znaczy, że może widzimy się ostatni raz.

Poczuła nagły przyływ niepokoju.

– Nie złapią cię – zapewniła go. – Jesteś na to za sprytny. Wszystkich przechytrzyłeś.

– Ale ich kłamstw nie przechytrzę. – Westchnął i pokręcił głową. – Powiedziałem Callowayowi, żeby się ode mnie odpieprzył. Powiedziałem mu, że już cię zgwałciłem, zabiłem i zakopałem w górach.

– Czemu mówisz takie rzeczy?

– Pieprzyć go – warknął. – Nie uda mu się tego udowodnić, więc niech go to męczy do końca życia. Już mu powiedziałem, że nigdy nie zdradzę, gdzie cię zakopałem. – Wybuchnął śmiechem. – Chcesz wiedzieć, co jest najśmieszniejsze?

– Co? – spytała, czując coraz większy niepokój.

– Nie nagrał tej rozmowy. Byliśmy tylko we dwóch i nie ma żadnego dowodu, że się do czegoś przyznałem.

– Moglibyśmy stąd wyjechać. – Starła się wykrzesać trochę entuzjazmu w głosie. – Moglibyśmy pojechać gdzieś razem, zniknąć.

– No, też o tym pomyślałem. – Podeszedł do stolika i wyjął z torby kłęb ciuchów, a ona ze zdziwieniem rozpoznała w nich swoją koszulę i dżinsy. Była pewna, że już dawno je spalił.

– Osobiście je dla ciebie wyprałem – powiedział z dumą.

– Po co?

– Nawet nie powiesz „dziękuję”?

– Dziękuję – rzuciła niepewnym głosem. Zupełnie nie wiedziała, do czego on zmierza.

Rzucił kłęb pod jej nogi. Nie ruszyła go, więc popędził ją:

– No dalej, przebieraj się. Nie możesz wyjść stąd w tym fartuchu.

– Puszczasz mnie wolno?

– Nie mogę cię dłużej trzymać. Mam na karku szeryfa.

Zrzuciła z siebie szary fartuch, który od niego dostała, i stanęła przed nim zupełnie naga. Przyglądał się, jak wciąga na siebie o wiele za obszerne w biodrach dżinsy.

– Chyba trochę schudłam – powiedziała, dotykając sterczących żeber.

– I bardzo dobrze – mruknął. – Wolę cię taką szczupłą.

Uniosła ramiona.

– Ręce – powiedziała.

Wyjął z kieszeni kluczyk i otworzył obręcz na jej lewym nadgarstku. Wsunęła rękę do rękawa koszuli Scully i wyciągnęła ku niemu, pewna, że ponownie ją zakuje, on jednak nie tylko tego nie zrobił, ale otworzył obręcz na prawej ręce. Połączone łańcuchem kajdanki upadły u jej stóp. Po raz pierwszy od siedmiu tygodni miała obie ręce wolne. Włożyła koszulę i zaczęła zapinać zatrzaski, starając się zachować spokój.

– Gdzie stąd pojedziemy? – spytała. – Moglibyśmy do Kalifornii. Jest ogromna. Nigdy by nas tam nie znaleźli.

House podeszedł do półki i wytrząsnął z puszek jadeitowe kolczyki i naszyjnik. Wziął do ręki czarnego stetsona, ale po chwili zastanowienia odłożył go z powrotem na półkę.

– Lepiej to załóż – rzekł, podając jej biżuterię. – Nie mam co tego trzymać.

– Wychodzę na wolność? – spytała, starając się nie rozplakać.

– Zawsze wiedziałem, że kiedyś do tego dojdzie.

Po policzkach popłynęły jej łzy.

– Tylko mi się teraz nie rozmazuj – mruknął.

Ale ona nie mogła powstrzymać łez. Wracała do domu.

– Kiedy wychodzimy? – bąknęła.

– Zaraz – odparł. – Możemy już iść.

– Nikomu nic nie powiem. Przyrzekam.

– Wiem. – Pokazał głową drzwi, a gdy się zawahała, dodał: – Idź pierwsza.

Całą siłą woli powstrzymała się, by nie puścić się biegiem. Za moment stąd wyjdzie, odetchnie świeżym powietrzem, zobaczy niebo, usłyszy ptaki, poczuje zapach zieleni. Zrobiła pierwszy krok i spojrzała za siebie. Twarz miał zupełnie martwą jak w masce.

Zrobiła następny krok i pomyślała, że niedługo znów zobaczy Tracy i rodziców, że obudzi się we własnym łóżku w swoim domu. Powie sobie wtedy, że to wszystko było tylko koszmarnym snem. I nie będzie rozpamiętywać tego, co Edmund House jej zrobił. Zajmie się swoją przyszłością. Skończy studia, wróci do Cedar Grove i rozpocznie nowe życie, tak jak ona i Tracy zawsze planowały. Była tak podniecona wyjściem na wolność, że nie dosłyszała brzęku podnoszonego z podłogi łańcucha.

Wyciągnęła rękę do drzwi i wtedy poczuła, że coś ją dusi. Spróbowała wsunąć palce pod ogniwa łańcucha i je odciągnąć, ale jej prześladowca szarpnął do tyłu z taką siłą, że straciła grunt pod nogami. Plama światła w otworze drzwi nagle odjechała, jakby Sara zaczęła spadać w głąb ciemnej studni. Wyciągnęła ręce, by się czegoś przytrzymać, wydało jej się, że w drzwiach widzi twarz Tracy, i zaraz potem wyrznęła tyłem głowy o betonową ścianę.

Rozdział 64

– Wcale nie chciałem jej zabijać. – Edmund House znów usiadł na generatorze z rękami wspartymi na udach, jakby siadał przy ognisku i zabierał się do snucia opowieści o duchach. – Ale wiedziałem, że taka okazja pozbycia się jej ciała już się nie powtórzy. A nie miałem zamiaru wracać do więzienia.

Wyprostował się i rzucił ze złością:

– Nie mogli nic mi zrobić. Przywożąc ją tu, wszystko sobie zaplanowałem. Ale potem Calloway wymyślił te gówniane dowody i wszystkich w to wciągnął: Finna, Vance’a Clarka, twojego ojca. Nawet mój własny stryj obrócił się przeciwko mnie. Więc pomyślałem, że jak mam resztę życia spędzić w piekle, to wezmę z sobą Callowaya. I wtedy mu opowiedziałem, co dokładnie jej zrobiłem.

House się uśmiechnął.

– Dał dupy, bo nie nagrał naszej rozmowy. Kurde, wiedziałem, że go zgłuszę moją opowieścią, ale nawet nie śniłem o tym, że w ten sposób wpadnie we własne sidła. To się nazywa ironia losu! Kiedy pierwszego dnia zamknęły się za mną drzwi w Walla Walla, pomyślałem, że zostanę tam już do końca życia.

Przerwał i spojrzał na nią takim wzrokiem, że poczuła mdłości.

– A potem zjawiałaś się ty, żeby ze mną porozmawiać. – Parsknął śmiechem. – I im dłużej rozmawialiśmy, tym bardziej się upewniałem, że ci nie powiedzieli, co zrobili. Gadałaś o kolczykach, o tym, że jesteś pewna, że tamtego dnia twoja siostra ich nie miała. Że nie mogła ich nosić, ale nikt nie chciał cię słuchać. Muszę przyznać, że wtedy obudziłaś we mnie pewne nadzieje, ale szybko zdałem sobie sprawę, że z jej ciałem pod dnem jeziora już się z tego nie wyplączę. Więc pogodziłem się z losem i wtedy los nagle się obrócił.

Tracy osunęła się po betonowej ścianie, czując, jak uginają się pod nią kolana. Wiedziała, kto zdecydował, żeby nie mówić jej prawdy. To właśnie tego nie chciał jej zdradzić DeAngelo Finn, kiedy go odwiedziła. I właśnie tego omal nie wyrzucił z siebie Roy Calloway pod drzwiami lecznicy dla zwierząt. Decyzję podjął jej ojciec i wymógł na pozostałych przysięgę, że nigdy jej tego nie powiedzą. To ona była tą osobą, o której mówił Finn. Tą, która jeszcze pozostała i którą jej ojciec tak bardzo kochał.

Ojciec i Calloway domyślili się, że to ona była prawdziwym celem House’a i że to ona powinna siedzieć w tym lochu jako ofiara stojącego przed nią teraz psychopaty. James Crosswhite zabronił im o tym mówić, uznając, że to mogłoby ją zabić.

– Niestety, muszę cię zostawić samą. – House wstał. – Muszę coś jeszcze zrobić.

– Nigdy się z tego nie wyplącesz, House. Nie ujdzie ci to na sucho.

Calloway zna prawdę i przyjdzie tu po ciebie.
– I na to liczę – odparł z uśmiechem.

Rozdział 65

Dan domyślił się, że Calloway zatrzymał się na granicy posiadłości Parkera House'a. Obaj ciężko dyszeli, wichura chłodziła im twarze.

– Harley znalazł nieszczelność w przewodzie paliwowym. House musiał go uszkodzić na parkingu w Olympii podczas zawodów. Może zrobił to na próbę, żeby się przekonać, co się wydarzy. Jak daleko ujedzie.

– Ta sprawa w ogóle nie wyszła w trakcie procesu – sapnął Dan, chroniąc twarz przed lodowatymi podmuchami wiatru. Ręce i stopy miał zdrętwiałe z zimna.

– Kamper należał do Tracy, która dała siostrze swojego czarnego stetsona, a ta włożyła go na głowę, żeby się osłonić przed deszczem. Były bardzo do siebie podobne. Po ciemku House mógł je łatwo pomylić. Mówiąc, co wyczyniał z Sarą, jak ją wielokrotnie gwałcił i na koniec zabił, dodał ze śmiechem: „I to nawet nie była ta, o którą mi chodziło”. To też nigdy nie wyszło w trakcie procesu. James nie chciał, żeby Tracy musiała żyć z czymś takim.

– To by ją mogło zabić. Ale, Roy, dlaczego jej nie powstrzymałeś? Dlaczego jej nie powiedziałeś, nim doszło do tego wszystkiego?

– Bo nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie – odparł szeryf. – Nie wiedziałem o tym polaroidzie ani o tym, że Sara nie mogła nosić tych kolczyków. Tracy przemilczała to, bo doszła do wniosku, że wykryła znowę. Nie wiedziałem też, że włosy pochodziły ze szczotki, której obie używały. Wtedy w ogóle o tym nie pomyślałem. A poza tym cokolwiek bym wtedy powiedział, ona uznałaby to za kłamstwo. Jej ojciec już nie żył, a matka nie miała o niczym pojęcia. Nikt nie był w stanie przekonać Tracy, żeby odpuściła.

Calloway spojrzał na bladą plamę światła w głębi posesji.

– Nigdy nie myślałem, że kiedyś tu jeszcze wrócę. – Przeniósł wzrok na Dana. – Nie wiem, co tam zastaniemy, ale jeśli coś się będzie działo, po prostu strzelaj. Nawet nie celuj, tylko od razu wal.

Ruszyli przed siebie i grzęznąc w zaspach, dotarli do ponurej rudery. Calloway zdjął rękawice, Dan zrobił to samo i schował swoje do kieszeni. Zamek strzelby był tak zimny, że aż parzył. Dan spróbował zwinąć dłoń w pięść i poczuł ostry ból. Zaczął na nie chuchać, ale usta miał suche i spierzchnięte. Czuł się, jakby go coś dusiło.

Szeryf uniósł lufę magnum i sięgnął do klamki. Gdy drzwi ustąpiły, obrzucił Dana takim samym wzrokiem, jakim spojrzał na niego przy ściętym piłą drzewie: wie, że po niego idziemy.

Pchnął drzwi i wsunął się do środka. Dan przytrzymał je, żeby wiatr nimi nie huknął, wślizgnął się za Callowayem i cicho zamknął je za sobą. Wewnątrz słychać było buczenie pracującego generatora. Podążył za szeryfem, który posuwał się,

czujnie rozglądając się na boki. Na środku pokoju przystanął, po czym ruszył w stronę fotela.

Siedział w nim Parker House. Ręce miał przybite do zakrwawionych podłokietników, dwa szpikulce sterczały z butów, pod którymi widać było kałuże krwi.

– O mój Boże – jęknął Dan.

Calloway położył palec na ustach, wszedł w głąb korytarzyka i skierował światło latarki oraz lufę magnum do jednego, a potem do drugiego pokoju. Wrócił do fotela i przytknął dwa palce do szyi Parkera, którego nieruchoma twarz była ziemiście szara, wargi sine.

– Żyje – szepnął, choć trudno w to było uwierzyć.

W tym momencie Parker ledwo dostrzegalnie poruszył powiekami, potwierdzając, że Calloway się nie myli. Otworzył oczy, ale wzrok miał mętny, jakby wciąż jeszcze spał.

Szeryf przyklęknął.

– Parker? Parker? – Siedzący poruszył powiekami. – Ma ją?

House rozchylił wargi, jakby próbował coś powiedzieć, skrzywił się i głośno przełknął ślinę.

– Przynies mu coś do picia – polecił Calloway.

Dan poszedł do kuchni, otworzył kilka szafek i znalazłszy szklankę, napełnił ją wodą z kranu. Szeryf zdążył w tym czasie przyciągnąć koce i poduszki z sypialni i otulił nimi siedzącego. Odchylił mu głowę, wziął od Dana szklankę i przytknął rannemu do ust.

House upił mały łyżeczek.

– Ma Tracy? – powtórzył Calloway.

– W kopalni – wychrypiął House.

Calloway odstawił szklankę na podłogę.

– Musisz wrócić do samochodu i nawiązać łączność – zwrócił się do Dana, prostując się.

– Roy, przecież radio nie działa.

– Radio działa, tylko nie udało mi się nikogo wywołać. Finlay powinien już być na posterunku, a kazałem mu siedzieć przy radiu. Wystarczy tylko włączyć, nic więcej nie musisz robić. Powiedz mu, że potrzebna nam karetka i niech ściągną kogo się da z całego Cascade. Niech wezmą z sobą piły łańcuchowe.

– To potrwa całą wieczność.

– Jak się sprężysz, to nie potrwa. Idź do samochodu i zrób, co ci mówię, potem wracaj tu i rozpal ogień. Jak nie znajdziesz drewna, spal te pieprzone meble. Staraj się utrzymać go w cieple aż do ich przyjazdu. Nic więcej nie możemy dla niego zrobić. Kiedy przyjedzie Finlay, powiedz mu, żeby poszedł za mną po śladach. Przekaż mu, że House więzi ją w starej kopalni.

– Jeśli tam się wybierasz, to ja idę z tobą.
– Potrzeba nam więcej ludzi, Dan. Jeden z nas musi pójść do samochodu i ściągnąć posiłki.

– Nawet nie wiadomo, czy się uda kogoś wywołać.
– Tracisz tylko czas – powiedział Calloway. – Masz robić, co ci mówię. Tracy jeszcze żyje, ale nie wiadomo jak długo.

– Skąd wiesz?
– Bo House tym razem nie stara się kryć. Mógł zabić DeAngela i mógł zabić Parkera, ale tego nie zrobił. To jak trop usypany z przynęt.

– Dla kogo?
– Dla mnie. Jemu chodzi o mnie. To mnie nienawidzi.
– Tym bardziej powinniśmy poczekać.
– Jeśli zaczekamy, Tracy może umrzeć. Przez czekanie straciłem Sarę i jednego z moich najbliższych przyjaciół i przez dwadzieścia lat musiałem z tym żyć. Nie pozwolę, żeby ten drań zabrał też Tracy.

– Roy...
– Nie ma czasu na dyskusje, Dan. Jeden z nas musi iść do samochodu, nawiązać łączność i ściągnąć posiłki. A ty nawet nie wiesz, jak trafić do kopalni. Więc idź i sprowadź pomoc, bo inaczej oboje umrą.

Dan zaklął pod nosem i oddał szeryfowi strzelbę.

– Dobra, weź to – rzucił Calloway, wyciągając ku niemu karabin.

Ale Dan pokręcił głową.

– Bez tego pójdzie mi szybciej – mruknął.

Calloway podszedł do tylnych drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Wiatr wcisnął do środka kłęb wirujących płatków śniegu.

– Roy...

Szeryf odwrócił głowę. Był potężnie zbudowanym mężczyzną i wśród mieszkańców Cedar Grove zawsze budził respekt. Reprezentował prawo i ludzie czuli się pewniej w jego obecności. Ale Dan patrzył na kogoś mającego najlepsze lata za sobą, kto wyruszał na mróz i zawieję, by samotnie stawić czoło groźnemu psychopacie.

Calloway kiwnął głową, wyszedł na dwór i rozpląnął się w szalejącej śnieżycy.

Rozdział 66

Generator jeszcze buczał, ale światło coraz bardziej przygasało. Długość łańcucha nie pozwalała dosięgnąć korby, a włókno w żarówce stopniowo przechodziło od bieli przez czerwień do jasnopomarańczowego. Obawa, że za chwilę pograży się w kompletnych ciemnościach, skierowała jej myśli ku Sarze, ukochanej młodszej siostrze, która siedziała przykuta do tej samej ściany, a która tak bardzo bała się ciemności. Co ona tu biedna robiła całymi godzinami? Czy rozmyślała wtedy o niej? Czy winiła ją za swój los? Tracy spojrzała na oparty o betonową ścianę fragment wykładziny i pomyślała, że to właśnie musiało być jej miejsce. Dotknęła ściany, jakby chciała w ten sposób nawiązać kontakt z siostrą, i pod opuszkami palców wyczuła rysy na betonie. Odsunęła wykładzinę, przysunęła się bliżej i wpatrzyła w ścianę. Dostrzegła jakieś znaki, powiodła po nich palcem i stwierdziła, że to wydrapane litery.

Jeszcze bardziej pochyliła głowę, zdmuchnęła z liter mialki biały pył i ponownie powiodła po nich palcami. Napis nabrał wyrazistości.

Już...

Poczuła skurcz w żołądku. Dmuchnęła jeszcze raz, niecierpliwie potarła palcami i wymacała dalszy ciąg.

Już nie...

Pod spodem wymacała drugi wiersz.

Już nie boję się...

Niżej znajdował się trzeci wiersz, choć te litery nie były tak wyraźne.

Już się nie boję.

Przesunęła dłoń niżej, ale na ścianie nie było nic więcej. Tracy wygięła się tak, by nie zasłaniać sobą ściany, ale reszty ich zakłęcia nie było. Najwyraźniej Sara nie dokończyła swego przesłania.

Na prawo od tekstu Tracy wymacała jeszcze jakieś kreski, te jednak biegły ukośnie i nie przypominały liter. Znów się przechyliła, starając się odsłonić światło.

###

###

Podniosła głowę i zakryła dłonią usta, po policzkach spłynęły jej łzy.

– Tak mi przykro, Saro – jęknęła. – Tak mi strasznie przykro, że nie potrafiłam cię uratować.

A potem się zamyśliła. Kreski były formą kalendarza i oczywiście służyły do liczenia mijających dni, ale po co te ich zaklęcia? Z wszystkich słów, jakie mogła napisać, dlaczego akurat te znane tylko jej i siostrze? Mogła choćby wyskrobać swoje imię. Cokolwiek.

Tracy odwróciła głowę, spojrzała na drzwi w ścianie, przeniosła wzrok na półkę z czarnym stetsonem i nagle pojęła.

– On ci powiedział, prawda? Przyznał, że chodziło mu o mnie.

Sara musiała się bać, że pewnego dnia Tracy trafi do tego samego lochu, i postanowiła zostawić jej wiadomość. Ale nie chodziło w niej o słowa. Chciała w ten sposób przekazać coś więcej niż tylko treść ich zaklęcia.

– Czym to wyryłaś? – Tracy jeszcze raz powiodła palcami po rysach na ścianie. Sara z całą pewnością nie zrobiła tego paznokciami.

Musiała się posłużyć czymś ostrym i twardym. Dwadzieścia lat wcześniej beton nie był tak rozmiękczony przez wilgoć zawartą w podłożu i powietrzu.

– Czym to zrobiłaś? – Rozejrzała się po podłodze. – Czym to zrobiłaś i gdzie to przed nim ukryłaś?

* * *

Do wejścia do kopalni miał jeszcze dobre dwa kilometry pod górę, jeśli w ogóle uda mu się je znaleźć. Gdy Parker House zaprowadził go tam dwadzieścia lat temu, większość dawnej drogi dojazdowej do kopalni była już wtedy mocno zarośnięta. Od tamtej pory tutejsza bujna przyroda zapewne całkiem zatarła wszelkie ślady, nie mówiąc o tym, że teraz wszystko i tak pokrywała gruba warstwa śniegu.

Calloway omiatał go światłem latarki w nadziei, że dostrzeże ślady stóp, ale zamiast nich wypatrzył ślady płóz, jakie zostawia skuter śnieżny. Wiodły z szopy za domem prosto w górę. Wszedł do szopy i w świetle latarki ujrzał terenówkę i mnóstwo porzeczonych narzędzi, ale drugiego skutera śnieżnego nie było. Przebijając się snopem światła latarki przez kłęby wydychanej pary, rozejrzał się po wnętrzu i zobaczył wiszące na ścianie stare rakiety śnieżne – drewniane ramy oplecione konopnym sznurem.

Zdjął je ze ściany, ściągnął rękawice i zaczął się mocować z uchwytami na stopy. Palce rąk od razu mu zdrętwiały, uchwyty okazały się przymałe na jego buciorzy, ale w końcu udało mu się wcisnąć w nie stopy i w miarę pewnie dociągnąć paski mocujące. Włożył rękawice i wyszedł na śnieg. Powitał go – a może bardziej ostrzegł – gwałtowny podmuch lodowatego wiatru. Calloway schylił głowę i ruszył w górę po śladach płóz. Dość nieporadnie postawił kilka pierwszych kroków, czując, jak drewniane ramy zapadają się w śnieg. Spróbował bardziej

równomiernie rozłożyć na nich swój ciężar i wkrótce złapał właściwy rytm.

Ale i tak po kilku minutach marszu uda i łydki zaczęły go palić żywym ogniem, w płucach czuł taki ucisk, jakby klatkę piersiową przygniatał mu jakiś ciężar i nie pozwalał głębiej zaczerpnąć powietrza. Całą uwagę skupiał na tym, by poruszać się swobodnym tempem wysokogórskiego wspinacza, oszczędzając siły i równomiernie oddychając. Wbrew wszystkiemu zawzięcie parł do przodu w obawie, że jak się zatrzyma, to już dalej nie ruszy. Robił krok, prostował nogę, na moment nieruchomiał i stawiał następny krok, potem następny i następny. Walczył ze zmęczeniem i z wewnętrznym głosem, który coraz natarczywiej domagał się odwrotu. Ale wiedział, że nie może się poddać, bo zdawał sobie sprawę, czym to grozi. House grał w otwarte karty. Nie ukrywał, że porwał Tracy, jak to zrobił z Sarą. I tym razem nie będzie długo zwlekał. Po prostu ją zabije. Wiatr smagający twarz szeryfa zawiewał także ślady płóz i czynił posuwanie się po nich coraz trudniejszym. Mimo to Calloway parł przed siebie, ani na chwilę nie przystając.

Tym razem zamierzał doprowadzić sprawę do końca.

Nie miał też wątpliwości, że taki sam zamiar ma Edmund House.

Rozdział 67

Dan opadł na zasypaną śniegiem maskę suburbana, rżąc z wysiłku i zachłannie łapiąc oddech. W klatce piersiowej czuł przeraźliwe klucie, płuca sprawiały takie wrażenie, jakby za chwilę miały eksplodować i go zadusić. Dłonie i twarz piekły go od mrozu, nie czuł palców u rąk i nóg. Wszystkie kończyny były jak z ołowiu.

Przedarł się przez śniegi najszybciej, jak się dało. Trzymał się śladów swoich i Callowaya, nie pozwalając sobie nawet na chwilę odpoczynku. Myślał tylko o jednym: jak najszybciej dotrzeć do suburbana, nawiązać łączność – jeśli mimo burzy śnieżnej radio będzie działało – i wezwać pomoc, a potem wrócić i wesprzeć szeryfa w uratowaniu Tracy. Tliło się w nim podejrzenie, że Calloway pozbył się go tylko dlatego, żeby go nie narażać na niebezpieczeństwo.

Chwiejnym krokiem ruszył wokół samochodu i gdyby nie udało mu się złapać klamki i przytrzymać, pewnie by upadł. Gdy otworzył drzwi, z dachu runął śnieżny nawis, zasypując fotel i deskę rozdzielczą. Chwycił kierownicę i wciągnąwszy się do środka, usiadł na przedniej kanapie i położył latarkę obok siebie. Przez chwilę ciężko dyszał, wypełniając wnętrze samochodu obłokami pary. Zdjął rękawice i pochuchał w dłonie, by przywrócić życie zmartwiałym i obrzmiałym palcom. Pstryknął włącznik radia i tarcza rozbłysła, co było pierwszym dobrym znakiem. Wziął do ręki mikrofon, zaczerpnął powietrza i niepewnym głosem zaczął wykrzykiwać.

– Halo? Halo, halo!

Odpowiedzią był jednostajny szum.

– Tu Dan O’Leary! Jest tam kto?! Halo! Finlay?! – Przerwał dla złapania oddechu. – Potrzebujemy natychmiastowych posiłków na ziemi Parkera House’a. Zabierzcie z sobą piły łańcuchowe. Droga zatarasowana powalonymi drzewami.

Umilkł i czekając na odpowiedź, odchylił głowę na zagłówek, ale z głośnika płynął tylko jednostajny szum statycznych zakłóceń. Zaklął i zaczął jak Calloway kręcić tarczami, nie przestając wykrzykiwać.

– Powtarzam: konieczne natychmiastowe posiłki! Przyślijcie też karetkę! Weźcie piły łańcuchowe! Dom Parkera House’a! Finlay, jesteś tam?! Finlay! Cholera jasna!

Ale znów odpowiedzią był tylko jednostajny szum. Dan powtórzył próbę po raz trzeci, po raz trzeci nie uzyskał żadnej odpowiedzi i odwiesił mikrofon. Miał nadzieję, że ktoś go usłyszał, ale nie mógł dłużej czekać. Czuł, że jego organizm za chwilę się podda. Kończyny stawały się coraz cięższe, instynkt samozachowawczy protestował przeciw ponownemu wyjściu na mróz i zawieję śnieżną.

Pogimnastykował palce, raz jeszcze na nie pochuchał i włożył rękawice.

A potem chwycił latarkę z kanapy i otworzył drzwi.

I w tym momencie radio zatrzeszczało.

– Szefie?!

* * *

Tracy przyjrzała się białemu pyłowi i nalotowi w pęknięciach płyty. Dotknęła palcem i posmakowała. Nalot miał kwaśno-gorzki posmak. Powąchała i wyczuła lekką woń siarki.

Oparła się plecami o ścianę i spojrzała na spękany sufit z gołej ziemi. Nad nią rósł świerkowy las, pełen krzaków i mchu – cały ekosystem, którym od milionów lat zarządzały cztery pory roku, powodując, że wszystko wokół cyklicznie ożywało i zamierało. W poszycie wsiąkały soki z gnijących roślin i rozkładających się ciał zwierząt, a deszcze i topniejące śniegi powodowały, że wytwarzane substancje chemiczne coraz głębiej penetrowały skaliste podłoże. Beton nie nadawał się do tak wilgotnego środowiska. Siarczany wchodziły w reakcje chemiczne z cementem, co powodowało osłabienie wiązań.

Tracy uklękła i popukała w beton. Na płycie pojawiło się wgłębienie i wykruszyły się z niej niewielkie płatki. Pociągnęła za łańcuch i poczuła, że przytwierdzona do ściany metalowa płyta lekko się poddaje. Zapewne śruby mocujące uległy skorodowaniu i spęczniały, a to spowodowało dodatkowe spękanie betonu i jeszcze głębszą penetrację wody. Pociągnęła ponownie i cała płytka odchyliła się na dobry centymetr. Wsunęła palce w szparę i wyczuła na powierzchni betonu nierówności. Ktoś próbował już ją podważać. To musiała być Sara. Próbowała oderwać metalową płytkę od ściany, tyle że dwadzieścia lat temu było to o wiele trudniejsze.

– Jak? Czym to zrobiłaś?

Tracy odsunęła się od ściany i zatoczyła półkole na długość łańcucha, wyznaczając potencjalne pole dostępu siostry. Żarówka nad głową świeciła coraz słabiej, kładące się na ścianie cienie czyniły napis Sary coraz mniej czytelnym.

Już nie

Już nie boję

Już nie boję się

Tracy przyjrzała się płytkom wykładziny, uklękła i zaczęła kolejno je podważać, szukając nietypowych nierówności. A potem zaczęła rozgrzebywać rękami ziemię.

– Gdzie to jest? Czego używałaś?

Włókno w żarówce przybrało już pomarańczową barwę, plama światła coraz

bardziej się kurczyła, cienie na ścianie stawały się coraz głębsze.

Już nie boję się...

Tracy zaczęła energiczniej grzebać. Pod palcami wyczuła coś twardego, jeszcze mocniej wpiła palce i wygrzebała niewielki zaokrąglony kamień. Zakłęła pod nosem i spojrzała na drzwi w ścianie. Nie wiedziała, ile czasu zostało do powrotu House'a, ale nawet gdyby miała go pod dostatkiem, rozgrzebanie całej podłogi w promieniu łańcucha nie wchodziło w rachubę. Po prostu półkole było za duże, zresztą czuła, że House długo jej tu nie potrzyma, jak to zrobił z Sarą. Odnosiła wrażenie, że realizuje coś w rodzaju misji, wyrównuje jakieś chore rachunki. Powróciła do rozgrzebywania ziemi – teraz już niemal całkiem po omacku – i nagle poczuła, jakby coś przesunęło jej rękę nieco w górę od miejsca, w którym znalazła kamień. Wymacała palcami nierówność, niewielkie zgrubienie. Przejechała po nim dłonią i wyczuła obok lekkie zagłębienie. Zaczęła grzebać. Zaledwie dwa centymetry pod powierzchnią natknęła się na coś twardego. Przejechała po tym czymś palcami, zgarniając ziemię. Żarówka ledwie już świeciła i Tracy była zdana wyłącznie na dotyk. Cokolwiek to było, nie było ani małe, ani zaokrąglone, lecz proste, podłużne i kanciaste. Przejechała palcem, starając się wymacać krawędź. Udało się! Zaczęła coraz bardziej zagłębiać palce i dotknęła dolnej krawędzi. Wygrzebała wgłębienie na palec i pociągnęła, czując, jak to coś stopniowo się obluzuje. Wydłubała miejsce na drugi palec, potem na następny. Wsunęła pod krawędź całą dłoń, pociągnęła i w końcu wyrwała z ziemi całość.

Metalowy pręt.

Rozdział 68

Roy Calloway porwał się na coś, co chyba wykraczało poza jego fizyczne możliwości. Śnieg wprawdzie przestał na chwilę padać, za to wiatr bezlitośnie i coraz mocniej smagał mu niczym nieosłoniętą twarz. Mięśnie nóg skręcały bolesne skurcze, płuca rozsadzało tak, jakby za chwilę miały eksplodować. Nie czuł rąk i stóp. Potrzeba odpoczynku i złapania oddechu stawała się coraz silniejsza. Na szczęście po paru dalszych krokach teren nieco się spłaszczył i to mu przypomniało wyprawę z Parkerem House'em sprzed dwudziestu lat. Wtedy też dotarli do takiego miejsca. O ile dobrze pamiętał, wejście do sztolni znajdowało się gdzieś na lewo. Tylko jak je teraz odnaleźć?

Zapamiętał, że było prostokątne i niewiele większe od domowej bramy garażowej. Belki podtrzymujące strop, już wtedy wygięte, wyglądały tak, jakby wkrótce wszystko miało się zawalić. Wejście, tak jak cała prowadząca do niego droga sprzed kilkadziesiątu lat, było mocno zarośnięte. Teraz zapewne było jeszcze gorzej i Callowayowi pozostawało tylko mieć nadzieję, że Edmund House choć trochę je oczyścił.

Omiótł światłem latarki otaczającą go połać śniegu i nie dojrzał ani śladów płóz, ani pojazdu. House musiał gdzieś ukryć skuter i zanieść Tracy na rękach, a to znaczyło, że wejście musi być blisko. Calloway rozejrzał się uważniej i wypatrzył pojedyncze ślady nóg.

Wejście do sztolni musiało być tuż obok.

Poświecił wzdłuż śladów i stwierdził, że prowadzą do czarnej plamy, która początkowo wydała mu się wystającą skałą, a w rzeczywistości była otworem w zboczu, wokół którego niedawno odgarnięto śnieg.

Przyklęknął, zsunął z ramienia strzelbę, zdjął rękawice i pogimnastykował palce, by przywrócić w nich czucie. Odpiął rakiety i wetknąwszy je sztorcem w śnieg, zaczął się wpatrywać w otaczające go ciemności i nasłuchiwać. Wokół słychać było tylko wycie wiatru. Raz jeszcze pochuchał w dłonie, wziął do ręki strzelbę, do drugiej latarkę i podniósł się z klęczek.

Świecąc sobie pod stopy, zrobił pierwszy krok. Noga zapadła mu się po kolano, wyciągnął ją ze śniegu, postawił drugą i znów się zapadł. Skręcił w lewo w stronę śladów, otrząsnął się ze śniegu i zaczął się wolno wspinać pod górę. Wciąż się zapadał, ale już dużo płycej. Dotarł w pobliże otworu i postawił prawą nogę w kolejnym zagłębieniu w śniegu, i tym razem się nie zapadł. Stał na czymś twardym.

Śnieg pod nogą Callowaya eksplodował białym puchem jak gejzer, obsypując mu twarz. Rozległ się głośny szczęk i sekundę później szeryf poczuł, jak stalowe zęby wgryzają mu się w łydkę. Zaraz potem nastąpił drugi przeraźliwy

trzask.

Calloway wrzasnął z bólu i runął twarzą w śnieg.

Na plecy spadło mu coś ciężkiego, wyciskając dech z piersi, wgniatając głębiej w śnieg i zatykając usta. Szarpnął głowę do tyłu, czując, że się dusi. Ktoś złapał go za rękę, pociągnął za głowę i zatrzasnął kajdanki.

Szeryf odchylił nieco głowę, na wpół oślepiiony śniegiem i przeraźliwym bólem. Ciemna postać w kapturze posuwała się tyłem, ciągnąc go za skute kajdankami ręce ku czarnemu otworowi w zboczu, niczym drapieżnik, który wciąga zdobycz do swej nory.

Rozdział 69

Od strony wejścia rozbrzmiały mrozące krew w żyłach wrzaski bólu. Przypominały skowyt rannego zwierzęcia, ale Tracy wiedziała, że ich źródłem jest człowiek. House wrócił i nie był sam.

Żarówka prawie zupełnie zgasła i w pomieszczeniu zapadła niemal zupełna ciemność. Tracy przysunęła się do ściany, zdecydowana doprowadzić do końca dzieło siostry.

Już nie

Już nie boję

Już nie boję się...

ciemności

Skowyt stał się głośniejszy, wypełniał całą przestrzeń przeraźliwym wyciem z bólu. A potem wszystko ucichło tak nagle, jak się zaczęło, i zapadła głucha cisza.

Tracy zgarnęła ręką wykruszone wokół śrub okruchy betonu do zagłębienia w podłodze, z którego wyjęła metalowy pręt Sary, przysypała ziemią i przyklepała. Słyszając zbliżające się kroki i odgłosy szurania, zdążyła jeszcze zasłonić miejsce płytką wykładziny.

Drzwi z impetem się otworzyły.

Stanął w nich zwrócony do niej plecami House i zaczął się mocować z czymś ciężkim i bezwładnym. W jaśniejszym otworze drzwi Tracy widziała, jak ciągnie swą ofiarę do jednego z drewnianych słupów i tam ją zostawia. Ciemności nie pozwalały jej dojrzeć rysów twarzy leżącego, ale była niemal pewna, że jest nim Parker.

House przerzucił koniec łańcucha przez poziomą belkę i przekładając na nim dłoń jak przy wciąganiu żagla, podciągnął leżącego z rękami wyciągniętymi nad głowę. Po chwili ofiara zawisa nad podłogą niczym kawał mięsa w rzeźni i House dopiero wtedy zaczepił ogniwo łańcucha o hak na słupie, westchnął z ulgą i ciężko dysząc, z rękami wspartymi na kolanach oparł się o sąsiedni słup. Trwał tak dłuższą chwilę, powoli uspokajając oddech, potem machnął ręką w geście triumfu, zatoczył się do przodu i opadł na kolana. Tracy usłyszała, jak kręci korbę generatora, aż rżąc z wysiłku. Żarówka ożyła, buczenie stało się głośniejsze, plama światła zaczęła się rozszerzać, stopniowo wydobywając z mroku wiszącą postać.

Roy Calloway zwisał na łańcuchu doczepionym do kajdanek na rękach i przerzuconym przez belkę, która jednak była za nisko, by ofiara mogła swobodnie zawisnąć. W rezultacie był tylko rozciągnięty na słupie, a stopami dotykał podłogi. Gdy światło żarówki wydobyło z mroku jego twarz, Tracy w pierwszej chwili pomyślała, że szeryf nie żyje. Z twarzy i ubrania zwisały mu sople lodu, w kaburze na biodrze tkwił jego magnum, noga poniżej kolana była wygięta pod dziwnym kątem w miejscu, gdzie wbiły się w nią stalowe zęby sideł na niedźwiedzie. Spodnie były rozdarte i nasiąknięte krwią.

Tracy ruszyła na klęczkach w jego stronę, ale łańcuch okazał się zbyt krótki.

House przestał obracać korbę generatora i ciężko dysząc, oparł się o stolik. Topniejący śnieg i pot zlepily mu włosy i ściekały kroplami po twarzy. Zdjął rękawice, rozpiął kurtkę i rzuciwszy wszystko na łóżko, został w koszuli, która przylgnęła mu do torsu. Uniósł głowę i spojrzał na Callowaya tak, jak patrzy myśliwy na trofeum swego życia.

Które za chwilę wypatroszy.

Calloway jęknął.

House wyciągnął rękę i ścisnął mu twarz.

– O właśnie. I nie waż się umierać, ty sukinsynu! To by było za dobre dla ciebie. Śmierć jest za dobra dla was obu. Najpierw pocierpicie tak, że moje dwadzieścia lat w pudle będzie przy tym niczym. – Przeniósł wzrok na Tracy. – Popatrz, szeryfie. Tyle twoich starań i kłamstw, i wszystko na nic.

– Dureń z ciebie – burknęła Tracy.

House puścił twarz Callowaya.

– Jak mnie nazwałaś?

Pokręciła drwiąco głową.

– Powiedziała, że dureń z ciebie. – Stanął bliżej, ale jeszcze nie w zasięgu jej rąk. – Naprawdę dobrze to przemyślałeś?

Calloway poruszył nogami, jakby próbując się podeprzeć, i aż zawył z bólu. To znów przyciągnęło uwagę House'a; oparł się ręką o słup tak, że ich nosy prawie się zetknęły.

– Roy, wiesz, co to jest dziura w pierdłu? To tak, jakby cię zamknęli i pozbawili wszelkich zmysłów. To tak, jakbyś nie istniał, jakby nie istniał cały świat. Dopilnuję, żebyś tak się poczuł. Potrzynam cię w tej dziurze tak długo, aż zapomnisz, że istniejesz. Doprowadzę do tego, że zaczniesz marzyć o śmierci.

– Naprawdę straszny z ciebie matole – powiedziała Tracy.

House oderwał się od słupa.

– Gównu wiesz – warknął. – Jakbyś coś wiedziała, toby cię tu nie było.

– Wiem tyle, że już dwa razy spieprzyłeś sprawę. Wiem, że dwa razy dałeś się przyłapać i zamknąć w pierdłu. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że to może dlatego, że nie jesteś aż takim spryciarzem, za jakiego się uważasz?

– Zamknij mordę! Nic nie wiesz!

– Mądry uczy się na błędach – powiedziała, imitując jego ton. – Czy to nie twoje słowa? Ale coś mi się zdaje, że ty niczego się nie nauczyłeś.

– Powiedziałem, zamknij się.

– Sprowadziłeś tu szeryfa Cedar Grove. Jakim idiotą trzeba być, żeby wymyślić coś takiego? Przecież Parker żyje. Wydaje ci się, że szeryf wybrał się tu sam? Oni już wiedzą, że tu jesteś. Pójdiesz znów do pierdła. Po raz trzeci. Do trzech razy sztuka, Edmundzie.

– Nigdzie nie pójde, póki nie skończymy porachunków, on i ja. A potem zajmę się tobą.

House dźwignął generator i położył go na stole. Od tyłu obudowa była otwarta i widać było wiązkę przewodów wychodzących z ogniów potężnego akumulatora. Dokładnie tak, jak to przewidziała.

Poluzował nakrętki i przyłączył do biegunów akumulatora dwa odizolowane miedziane przewody. Odwrócił się do Tracy, by coś powiedzieć, końce przewodów przypadkiem się zetknęły i strzeliła głośna iskra. House wzdrygnął się i zaklął ze złością:

– Kurwa!

– Boże, ależ z ciebie kretyn.

Zrobił ku niej krok, trzymając dwa gołe przewody.

– Nie nazywaj mnie kretynem.

– Jak ci się zdaje, jak on się tutaj znalazł? Zastanowiłeś się nad tym choć przez chwilę? Już tu po ciebie idą, Edmundzie. Znowu cię dopadną.

– Zamknij się!

– Niczego się nie nauczyłeś. Byłeś czysty. Nie groził ci nawet nowy proces. Byłeś wolny i mogłeś spokojnie odejść, ale ty się dałeś ponieść swojemu durnemu ego.

– Nie chciałem nigdzie odchodzić. Chciałem się zemścić. I zrobię to. Miałem dwadzieścia lat na obmyślenie tego, co zrobię z nim i z tobą.

– I właśnie dlatego dwukrotnie dałeś dupy. Bo jesteś kretynem.

– Przestań nazywać mnie kretynem!

– Dostałeś szansę, na jaką liczy i o jakiej marzy każdy skazaniec, a ty ją spieprzyłeś, bo jesteś głupi.

– Przestań mnie nazywać...

– Nic nie zyskałeś i znów przegrałeś. Ale jesteś za głupi, żeby to zrozumieć. Bo jesteś kretyn.

Puścił przewód i ruszył ku niej, wlepiając w nią wściekłe spojrzenie. Tracy na to właśnie czekała z metalowym prętem wetkniętym spłaszczonym końcem za cholewkę buta. Gdy House znalazł się tuż przy niej, nagle się zerwała. Z całej siły odepchnęła się tylną nogą i zrobiwszy zamach rękami, wbiła od dołu spłaszczony

koniec pręta w jego klatkę piersiową. Włożona w zamach siła w zetknięciu z jego ruchem do przodu spowodowała, że pręt wszedł głęboko pod żebra.

House zawył z bólu i odskoczył do tyłu.

Tracy wykonała obrót, zaparła się nogą o ścianę i owinawszy łańcuch wokół rąk, z całej siły szarpnęła. Skorodowane śruby wyskoczyły ze ściany, siejąc wokół okruchami cementu i pyłem. Z rękami w kajdankach i przyczepionym do nich trzydziestocentymetrowym kawałkiem łańcucha rzuciła się do przodu po magnum na biodrze Callowaya. Już zaczynała rozpinąć kaburę, gdy poczuła gwałtowne szarpnięcie do tyłu. House chwycił jej łańcuch i pociągnął jak smycz psa. Klapnęła na tyłek, pozbierała się i ponownie sięgnęła po broń. Zdołał owinać łańcuch wokół jej szyi, ona jednak odepchnęła się nogą od słupa i rzuciła się do tyłu na House'a.

Oboje upadli, przewracając koślawy stół i zrzucając z niego generator. Tracy wylądowała plecami na Housie, on jednak nie przestawał jej dusić. Odrzuciła głowę do tyłu w nadziei, że w niego trafi, zaczęła wymachiwać za siebie łokciami i nogami. Łańcuch na jej szyi jeszcze bardziej się zacisnął. Spróbowała włożyć pod niego palce, ale House był na to za silny i łańcuch zbyt ściśle przylegał do jej szyi. Opuściła za siebie rękę, wymacała koniec pręta i nacisnęła. House wrzasnął z bólu i zaklął, ale pętla z łańcucha się nie rozluźniła.

Z całej siły pociągnęła za pręt, House zawył i popuścił łańcuch. Znów zamachnęła się do tyłu, trafiła w coś twardego i usłyszała chrupnięcie kości nosa. Docisk łańcucha jeszcze bardziej zelżał – na tyle, że udało jej się wysunąć z niego głowę. Stoczyła się z House'a, łapczywie chwytając powietrze i czując, jak jej płonie cała szyja. Odczołgała się po podłodze w nadziei, że starczy jej łańcucha, którego koniec nadal pozostawał owinięty na ręce House'a. Doczołgała się do Callowaya i tym razem udało jej się rozpiąć kaburę i uchwycić rękojeść rewolweru, ale House znów szarpnął łańcuchem i wyłamał jej rękę do tyłu. Rewolwer wypadł Tracy z dłoni i wylądował w ciemnym zakamarku pomieszczenia.

House dźwignął się na nogi z łańcuchem owiniętym wokół potężnej łapy. Przód koszuli miał zalany krwią, która kapiała z białego pręta i złamanego nosa.

Tracy też spróbowała wstać, ale House ponownie szarpnął łańcuchem i wyciągnęła się jak długa na podłodze. Gdy ruszył ku niej, sięgnęła do leżącego obok generatora, uchwyciła oba końce przewodu i wstała. House znów pociągnął, a ona tym razem nie stawiała oporu.

Wręcz przeciwnie. Runęła na niego z takim impetem, że oboje padli na podłogę. Leżąc, dotknęła końcami przewodu metalowego pręta. Trzasnęła iskra i w powietrzu rozszedł się swąd przypiekanego ciała. Z zakamarków pamięci powróciła do niej scena, jak Enrique, jej uczeń z liceum Cedar Grove, wykrzykuje „przewodnik”. Na moment obwód się rozwarł, lecz go zaraz znów zamknęła. Ciało House'a wyprężyło się, zadygotało i zwiotczało.

Tracy stoczyła się na podłogę, odwinęła łańcuch z jego ręki i ruszyła na

czworakach w poszukiwaniu rewolweru. Za plecami usłyszała jęk House'a. Obejrzała się przez ramię i ze zdumieniem stwierdziła, że jakimś cudem się pozbierał i stoi na czworakach, jak niedźwiedź szykujący się do stanięcia na tylnych łapach. Zaczęła gorączkowo macać podłogę pod ścianą.

House podniósł się na nogi.

Ręka Tracy rozpaczliwie macała po podłodze.

Zachwiał się i ruszył przed siebie.

Przeciągnęła dłoń wzdłuż ściany i namacała rewolwer.

House był coraz bliżej. Niemal za blisko, by zdążyła wystrzelić.

Niemal.

Przetoczyła się na plecy, równocześnie odciągając kurek. Wystrzeliła, przeładowała, wystrzeliła, przeładowała i strzeliła po raz trzeci.

Rozdział 70

Wykorzystując swój ciężar, Tracy uwiesiła się na łańcuchu i podciągnęła bezwładne ciało Callowaya na tyle, że udało jej się odhaczyć łańcuch od słupa. Ostrożnie opuściła rannego na podłogę. Calloway mamrotał coś niezrozumiale, oddychał płytko i szybko, cicho charcząc. Wyglądało to tak, jakby co chwilę tracił i odzyskiwał przytomność. Żył, ale Tracy nie była pewna, jak długo pociągnie.

House leżał twarzą do podłogi. Pierwsza kula roztrzaskała mu mostek, stopując go w miejscu, ale zanim runął na podłogę, drugi pocisk trafił go pięć centymetrów w lewo od pierwszego i rozharatał serce. Trzeci zrobił dziurę w czole i wyszedł z tyłu czaszki.

W kieszeni spodni House'a znalazła kluczyk do swoich kajdanek. Uwolniła się, pocięła rzeczy House'a i zrobiła z nich opaskę uciskową na nogę Callowaya. Nie próbowała usuwać niedźwiedzich sideł w obawie, że mogłoby to bardziej rozharatać ranę, co groziłoby szokiem organizmu i śmiertelną utratą krwi. Usiadła i ułożyła głowę szeryfa na swoich nogach.

– Roy? Roy?

Otworzył oczy. Choć w pomieszczeniu było lodowato zimno, jego twarz była złana potem, jakby go trawiła śmiertelna gorączka.

– House? – wyszeptał.

– Nie żyje.

Wargi Callowaya rozciągnęły się w słabym uśmiechu, powieki zamrugały i opadły.

– Roy? – powtórzyła i klepnęła go w policzek. – Roy? Czy ktoś wie, że tu jesteśmy?

– Dan – wyszeptał.

Rozdział 71

Dan czekał przy suburbanie Callowaya na Finlaya Armstronga, któremu towarzyszył inny funkcjonariusz i dwaj mieszkańcy Cedar Grove z piłami łańcuchowymi. Zostawiając cywilom zadanie uprzątnięcia dojazdu, Dan i obaj mężczyźni z biura szeryfa ruszyli ścieżką w stronę posiadłości Parkera.

Śnieg przestał padać i nawet wiatr nieco zelżał, dzięki czemu marsz nie był już tak wyczerpujący i odbywał się w zaskakującej ciszy, jakby znaleźli się w oku cyklonu. Na miejscu okazało się, że Parker żyje, ale Dan ocenił jego stan na gorszy niż wcześniej.

– Zostań tu i czekaj na przyjazd karetki – polecił Finlay, spoglądając na Dana.

– Ani mi się śni – parsknął Dan. – Idę z wami po Tracy.

Wyglądało na to, że Finlay chce protestować, ale Dan zamknął mu usta sposobem podpatrzonym u Callowaya.

– Nie ma czasu na dyskusje, Finlay – rzucił. – Każda sekunda stracona to sekunda więcej dla House'a na zabicie obojga. Ruszajmy!

I ruszyli. Obaj wychowali się w Cedar Grove, obaj często włóczyli się po okolicy i znali drogę do dawnej Kopalni Cedar Grove. Wprawdzie pod śniegiem wszystko wyglądało inaczej, ale prowadziły ich ślady stóp, które musiał zostawić Calloway.

Po dwudziestu minutach mozolnego przedzierania się pod górę dotarli do wetkniętych w śnieg rakiet śnieżnych i widocznego pięć metrów dalej wejścia do kopalni, które ktoś częściowo odgarnął ze śniegu. Wiodły ku niemu głębokie ślady nóg, które w pewnym momencie się urywały i zamieniały w smugę, jakby ktoś coś ciągnął po śniegu.

Uklękli przy otworze, Finlay poświecił do środka tunelu i ruszył pierwszy ze strzelbą gotową do strzału; Dan podążył za nim z karabinem. Snopy światła z ich latarek rozjaśniały prowadzącą w głąb sztolnię.

– Zgaś – szepnął Dan, gasząc swoją latarkę.

Ogarnęły ich całkowite ciemności, ale po paru sekundach Dan dostrzegł w głębi tunelu bladą poświatę. Ruszyli ku niej i dotarli do wejścia do jakiegoś pomieszczenia. Finlay stanął, zapalił latarkę i skierował do wnętrza lufę strzelby, Dan zrobił to samo z karabinem i swoją latarką. Omietli światłem latarek pokój, w którym najwyraźniej niegdyś było biuro. Wciąż jeszcze stały w nim metalowe biurka i krzesła, pod ścianami widać było zielonkawe stalowe szafki na dokumenty.

Z otworu w tylnej ścianie sączyła się pomarańczowa poświata.

– Tutaj – odezwał się głos Tracy. – Jestem tu.

Dan ruszył w stronę głosu, ale Finlay przytrzymał go za rękę.

– Tracy?! – zawołał. – Jesteś cała?!
– Tak – odpowiedziała. – House nie żyje.
Finlay wszedł do środka, Dan tuż za nim.

Na przewodzie zwisała goła żarówka. Tracy siedziała z plecami opartymi o drewniany słup, z głową Roya Callowaya na nogach, w kącie leżały zakrwawione zwłoki House'a. Z przestrzelonej głowy sączyła się krew.

Dan uklęknął obok Tracy i objął ją.

– Nic ci nie jest? – szepnął.

Pokręciła głową i spojrzała na szeryfa.

– Ale on długo nie pociągnie – powiedziała.

* * *

Nastał świt, a wraz z nim poprawa pogody. Tracy stała na placyku przed wejściem do kopalni, odgarniętym ze śniegu przez Finlaya i grupę mieszkańców, którzy zareagowali na jego apel o pomoc. Okryta termicznym kocem, stała wpatrzona w plamy błękitu na niebie i prześwitujące przez warstwę chmur promienie słońca barwiące niebo na karmazynowo, różowo i pomarańczowo i nadające mu typowy wygląd po burzy śnieżnej. Widoczne w oddali dachy domów wyglądały jak maleńkie piramidy, snujący się z kominów dym tworzył wiszące nieruchomo chmury. Przypominało to widok z jej pokoju w rodzinnym domu, a świadomość, że z tak wieloma domami łączyły ją osobiste wspomnienia, zawsze poprawiała jej nastrój i dawała poczucie bezpieczeństwa.

Ciszę zakłóciły odgłosy dochodzące z wnętrza sztolni. Odwróciła głowę i spojrzała na sanitariuszy, którzy ciągnęli na sankach otulonego w koce Roya Callowaya. Był przytomny; mijając ją, odwrócił głowę i ich spojrzenia się spotkały. Tracy ruszyła za nimi, przyglądając się, jak sanitariusze ostrożnie kładą sanki i mocują je pomiędzy dwoma skuterami śnieżnymi.

– Wciąż niezły z niego twardziel, co? – powiedział Dan, zachodząc ją od tyłu.

– Jak stek za dwa dolary – parsknęła.

Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Ty też nie jesteś gorsza, Tracy Crosswhite. I wciąż umiesz strzelać. Bez pudła.

– Co z Parkerem?

– W stanie krytycznym. Podobnie jak DeAngelo Finn.

– DeAngelo?

– Mhm. Wygląda na to, że House zabrał się do wyrównywania rachunków z wszystkimi po kolei. Miejmy nadzieję, że zdążyliśmy na czas i obaj się wykaraskają.

– Nie jestem pewna, czy ktokolwiek z nas w pełni się z tego wykaraska.

Poprawił koc na jej ramionach.

– Jak ty to zrobiłaś? Jak ci się udało uwolnić? – spytał.

Tracy spojrzała na smuzkę dymu z jednego z kominów, tkwiącą nieruchomo niczym smuga kondensacyjna za odrzutowcem.

– Dzięki Sarze – odrzekła.

Spojrzał na nią pytająco.

– House’owi od początku chodziło o mnie.

– To wiem. Calloway mi powiedział. Bardzo ci współczuję.

– Musiał powiedzieć Sarze, że mnie też tu ściągnie. Dlatego zostawiła mi wiadomość wyskrobaną na ścianie. Nawet gdyby House ją zauważył, nie wiedziałby, co oznacza. Tylko ja ją mogłam zrozumieć. To było nasze zakłęcie, które wypowiadałyśmy razem przed usnięciem. Wiadomość adresowana tylko do mnie. Sara chciała w ten sposób dać mi znać, że znalazła coś, czym można żłobić ścianę i obluzować śruby. Musiało zabraknąć jej czasu, poza tym dwadzieścia lat temu beton był dużo twardszy niż teraz.

– Nic nie rozumiem.

– To kwestia chemii. – Westchnęła. – Tę ścianę wylano jakieś osiemdziesiąt lat temu, może nawet dawniej. Z czasem substancje chemiczne z rozkładających się roślin przesączyły się przez glebę i weszły w reakcje z betonem. Starzejący się beton zaczyna pękać, a jak wiadomo, woda zawsze znajduje wszelkie nieszczelności. Gdy się dostała do śrub, te zaczęły rdzewieć. Korodujące śruby zaczynają pęcznieć i dodatkowo rozsadzają beton. Sara niby żłobiła napis, ale tak naprawdę próbowała wydhubywać kawałki betonu spod płytki i wokół śrub.

– Pani Allen byłaby z niej dumna – powiedział Dan.

Tracy oparła głowę na jego ramieniu.

– Wypowiadałyśmy to zakłęcie razem, kiedy była jeszcze dzieckiem. Bała się ciemności. Przybiegała do mojego pokoju i wślizgiwała się do łóżka, a ja wtedy kazałam jej zamykać oczy i powtarzać za mną to zakłęcie. A potem gasiłam światło i ona usypiała. – Tracy rozplakała się i nawet nie próbowała ocierać łez. – To było jak modlitwa na dobranoc. Nie chciała, żeby ktoś inny wiedział, że boi się ciemności. Brakuje mi jej, Dan. Tak bardzo mi jej brakuje.

Mocno ją przytulił.

– Wygląda na to, że całkiem nie odeszła – powiedział. – Wygląda, że wciąż jest z tobą.

Uniosła głowę i uważnie mu się przyjrzała.

– No co? – obruszył się.

– To bardzo dziwne, co mówisz. Bo ja ją czułam, Dan. Poczułam jej obecność. Było zupełnie tak, jakby to ona poprowadziła mi rękę do tego pręta. Bo nic nie tłumaczy tego, że zaczęłam grzebać akurat w tym miejscu.

– Myślę, że właśnie to wytłumaczyłaś.

Rozdział 72

Burza śnieżna uziemiła przedstawicieli mediów, którzy zjechali się z całego kraju na posiedzenie sądu w sprawie Edmunda House'a i zostali zmuszeni przez pogodę do zostania na noc w Cedar Grove i okolicznych miasteczkach. Gdy rozeszły się wiadomości o napaściach na DeAngela i Parkera House'a, a potem o wydarzeniach w Kopalni Cedar Grove, wszyscy pośpiesznie wrócili do swych samochodów i wozów transmisyjnych. Maria Vanpelt płała się w sławie, nadając z różnych miejsc w mieście i informując każdego gotowego słuchać, że była pierwszą reporterką, która zrelacjonowała całą historię w swoim programie *KRIX Tajniacy*.

Tracy oglądała medialną zawieruchę, siedząc wygodnie na kanapie Dana i mając u nóg psy, które jej nie odstępowały, jakby czuły, że muszą jej bronić przed hordą reporterów oblegających dom Dana. Wiedząc, że media nie odpuszczą, póki nie stanie z nimi twarzą w twarz, Tracy ogłosiła, że zamierza zwołać konferencję prasową w Pierwszym Kościele Prezbiteriańskim, jedynym budynku w Cedar Grove, który mógł pomieścić spodziewane tłumy. W tym samym kościele odprawiono kiedyś nabożeństwo żałobne za jej ojca.

– Robię to tylko po to, żeby obłaskawić szefostwo – powiedziała Kinsowi przez telefon.

– Gówno prawda – parsknął. – Nawet przez chwilę w to nie wierzę. Jeśli coś takiego robisz, to masz w tym ukryty cel.

* * *

Tracy i Dan stali w bocznej nawie, kryjąc się przed tłumem wypełniającym ławki i przejścia w kościele.

– Znów to zrobiłaś – szepnął Dan. – Znów udało ci się rozślawić Cedar Grove. Słyszałem, że burmistrz już gardłuje, że Cedar Grove to nieduże prężne miasto, które tylko czeka na ludzi z inicjatywą. Wspomniał nawet o ożywieniu dawno uśmierconego planu budowy Cascadii.

Tracy się uśmiechnęła. Jej drogie stare miasto zasługiwało na drugą szansę. Wszyscy na nią zasługują.

Rozejrzała się po tłumie w ławkach i prześlizgnęła wzrokiem po stojących pod ścianami i w przejściach. Reporterzy siedzieli w pierwszych rzędach z notesami i magnetofonami na kolanach, fotoreporterzy i kamerzyści ustawili się w przejściach. Zjawili się też liczni ciekawscy z miasta, wśród których Tracy rozpoznała twarze wielu uczestników pogrzebu siostry i posiedzenia w sadzie. W jednej z pierwszych ławek dojrzała George'a Bovine'a; między nim a kobietą w średnim wieku – zapewne jego żoną – siedziała Annabelle. Bovine powiedział

Danowi przez telefon, że liczy na to, że finał tej historii – przekonanie się, że Edmund House naprawdę nie żyje – pomoże jego córce w zamknięciu tego rozdziału życia i otwarciu nowego.

Zjawili się też Sunnie Witherspoon i Darren Thorenson, w tylnej kruchcie Tracy dojrzała górującą nad tłumem sylwetkę Vica Fazzio i stojących obok Billy'ego Williama i Kinsa.

– Życz mi powodzenia – szepnęła, wychodząc na środek i wywołując prawdziwą kanonadę migawek i fleszy. Las mikrofonów przed mównicą był nawet gęstszy niż na konferencji po posiedzeniu sądu w sprawie Edmunda House'a.

– Nie chciałabym się zbyt rozwódzić – zaczęła, rozprostowując kartkę z notatkami. – Wielu z was się zastanawia, co się naprawdę wydarzyło po posiedzeniu sądu, w wyniku którego Edmund House wyszedł na wolność. Okazuje się, że miałam rację, że został na procesie wrobiony. Pomyliłam się natomiast co do tego, że był niewinny. Edmund House naprawdę zgwałcił i zamordował moją siostrę Sarę, tak jak się do tego przyznał szeryfowi Callowayowi przed dwudziestu laty. Nie zabił jej jednak ani nie zakopał ciała od razu. Przez siedem tygodni więził ją w starej kopalni w górach i dopiero przed oddaniem do użytku zapory Cascade Falls zabił ją i zakopał. Wkrótce potem to miejsce znalazło się pod wodą, która miała na zawsze ukryć jego zbrodnię.

Zaczerpnęła powietrza i mówiła dalej:

– Wielu z was się zastanawia, kto doprowadził do wrobienia Edmunda House'a. Ja przez dwadzieścia lat też się nad tym głowiłam. Teraz już wiem, że tym kimś był mój ojciec, James Crosswhite. Wiem, że dla tych z was, którzy go znali, to trudne do zaakceptowania, ale proszę, byście go nie potępiali. Ojciec całym sercem kochał Sarę i mnie. Zaginięcie córki nim wstrząsnęło i od tej chwili już nie był sobą. – Spojrzała na George'a Bovine'a. – Zrobił to z miłości do niej, ale także z myślą o każdym ojcu kochającym swoją córkę. Chciał mieć pewność, że żaden ojciec nie będzie już musiał cierpieć przez Edmunda House'a tak jak George Bovine.

Znów na moment przerwała, starając się zapanować nad emocjami.

– Jedyne logiczne wytłumaczenie jest to, że gdy Edmund House przyznał się szefowi Callowayowi, szydząc z niego, że bez ciała mojej siostry i tak mu nic nie zrobi, ojciec zebrał resztki włosów ze szczotki, której z siostrą używałyśmy, i podrzucił je w vanie House'a jako dowód. To także on włożył biżuterię Sary do skarpetki i schował do pudełka w szpie Parkera House'a. Był lekarzem rodzinnym i często odbywał wizyty domowe u pacjentów, w tym także u Parkera House'a. I to także mój ojciec, który bardzo skrupulatnie sprawdzał wszystkie sygnały na temat Sary, skontaktował się z Ryanem Hagenem i wmówił mu, że przejeżdżając tego wieczoru przez miasto, widział na drodze wiśniowego vana Chevy. Wszystko to robił sam, z własnej inicjatywy. Chcę z całą mocą

podkreślić, że według mojej wiedzy Roy Calloway, Vance Clark ani nikt inny nie uczestniczył w działaniach mojego ojca. Jego postępowanie było motywowane żalem, rozpaczą i desperacją. Można kwestionować jego czyny, mam jednak nadzieję, że nikt nie zakwestionuje jego motywów. Tych, którzy znali mojego ojca, proszę, byście zapamiętali go jako wiernego męża, kochającego ojca i lojalnego przyjaciela. Chętnie odpowiem teraz na państwa pytania.

Pytań była cała masa i Tracy zaczęła się z nimi zmagać i kluczyć, odpowiadając na te, na które mogła, kręcąc przy innych i zasłaniając się niewiedzą, gdy nie dało się inaczej. Po dziesięciu minutach Finlay Armstrong, pełniący obowiązki szeryfa Cedar Grove, wkroczył do akcji i zakończył konferencję, po czym zapewnił Tracy i Danowi policyjną eskortę na powrót z kościoła do domu Dana, dokąd oboje udali się pod opiekę najlepszego systemu alarmowego na świecie.

* * *

Następnego dnia Tracy odwiedziła Roya Callowaya w szpitalu. Parker House był wciąż w stanie krytycznym, ale rokowania brzmiały coraz lepiej i lekarze zapewniali, że czas zagoi wszystkie jego rany. Tracy nie była tego pewna.

Znalazła szeryfa w separacie. Siedział na łóżku z plecami opartymi pod kątem czterdziestu pięciu stopni i nogą zawieszoną na wyciągu nad łóżkiem.

– Witaj, szefie – rzuciła.

– Już nie „szefie”. – Pokręcił głową. – Już jestem emerytem.

– Chyba piekło zamarzło.

– Od trzech dni.

– I dobrze. – Uśmiechnęła się. – Jak noga?

– Lekarz mówi, że czeka mnie jeszcze parę operacji, ale da się ją uratować.

Będę utykał i chodził o lasce, ale twierdzi, że w brodeniu w strumieniach mi to nie przeszkodzi.

Wzięła go za rękę.

– Przykro mi, Roy, że się do tego przyczyniłam. Wiem, że tata nie pozwolił ci powiedzieć mi prawdy, więc gdy próbowałam wydusić z ciebie odpowiedzi, stawiałam cię w sytuacji, w której uważałeś za swój obowiązek chronić Vance’a i DeAngela, a mnie zniechęcać do wtykania nosa.

– Tylko nie rób ze mnie bohatera. Bo tak naprawdę chronilem też własny tyłek. Wiesz, zastanawiałem się nawet, żeby ci powiedzieć.

– I tak bym ci nie uwierzyła.

– Tak też pomyślałam. I dlatego nawet nie próbowałam. Miałaś swoją wersję, a znałem cię i wiedziałem, że jesteś równie uparta jak twój stary.

– Bardziej. – Uśmiechnęła się.

– Nie chciał, żebyś jeszcze bardziej cierpiała niż dotąd. Stracił Sarę i nie

chciał stracić też ciebie. Bał się, że nie udźwigniesz poczucia winy i załamiesz się. Nie chciał do tego dopuścić. Nie chciał, żebyś myślała, że Sara umarła przez ciebie. Bo wiesz, że tak nie było. House był psychopata. Zabił ją, ponieważ nadarzyła się okazja. Ale pewnie nie muszę ci tego mówić. Myślę, że spotykasz w pracy dużo więcej takich drani niż my tu, w Cedar Grove.

– Roy, jak sądzisz, co się stało?

– Z kim? Z twoim ojcem?

– Znałeś go lepiej od innych. Co według ciebie się zdarzyło?

Calloway chwilę myślał nad odpowiedzią.

– Sądzę, że po prostu nie umiał się pogodzić ze stratą. Nie poradził sobie ze zgryzotą. Obie was bardzo kochał. Czuł straszne wyrzuty sumienia, że go przy tym nie było. Znałeś go przecież. Wydawało mu się, że gdyby był na miejscu, nie doszłoby do niczego złego. Bardzo to źle wpłynęło na ich małżeństwo, wiedziałaś o tym?

– Domyślałam się.

– Miał pretensje do twojej matki, że to przez nią go tu nie było. Że zamiast pilnować córek, siedział na Hawajach. Nie mówił tego głośno, ale wiadomo było, że tak myśli. A gdy potem doszedł do wniosku, że nie uda nam się wymierzyć sprawiedliwości za Sarę, coś w nim pękło i zawładnęło jego myślami. Był człowiekiem o niezłomnym charakterze. Jestem pewny, że podrzucenie fałszywych dowodów strasznie mu ciążyło. Nie osądzaj go, Tracy. Twój ojciec był wspaniałym człowiekiem. I wcale sam się nie zabił. Zabiła go rozpacz.

– Tak, wiem.

Calloway zaczerpnął powietrza i głęboko westchnął.

– Dzięki za to, co powiedziałaś podczas konferencji prasowej.

– Mówiłam prawdę – odparła, nie umiając powstrzymać uśmiechu.

– Nie sądzę, żeby Departamentowi Sprawiedliwości to wystarczyło – rzekł Calloway.

– Myślę, że mają tłustsze ryby do złapania. – Tracy musiała przyznać, że w stwierdzeniu DeAngelo Finna, że ludzie nie zawsze mają prawo do odpowiedzi, było dużo racji. Na pewno dotyczyło to sytuacji, w której udzielenie odpowiedzi może przynieść więcej szkód niż pożytku. I nie czuła się winna, że zrzuca odpowiedzialność na ojca. – Ojciec sam by tego chciał – dodała.

– Miał szerokie ramiona. – Calloway sięgnął po szklankę ze stolika przy łóżku, wypił przez słomkę łyk soku i odstawił. – To co, wyjeżdżasz?

– Nadal próbujesz się mnie pozbyć, tak?

– Właściwie to już nie. Za długo się to ciągnie.

– Będę przyjeżdżała w odwiedziny.

– To nie będzie łatwe.

– Nie da się pogrzebać upiorów, nie stawiając im czoła – powiedziała. –

A teraz już wiem, że nie muszę się rozstawać z Sarą, z tatą czy z Cedar Grove. Bo zawsze będą częścią mnie.

– Dan to przyzwoity gość – rzucił Calloway.

– Jak wspomniałam, nigdzie mi się nie śpieszy – odrzekła z uśmiechem.

– Dasz sobie jakoś radę z tą sprawą? – upewnił się. – Bo jakbyś chciała pogadać, zawsze możesz do mnie zadzwonić.

– Trochę to potrwa.

– Dla nas wszystkich.

* * *

Odwiedziła w szpitalu DeAngela, który był w równie refleksyjnym nastroju.

– Dołączyłbym do mojej Millie – powiedział. – A to wcale nie byłoby złe.

– Co zrobisz, jak stąd wyjdiesz?

– Mam siostrzeńca pod Portlandem. Mówi, że jego ogródek wymaga gruntownego opielenia.

* * *

Ostatnim na liście był Parker House. Wchodząc do jego szpitalnego pokoju, przypomniała sobie słowa ojca, że Parker też to przeżywa. Mogła tylko próbować sobie wyobrazić, co ten człowiek teraz myśli.

House miał obandażowane obie dłonie i zapewne stopy, tych jednak nie było widać pod cienką szpitalną kołdrą. Był jeszcze bledszy i bardziej wymizerowany niż zwykle i Tracy pomyślała, że może cierpieć nie tylko z powodu ran, ale także kilkudniowego odstawienia alkoholu.

– Przepraszam, Tracy – powiedział. – Byłem pijany i przerażony. Z Edmundem od początku było coś nie tak. Od pierwszej chwili, jak tylko u mnie zamieszkał. Ale był synem brata i czułem się za niego odpowiedzialny.

– Wiem.

– Nie chciałem skrzywdzić ani ciebie, ani Dana, ani jego psów. Chciałem was tylko postraszyć, żebyście dali spokój i nie pakowali się w to. Nie przyszło mi nawet do głowy, że mogą go wypuścić. Z przerażeniem myślałem o tym, do czego jest zdolny. Chyba po prostu spanikowałem. To było głupie... to strzelanie w okno.

– Chcę, żebyś wiedział, że mój ojciec wcale cię nie winił za to, co się stało. Ja zresztą też nie. Ani wtedy, ani teraz.

Pokiwał głową i zacisnął usta.

– Byliście dobrą rodziną, Tracy. Bardzo mi przykro, że tak wszystko wyszło i że to z jego winy. Czasem się zastanawiam, jak by to było, gdyby nigdy tu nie przyjechał. Jak by wtedy wyglądało Cedar Grove. Myślisz o tym czasem?

– Czasem – odparła z uśmiechem Tracy. – Ale raczej staram się nie myśleć.

Rozdział 73

Została w Cedar Grove tak długo, jak się dało, ale w niedzielę po południu nie można było dłużej zwlekać. Musiała pojechać do Seattle i stawić czoło nieuniknionemu. Wrócić do pracy. Stanęli na ganku, Dan ją objął i złożył na jej ustach długi pocałunek.

– Sam już nie wiem, komu będzie bardziej cię brakować: im czy mnie – powiedział, odrywając wargi od jej warg. Psy siedziały obok z zasepionymi minami.

Tracy puknęła go w klatkę piersiową.

– Radzę, żebyś to był ty.

Wypuścił ją z objęć, a ona się schyliła i pogłaskała kościsty łeb Rexa, już wolny od plastikowego kołnierza. Weterynarz zapewnił ich, że pies całkiem wyzdrowieje. Sherlock natychmiast potrącił nosem jej dłoń, by przypadkiem o nim nie zapomniała.

– Nic się nie bój, o żadnym z was trzech nie zapomnę – zapewniła. – Będę do was przyjeżdżać, wy mnie też możecie odwiedzić w Seattle. Tylko będziecie musieli chwilę poczekać, aż się przeprowadzę do domu z kawałkiem ogródka. No i Rogera wasz widok szczególnie nie ucieszy. – Już widziała reakcję swojego kota na stutrzydziestokilogramową psią inwazję na jego terytorium.

Przez ostatnie dni dochodziła do siebie w domu Dana, a on ani razu nie zapytał, jak widzi ich przyszłość i czy rozważa możliwość zostania na stałe. Ale tak jak powiedziała Parkerowi, mimo starań czasami nie potrafiła uwolnić się od myśli o takim Cedar Grove, jakie znała kiedyś. Tamto życie wciąż było częścią jej. Ale oboje z Danem wiedzieli, że każde z nich ma swoje życie, którego nie da się od razu zmienić. Ona swoją pracę w Seattle, on na nowo uczynił Cedar Grove swoim domem. Miał też Sherlocka i Rexa wymagających opieki. W dodatku wyglądało na to, że obrona Edmunda House'a i późniejsze wydarzenia przysporzyły mu takiej sławy, że nowo zdobyta reputacja wybitnego obrońcy w sprawach karnych mogła go wystrzelić na zupełnie nową orbitę.

Dan i psy odprowadzili ją do samochodu.

– Zadzwoń, jak tylko dojedziesz – powiedział, a Tracy pomyślała, że miło mieć kogoś, kto się o ciebie martwi.

Położyła mu rękę na piersi.

– Dzięki, Dan, że rozumiesz.

– Spokojnie wszystko przemyśl. Jak będziesz gotowa, ja i koledzy będziemy tu na ciebie czekać. Ty się tylko postaraj.

Wyjeżdżając tyłem na ulicę, pomachała im na pożegnanie, potem jeszcze raz przed ruszeniem do przodu i ukradkiem otarła łzę. Dotarła do skrzyżowania na autostradę

i uznawszy nagle, że wcale jej się nie śpieszy, pojechała dalej i skręciła w prawo w stronę Cedar Grove. Rozsłonecznione śródmieście wyglądało dużo lepiej. Zawsze wszystko lepiej wygląda w promieniach słońca. Miasto sprawiało pogodniejsze wrażenie, budynki nie wydawały się aż tak podupadłe. Po chodnikach kręcili się ludzie, pod sklepami stały zaparkowane samochody. A może burmistrz postawi na swoim. Może mu się powiedzie i ożywi stare miasteczko. Może nawet znajdzie się inwestor gotowy zbudować Cascadię i uczynić z Cedar Grove wakacyjny kurort. Niegdyś to miasto było miejscem wielu radości dla młodej dziewczyny i jej siostry. Może znowu mogłoby takie być.

Tracy minęła szereg parterowych domków z bawiącymi się przed nimi dziećmi w grubych zimowych strojach i żalonymi resztkami topniejących bałwanów. Opuściła śródmieście i wjechała w dzielnicę z dużo okazalszymi domami na dużo większych działkach, gdzie spadziste dachy dumnie wystawały zza zadbanych żywopłotów. Zwolniła przed najwyższym i przez moment się wahała, szybko jednak podjęła decyzję. Wjechała w bramę z dwoma kamiennymi słupami po bokach i ruszyła podjazdem w stronę domu.

Zaparkowała przed powozownią i podeszła do miejsca, gdzie niegdyś rosła rozłożysta wierzba płacząca, niczym strażniczka całej posiadłości. Sara często się na nią wspinała i zwisając na jej wtkach, udawała, że ma pod sobą nie trawnik, ale pełne aligatorów mokradło. Kołyszając się nad nim, wołała wtedy Tracy, by przybiegła jej na pomoc i ratowała przed paszczami pełnymi ostrych zębów.

Ratunku! Tracy, ratunku! Aligatory mnie zjedzą!

Tracy podchodziła wtedy ścieżką, stawała na kamieniu obok drzewa, przechylała się nad trawnikiem i podawała jej rękę.

Nie dosięgnę, jęczała Sara, nadal zatopiona w swej fantazji.

Bujnij się, odpowiadała Tracy. Bujnij się w moją stronę.

I Sara zaczynała wymachiwać rękami i nogami, tak że wierzbowe wtki kołysały się coraz mocniej. Dłonie sióstr najpierw się muskały, potem ocierały, w końcu szepiały na dobre.

Teraz się puść, mówiła Tracy.

Boję się!

Nic się nie bój, odpowiadała. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

Na ganku przed domem stanęła kobieta z dwiema małymi dziewczynkami. Tracy oceniła, że mają około dwunastu i ośmiu lat.

– Tak myślałam, że to pani – powiedziała kobieta. – Poznałam panią ze zdjęć w gazetach i z telewizji.

– Przepraszam za najście.

– Nic nie szkodzi. Słyszałam, że pani kiedyś tu mieszkała.

Tracy popatrzyła na dziewczynki.

– Tak, z rodzicami i siostrą.

– To takie straszne. To wszystko razem. Bardzo pani współczuję.

Tracy przeniosła wzrok na starszą dziewczynkę.

– Zjeżdżasz po poręczy schodów? – spytała.

Dziewczynka się uśmiechnęła i spojrzała na matkę, jej siostra parsknęła śmiechem.

– Chce pani wejść? Rozejrzeć się? – spytała kobieta. – Z tym domem musi się wiązać wiele pani wspomnień.

Tracy popatrzyła na dom, który kiedyś był jej domem. Właśnie po to tu przyjechała, by zainicjować proces wracania myślami do dobrych czasów, jakie ona i jej rodzina tu przeżyli. Tych dobrych, nie tych złych. Uśmiechnęła się do sióstr, które coś do siebie szeptały.

– Myślę, że nie – odparła. – Myślę, że jakoś sobie poradzę.

Epilog

Tracy przesunęła na bok węzeł swojej czerwonej bandany, czubkiem buta wygrzebała małą jamkę w ziemi, rozstawiła nogi i ściągnęła ramiona. A potem przebiegła w myślach całą sekwencję strzałów.

– Jesteś gotowa, Mała? – upewnił się prowadzący zawody. – Bo jeśli chcesz, to mogę jeszcze raz powtórzyć ci zasady. Wiem, że zapamiętanie wszystkiego może być trudne. A chcemy wszystkim zapewnić równe szanse, zwłaszcza nowym.

Od powrotu Tracy do Seattle minął miesiąc. Był wczesny niedzielny poranek, słońce sączyło się przez gałęzie drzew, rozświetlając makiety domów w miasteczku na Dzikim Zachodzie i rzucając cienie na grupkę kilkunastu zawodników. Ubrani w stylowe stroje kowbojskie z przełomu wieków, przyjaźnie z sobą gawędzili, czekając na swoją kolej na stanowisku strzeleckim.

Tracy raz jeszcze spojrzała przez żółtawe okulary przeciwsłoneczne na rząd tarcz.

– Pewno – odparła. Czowała, że prowadzący zawody ma ochotę raz jeszcze wszystko wyrecytować. A poza tym ojciec zawsze ją uczył, że należy korzystać z każdej okazji, która zwiększa szanse wygranej.

– Po dwa strzały do każdej tarczy. Potem przechodzimy na drugie stanowisko i strzelamy ze śrutówki do nagrobków. Po skończeniu wbiegamy do tamtego sklepu i strzelamy przez okno do pięciu pomarańczowych sylwetek. Po jednym strzale do każdej.

– Dzięki – powiedziała – Myślę, że spamiętam.

– No to świetnie. – Odsunął się i wykrzyknął: – Zawodniczka gotowa?!

– Gotowa – odparła.

– Sędziowie gotowi?

Trzej mężczyźni unieśli głowy i wystąpili krok do przodu.

– Gotowi.

– Zaczynamy strzelać po sygnale – ogłosił. – Masz jakieś swoje powiedzonko?

– Powiedzonko? – zdziwiła się.

– Coś na znak, że rozpoczynasz akcję. Ludzie wykrzykują różne rzeczy. Na przykład: „Nienawidzę węży”. Ja na przykład mówię: „Robimy w ołowni, przyjacielu”. To cytat z *Siedmiu wspaniałych*.

Przypomniała sobie, co zawsze mówiła podczas zawodów. Coś, co rzucił szeryf „Kogut” Cogburn w *Prawdziwym męstwie*, wypadając na otwartą przestrzeń pod ostrzałem rewolwerowców: *Bierz się do roboty, sukinsynu*.

– No, mam coś takiego – powiedziała.

– Dobra, to powiedz, jak będziesz chciała zacząć.

Głęboko zaczerpnęła powietrza, wypuściła i głośno zawołała:

– Nie boję się ciemności!

Zegar mierzący czas piknął, Tracy szarpnęła ze stołu karabin, wystrzeliła i przeładowała równocześnie z brzęknięciem pierwszej kuli w metalową tarczę. Trafiła w tarczę drugą kulą, znów przeładowała i kolejno rozprawiła się z pozostałymi czterema tarczami. Nie tracąc ani sekundy, podniosła śrutówkę z drugiego stołu i strzeliła w pierwszy nagrobek. Nim zdążył runąć na ziemię, ona już przeładowała, walnęła do drugiego nagrobka i wzięła na cel kolejne od lewej ku prawej, waląc z wielkiej strzelby jak z armaty. Odłożyła śrutówkę i popędziła do makiety sklepu. Wbiegła do środka, ściągnęła ramiona, wyszarpnęła rewolwer z kabury na biodrze i zaczęła strzelać przez okno, trafiając kolejno we wszystkie pięć sylwetek.

Skończyła, zrobiła młynek i wsadziła rewolwer do kabury.

– Czas stop! – krzyknął prowadzący zawody.

Nikt się nie odezwał, nie padło ani jedno słowo, ale widać było, że wszyscy w napięciu czekają na ogłoszenie wyniku.

W porannym powietrzu wisiały obłoczki dymu, rozchodził się znajomy słodkawy zapach prochu. Trzej sędziowie stali z wystawionymi pięściami, spoglądając niepewnie po sobie.

Tracy nie czuła niepokoju. Wiedziała, że ani razu nie spudłowała.

Prowadzący zawody sprawdził odczyt na zegarze, spojrzął na jednego z zawodników, jakby nie dowierzał własnym oczom, potem raz jeszcze na zegar.

– Co jest, Rattler? – spytał siedzący na beczce starszy wiekiem zawodnik. Nogi miał szeroko rozstawione, ręce oparte na udach. Używał kowbojskiego pseudo „Bankier” i zgodnie z nim był w meloniku i czerwonej wzorzystej kamizelce, a z kieszonki wystawał mu złoty zegarek na łańcuszku. – Coś się zepsuło? – Powiedział to z udawaną troską w głosie, komicznie poruszając długimi wypomadowanymi wąsami i lekko się uśmiechając.

– Dwadzieścia osiem przecinek sześć – powiedział Rattler.

Zawodnicy spojrzeli na Tracy, potem popatrzyli po sobie.

– Jesteś pewny? – spytał ktoś.

– Niemożliwe – dodał inny. – No, chyba nie.

Czas Tracy był o całe sześć sekund lepszy od najszybszego strzelca i tylko o trzy sekundy gorszy od jej rekordu życiowego z czasów, gdy startowała w poważnych zawodach.

– Mówiłaś, że jak się nazywasz? – spytał prowadzący zawody.

Tracy wyszła z makiety sklepu i poprawiła kaburę z coltem na biodrze.

– Mała – odparła. – Po prostu Mała.

* * *

W zapadającym mroku Tracy ruszyła w stronę parkingu, ciągnąc za sobą ten sam rozchwierutany wózek, który niegdyś sklecił jej ojciec. Wydobyła go z magazynu wraz ze swoimi rewolwerami, gdy pojechała po kilka starych mebli rodziców. Przeprowadziła się do domu z dwiema sypialniami, w zachodnim Seattle, i musiała czymś go urządzić. Za domem ciągnął się spory ogród, w sam raz dla Rexa i Sherlocka.

Drogę zastąpił jej Bankier, który od chwili jej występu nie spuszczał z niej oka.

– Już pani wychodzi? – zapytał.

– Wychodzę.

– Ale nie ogłosili jeszcze wyników. – Tracy się uśmiechnęła. – To co mamy zrobić z kłamrą dla zwycięzcy?

– Czy to pańska wnuczka dziś strzelała?

– No, moja – potwierdził z dumą.

– Ile ma lat?

– Właśnie skończyła trzynaście, ale strzela od chwili, jak tylko nauczyła się chodzić.

– Proszę dać jej tę kłamrę. I proszę jej powiedzieć, żeby się trzymała.

– Bardzo się ucieszy. Dwadzieścia lat temu widziałem taką jedną, nazywała się chyba Crossdraw czy jakoś tak, ale wszyscy mówili na nią Mała.

Tracy stanęła.

Bankier uśmiechnął się i mówił dalej:

– Widziałem ją w Olympii. Nigdy w życiu nie spotkałem lepszego strzelca. Już nigdy potem na nią nie trafiłem. Miała ojca i siostrę, którzy też byli całkiem niezli. Ale pewnie pani o niej nie słyszała, co?

– Słyszałam – powiedziała Tracy. – Tylko że pan się myli.

– Jak to?

– Bo wciąż jest najlepsza.

Bankier podkreślił koniec wąsa.

– Kurczę, bardzo chciałbym ją zobaczyć. Wie pani może, na jakich zawodach mógłbym ją spotkać?

– Wiem – powiedziała Tracy. – Ale będzie pan musiał trochę się z tym wstrzymać. Strzela teraz do wyższych celów.

Podziękowania

Jak zwykle podziękowania należą się wielu osobom. Przede wszystkim – nim ktoś mi przyśle maila, że nie znam geografii – przyznaję, że miasto Cedar Grove w North Cascades nie istnieje i jest wytworem mojej wyobraźni. Owszem, w stanie Waszyngton jest miejscowość o tej nazwie, ale nigdy w życiu tam nie byłem. Wymyśliłem Cedar Grove, bo spodobało mi się brzmienie, i gdy później dowiedziałem się o istnieniu prawdziwego miasta o tej nazwie, nie chciało mi się już nic zmieniać. No więc tak to wygląda.

Uzyskałem tak dużo pomocy z różnych stron, że aż trudno się zdecydować, od czego zacząć. Pisanie tej książki ciągnęło się dość długo i dlatego niektóre moje rozmowy związane ze zbieraniem materiałów odbyły się kilka lat temu. Moi rozmówcy oczywiście byli ekspertami w swych dziedzinach, ja nie, i dlatego wszelkie nieścisłości obciążają mnie i tylko mnie.

Dziękuję Kathy Taylor, antropolożce kryminalistycznej z Biura Koronera King County, za jej wiedzę o liczących wiele lat miejscach pochówku na zadrzewionym i pagórkowatym terenie. Dziękuję też Kristopherowi Kernowi, kryminalistykowi i członkowi zespołu zajmującego się oględzinami miejsc przestępstw policji stanowej w Seattle, za jego jakże wyczerpujące uwagi z pokrewnej dziedziny.

Dziękuję doktor Jennifer Gregory, samodzielnej pracownicy socjalnej i szefowej oddziału Joint Base Lewis-McChord w ramach programu pomocniczego Western Regional Medical Command Care, a także doktorowi Davidowi Embry'emu, koordynatorowi programu badawczego oddziału terapii dziecięcej z Laboratorium Ruchu Dobrego Samarytanina. David podszedł do mnie podczas konferencji pisarzy Północno-Zachodniego Regionu Pacyficznego, na której przedstawiłem zarys mojej następnej powieści, i poznał mnie z Jennifer Gregory. Oboje podzielili się ze mną fascynującą wiedzą na temat umysłów socjopatów i psychopatów, która mogła wywołać u człowieka prawdziwe przerażenie. Korzystałem z ich pomocy przy pisaniu tej i następnej powieści.

Miałem też szczęście poznać wielu wspańiałych ludzi z policji, którzy zawsze chętnie służyli mi swym czasem i wiedzą. Nie napisałbym tej książki bez pomocy Jennifer Southworth, śledczej z Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych policji w Seattle. Po raz pierwszy pomogła mi, będąc jeszcze funkcjonariuszką CSI. Od tamtej pory awansowała do wydziału zabójstw i stała się dla mnie inspiracją dla tej powieści. Wyrazy wdzięczności dla detektywa Scotta Thompsona z Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych i jednocześnie Zespołu Spraw Archiwalnych Biura Szeryfa King County. Gotowość Scotta do pomagania zawsze i wszędzie, a także jego pomoc w nawiązywaniu znajomości z innymi

źródłami informacji były nieocenione. Jednym z takich źródeł był Tom Jensen z Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych Biura Szeryfa King County. Zdaniem niektórych Tom był jedynym członkiem ekipy śledczej ścigającej mordercę z Green River, który wytrwał do końca i po dwudziestu latach wyteżonej pracy doprowadził do skazania Gary'ego Ridgwaya.

Dziękuję też Kelly Rosie, prawnicze z biura prokuratora King County i wieloletniej przyjaciółce. Kelly pomagała przy pisaniu niemal wszystkich moich powieści, a potem bez wytchnienia je promowała. Uznałem więc, że pora wykonać następny krok i umieścić ją w powieści jako jedną z postaci, po czym pomyślałem, że będzie z niej świetna antropolożka kryminalistyczna. Dzięki, Kelly, nadal jesteś najlepsza!

Serdeczny uścisk ręki dla Brada Portera, sierżanta policji w Kirkland. Poznałem go podczas strasznego procesu w King County w sprawie, w której występował jako śledczy prowadzący. Od tamtej pory Brad jest moim przyjacielem i tarczą, do której próbnie strzelam pomysłami. Jest też pierwowzorem postaci Kinsingtona „Sparrow” Rowe'a, choć życie osobiste Kinsa jest wytworem mojej wyobraźni.

Dziękuję Sue Rahr, niegdyś szeryfke King County, a obecnie dyrektor wykonawczej Komisji Szkoleniowej do Walki z Przestępczością stanu Waszyngton, czyli inaczej mówiąc, Akademii Policyjnej. Przystępując do pisania tej powieści, nawet o tym nie wiedziałem, ale jak się okazuje, Tracy Crosswhite ma pewne cechy Sue – zwłaszcza jej nieustępliwość, determinację i poczucie humoru. Dziękuję, że mnie dopuściłaś do sekretów swej kariery w środowisku tak bardzo zdominowanym przez mężczyzn. Za to samo chcę też podziękować śledczej Danie Duffy z Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych policji w Seattle. Dana była pierwszą kobietą na stanowisku śledczej w wydziale zabójstw i ona również znalazła czas, by szczerze porozmawiać nie tylko o swej policyjnej karierze, ale również nakreślić szersze tło.

Wyrazy wdzięczności dla mecenasa Kim Hunter z Covington, stan Waszyngton, za podzielenie się ze mną wiedzą w kwestii ponownego rozpoznawania winy skazanego oraz generalnie prawa karnego. W pewnej chwili zatkałem się podczas pisania, zjawiała się Kim i pomogła mi się odetkać!

Najmilszym aspektem zawodu pisarza jest możliwość uczestniczenia w różnych fantastycznych wydarzeniach, takich jak zawody w kowbojskim strzelaniu w mglisty zimowy poranek w Klubie Myśliwskim i Wędkarskim w Renton. Poczulem się przeniesiony w czasy Dzikiego Zachodu. Wszyscy uczestnicy byli przebrani w stroje z epoki i traktowali swoje zadania – w tym troskę o bezpieczne posługiwanie się bronią palną – imponująco poważnie. Równie imponujące były ich umiejętności. Ci ludzie naprawdę umieją strzelać! Przyjęli mnie ciepło i podzielili się ze mną mnóstwem informacji i przemyśleń, których nie

znalazłbym w żadnej bibliotece. Tak więc dziękuję panom o kowbojskich pseudonimach Diamond Slinger, Jess Ducky, Driften Rattler, Dakota i Kid Thunder, a także wielu innym za ich czas i chęć odpowiadania na moje pytania.

Innym źródłem satysfakcji pisarza jest rozdawanie powieściowych postaci w celach charytatywnych – w moim przypadku w ramach akcji zbierania funduszy na Seattle Prep, szkołę mojego syna. Dziękuję Erikowi i Margaret Giesom za ich szcudre datki w zamian za nazwanie ich nazwiskiem postaci w tej książce. Żałuję, że brak miejsca nie pozwala mi na przytoczenie całego maila Erika, w którym opisuje swoją żonę. Każda kobieta powinna mieć szczęście bycia żoną człowieka, który ją nazywa „niewiarygodnie piękną, z cudownymi krągłościami, najzgrabniejszymi łydkami i uśmiechem, przez który przebija jej serce”. Szczęśliwej dwudziestej piątej rocznicy ślubu.

Przygotowując się do pisania powieści, czytam dużo literatury źródłowej. Zwykle nie powołuję się na poszczególne pozycje, tym razem jednak chciałbym wymienić kilka książek, podręczników i artykułów, z których korzystałem:

Godwin Maurice i Fred Rosen, *Tracker: Hunting Down Serial Killers*;

Reichert David, *Chasing the Devil: My Twenty-Year Quest to Capture the Green River Killer*;

Yancey Diane, *Tracking Serial Killers*;

Keppel Robert D. i William J. Birnes, *The Psychology of Serial Killer Investigations: The Grisly Business Unit*;

Morton Robert J., *Serial Murder: Multi-Disciplinary Perspectives for Investigators*. Zespół analiz behawioralnych krajowego centrum badań nad brutalnymi morderstwami;

Brooks Pierce, *Multi-Agency Investigative Team Manual*, Departament Sprawiedliwości USA, Krajowy Instytut Sprawiedliwości.

Dziękuję mojej superagentce Meg Ruley i jej zespołowi z Jane Rotrosen Agency. Meg nie przestaje sprawiać cudów. Jestem wdzięczny losowi, że od niemal dekady jestem jednym z jej autorów. Ma tryskającą optymizmem osobowość i zawsze widzi szklankę do połowy pełną. Jestem wdzięczny jej i zespołowi za czytanie mych brudnopisów i dzielenie się ze mną uwagami. Doceniam wasze wsparcie. Bez was bym sobie nie poradził.

Dziękuję wydawnictwu Thomas & Mercer za wiarę w *Grób mojej siostry* i we mnie. Specjalne wyrazy wdzięczności dla redaktora prowadzącego Alana Turkusa; redaktorki Charlotte Herscher; Kjersti Egerdahl, Jacques'a Ben-Zekry'ego, Tiffany Pokorny i Paula Morisseya. Jeśli kogoś pominąłem, niech wie, że i tak ma moją wdzięczność.

Dziękuję Tami Taylor, która zarządza moją stroną internetową i robi to wspaniale. Dziękuję recenzentom, którzy biedzą się nad wstępnymi wersjami tekstu i uczestniczą w poprawianiu moich brudnopisów. Dziękuję Pam Binder

i Stowarzyszeniu Pisarzy Północno-Zachodniego Regionu Pacyficznego za ich wsparcie.

Dziękuję też moim lojalnym czytelnikom, którzy przysyłają mi maile z informacjami, że podobają im się moje książki i czekają na następne. To dzięki wam nie przestaję się rozglądać za kolejnymi pomysłami.

Poświęciłem tę książkę mojemu szwagrowi, Robertowi A. Kapeli. Robert był dobrym człowiekiem o wielkim sercu i jeszcze większym uśmiechu. W ostatnich latach utracił radość życia w wyniku poważnych powikłań zdrowotnych i traumy bolesnego rozvodu. Życie Roberta dobiegło końca dwudziestego marca 2014 roku. Moja rodzina miała to szczęście, że ostatni tydzień życia Robert spędził pod naszym dachem. Moje dzieci uwielbiały „wujka Berta”, żona kochała swojego brata. Był zawsze „zabawowym” wujkiem, a letnie rejsy jego łodzią zapadły wszystkim we wdzięczną pamięć.

Znam bolesną pustkę, jaka zostaje po odejściu kogoś kochanego. Odczułem ją sześć lat temu po śmierci ojca, o którym nadal codziennie myślę. Pustki takiej nie da się zapełnić. Śmierć Roberta boleśnie dotknęła nas wszystkich. Następnego dnia po jego śmierci siedziałem na ganku, podziwiając wschód słońca, chwilę później dołączyła do mnie żona. Siedzieliśmy wpatrzeni w intensywnie różowe niebo i wtedy nagle przypomniałem sobie, jak to w przeddzień naszego ślubu ksiądz zapytał, czego chcę od życia, a ja odpowiedziałem: „Chcę do końca życia oglądać wschody słońca z Cristiną”. Jestem pewien, że wschód słońca tego ranka był prezentem od Roberta, który nam przypominał, by codziennie dostrzegać piękno Boga, odczuwać Jego miłość i zawsze trwać po stronie światła. Moje modlitwy i myśli są z Robertem i jego trzema synami.

Cristina jest miłością mojego życia i moją bratnią duszą. Towarzyszy mi w każdym kroku mojej ziemskiej wędrówki przez życie. Z każdym dniem jesteś coraz piękniejsza. Pamiętaj o wschodach słońca, które sobie obiecaliśmy, i każdego dnia dostrzegaj piękno, miłość i światło. Mojemu synowi Joemu, teraz już mężczyźnie, życzę w życiu tego wszystkiego, czego trzeba do szczęścia – miłości. Córce Catherine chcę powiedzieć, że rozjaśnia każde pomieszczenie, do którego wchodzi. Obyś nigdy nie utraciła tego blasku i radości życia.

Przypisy

1 S'mores – tradycyjna amerykańska i kanadyjska przekąska piknikowa z czekolady, przypiekanych nad ogniskiem pianek i krakersów z mąki Grahama.

2 Ex-Lax – nazwa handlowa czekoladek na przeczyszczenie.

3 Cytat z Księgi Izajasza wg Biblii Tysiąclecia.

4 HITS – Homicide Investigation Tracking System (Śledcza Baza Danych w Sprawach Zabójstw).

5 Famous But Idiots (ang.) – słynni, ale idioci.

6 CSI – Crime Scene Investigation (specjaliści badający miejsce przestępstwa).

7 William Blackstone (1723–1780) – sędzia angielskiego sądu królewskiego.

